

DALLILA

JASON DONALD



DALILA

JASON DONALD

PRZEŁOŻYŁ
Przemysław Hejmej



Korytarzem płyną setki ludzi. Rodzice prowadzą dzieci za rękę. Pary idą ramię w ramię, w milczeniu. Niektórzy ciągną walizki, inni niosą plecaki. Ona dotrzymuje pozostałym kroku, przyciskając torebkę do piersi. Ma odsłonięte palce stóp w pantoflach; kiedy idzie, wykładzina ociera się o koniuszek jej wielkiego palca. Korytarz rozszerza się, na posadzce widać teraz terakotę. Warkot kółek neseserów podróżnych i coraz szybszy stukot butów każą jej przyspieszyć. Unosi brodę i patrzy między podskakującymi w tłumie głowami ludzi. Przez okna wpada bursztynowe światło wieczoru i układa się na potylicy każdej delikatnej czaszki. Załamujące się w jego promieniach ludzkie cienie mkną wzdłuż ściany.

 Nie widzi, dokąd idą, nie dostrzega innej drogi, którą mogliby pójść.

Mężczyzna przed nią niesie małe dziecko w zgięciu ramienia. Odrywa się od tłumu i wchodzi do jakichś drzwi z boku.

 Dwoje drzwi. Toalety. Męska. Damska.

Dziewczyna się zatrzymuje, spogląda do tyłu na przebytą drogę i wkracza do damskiej toalety. Jest to najczystsza łazienka, jaką kiedykolwiek widziała. Ceramiczne płytki posadzki są równie białe jak umywalki, a efekt zwiększa jeszcze światło jarzeniówek na suficie. Drzwi do kabin są otwarte, nigdzie nie widać żadnego okna. Opuszcza nisko torebkę i stoi nieruchomo, zastanawiając się. Wchodzi do kabiny, zamyka ją na zasuwkę, po czym opiera się plecami o drzwi. Po raz pierwszy od wielu dni jest sama. W tej atmosferze spokoju czuje się prawie bezpieczna. Odkłada torebkę, a kiedy się schyla, żeby zdjąć but, z toalety nagle spływa woda. Dziewczyna odskakuje i gapi się na czystą, wirującą ciecz. Sedes jest przymocowany bezpośrednio do ściany, nie ma podestu. Ani zbiornika, ani łańcuszka, za który się ciągnie, jest tylko pojedyncze czarne oko na ścianie. Woda cichnie. Jedynie czarne oko wciąż obserwuje, nie mruga.

Dziewczyna nie jest już sama. Jest tu także ono.

„Bądź silna” – szepcze do siebie.

Z wnętrza buta wyciąga złożoną kartkę. Teraz, w odosobnieniu, ma wreszcie okazję ją zniszczyć. Rozkłada papier i wpatruje się w znaki. Instrukcje te czytała wiele razy, rozważała każde słowo i wypływające z nich implikacje. Zamyka oczy, lecz nadal widzi zapamiętane wyrazy, są one wdrukowane w notes jej umysłu. Kiedy otwiera oczy, mentalna kopia nakłada się na kartkę w ręce, jest z nią idealnie zbieżna.

Drze papier czterokrotnie i wrzuca kawałki do sedesu. Potem macha butem przed czarnym okiem i patrzy, jak zmywa je woda.

Myje trzęsące się ręce nad zlewem, rozpościera palce pod ciepłym strumieniem wody. Zaciska pięść i znów rozsuwa palce. Przewraca jej się w żołądku, co grozi wyrzuceniem jego zawartości na zewnątrz, lecz po chwili uczucie to mija. Obmywa twarz wodą, pochyla się i pije z kranu. Przyciska do policzków dwa papierowe ręczniki i odwraca się, żeby uniknąć pokusy zerknięcia w lustro.

„Sawa, sawa” – mówi miękko i bierze głęboki oddech. Naciąga na siebie rozpinany sweter i szepcze po angielsku: „Okej. Okej”.

Wychodzi. Ludzie wciąż maszerują po terakocie. Dołącza do nich, ufając, że tłum ma właściwe wyczucie kierunku, wierząc, że tamci muszą wiedzieć, dokąd idą. Wkrótce korytarz skręca w lewo i schodzi o poziom niżej. Fala ludzkich ciał kotłuje się i kołysze, niektórzy szukają zwykłych schodów, większość woli zjechać ruchomymi. Ona wybiera klatkę schodową. Ścisła mocno torebkę i spogląda na reklamy, które barwią ściany. Podróżni wlewają się do szerokiego holu, gdzie jest jeszcze więcej ludzi. Powietrze staje się gęste, dźwięki rozproszone, z wykładziny bije słaby zapach brezentu. Wygląda na to, że pomieszczenie to znajduje się pod ziemią, lecz ona nie jest tego pewna. Brak jakichkolwiek okien, które by to potwierdzały, są jedynie fluorescencyjne

światłówki na niskim suficie. Ich blask eliminuje wszelkie cienie oraz poczucie czasu. Jedyne wyjście stąd jest za rzędem boksów, w których siedzą funkcjonariusze. Z sufitu zwisają dwa znaki informacyjne:

**„Tylko dla posiadaczy
paszportów brytyjskich”**

„Wszyscy pozostali”

Ludzie gromadzą się pod jednym i drugim znakiem. Podchodzi bliżej i widzi niebieskie, sięgające talii taśmy barierek, które kierują wszystkich do długiej kolejki, wijącej się jak wąż. Niczym inwentarz hodowlany, podróżni torują sobie drogę przez labirynt barierek. Dołącza do kolejki dla „Wszystkich pozostałych”, przechyla głowę, aby rozwiązać węzeł na szyi. W holu słychać pomruk rozmów, nikt jednak nie ośmiela się podnosić głosu. Padają słowa w językach, których nie rozpoznaje, ale od czasu do czasu wychwytuje coś po angielsku. Wiele osób stoi w milczeniu. Nikt nie kuca. Nikt nie siada na bagażu. Dzieci trzymają się blisko matek. Po kilku minutach kobieta przed nią przesuwa się o dwa kroki do przodu. Ona robi to samo. Ludzie z tyłu idą w jej ślady.

Niebieski znak domaga się, aby wyjęła paszport z portfela albo oprawki w celu szybszego okazania dokumentu. Wsuwa rękę do torby, znajduje paszport, otwiera go na stronie ze zdjęciem. Jej podobizna gapi się pusto w przestrzeń. Włosy ma przycięte tak krótko, jak to tylko możliwe – to właściwie tylko cień na czaszce. Kąciki pełnych ust nieco opadają, na szczupłej szyi napinają się ścięgna. Zamyka paszport. Kolejka przesuwa się dalej, robi więc trzy kroki do przodu, żeby zlikwidować przerwę.

Ludzie w tej drugiej kolejce, tej „Tylko dla posiadaczy brytyjskich paszportów”, postępują szybciej. Każdy podróżny trzyma otwarty dokument barwy kasztanowej. Funkcjonariusze zerkają szybko na paszport, na daną osobę

i machnięciem ręki każą jej iść dalej.

Tymczasem na przodzie jej kolejki ochroniarz kieruje ludzi do najbliższego wolnego boksu. Służbę pełni czworo funkcjonariuszy imigracyjnych. Pierwszy to mężczyzna z dwoma podbródkami. Obok niego siedzi szary człowiek o siwych włosach. Dalej starszy pan ze schludnym wąsem. I wreszcie młoda Hinduska. Funkcjonariusze studiują każdą pieczętkę na każdej stronie zagranicznych paszportów, przepytują ludzi, do których one należą, bacznie przyglądają się fotografiom.

Funkcjonariusz z dwoma podbródkami zatrzymuje dokument jakiegoś mężczyzny, a jego odsyła na rząd krzesel ustawionych przed czołem kolejki, obok ochroniarza. Mężczyzna wydaje się zdezorientowany, ale robi to, co mu kazano. Siada, kładzie torbę na miejscu obok. Krzyżuje nogi, poprawia bagaż, rozsuwa nogi. Nikt ze stojących w kolejce nie patrzy bezpośrednio na niego. Kilka minut później funkcjonariusz imigracyjny oraz ochroniarz podchodzą do mężczyzny. Rozmawiają cicho. Mężczyzna wstaje i udaje się za nimi. Gdy idą, ochroniarz niby przypadkiem chwyta tamtego za biceps i prowadzi go przez nieoznakowane drzwi.

Między nią a czołem kolejki są teraz trzy ciała. Krzyżuje ramiona na torbie, pociera palcem o szorstki strup na nadgarstku, odrywa jego krawędzie.

Stojąc na początku kolejki, tuż obok ochroniarza, czeka i kalkuluje, do którego funkcjonariusza trafi. Każdy z nich pracuje w innym tempie. Siwy nigdy się nie uśmiecha, pytania zadaje automatycznie. Ten z dwoma podbródkami jest przyjazny i rozmawia z każdym podróżnym, jednak na jego twarzy maluje się podstępny uśmieszek i ona ufa mu najmniej. Hinduska jest młoda i bystra, choć zapewne także ambitna. Oby się dostała do starszego pana z eleganckim wąsikiem. Może świat potraktuje ją łaskawie, może uchowało się w nim jeszcze trochę dobroci.

Hinduska kończy pierwsza i ochroniarz kieruje czekającą do jej stanowiska.

Dziewczyna podchodzi i staje za wyznaczoną na podłodze linią.

Funkcjonariuszka ma lśniąco czarne włosy, błękitne jak niebo cienie na powiekach i wyskubane brwi. Dwoma palcami daje sygnał, żeby zbliżyła się następna osoba.

– Dzień dobry – mówi z wesołym angielskim akcentem. – Proszę o paszport i kartę pokładową.

Dziewczyna robi krok do przodu i kładzie oba dokumenty na ladzie. Stoi, trzymając stopy blisko siebie.

Funkcjonariuszka otwiera paszport.

– Tylko jeden paszport, tak?

– Tak.

– Skąd pani przyjechała?

– Ja? Pochodzę z Kenii.

Kobieta koncentruje się na monitorze ustawionym w jej boksie. Patrzy na kartę pokładową i wklepuje coś do komputera. Bładoniebieski kolor jej munduru pasuje do cienia na powiekach. Metalowa plakietka z nazwiskiem zawiera dwa słowa: „Agentka Nita”. Mundur jest rozpięty pod szyją, luźny, pozbawiony cech zarezerwowanych dla kobiety, jednak sztywne naramienniki sugerują autorytet władzy. W kąciaku lewego nozdrza widać maleńką dziurkę, co może wskazywać, że młoda kobieta nosi czasem kolczyk.

– Jak się wymawia pani nazwisko?

– Nazywam się Dalila Mwathi.

– Ale tu jest napisane, że ma pani na imię Irene.

– Tak też. Dalila to moje imię owsiankowe.

– Jakie?

– Owsiankowe. Tak nazywała mnie mama, kiedy byłam bardzo mała i zaczynałam jeść owsiankę. Po angielsku na imię mam Irene. Irene Dalila

Mwathi.

– Irene?

– Tak.

– Okej, panno Mwathi, zadam teraz kilka pytań dotyczących pani pobytu tutaj, tak? Jak długo zamierza pani zostać?

Dalila patrzy spokojnie.

– Trzy tygodnie – odpowiada. – Przyjechałam odwiedzić ciotkę... kuzynkę.

– Czyli kogo? Ciotkę czy kuzynkę?

– Ona jest chyba moją kuzynką. Jest kuzynką mojej matki, ale zawsze mówię do niej „ciociu”. Ma małe dziecko. Chcę ich odwiedzić i je zobaczyć.

– Gdzie mieszka pani ciotka?

– W Londynie. Tutaj mam adres.

Dalila sięga do wnętrza torebki i wyjmuje z niej ręcznie napisany list bez koperty.

– To list od niej – mówi Dalila. – Tam jest adres. Zaprosiła mnie, żebym przyjechała i zobaczyła Londyn. Big Bena. I jej dziecko.

Agentka Nita rozprostowuje kanty listu i czyta go od początku do końca. Zaznacza adres i wpisuje go do komputera. Nie nawiązuje kontaktu wzrokowego z Dalilą.

– Jak się nazywa pani ciotka?

– Moja ciotka?

– Skoro zna ją pani całe życie i zamierza się u niej zatrzymać, to chyba powinna pani wiedzieć, jak ona się nazywa, tak?

Dalila pochyla głowę, pociera strup na nadgarstku.

– Nazywa się Nafula.

– Nafula? A ma może jakieś angielskie imię?

– Tak, Anne. To kuzynka mojej matki.

– A pani przyjechała tutaj, żeby się zajmować dziećmi Anne, tak?

Dalila pamięta swoje instrukcje, oczyma umysłu widzi wyraźnie każde słowo. Wie, jak odpowiedzieć na to pytanie.

– Nie – mówi. – Nie chcę pracować. Przyjechałam tylko w odwiedziny. Jestem turystką.

Twarz funkcjonariuszki jest nieodgadniona. Przegląda każdą stronę w paszporcie Dalili.

Raz jeszcze sprawdza wizę i list z zaproszeniem. Dalila opuszcza torebkę niżej, tuli ją do brzucha.

– Panno Mwathi, jak planuje pani utrzymać się podczas swojego pobytu? Ma pani pieniądze?

– Mam pieniądze.

– Ile?

– Trzysta dolarów amerykańskich i dwadzieścia tysięcy szylingów.

– Kenijskich szylingów, tak?

– Tak.

– Ile to jest w funtach?

Waha się.

– To chyba...

– Ma pani jakieś inne środki?

– Nie. Po prostu zatrzymam się u ciotki. Nie będę potrzebować zbyt dużo pieniędzy.

Funkcjonariuszka Nita przygryza wewnętrzną stronę wargi i wpatruje się w ekran monitora.

– Okej, panno Mwathi, muszę się jeszcze czegoś dowiedzieć. – Wskazuje na rząd krzeseł. – Proszę tam usiąść. Za chwilę, jak dokończę ustalenia, przyjdę do pani, tak?

Twarz kobiety się zamyka. Rozmowa skończona. Dalila spogląda na rząd krzeseł. Odwraca się, żeby odebrać swój paszport i dokumenty, ale agentka Nita już je wzięła. Przez chwilę ma wrażenie, że jest w pułapce – nie ma ochoty oddać się od paszportu, ale jednocześnie nie chce się sprzeciwiać poleceniom władz. Czuje, że ludzie w kolejce się jej przyglądają, próbując udawać, że wcale tak nie jest. Unosi głowę i siada, kierując wzrok przed siebie. Kolejny podróżny zmierza do boksu, dostaje pieczętkę na papierach i przechodzi dalej.

Dziewczyna zauważa, że rodziny są przepuszczane przez kontrolę imigracyjną bez problemu. Uważniej sprawdza się podróżujących samotnie, zwłaszcza mężczyzn; ich dokumenty są starannie badane, zadaje się im pytania, ale i tak wszyscy idą dalej. Ludzie podchodzący do boksów reprezentują tak wiele różnych kultur, każdy człowiek ma własną, niepowtarzalną twarz. Każda para butów różni się od pozostałych. Dalila słyszy jakiś anons, ale akcent jest dla niej tak dziwny, że z trudem układa sobie poszczególne sylaby w spójne i zrozumiałe zdania. Mundur ochroniarza jest inny niż te, które widziała w Kenii. Inny jest też syntetyczny zapach holu. Nawet światło trochę się różni. Odmienne są nalepki na walizkach i płaskie telewizory zwisające z sufitu. A także odpowietrzniki. Tak wielu białych ludzi należało się oczywiście spodziewać, lecz liczba ta jest niepokojąco i deprymująco różna od tej, którą sobie wyobrażała. Różne są także fryzury. I tatuaże. Jej oczy przesuwają się od jednego nowego obrazu do kolejnego, starając się chłonąć wszystkie różnice w każdej nowej rzeczy. Miałyby ochotę obrócić się na krześle i analizować każdą osobę, każdą powierzchnię, element ubioru, nie chce jednak, by widziano, jak się gapi. Mimo wszystko skacze wzrokiem od jednej dziwnej rzeczy do następnej. W tym podziemnym, pozbawionym okien holu jest tylko ona oraz tysiąc rozmaitych przedmiotów. Robi się coraz cieplej, wydaje jej się, że długo biegła.

Zerka w dół na coś lepkiego, co czuje na palcach. To krew – zdaje sobie sprawę, że rozdrapała strup na nadgarstku. Zlizuje ją i obserwuje, jak odrasta

kolejna mała bańka czerwieni. To coś, co zna. Krew nie jest odmienna. Ssie
kciuk do czysta i naciska na strup. Krew jest zawsze taka sama.

Po dziesięciu minutach podchodzi do niej funkcjonariusz imigracyjny – mężczyzna, którego wcześniej nie widziała. Pyta:

– Panna Irene Matty?

Dziewczyna kiwa głową.

– Proszę wziąć swoje rzeczy i udać się ze mną – wydaje polecenie, wskazując kierunek marszu wyciągniętą ręką.

Dalila idzie za nim poza boksy, przez te same szare drzwi, do których wprowadzono tamtego mężczyznę. Wchodzą do pomieszczenia wyglądającego na magazyn. Wzdłuż dwóch ścian ciągną się metalowe regały. Na nich leżą pudełka i małe walizki, sztuki odzieży, zabawki, laptopy i części elektroniczne. Są tam także dwa biurka z komputerami oraz lustro weneckie, przez które widać pasażerów podchodzących do kontroli granicznej. Funkcjonariusz prowadzi Dalilę prosto do poczekalni z taką samą niebieską wykładziną jak w holu oraz siedzeniami podobnymi do tych, na których przed chwilą spoczywała.

– Proszę tu chwilkę poczekać, zaraz się panią zajmimy – mówi, wskazując pokój otwartą dłonią.

Czeka w nim czterech mężczyzn, sami Afrykanie. Dwóch Somalijczyków siedzi prosto, dyskutując o czymś szeptem, trzeci garbi się nad aktówką i przegląda jakieś papiery, czwarty zaś prawie leży, rozparty na krześle. Dalila siada obok automatu do kawy, jak najdalej od mężczyzn. Maszyna śmierdzi przypalonym mlekiem, obok szczeliny na monety mruga światełko. W rogu sufitu widać kamerę, która ją filmuje; dziewczyna wie, że za lustrem na ścianie są ludzie, którzy się jej przyglądają. Bawi się bezmyślnie szorstkim strupem na nadgarstku, odrywa jego róg, aż znów zaczyna krwawić, po czym wciera ślinę w ranę, aby zatamować krew. Strup jest czarny, otoczony delikatnym różowym naskórkiem, który pokazuje pierwotną wielkość rany. Rany z Afryki, przeniesionej teraz na drugi kraniec świata. Przesuwa palcem po zaschniętej krwi,

próbując sobie przypomnieć, jak to się stało, ale nie może.

A potem sobie przypomina. Pamięta, że ciśnięto nią przez cały pokój. Obraz własnej, wyciągniętej do przodu ręki uderzającej o futrynę drzwi tuż przed głową, dłoń chwytająca klamkę, gdy ona sama osuwa się na podłogę. Wspomnienie jest wyraźne, ale jego kontekst – nie. To się po prostu wydarzyło, rana już się zabiłiła w procesie samoleczenia.

Do pokoju wchodzi agentka Nita, a za nią jakaś rodzina i dwóch ochroniarzy. Dalila rozpoznaje rodzinę z samolotu. Matka płacze i robi z tego przedstawienie. Tuli się do niej troje dzieci, najmłodsze przywarło do spódnicy. Ojciec ciągle strąca z siebie ręce ochroniarzy.

- Dlaczego mi nie wierzycie? – krzyczy.
- W porządku, Benton – uspokaja go Hinduska.
- Dlaczego mi nie wierzycie?
- Dobra, Benton, posłuchaj.
- Weźcie te łapy ode mnie! Dlaczego mi nie wierzycie?

Mężczyzna jest duży, ma oczy szeroko otwarte z gniewu, ale na agentce Nicie nie robi to żadnego wrażenia.

– Dobra, Benton. Benton! Popatrz teraz na mnie – mówi. – Poproszę tu swojego przełożonego, żebyśmy mogli rozwiązać tę sprawę, tak? Siadajcie.

Dwaj ochroniarze podchodzą bliżej, rodzina zajmuje cały rząd krzeseł. Oprócz ojca, który chodzi przed lustrem tam i z powrotem, jak lampart w klatce.

Funkcjonariuszka Nita niebawem wraca z następnym urzędnikiem imigracyjnym – starszy, przysadzisty mężczyzna o bardzo krótkich włosach sprawia wrażenie zrelaksowanego i bezproblemowego, ale spojrzenie ma twarde. Agentka Nita zwraca się doń z szacunkiem. Dalila domyśla się, że to jest jej przełożony. Lustruje uważnie jego twarz, próbując zapamiętać rysy, jednak wszyscy ci ludzie wyglądają tak samo, blado i pulchnie, zwłaszcza mężczyźni.

Ojciec rodziny również zauważa, że nowy urzędnik imigracyjny jest kimś, kto ma władzę. Rusza prosto ku niemu, mówiąc:

– Proszę pana, proszę pana, ci tutaj mi nie wierzą. Ciągłe powtarzają bardzo złe rzeczy o mojej rodzinie.

Lecz gdy tylko zbliża się zanadto, powstrzymuje go ochroniarz. Podnosi się krzyk. Groźby i polecenia latają po pomieszczeniu.

Dalila patrzy w bok, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Bierze głęboki wdech i czuje drapanie w gardle.

Pod groźbą aresztu ojciec rodziny siada i się uspokaja. Urzędnicy imigracyjni wychodzą, a po chwili do pokoju wkracza jeszcze inny funkcjonariusz. Podchodzi do Dalili i pyta:

– Irene Dalila Mwathi?

Bardzo przypomina pozostałych białych funkcjonariuszy. Łysa głowa, nadwaga. Dziewczynie wydaje się, że chyba nie widziała wcześniej tego człowieka, ale nie jest pewna.

– Czy pani to Irene Delilah Mwathi? – ponawia pytanie mężczyzna.

– Tak.

– Proszę ze mną. Zejdziemy na dół przeszukać pani bagaż, okej?

Dalila wstaje i idzie za nim.

Na dole, na długim stole z metalu spoczywa jej walizka. Czarny mężczyzna w mundurze czeka z rękoma na bagażu.

– Jestem celnikiem – odzywa się – i za chwilę dokonam przeszukania pani walizki na prośbę urzędu imigracyjnego.

Dalila kiwa głową. Tylko w telewizji widziała czarnego, który mówił z brytyjskim akcentem. Wprawia ją to w zakłopotanie, sama już nie wie, czy powinna mu ufać, czy lepiej nie. Mężczyzna rozsuwa zamek walizki i otwiera ją. Walizka nie jest pełna, zawartość spoczywa luźno, porozrzucana w trakcie

podróży.

– Skąd pani przyjechała? – pyta.

– Ja? Z Kenii.

– Sama pakowała pani walizkę?

– Tak.

Celnik wyciąga parę starych butów do biegania i odstawia je na bok.

– Przewozi pani jakieś narkotyki, broń lub zwierzęta?

– Nie.

Wyjmuje jej ulubione szare spodnie, maca kieszenie. Potem sięga po szorty, które kupiła rok temu na niedzielnym jarmarku, a także białą bluzkę, którą chciała mieć na sobie podczas rozmów kwalifikacyjnych w sprawie pracy. Kładzie je na stosik, obok butów do biegania. Urzędnik imigracyjny rzuca okiem na te przedmioty, ale nie reaguje.

– Czy zostawiła pani walizkę bez opieki, choćby na chwilę?

– Nie.

Celnik rozpakowuje pomarańczowy dżersej, który matka zrobiła dla niej na drutach dwa lata temu, a także niebieską koszulkę z długim rękawem, noszoną przez Dalilę w zimie, żeby było jej ciepło. Wyjmuje też kosmetyczkę Hello Kitty; Dalila ma ją, odkąd skończyła czternaście lat. Przerzuca kosmetyki, otwiera i wącha krem do skóry Nivea, bada czerwony żel do mycia zębów marki Close Up. Przesiewa skarpetki i bieliznę. Rozkłada bawełnianą koszulę nocną z tańczącymi pandami, już nie białą, lecz ufarbowaną na bladoniebiesko, ponieważ została wyprana razem z dżinsami wujka. Każdą czynność wykonuje z wystudiowanym profesjonalizmem. Kiedy walizka jest pusta, przesuwając dłoń po wyściółce wnętrza, szukając zaszytych w niej przedmiotów. Zadowolony z oględzin bagażu, przenosi wzrok na twarz dziewczyny, a następnie zatrzymuje go na torebce, którą ta przyciska do piersi.

– Poproszę torebkę – mówi i wyciąga rękę.

Dalila podaje mu ją i krzyżuje ramiona na pustym miejscu na piersiach. Obie dłonie zaciska na łokciach.

Celnik rozpina torebkę i wyjmuje z niej paczkę chusteczek, pilnik do paznokci, błyszczącą błękitem plastikową portmonetkę. Przerzuca palcami pięćset kenijskich szylingów i trochę drobnych, wyciąga kenijski dowód osobisty, a następnie studiuje zdjęcie po jego lewej stronie i odcisk palca po prawej.

– Irene Dalila Mwathi – czyta na głos.

– Tak.

Te same imiona i nazwisko figurują na jej legitymacji studenckiej. Celnik znajduje złożoną brązową kopertę i ją otwiera. Dalila denerwuje się, nikomu nie pozwala jej dotykać. Obaj funkcjonariusze zauważają, że sięga po kopertę, a potem cofa rękę.

Celnik ostrożnie wyjmuje jakąś fotografię. Zdjęcie przedstawia rodzinę Dalili przed starym domem w Nakuru. Wujek, ojciec i matka stoją obok siebie na tle drzwi wejściowych. Ona sama tkwi zaraz przy mamie, trzymając za rękę brata. Trzej synowie wujka siedzą na stopniu schodów. Wszyscy mają na sobie niedzielne ubrania i są bardzo poważni, z wyjątkiem wujka, który się uśmiecha, jak zawsze.

Następne zdjęcie ukazuje ojca, kiedy był młody. Ojciec trzyma na rękę jej brata, obaj się śmieją. Dalili wydaje się zawsze, że na tej fotografii szczelina między przednimi zębami taty jest większa, niż ją zapamiętała.

Trzecie zdjęcie to jej ulubione. Zostało zrobione przez tatę. Mama stoi przy ognisku za domem, ubrana w zielono-niebieski szal, a trzynastoletnia Dalila kuca przy ogniu i miesza danie zwane *sukuma wiki*. Za każdym razem, gdy patrzy na tę fotografię, czuje słaby zapach smażonej cebuli wymieszany z wonią kapusty gotowanej na parze.

Celnik odkłada zdjęcia na bok, a następnie wyciąga z torebki lotniczy magazyn pokładowy. Tytuł głosi: „Myślisz, że znasz Londyn? To pomyśl

jeszcze raz!”.

Patrzy na nią.

Dziewczyna spuszcza głowę.

W torebce celnik znajduje również bułkę zapakowaną w folię oraz pojemnik z sałatką owocową z pokładowego menu.

Dalila czuje na twarzy falę gorąca. Zabranie magazynu było błędem, ale kradzież bułki to już prawdziwy wstyd. Chce to wyjaśnić, znaleźć jakąś wymówkę, lecz celnik pakuje wszystko z powrotem do torebki.

Urzędnik imigracyjny prowadzi ją po schodach na górę, a potem wąskim korytarzem z szeregiem żółtych drzwi i pokoiów przesłuchań o szklanych ścianach. Na szkle widnieją numery boksów. Każde pomieszczenie jest identyczne. Białe ściany, białe biurko i cztery szare krzesła.

Zostaje wprowadzona do takiego pokoju. Urzędnik każe jej czekać, a kiedy dziewczyna siada, wychodzi i zamyka drzwi na klucz. Filmuje ją mała kamera ponad drzwiami. Na szkle wisi niewielki laminowany plakat o treści: „Proszę nie opierać się o czerwony pas, ponieważ grozi to włączeniem alarmu”. Dopiero teraz zauważa czerwony pas gumy, jak w autobusie, który biegnie na całej długości ściany. Dalila kołysze się na krześle, lecz przyłapuje się na tym i zmusza do przestania.

„Zachowaj spokój – myśli. – Zachowaj spokój i przypomnij sobie właściwe odpowiedzi”.

Zamyka oczy i przywołuje w pamięci listę z instrukcjami, ale zanim udaje jej się przypomnieć szczegóły, do pomieszczenia wchodzi funkcjonariuszka Nita. Najpierw zadaje pytanie, a dopiero potem siada.

– To pani pierwszy raz za granicą?

– Tak.

– Tak sądziłam, bo paszport jest nowiuteńki. Kiedy go pani dostała?

Dalila sprawdza w głowie swoją listę z instrukcjami, ale na to pytanie nie ma

tam odpowiedzi.

– Ja... Dostałam go dwa tygodnie temu – odpowiada. – Był gotowy niedługo przed moim odlotem.

– Łut szczęścia, nieprawdaż?

– Co?

Funkcjonariuszka siada i otwiera akta.

– Miała pani wielkie szczęście, że paszport wydano tuż przed odlotem – wyjaśnia – bo w przeciwnym razie nie przyjechałaby tu pani na wakacje.

Dalila stara się nie marszczyć brwi.

– Tak. Miałam szczęście – przyznaje.

– Pani data urodzin?

– Dwudziesty kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt cztery – odpowiada Dalila.

– Więc ma pani dwadzieścia jeden lat, tak?

– Nie, dopiero dwadzieścia. Dwadzieścia jeden skończę w kwietniu.

Po raz pierwszy urzędniczka imigracyjna nawiązuje z nią kontakt wzrokowy. Dalila spogląda w dół na swoje ręce.

– Jak długo mają potrwać pani wakacje?

– Trzy tygodnie.

– To długo, nieprawdaż?

– Tak.

– Ma pani bilet powrotny?

– Tak – potwierdza Dalila, po czym grzebie w torebce i pokazuje bilet.

Funkcjonariuszka Nita bada go uważnie, raz jeszcze sprawdza paszport.

– Więc ile dni ma pani zamiar zostać?

– Dwadzieścia.

– Hm. – Agentka Nita unosi palec i w zamyśleniu dotyka maleńkiej dziurki

w nozdrzu. – Dwadzieścia. Dwadzieścia. Dwadzieścia – powtarza.

– Słucham?

– To po prostu trochę zabawne – stwierdza. – Urodziła się pani dwudziestego, ma pani dwadzieścia lat i zastaje na dwadzieścia dni. Nie uważa pani, że to zabawne?

– Nie wiem.

– Czego pani nie wie?

Dalila patrzy przesłuchującej w oczy i mówi:

– Mam dwadzieścia lat i chcę spędzić w Wielkiej Brytanii dwadzieścia dni.

– Bardzo dobrze mówi pani po angielsku.

– W Kenii posługujemy się angielskim.

– Jak uzyskała pani urlop?

– Jestem studentką. Chcę studiować dziennikarstwo.

– Więc jak było panią stać na przyjazd tutaj?

– Wujek za mnie zapłacił.

– Pani wujek?

– Tak, moi rodzice... zmarli. W zeszłym roku. Teraz mieszkam u brata mojego taty. Powiedział, że zanim zacznę studia, powinnam odwiedzić Anglię. Więc przyjechałam do ciotki.

– Ale tak naprawdę to nie jest pani ciotka, nieprawdaż? Mówiła pani, że raczej kuzynka, kuzynka pani matki?

– Tak – odpowiada Dalila. – To moja jedyna rodzina. Tylko oni mi zostali.

– Zobaczmy, ile ma pani pieniędzy.

Dalila wyciąga polietylenową portmonetkę z amerykańskimi dolarami i kenijskimi szylingami, po czym kładzie ją na stole.

– Sądzi pani, że to wystarczy na wakacje w Wielkiej Brytanii?

Dziewczyna zerka na stosik banknotów, a potem na funkcjonariuszkę.

– Przypuszczam, że będzie chciała pani tu trochę zarobić, tak?

To pułapka, instrukcje przygotowały Dalilę na to.

– Nie – zaprzecza. – Nie przyjechałam do pracy, tylko do rodziny.

– Która tak naprawdę nie jest pani rodziną – mówi agentka Nita.

– To moja rodzina, rodzina mojej mamy.

– Ma pani adres i dane kontaktowe rodziny, u której chce się pani zatrzymać?

– Tak. – Dalila podaje tamtej kartkę z adresem i numerem telefonu.

– Czy ciotka przyjedzie po panią na lotnisko?

– Tak.

Funkcjonariuszka wydyma wargi i stuka długopisem o dłoń, jednocześnie studiując dokumenty.

– Okej, panno Mwathi, będę musiała zadzwonić w kilka miejsc w związku z tą naszą rozmową. Tymczasem pani powinna...

Drzwi się otwierają i z korytarza zagląda do środka jakiś urzędnik imigracyjny. W jednym ręku trzyma kubek z herbatą, w drugim batonik czekoladowy, a na twarzy ma szeroki uśmiech.

– Nita – zwraca się do funkcjonariuszki – jest niezły bajzel w zagrodzie dla owiec. To jeden z twoich.

– Co?

– Ta rodzinka, którą przyprowadziłaś godzinę temu. Dzieciak zlał się w gacie i ojciec wpadł w szal. Dopiero się zaczyna.

– Cholera – mówi agentka Nita. – Więc przyszedłeś po mnie, zamiast pomóc na miejscu?

Mężczyzna w drzwiach wsadza batonik do swojej herbaty.

– Sorry, kotku. – Chichocze. – Mam teraz przerwę.

Agentka Nita zgarnia dokumenty z biurka i przechodzi koło niego.

Drzwi zamykają się z trzaskiem.

Dalila siedzi w ciszy.

Jej palce znajdują strup na nadgarstku. Odtwarza w myślach przesłuchanie, które odbyło się przed chwilą. Trzymała się swojej wersji wiernie, odpowiadała na pytania tak, jak sobie to wyćwiczyła. Przeważnie. Powiedziano jej, że ta historia będzie na tyle dobra, by pozwolili jej przejść dalej, ale dziewczyna czuje wzbierające wątpliwości.

Drzwi znów się otwierają i staje przed nią kolejny urzędnik imigracyjny. Jest młody, ma skrzywione usta.

– Pani, hm... – Szuka jej nazwiska na liście, którą przyniósł ze sobą, i odczytuje je tak, jakby składało się z trzech niezależnych części. – Irene. Dalila. Mwathi.

– Tak.

– Zgadza się, dobrze. Niech pani idzie ze mną.

Prowadzi ją z powrotem do „zagrody dla owiec”, ma jej walizkę. Obaj Somalijscy nadal tam są. Pozostali zniknęli. Dalila siada na tym samym krześle, co wcześniej. Po chwili wchodzi jakiś funkcjonariusz i zabiera Somalijszyków.

Dziewczyna czeka sama. To kolejne pomieszczenie bez okien, pełne różnych rzeczy. Rozgląda się uważnie, czując, jak w jej piersiach zaczyna narastać niepokój.

„Krew jest taka sama” – szepcze do siebie, zerkając na strup. Tym razem jednak to nie wystarcza, żeby się uspokoić.

Pobliski automat z napojami szumi jak lodówka. Jest sponsorowany przez Coca-Colę.

„Coca-Cola” – mówi do siebie szeptem. Cola jest taka sama.

Franta – taka sama.

Schweppes – taki sam.

Sprite – taki sam.

Ale wlot na monety jest inny. Aby zająć czymś umysł, znów zaczyna swoją grę.

Kamera monitoringu – taka sama.

Wzór na wykładzinie – inny.

Zraszacze przeciwpożarowe – inne.

Logo recyklingu – inne.

Dalila prowadzi w głowie swoją zabawę bez końca, skupiając się na poszczególnych przedmiotach w pomieszczeniu. Dostrzega wszelkie różnice, natomiast to, co jest podobne, przypomina jej troszkę dom.

Burczy jej w brzuchu, ale nie ma śmiałości zjeść bułki z torebki. Jest pewna, że ma czekać na funkcjonariuszkę Nitę. Kiedy po półtorej godziny agentka Nita rzeczywiście otwiera drzwi, trzyma w ręku paszport i inne dokumenty Dalili.

– Skontaktowałam się z pani ciotką, tak? Czeka na panią w hali przylotów.

Dalila nie wie, co odpowiedzieć.

– Proszę zabrać swoje rzeczy, zaprowadzę panią.

Funkcjonariuszka Nita idzie przodem, Dalila za nią, jedną ręką przyciskając do siebie torebkę, drugą ciągnąc za sobą walizkę. Mijają zamkniętą sieciową kawiarnię. Hala odlotów jest pusta i cicha. Fluorescencyjne lampy wybielają powietrze, jednak za oknami napiera już noc.

W drzwiach agentka Nita ziewa i przesuwą swoją kartę przez czytnik. Idą dalej, do większej i głośniejszej sali, gdzie podróżni pchają wózki pełne bagaży. Dwie osoby przyglądają się z otwartymi ustami tablicy przylotów. Dalej, koło filaru, nastoletni chłopak siedzi na podłodze i wyciąga z plecaka ubranie i książki. Oczy Dalili zauważają znaki ODPRAWA oraz TAKSÓWKI, nad automatycznymi drzwiami – wyraz WYJŚCIE, a jeszcze dalej, za nimi, ruch samochodów pod otwartym nocnym niebem.

Obok wyjścia Dalila dostrzega grupkę Afrykanów. Troje. Duża kobieta w zielonej wełnianej czapce, z małym dzieckiem wyginającym się jej na podołku. Mężczyzna, zbyt młody, aby być jej mężem, ale chyba też za stary jak na jej syna, siedzi zgarbiony i gapi się na telefon. Dalila nie rozpoznaje ich, zastanawia się jednak, czy to nie są ci, których powinna znać. Kobieta podnosi oczy i widzi Dalilę. Rozgląda się po lotnisku i trąca siedzącego obok mężczyznę. Ten patrzy w górę. Kobieta zdejmuję malca z kolan i wstaje. Rozkłada szeroko ramiona i kroczy w stronę Dalili.

– Irene, moja piękna dziewczynka – woła po angielsku. – Och, dziecko, jak ty urosłaś!

Obejmuje Dalilę, przyciskając policzek do jej twarzy. Chwyty ma mocny, śmieje się cicho i kołysze. Ręce i torebka Dalili zostają wklonowane w ten dziwny, niezręczny uścisk, lecz ona na to pozwala, wiedząc, że to już ostatnia faza przewidziana w instrukcji – to jej kontakt, ludzie, którzy wyszli jej na spotkanie. Lecz gdzieś pod tą wiedzą, w samym jądrze duszy, ogarnia ją panika. Przecież nie zna tych osób, nie wie, czego oni od niej oczekują, nie ma pojęcia,

jak się powinna zachować.

– Tak się cieszymy, że przyjechałaś – mówi wielka kobieta, puszczając wreszcie szyję Dalili. – Niech panią Bóg błogosławi – zwraca się do funkcjonariuszki Nity, łapie ją za rękę i potrząsa. – Dziękuję. Jest pani bardzo, bardzo dobrą i miłą osobą.

– W porządku – odpowiada agentka Nita, wyrywając rękę. – Mam jeszcze kilka pytań.

– Ale pani j e s t dobra. Widzę pani serce – upiera się wielka kobieta. – Niech panią Bóg błogosławi. Nie widziałam siostrzenicy od wielu lat. Dziękuję. Za pani sprawą wszyscy w naszej rodzinie będą bardzo szczęśliwi.

– Jak się pani nazywa? – pyta funkcjonariuszka Nita.

– Ja? Nazywam się Anne Nafula Abasi. – Wyjmuje brytyjskie prawo jazdy i pokazuje je agentce. – Przed chwilą pani dzwoniła, rozmawialiśmy przez telefon.

Anne traci oddech z ekscytacji. Poprawia zieloną czapkę i bierze dziecko za rękę.

– To moja córeczka, Helene – wyjaśnia Dalili. Do malucha mówi: – A to twoja ciocia Irene. Przywitaj się.

Dziecko patrzy na Dalilę szeroko otwartymi oczyma, a potem dotyka podbródkiem swojego obojczyka. Dalila ujmuje mocniej torebkę, niepewna, jak zareagować. Jej zdaniem Anne jest zbyt stara jak na matkę tak małego dziecka, ale nie ulega wątpliwości, że to ona tutaj rządzi. Jest dużą, pewną siebie, prawdziwą Mamuską.

Szczerząc zęby, Anne przechodzi na suahili i zwraca się do Dalili:

– Przynajmniej spróbuj się uśmiechnąć, dziewczyno. Odegraj swoją rolę, żebyśmy mogli stąd pójść.

Węzeł paniki zaciska się mocniej. Dalila stara się nie patrzeć na funkcjonariuszkę Nitę. Jeśli nie zmusi ciała do jakiejś czynności, za chwilę rzuci

się do ucieczki albo wybuchnie płaczem. Puszczą walizkę, pochyla się i uśmiecha do dziecka. Ale dziewczynka nie wykonuje najmniejszego ruchu.

– A co ty się tak boisz? – Anne śmieje się, popychając małą do przodu. – Ona jest nieśmiała, ale szybko się zaprzyjaźnicie. A teraz, Irene, przywitaj się ze swoim kuzynem Markusem.

Mężczyzna robi krok naprzód. Jest niski, ma gruby kark, wygoloną głowę i grubą talię. Dalila ocenia jego wiek na tuż przed trzydziestką. Wsuwa telefon do tylnej kieszeni spodni i wyciąga ku niej ramiona.

– Kuzynko, jak pięknie wyrosłaś.

Ona chwyta jego wiotką dłoń i odpowiada:

– Mnie też miło cię widzieć, kuzynie.

Odzywa się telefon funkcjonariuszki Nity. Agentka czyta wiadomość i przewraca oczyma.

– Dobrze – odzywa się, oddając Anne prawo jazdy. – Muszę wracać do pracy.

– Niech panią Bóg błogosławi – mówi Anne. – Jest pani dobrą osobą. Dziękuję.

Funkcjonariuszka Nita wygina kącik ust i odchodząc, macha im tylko raz.

– Dobranoc wszystkim – żegna się. – Irene, za trzy tygodnie masz się znaleźć w samolocie, tak?

Dalila kiwa głową i odwraca twarz w stronę ludzi, z którymi ją pozostawiono. Anne się uśmiecha i macha do oddalającej się agentki Nity. Markus gapi się na Dalilę.

– Dziękuję – mówi Dalila w suahili. – Nie wiedziałam, czy ktoś tu po mnie wyjdzie. Bardzo dziękuję. Powiedziano mi, że tak, ale bałam się, że nie zaczekacie i zostanę...

– Markus – przerywa jej Anne – weź walizkę dziewczyny. A ty, dziewczyno

– zwraca się do Dalili – lepiej złap dziecko za rękę, będzie lepiej wyglądać. – Poprawia swoją zieloną czapkę i dodaje: – Idziemy.

Dalila zamyka usta. Bierze malucha za rękę i cała czwórka kieruje się w stronę wyjścia. Pierwsze szklane drzwi otwierają się automatycznie; po chwili ich grupka znajduje się w pomieszczeniu ze szkła – neutralnej przestrzeni rozmiarów domu, w którym wychowywała się Dalila. Potem otwierają się kolejne drzwi i ogarnia ją rześkie, wilgotne powietrze Londynu, chłodne jak benzyna na skórze.

Anne prowadzi ich między zaparkowanymi taksówkami na drugą stronę ulicy. Idą wzdłuż granicy rześkiego oświetlonego parkingu, aż do szeregu przystanków autobusowych. Markus siada na skraju ławki i kładzie rękę na kolanach. Wyjmuje telefon, jakby był tu zupełnie sam. Anne przesuwa palcem po rozkładzie jazdy, a potem także sadowi się na ławce. Kładzie sobie dziecko na kolanach i sygnalizuje Dalili, żeby się do nich przyłączyła.

– Naprawdę jesteś Mama Anne? – pyta Dalila po angielsku.

– Tutaj nie będziemy rozmawiać – mówi kobieta. – Siadaj.

Markus patrzy w bok na Dalilę i pyta:

– Masz pieniądze?

Nieświadomie wysuwa ku niej swój telefon. Coś w tym geście sprawia, że Dalila zaczyna się zastanawiać, czy pytanie o pieniądze pochodzi tylko od niego, czy może kazał zadać mu je ktoś, z kim kontaktował się przez komórkę.

Ale Mama Anne zbywa go machnięciem ręki i mówi:

– Później, Markus.

On odwraca głowę i pisze esemesa w telefonie. Mama Anne patrzy na drogę, tam gdzie spodziewa się ujrzeć autobus.

– Będę u was mieszkać? – pyta Dalila w suahili, sądząc, że rozmowa w rodzimym języku zapewni im więcej prywatności.

Mama Anne przenosi na nią spojrzenie, zaskoczona, że ktoś się do niej odzywa.

– Tutaj nie rozmawiamy – powtarza po angielsku.

– Ale dokąd jedziemy? – nie daje za wygraną Dalila. – Słyszałam, że macie mi pomóc. Że jak już tu dotrę, pomożecie mi zostać w Wielkiej Brytanii.

Kobieta odwraca wzrok i nakazuje:

– Siadaj.

Dalila nie wykonuje jej polecenia. Przesłupuje z nogi na nogę. Powietrze smaga ją po karku, wgryza się w gołe palce nóg, owiewa kostki.

– Tu jest bardzo zimno – stwierdza.

– Tak, jest bardzo zimno. To Anglia. Przyzwyczajaj się.

Nadjeżdża autobus. Kiedy się zatrzymuje, syczy hydraulika.

Mama Anne kupuje bilety dla wszystkich i niosąc dziecko, drepcze przejściem między fotelami. Markus kładzie rękę na walizce Dalili, skinieniem każe jej wsiadać do autobusu. Dziewczyna wspina się po stopniach i zajmuje miejsce przy oknie po drugiej strony przejścia w stosunku do Mamy Anne i dziecka. Markus wpycha walizkę na półkę bagażową, po czym siada obok Dalili, napierając na nią obfitym ciałem. Dziewczyna przesuwa się trochę, ale nie ma właściwie dokąd. Odwraca głowę i przygląda się nowemu światu za oknem.

Autobus skręca w lewo, zjeżdżając z ronda, mija ogrodzony teren, na którym stoją pojazdy użytkowane przez port lotniczy, potem kieruje się na drogę dojazdową do autostrady i wreszcie mknie dwupasmówką. Po kilku sekundach Dalila nie pamięta już drogi powrotnej na lotnisko, chociaż sama nie wie, dlaczego miałyby chcieć tam wracać. Wraz z każdym skrętem autobusu czuje się coraz bardziej zagubiona w tym rozległym mieście. Za oknem przesuwa się parada zupełnie nieznanych jej obrazów. Bierze głęboki wdech i stara się ignorować niepokój, skupić się tylko na jednej rzeczy naraz.

Wolne od brudu światła stopu w samochodach – inne.

Bujna trawa po bokach autostrady – inna.

Setki pomarańczowych świateł – inne.

Reklamy na billboardach – inne.

Stare budynki, zapewne domy mieszkalne – inne.

Sygnalizacja świetlna – taka sama.

Kierowcy przestrzegający przepisów drogowych – inni.

Przestaje obserwować trasę i powoli wypuszcza powietrze z płuc. Wszystko, co teraz ma, to ta trójka obcych ludzi. Jej los zależy od nich. Zamyka oczy i czyta instrukcje odbite w umyśle. Każdy zaplanowany krok. „Ciotka” przyjechała po nią na lotnisko i odegrała swoją rolę koncertowo. A dziecko to dobry znak. Dowodzi, że ci ludzie wszystko gruntownie przemyśleli. Są zawodowcami. Brakuje jeszcze tylko dwóch rzeczy. Po pierwsze, będzie musiała oddać im pieniądze. Po drugie, oni załatwią jej rozpoczęcie procedury azyłowej, a wówczas plan zostanie zrealizowany. Potem skończy studia i zacznie nowe życie.

Dalila otwiera oczy. Mama Anne ma kwaśną minę, przechyla nieco głowę, żeby zrównoważyć chybotanie autobusu. Markus podnosi wzrok, chcąc wiedzieć, na co patrzy Dalila, a potem znów sięga po telefon. Dziewczyna czuje ciepło jego biodra przyciśniętego do jej nogi. Pisząc esemesa, trąca ją łokciem. Pachnie kremem Nivea oraz surowym kurczakiem; Dalila zastanawia się, czy to jednak nie on tutaj rządzi.

Na jasno oświetlonym dworcu w centrum przesiadają się do innego autobusu. Tym razem siedzą na piętrze. Po kilku minutach dziecko zasypia; nikt nie przerywa milczenia.

Londyn to plątanina świateł i witryn sklepowych, samochodów i wąskich uliczek.

Ludzie noszą tu parasole – to coś odmiennego.

Wielu chodzi z rękami w kieszeniach i w kapturach na głowie – tak samo.

Wszystkie budynki są z cegieł lub kamienia. Dalila nigdzie nie widzi ani

kawałka blachy falistej. Zauważa worki ze śmieciami i odpadki, ale żadnych rumowisk. Ponad sklepami palą się neony reklamowe, ich odbite światło migocze na mokrym betonowym chodniku.

Mama Anne naciska dzwonek sygnalizatora, wysiadają. Dziecko pojękuje, więc kobieta bierze je na biodro i niesie w kierunku labiryntu niskich betonowych budowli. Markus dźwiga walizkę. Dalila idzie za nimi, pochylając głowę od podmuchów wiatru, wiejącego między budynkami. Cała grupka wspina się po schodach na trzecie piętro, podąża wzdłuż wewnętrznego balkonu. Mama Anne otwiera drzwi do mieszkania i wchodzi do środka. Markus staje z boku, pozwala Dalili wejść, a potem zamyka za nią drzwi.

Dalila stwierdza, że znajduje się w korytarzu, w którym pod ścianą stoi sofa z trzema miejscami siedzącymi. Jest tu tylko tyle miejsca, by mogła ją minąć jedna osoba.

– Zaczekaj – nakazuje Mama Anne Dalili, po czym znika z sennym dzieckiem w jakimś pokoju.

Za plecami dziewczyny chrząka Markus. Dalila stoi sztywno, starając się wyczuć jego ruchy.

Mama Anne wraca, podchodzi bardzo blisko Dalili i mówi po angielsku:

– Pieniądze, dawaj.

Dziewczyna zerka do tyłu na Markusa, który robi krok w jej kierunku.

Mama Anne zdejmuje swoją zieloną czapkę, a wtedy cały urok, jaki roztaczała na lotnisku, znika. Przechodzi na suahili i żąda:

– Dawaj pieniądze, ale już. Wszystkie.

Dalila zanurza rękę w torebce i wyjmuje z niej plastikowy zapinany woreczek. Kobieta łapie go i od razu zaczyna liczyć banknoty. Trzysta dolarów amerykańskich oraz dwadzieścia tysięcy kenijskich szylingów. Wsuwa dolary z powrotem do plastikowej saszetki i zbliża ją do twarzy Dalili.

– Skąd to wzięłaś?
– Charles mi dał – odpowiada dziewczyna.
– Charles? Kto to jest Charles? Nie znam żadnego Charlesa.
– Charles Okema. Pracuje u mojego wujka. To kierowca *matatu*¹ – wyjaśnia Dalila. – Pomagał mi. Charles zapłacił Eddiemu za zdobycie dokumentów, żebym mogła tu przyjechać.

– Więc to pieniądze Eddiego?

– Tak.

– Poznałaś go?

– Nie. Dałam pieniądze Charlesowi, a on zapłacił Eddiemu za pomoc, za jego usługi. Potem, po dwóch tygodniach, Eddie dał nam bilet na samolot, kilka listów i trzysta dolarów. A także instrukcje, których, jak powiedział, muszę się nauczyć na pamięć. No i przyjechałam.

Mama Anne trzyma zwitek kenijskich szylingów.

– A to czyja forsa? – pyta.

– Moja – odpowiada Dalila. – Wujek mi dał.

– Twój wujek?

– Tak.

Mama Anne przygląda się twarzy Dalili, czekając na coś więcej. Zerka na Markusa, a potem wraca wzrokiem do dziewczyny i zadaje kolejne pytanie:

– Co powiedziałaś im na lotnisku?

Dalila przełyka ślinę.

– Powiedziałam, że to moje pieniądze na wakacje.

– I coś jeszcze?

– To znaczy?

– O mnie. Co mówiłaś im o mnie?

– Tylko to, co było w instrukcjach. Powiedziałam, że jesteś moją ciotką i że

przyjechałam na trzy tygodnie w odwiedziny.

– Jakie nazwisko im podałaś?

– Powiedziałam, że masz na imię Anne.

– Podałaś im moje prawdziwe nazwisko?

– Twoje prawdziwe nazwisko? Ja... Ja nie znam twojego prawdziwego nazwiska.

Mama Anne wydyma usta i myśli.

– Mówiłaś im, gdzie mieszkamy?

– Podałam adres, który przekazał mi Eddie. Zrobiłam wszystko dokładnie tak, jak kazały instrukcje. Wierz mi.

– Ale cię zatrzymali – odzywa się Markus. – Musieli ci zadawać dużo pytań.

– Przysięgam na Boga – mówiąc to, Dalila patrzy na Markusa – że nic im nie powiedziałam. Tylko to, co było w instrukcjach. Przez dwie godziny powtarzałam w kółko to samo.

Mama Anne unosi brodę i szepcze:

– Jeśli kłamiesz, to Markus...

– Nie kłamię. Słowo. Daję słowo! Powiedziałam tylko to, co miałam mówić.

Nic innego zresztą nie wiedziałam.

– A te instrukcje, gdzie one są?

– Spuściłam je w toalecie, zanim przeszłam do kontroli paszportowej.

Kobieta wymienia długie spojrzenie z Markusem. Odwraca się i odchodzi korytarzem.

– Co teraz? – chce wiedzieć Dalila. – Instrukcje mówiły, że spotkam tu w Londynie kogoś, kto mi pomoże. Pracujecie dla Eddiego?

Mama Anne zatrzymuje się i odwraca.

– Dla nikogo nie pracujemy. Jestem swoim własnym szefem. Robię, co chcę. Rozumiesz? Czasem Eddie prosi mnie o jakąś przysługę, to wszystko.

– Więc pomożecie mi?

Mama Anne wraca do Dalili i mówi:

– My pomagamy tylko Eddiemu. Żeby pomóc tobie, musimy mieć pieniądze.

– Przecież właśnie je wam dałam.

Wielka kobieta śmieje się, klepiąc ręką amerykańskie dolary.

– Te? – pyta. – To forsa Eddiego. Ma do niego wrócić. Jeśli potrzebujesz miejsca do spania, musisz płacić czynsz. Ile masz pieniędzy?

Dalila spuszcza głowę.

– Dałam wam wszystko.

Mama Anne podnosi zwitek z kenijskimi szylingami, który nadal spoczywa w woreczku z polietylenu.

– Ile tego jest?

– Dwadzieścia tysięcy – mówi Dalila.

– Za mało – odpowiada Mama Anne, przewracając oczami. – Nie starczy nawet na jedzenie.

– To wszystko, co mam.

Mama Anne przymyka powieki.

– Zdejmuj buty – nakazuje Dalili.

– Po co?

– Żeby zobaczyć, ile masz forsy.

Dalila zsuwa obuwie i wyciąga wkładki.

– Widzisz – mówi – nie mam już nic więcej.

Markus przepycha się za Dalilą. Dziewczyna czuje przy uchu jego oddech. Wyszarpuje od niej torebkę i opróżnia ją, wysypując zawartość na sofę. Mama Anne podnosi błyszczącą niebieską portmonetkę, rozpina zamek i wyciąga pięćset szylingów.

– Proszę tylko o jakieś miejsce do spania – mówi Dalila. – Eddie powiedział, że mi pomożecie. Proszę, Mama.

Słowo „mama” przynosi pożądany efekt. Kobieta wzdycha i wskazując brodą sofę w korytarzu, oświadcza:

– Dziś będziesz spała tutaj.

– Dziękuję, Mama – odpowiada Dalila.

Gdy Markus przeciska się między nią a sofą, dziewczyna czuje jego rękę na swojej talii. Mężczyzna idzie korytarzem i wchodzi do pokoju, w którym Dalila zauważyła telewizor oraz co najmniej trzech innych facetów. Markus zamyka za sobą drzwi.

Mama Anne wyciąga z pawlacza kołdrę i rzuca ją na sofę.

– Jak zaczniesz rozrabiać, wylatujesz.

– Nie będę rozrabiać.

Kobieta cmoka językiem i znika w pokoju, w którym umieściła wcześniej dziecko. Zamyka drzwi.

Dalila siada na sofie. Wkłada portmonetkę, bułkę, sałatkę owocową, paszport i zdjęcia z powrotem do torebki. Zza ściany dobiegają głosy, jakieś dźwięki w głębi mieszkania oznaczające ruch osób, które tu żyją. Niższe tony głosów męskich, a potem wyższe, kobiece śmiechy roznoszą się po pokoju. Trudno powiedzieć, ilu ich jest w tym mieszkaniu, nie sposób ustalić, skąd ci ludzie pochodzą, jakie mogą mieć do niej nastawienie.

Wstaje. Drzwi wejściowe są tuż obok, a za nimi Londyn. Wielka Brytania. Wspaniały kraj, o którym jej ojciec tak często mówił. Ale za drzwiami jest również ciemność, chłód, miejsce bez instrukcji, które by można realizować. Lepiej trzymać się planu. Do jego wykonania pozostał już tylko jeden krok. Przecież dała im pieniądze, teraz muszą jej pomóc.

Schludnie układa buty tuż obok walizki, na skraju sofy, i zastanawia się, czy wyjąć koszulę nocną, lecz myśli, że miałyby się przebierać tutaj, w tym korytarzu,

powstrzymuje ją. Już lepiej spać w sukience. Jutro, kiedy zaczną jej bardziej ufać, umyje się i coś zje, ale teraz musi spać. Kładzie się na sofie i okrywa kołdrą po samą szyję. Ogromne zmęczenie przenika jej ciało, dociera do mózgu. Ostatni raz spała na podłodze w domu wujka.

Gdzieś w tle mamrocą głosy. Obrazy z całego dnia, niechciane, napływają jej do głowy. Taca z jedzeniem w samolocie. Instrukcje spuszczone w toalecie. Pomalowane na turkusowo paznokcie funkcjonariuszki imigracyjnej, którymi otwierała jej paszport. Różowe podrażnienie skóry u mężczyzny, który eskortował ją do sali zatrzymań. Mości się na kanapie, dopóki szyja nie leży prosto. Stopy wystają jej spod kołdry.

„Jesteś tu – szepcze do siebie. – Udało ci się. Jesteś w Anglii”.

Słowa nie do uwierzenia, nieprawdopodobne. Że ona, Dalila Mwathi, mogła się znaleźć po drugiej stronie świata. Ojciec powiadał zawsze, że Anglia jest Czołem Ziemi. A teraz ona tu jest. Stara się wyczuć sercem obecność Anglików, ale znajduje tylko ciepło kołdry i słyszy pomruk głosów w tamtym pokoju. Na razie to musi jej wystarczyć. Wzdycha i pozwala sobie opaść głębiej w poduszkę pod głową.

Drzwi otwierają się z kliknięciem. Dalila budzi się, nasłuchuje ruchu. Bardzo delikatne kroki. Jakiś ciemny kształt zbliża się do sofy. Dziewczyna mruga, żeby przyzwyczaić oczy do mroku. Markus patrzy na nią z góry, ręce zwisają mu luźno, koszulę ma rozpiętą.

– Czego chcesz, Markus? – szepcze.

– Chcę ci pomóc.

– Okej. Dziękuję.

Tamten siada tuż obok niej. W mieszkaniu panuje cisza. Harmider, przy którym zasypiała, już ucichł. Dalila naciąga kołdrę pod samą szyję.

– Chcesz, żebym ci pomógł? – pyta Markus.

– Tak – odpowiada.

Markus przerzuca ciężar ciała i kładzie rękę na kołdrze. Dalila wzdryga się.

– Zapłaciłam już... czynsz – przypomina szeptem. – Widziałeś sam.

– Widziałem, jak płacisz Mamie Anne, ale teraz to nie jest czynsz... raczej podatek. – Pochyla się nad nią, usta ma blisko jej ucha.

Dalila wysuwa się spod kołdry, odpychając go jednocześnie.

– Nie! Zjeżdżaj! – krzyczy. Wierci się pod pościelą, próbując usiąść prosto, uwolnić się. Markus odsuwa nieco głowę i uderza ją czołem w podbródek. Głowa Dalili odskakuje, a ona sama czuje się ogłuszona. Zanim udaje się jej wezwać pomoc, on zakrywa jej usta ręką i szybko na nią wchodzi. Ramiona dziewczyny pod kołdrą są przygwożdżone do jej piersi, jedyne dwa wolne palce zginają się, próbując dosięgnąć dłoni na ustach. Wije się, pcha z całych sił, ale prawie nie może się ruszyć. Wolna ręka Markusa schodzi w dół i zaczyna odsuwać kołdrę z jej nóg. Nagie łydki i uda owiewa chłodniejsze powietrze. Dziewczyna kopie i rzuca się na boki, lecz on waży zdecydowanie za dużo. Ramieniem rozchyła jej lewe udo i klinuje je; jego twarz jest tuż nad nią.

– Przestań kopać – mruczy – bo będzie gorzej.

Dalila walczy, żeby uwolnić twarz spod jego ręki. Palce Markusa zaciskają się na jej nosie. Płuca gorączkowo próbują złapać oddech. Usta zalewa krew z pękniętej wargi.

Mężczyzna usadawia się między jej udami. Wsuwa dłoń pod bieliznę.

„Tylko nie to” – chce krzyknąć Dalila, ale słowa nie mogą opuścić jej ust. „Boże, proszę, nie to”. Walczy pod kołdrą, nie jest jednak w stanie uwolnić ramion, oddychać, ruszać się. Z ogromnym trudem odpycha jego ciężar, starając się usiąść, i nagle widzi samą siebie, jak unosi się i szybuje nad sofą. Widzi się z góry. Jakby była kimś osobnym.

On ciągnie za jej majtki, próbuje je zdjąć, lecz ona ma zbyt szeroko rozstawione nogi. Szarpnięciem przerzuca ją na bok, chce zerwać bieliznę.

– Wujku Markusie, jestem głodna – mówi głosik.

On podnosi wzrok. Dziecko stoi u wezgowia i pociera oko nadgarstkiem.

– Wynoś się stąd – syczy Markus. – Idź do łóżka. Już.

Odsuwa malca jedną ręką, drugą utrzymując Dalilę w potrzasku. Zapada cisza, a potem maluch zaczyna wyć.

Zapala się światło i w korytarzu staje Mama Anne. Mruży oczy oślepięte jasnością, a po chwili widzi Markusa na sofie, ze ściągniętymi spodniami i z dłonią na ustach Dalili.

– Ty głupku – mówi, jedną ręką wpychając dziecko do sypialni. Płynnym ruchem podchodzi bliżej i strzela Markusa w ucho. – Ty głupku – powtarza podniesionym głosem, okładając go dalej. Dziecko stoi w drzwiach i płacze.

Markus zrywa się i wciąga spodnie.

– Przestań – drze się, zasłaniając głowę przedramieniem. – Przestań. – Rzuca się na Mamę Anne i łapie ją za młóćące go ramiona.

Dalila z trudem chwyta oddech. Czuje ruch powietrza, gdy zsuwa się z kanapy i szura po podłodze, jak najdalej od Markusa, dopóki nie oprze się plecami o drzwi wejściowe. Gdzieś w głębi mieszkania włącza się światło. W przedpokoju pojawiają się ludzie, krzyczą coś po angielsku i w suahili.

– Oszaleliście? – woła Markus. – Z czym macie problem, co?

– Z tobą – odpowiada Mama Anne z szeroko otwartymi oczami, bez strachu. – Ty jesteś problemem dla nas wszystkich. Dla naszego biznesu. Bo nie myślisz.

Markus spogląda na korytarz pełen ludzkich twarzy. Przepycha się obok Mamy Anne i szydzi:

– A co ty możesz wiedzieć, stara kobieto?

Ona nie odpuszcza jednak i krzyczy:

– Wiem, że jesteś egoistą! A jak ta dziewczyna zacznie gadać? Co? Co wtedy zrobisz, ty głupku? Wszyscy będziemy skończeni. Możesz mi wierzyć. Policja

zabierze wszystkich, którzy tu mieszkają. A jak powie Eddiemu? Wtedy dopiero będzie po tobie!

Kłótnia przenosi się do kuchni. Dwóch mężczyzn i kobieta mrugają i gapią się na Dalilę, a potem również idą do kuchni. Dalila pociąga nosem i dotyka ust. Jedna warga spuchła. Na palcach ma krew.

Wciąż słyhać krzyki. Zawodzenie dziecka jeszcze się wzmacnia, zbliża. W korytarzu ukazuje się dziewczyna niosąca malucha, którego Dalila dotąd nie widziała.

– Jesteś ranna? – pyta Dalilę po angielsku. Ta podnosi zakrwawione palce.

– Nic mi nie jest – odpowiada.

– W porządku?

– Tak.

Dziewczyna podrzuca dziecko, starając się je uspokoić. Patrzy w stronę kuchni, a potem znowu na Dalilę.

– Musisz stąd iść. Natychmiast – mówi. – Szybko.

Dalila się nie rusza.

– Markus nie da ci spokoju. Weź swoje buty. Już.

Dziewczyna znika z dzieckiem w sypialni. Dalila zrywa się, wsuwa buty i przerzuca torebkę przez ramię. Dziewczyna wraca bez dziecka. Wyciąga z szafy skafander i wciska go Dalili.

– Weź to. I nie wracaj.

Dalila chce iść po swoją walizkę, ale ona pcha ją w kierunku drzwi wyjściowych. Przekręca klucz i otwiera je.

– Idź – ponagla ją. – Uciekaj.

Drzwi się zamykają.

Dalila biegnie. Z rękoma wyciągniętymi w noc, ze łzami na twarzy, biegnie.

¹ *Matatu* – rodzaj minibusa, zbiorowej taksówki w krajach Afryki Wschodniej (przyp. tłum.).

Rozpięty skafander łopocze. Dalila pędzi, instynktownie obierając drogę, którą tu dotarła, czyli na przystanek autobusowy. Pod ulicznymi latarniami jej oddech zmienia się w parę. Za sobą słyszy jakiś hałas. Drewno trące o beton. Markus? Tamci mężczyźni?

Biegnąc, rzuca spojrzenia za plecy, w ciemność, ale w otaczającej ją czerni niczego nie widzi.

Sprintem dociera do skrzyżowania i mknie dalej jakąś szerszą ulicą, jej nogi pracują ciężko. Mija domy po obu stronach, jakiś sklep, następne skrzyżowanie, przebiega przez mokrą szosę, pod czerwonym blaskiem świateł drogowych, cały czas się odwraca, spodziewając się ujrzeć swoich prześladowców, i wtedy nagle na kogoś wpada. Krzyczy, gramoli się z powrotem na nogi, opiera plecami o żywopłot. Osobą, z którą się zderzyła, jest mężczyzna, biały, w mundurze.

– Hej – woła do niej. – Co ty wyrabiasz, do cholery?

Dalila jest oszołomiona, własny oddech pali ją w gardle, nie może odpowiedzieć, nie ma czasu na odpowiedź. Patrzy za siebie, a potem znowu na mundur mężczyzny. To listonosz. Tylko listonosz. Gdy mężczyzna robi krok w jej stronę, zrywa się do biegu, pokonuje sprintem trzy przecznice; głowę ma odrzuconą do tyłu, huśta ramionami.

Gorzki przedświt sprawia, że wilgotnieją jej oczy. Uszy bolą od lodowatego powietrza. Spogląda przez ramię, ale nikogo nie widzi. Nagle zmienia kierunek i przez cztery lub pięć przecznic biegnie wysadzaną drzewami ulicą. Porusza się tak szybko, że ani Markus, ani jej własne spanikowane myśli nie mogą za nią nadążyć. Znowu zerka do tyłu. Jakaś postać przesuwa się za nią ponad dachami zaparkowanych samochodów. Dalila przyspiesza, z trudem łapie oddech, stara się nie zwalniać, desperacko rozgląda się za jakąś kryjówką, bronią, znakiem. Kątem oka widzi, że postać porusza się teraz równoległe do niej; to mężczyzna na rowerze, w kasku. Jego oczy wbijają się w nią zatroskanym, pytającym

spojrzeniem, a także – co zaskakujące – jakby przerażonym. Mężczyzna przyspiesza i pedałuje w dół ulicy. To wystarczy, żeby zwolniła, żeby się zatrzymała.

Kładzie rękę na pojemniku na śmieci i próbuje uspokoić oddech. Zaczyna świtać, kolor nieba zmienia się z czarnego w indygo, wkrótce zrobi się jasno i ci, którzy jej szukają, będą mogli łatwiej ją zauważyć. Przetacza się jakiś samochód. Dalila odwraca się do niego plecami, zapina czerwony skafander i kroczy dalej chodnikiem.

Dziewczyna. Dziewczyna z tamtego mieszkania kazała jej uciekać. Więc wstała i uciekła. Po prostu wyszła. Jakie to głupie. Jak mogła coś takiego zrobić? I co teraz będzie? Dalila zatrzymuje się. Nikogo tu nie zna, jej pieniądze przepadły. Zapłaciła Mamie Anne za pomoc. Powinna wrócić. Przeprzić za swoje zachowanie i błagać Mamę Anne, żeby przyjęła ją znowu. Musi wrócić. Odwraca się i idzie drogą, którą tu przyszła. Zimne powietrze przesącza się przez warstwy cienkiej odzieży, którą ma na sobie. Musi wracać, choćby po swoje szare spodnie i pomarańczowy dżersej od mamy.

Dalila kładzie palec na spuchniętej górnej wardze. Nie ma już krwi, ale obraz twarzy Markusa staje jej przed oczami. Zatrzymuje się. W powietrzu poranka unosi się wyraźny zapach jego śmierdzącego piwem oddechu. Wciąż czuje nacisk jego ręki na ustach. Nie może wrócić. Nie po to, żeby tam zostać. Może zaczeka tylko, aż Markus wyjdzie, i przekona tę dziewczynę do oddania jej bagażu, a potem zniknie i nigdy nie wróci.

Gdy wschodzi słońce, szeregowe domy i pozamykane sklepy wydają jej się bardzo do siebie podobne. Ponad nimi wznoszą się betonowe wieżowce różnej wysokości, otaczają ją. Każda ulica wygląda tak jak kolejna. Próbuje sobie przypomnieć architekturę tego konkretnego budynku, z którego uciekła. Napływają wspomnienia o dziecku śpiącym w ramionach Mamy Anne. Dalila pamięta Markusa ściskającego kurczowo jej walizkę, idącego z nią w porywach

wiatru w środku nocy, lecz nie budynek. Adres znała bardzo dobrze, jednak pytania zadawane jej wczorajszego wieczoru przez Mamę Anne kazały podejrzewać, że namiary przekazane funkcjonariuszom imigracyjnym nie są zgodne z tymi, pod którymi wylądowała. Dalila stała na skrzyżowaniu. Przyglądała się uważnie jednej ulicy, od czasu do czasu zerkając na drugą.

Wychodzi na nie coraz więcej ludzi. Samochody zaczynają się ustawiać w korkach na rozjazdach, cierpliwie czekając na zmianę świateł. Pół przecznicy stąd idzie chodnikiem trzech przysadzistych mężczyzn w brudnych dżinsach i fluorescencyjnych kamizelkach. Czwarty wychodzi z kiosku z gazetami i dołącza do tamtych. Otwiera paczkę papierosów, zapala jednego i wydmuchuje dym w rześki świt. Poruszają się w grupie, każdy z nich idzie, kołysząc ramionami. Aby uniknąć spotkania, Dalila przechodzi na drugą stronę ulicy. Dogania dwie kobiety w sari i narzuconych na nie płaszczach i trzyma się ich na tyle blisko, że przypadkowy obserwator mógłby wziąć je za trzyosobową grupkę. Idą tak przez pewien czas, aż jedna z kobiet odwraca się i spokojnie patrzy na Dalilę, po czym szepcze coś do koleżanki. Zanim ta zdąży spojrzeć do tyłu, Dalila schodzi z chodnika, lawiruje między samochodami stojącymi na światłach drogowych i wchodzi w inną ulicę. Z autobusu wysiadają trzy Afrykanki, wszystkie mówią jednocześnie. Jedna z nich rozkłada wózek dziecięcy i umieszcza w nim dziecko. Dalila rusza spieszenie za nimi, starając się wtopić w tę grupę. Wykorzystując kobiety jako osłonę, wchodzi coraz głębiej w labirynt Londynu; ręce ma skrzyżowane na torebce, palce wetknięte pod pachy, stopy zimne i zdrętwiałe w pantoflach bez osłony.

Wschodzi słońce pozbawione ciepła. Jego przyćmione szare światło rozjaśnia przedmioty, jednocześnie wysysając z nich kolory. Daleko, na horyzoncie, widać jeszcze wyższe wieżowce i jeden dźwig. Założywszy, że tam właśnie znajduje się serce Londynu, Dalila zmierza w tym kierunku, porusza się, żeby nie tracić ciepła, wiedząc, że nie ma już odwrotu.

Mijają ją ludzie o wygłodniałych spojrzeniach, ich oczy nie patrzą ani bezpośrednio blisko, ani gdzieś daleko. Wielu z nich nosi słuchawki. Wielu czeka w kolejkach na przystankach autobusowych, gapiąc się na swoje telefony. Setki wpływają do stacji metra i wypływają z niej. Wszelkie nacje mieszają się tu ze sobą, ale ją fascynują tylko biali ludzie. Stara się im zanadto nie przyglądać, nigdy jednak nie widziała aż tylu białych. Całe tysiące. Ulice Londynu nie są tak zatłoczone, jak aleje Nairobi, lecz dla Dalili ci biali jakby zajmują więcej miejsca. Ich ciała ocierają się o siebie, o ubrania, które mają na sobie, wielu z nich jest korpulentnych jak afrykańscy biznesmeni. Nawet ci szczupli zdają się duzi, wypełniają swoją ważnością najbliższą przestrzeń.

Wobec tak wielkiej liczby białych twarzy Dalila widzi wyraźniej tylko te, które się zdecydowanie wyróżniają. Mężczyzna o pulchnych, różowych policzkach. Czarne jak węgiel tatuaże wijące się na szyi jakiegoś nastolatka. Sinawy zarost na niewygolonym podbródku mężczyzny. Brązowa twarz kobiety i jej szokująco różowe wargi. Tu i ówdzie dostrzega najbielsze twarze, jakie w życiu widziała. Błada, delikatna cera, błękitne żyłki prześwitujące przez matową skórę.

Lecz tak naprawdę żadna z tych twarzy nie jest do końca biała i Dalilę ogarnia fascynacja dotycząca subtelnych odcieni kolorystycznych każdej mijanej osoby. Otaczają ją ludzie barwy chleba i skorupki jajka, słodkich ziemniaków i patatów, orzechów nerkowca i owsa. Włosy mają w kolorze mięszu melona i obranej gruszki, bakłażanów albo palonej kawy. Najpiękniejsze są oczy. Mieniące się tęczówki barwy topazu i opalu, tygrysięgo oka oraz lapis-lazuli.

Tyle kolorów i same czarne ubrania. Niemal wszyscy noszą ciemne płaszcze, czarne kurtki, granatowe spodnie i garnitury barwy węgla. Tylko Dalila lawiruje wśród tłumu w swojej sukience w słoneczniki i w czerwonym, za dużym skafandrze.

Londyn sprawia wrażenie, jakby się nad nią pochylał. Wspaniałe budynki

z zimnego kamienia. Sklepy z pamiątkami, okryte brytyjską flagą. Portrety królowej i kubki w takim kształcie, żeby przypominały księcia Williama. Czarne taksówki wyglądają dokładnie tak, jak na filmach. *Jaś Fasola. Cztery wesela i pogrzeb*. Obok pędzi karetka pogotowia; taką syrenę Dalila słyszy pierwszy raz. Widzi osoby udające posągi, długie autobusy, które zginają się w środku, trzylatków w wózkach oraz dorosłych mężczyzn z plecakami, jakby nadal byli dziećmi. Przypomina sobie, jak chodziła do szkoły, i ogarnia ją uczucie osamotnienia, pamięć czasów, gdy świat był wielki, a ona czuła się w nim maleńka i krucha.

Wchodzi do dużego sklepu odzieżowego i kroczy jego korytarzami. Zatrzymuje się pod wylotem sufitowym, z którego wieje ciepłe powietrze. Przerzuca palcami różne bluzki, udając jedną z klientek. Za niewielkim kontuarem obok przebieralni stoi Afrykanka, liczy artykuły przynoszone przez klientów i wydaje im numerki. Dalila obserwuje ją zza wieszaka z piżamami. Może mogłaby z nią porozmawiać. To przecież siostra. Zapyta, czy zna jakieś miejsce, gdzie da się przenocować, albo wie, dokąd zwrócić się o pomoc. Ale jak ma to powiedzieć? „Dzień dobry, chciałabym zacząć nowe życie w Wielkiej Brytanii. Możesz mi pomóc?” Trzeba być bardziej delikatnym, na przykład udać, że poszukuje się tylko miejsca na jedną noc, dopóki rodzina... Rodzina przyjedzie jutro. Dalila przygląda się, jak ekspedientka obsługuje dwie klientki, po czym zdejmuje z haka żółtą flanelową piżamę i zbliża się do tamtej z determinacją. Uśmiechnie się i spyta, czy może to przymierzyć; miejmy nadzieję, że uda jej się skierować rozmowę na Afrykę albo na jakiś inny wspólny temat, a potem, gdy będą już gawędzić jak siostry, poprosi o pomoc. W ten sposób zaoszczędzi sobie trochę wstydu. Niesie piżamę, lecz kiedy podchodzi bliżej, zjawia się nagle inna ekspedientka i mówi coś do dziewczyny z Afryki.

Dalila staje nieruchomo, trzymając piżamę, i czeka, aż się nią zajmą.

Ale Afrykanka zbiera naręczę ubrań z wieszaków i znika za szarymi

drzwiami.

- Chciałaby pani przymierzyć? – pyta nowa ekspedientka.
- Nie, dziękuję. – Dalila odwiesza piżamę i wymyka się ze sklepu.

Popołudnie ciągnie się bez końca, głód draży ją od środka. Widzi jedzących ludzi, żujących czekoladowe batoniki w trakcie marszu, palce zanurzające się w opakowania chipsów. Ludzi siedzących na ławkach z papierowymi kubkami z kawą i z kanapkami, innych stojących przed lokalami z jedzeniem na wynos i pogryzających frytki z papierowych torebek. Wyciąga swoją bułkę. W zimnym powietrzu skaleczona warga nie rwie tak bardzo, gdy Dalila żuje. Po chwili udręka w żołądku nieco ustępuje.

Miasto otwiera się na wielką brązową rzekę. Dalej, gdyby iść wraz z jej nurtem, wznosi się na brzegu ogromne białe koło diabelskiego młyna. Pod mostem, tuż przed Dalilą, płynie z trudem samotna barka. Dziewczyna przekracza rzekę razem z setkami innych pieszych. Większość ma kołnierze zapięte pod szyją z obawy przed ostrym wiatrem, Dalila zasłania uszy rękoma.

Idzie, dopóki nie zaczynają ją boleć pięty, a gołe palce drętwieć. Podąża jedną ulicą, potem następną, szuka czegoś, jakiegoś znaku, planu.

Popołudnie przechodzi w mglisty wieczór. Dziewczyna stoi na ruchliwym skrzyżowaniu, nie przechodzi przez nie, tylko po prostu przygląda się „zielonemu człowiekowi”², obserwuje wóz sprzątający ulicę, taki z obrotowymi szczotkami, które usuwają śmieci z rynsztoka. Unika wchodzenia w kontakt wzrokowy z kimkolwiek, trzyma się dobrze oświetlonych miejsc. Zamiast głodu pojawia się głębokie znużenie, obejmujące nogi. To ją martwi. Idzie dalej, czując, że zmęczenie przechodzi wyżej, na resztę ciała, osiada w ramionach. Świat kurczy się do następujących po sobie kolejnych świateł, twarzy i dźwięków, ona tymczasem kroczy przez otchłań niezdecydowania; kończyny ma zbyt zgrabiałe, by czuć zimno. Siada w jasno oświetlonym wejściu jakiegoś biurowca i rozpina

czzerwony skafander, przyciąga kolana blisko piersi, po czym zasuwa zamek nad goleniami aż po samą szyję. Sterczy na schodach niczym worek wypchany patatami, opiera głowę o marmurową ścianę. Jak dobrze jest siedzieć. Oddycha teraz głębiej. Wydaje jej się, że czuje zapach dymu, palonego drewna, jak wtedy, gdy mama gotowała nad ogniem, kucając i przygotowując *ugali*. Od wczesnego dzieciństwa zadaniem Dalili było zbieranie chrustu na ognisko, a potem przynoszenie wody na ukrop. Kuciała obok mamy i podsycała płomień; rozmawiały ze sobą cicho, przesuwając naczynia ze środka paleniska w nieco mniej gorące miejsca. Matka podchodzi, staje z rękami wzdłuż boków. Dziewczynę ogarnia głęboki smutek, lecz mama się do niej uśmiecha i siada obok na schodku, podczas gdy ojciec stoi trochę dalej i trzyma straż. Nic nie mówią. Dalila czuje zbyt wielki wstyd, żeby podnieść wzrok. W jej rodzicach było tyle godności. Zaslужują na lepszą córkę. Matka kładzie dłoń na ramieniu Dalili.

– Halo. Halo, proszę pani? Niech się pani obudzi.

Dalila gapi się na kobietę, która dotyka jej ramienia.

– Mówi pani po angielsku? Rozumie mnie pani?

– Tak – mamrocze Dalila, wciąż otumaniona snem.

– Ma pani gdzie spać dzisiejszej nocy?

– Przepraszam, chwilę odpoczywałam.

– Jadła pani coś dzisiaj?

– Nie. Nic mi nie jest, muszę iść.

– W porządku. W razie czego jestem tutaj, okej? Mam na imię Melissa, pracuję w Shelter For All. Chce pani kanapkę?

– Nie.

– W porządku. Proszę posłuchać, tam są moi współpracownicy. Pomagamy ludziom bezdomnym. Możemy zapewnić pani bezpieczne miejsce na tę noc. Będzie pani ciepło. Chciałaby pani?

– Nie. Pójdę już.

– Jak się pani nazywa?

Żadna biała kobieta nie zwracała się do Dalili per „pani”.

– Irene, mam na imię Irene.

– Irene. Z nami jesteś bezpieczna. Nie wyrządzimy ci krzywdy. Może pójdziesz ze mną i zjesz trochę zupy? Lubisz różne zupy, prawda?

– Tak.

Melissa się uśmiecha.

– Ja też – mówi. – Po prostu uwielbiam zupy. Chodźmy, wszystko jest w porządku. – Zdejmuje wełnianą rękawiczkę i wyciąga rękę. Dalila patrzy na miękką, bladą dłoń; kiedy jej dotyka, okazuje się ciepła.

² Ozdobnik stosowany w architekturze, przedstawiający ludzką twarz pokrytą liśćmi, niekiedy z pnączami roślinnymi wychodzącymi z jej ust (przyp. tłum.).

Trzesząc się i dzwoniąc zębami, Dalila wpatruje się w wieżę. Na samym jej szczycie, w najwyższym punkcie, na tle brzoskwiniowej mgły nocnego londyńskiego nieba stoi na jednej nodze kogucik. Żelazny ptak obraca się na wietrze. Melissa mówi i większość z tego dociera do Dalili, ton jej głosu jest kojący.

Schronisko to kościół z ogromnymi drewnianymi drzwiami. W ich jednym skrzydle wycięto normalnych rozmiarów wejście, przez które teraz przechodzą.

W środku siedzi za biurkiem starszy mężczyzna i rzuca im na powitanie „dobry wieczór”. Na szerokiej twarzy ma kędzierzawe brwi i wąsy, które kręcą się na koniuszkach i przypominają kły. Przesuwa w ich stronę otwarty rejestr; Dalila cofa się, czujna wobec tego człowieka-guźca. Melissa bierze ją za rękę.

– Wszystko w porządku – mówi. – Tutaj będziesz bezpieczna. Wszyscy muszą się wpisywać na listę.

Dalila z trudem zaczyna pisać swoje nazwisko w rejestrze, walcząc z zimnem, które przenika jej kości.

– Daj, pomogę ci – proponuje Melissa.

Wpisuje Dalilę do księgi, następnie kreśli wyraz „Irene” na nalepce, którą umieszcza na piersi dziewczyny.

– Miej to na sobie – mówi z łagodnym uśmiechem. – Chodź, ogrzejemy cię trochę.

W stołówce ulokowanej w podziemiach, przy stojącym osobno stoliku, Dalila – opatulona kocem – słucha skrzypienia drewnianej podłogi, gdy Melissa chodzi i przygotowuje zupę.

W rogu tkwi dwóch mężczyzn, obaj nieogoleni. Jeden ma skołtunione, sięgające ramion włosy, drugiemu brak zębów, a jego wargi skurczyły się wokół dziąseł. Pochylają się nisko nad talerzami z zupą, maczają w nich chleb,

przezuwają powoli. Spodnie mają brudne, przetarte na kolanach. Z miejsca, w którym siedzą, dobiega woń moczu. Nigdy nie widziała białych ludzi w takim stanie. Nie sądziła, żeby to było możliwe. Bezzębny zauważa, że ona się na nich gapi, ale wraca do konsumowania posiłku.

Zupa jest gorąca i słona, a herbatce przydałoby się więcej mleka i cukru. Dalila syczy ją mimo to, grzejąc palce o kubek. Melissa zajmuje miejsce naprzeciwko niej i gada, jakby były koleżankami. Ma otwarte, szczere oblicze, Dalila jest wdzięczna tej kobiecie za jej obecność.

Jest już późno, gdy Melissa prowadzi Dalilę do żeńskiej sali sypialnej, która – jak wyjaśnia – czasem służy także jako szkółka niedzielna. Kobiety już śpią, dlatego nie włącza światła. Łóżka to właściwie materace na podłodze, wyposażone w śpiwory. Dalila zajmuje najbliższy. Zdejmuje skafander i kładzie się. Śpiwór pachnie detergentami, natomiast w materacu utrzymuje się mocniejsza woń potu ludzkich ciał. Kiedy jej wzrok przyzwyczaja się do ciemności, uświadamia sobie obecność dziecięcych rysunków na ścianach; widok chromych i pozbawionych oczu przytulank budzi w niej niepokój. Przekręca się na drugi bok, po czym wsadza torebkę na sam spód śpiwora. Dłonie wkłada między kolana i skupia się na ręcznie wyszywanym transparencie, przedstawiającym satynowego gołębia unoszącego się ponad krzyżem. Leży tak długo, wpatrzona w ptaka. Przez głowę przelatują jej nieskładne, fragmentaryczne myśli. Przypomina sobie, jak obiecująco zapowiadało się kiedyś życie, i zadaje sobie pytanie, dlaczego nie przewidziała tej katastrofy. Zastanawia się, czy aby nie spotkała jej kara. Ciekawe, gdzie będzie spać jutro, czy Markus nadal jej szuka i skąd weźmie jakieś cieplejsze ubrania. Słucha równych oddechów innych kobiet śpiących w tej sali i spekuluje, kim są i skąd pochodzą. Daruje sobie wyciąganie wniosków, czuje w żołądku taką samą pustkę, jak wtedy, gdy podchodziła do egzaminów w koledżu.

Śni jej się, że podróżuje w *matatu*. Minibus jest pełen ludzi, a ona siedzi z tyłu. Panuje upał. Ruch jest ogromny, szyby pojazdu pokrywa ciemny, bursztynowy kurz. Czuć szarpnięcie i zgrzyt jednego z boków furgonu i nagle wszyscy starają się z niego wydostać. Ona również przelazi przez ludzi i siedzenia. Ktoś kopie w okno, rozbija szybę, szkło pęka. A potem, w jakiś dziwny sposób, Dalila jest już na zewnątrz i biegnie. Ulice są puste, ale nie jest bezpiecznie. Chowa się w sklepie z telefonami komórkowymi, podchodzi do stojaka z błyszczącymi obudowami komórek. Zbliża się do niej mężczyzna i pyta, czym może służyć. Ona się odwraca i poznaje jego twarz. To jej wujek. Są sami w całym sklepie.

Dalila otwiera oczy, siada wyprostowana i spocona; rozkopany śpiwór zsunął się jej aż do kostek. Zupełnie nie wie, gdzie się znajduje. Nos ma zatkany, język suchy jak wiór. Nasłuchuje męskich głosów. Powoli nadchodzi świt. Lekki deszczyk stuka o szyby w oknie. Pamięta, że przyprowadzono ją do tej sali, pamięta też zupe, którą jadła. Obok jakaś kobieta śpi z ramieniem na twarzy. Pozostałe już poszły. Rozkopany śpiwór zaznacza miejsce, w którym leżała Dalila. Dziewczyna wstaje, wkłada kurtkę, roluje śpiwór i wychodzi.

W korytarzu kobieta o ciężkich biodrach uśmiecha się i mówi:

– Dzień dobry. – Idzie ku niej, utykając, dla równowagi podpira się kulą. – Wszystko w porządku? – pyta.

Dalila nie bardzo wie, co to za miejsce, w którym się znalazła, ani jak się tu zachowywać.

Kobieta podchodzi bliżej chwiejnym krokiem i zerka na nalepkę na skafandrze Dalili.

– Irene, tak? – upewnia się.

Dalila kiwa głową.

– Ja jestem Judith – przedstawia się kobieta, wskazując plaketkę ze swoim imieniem. – Ranny ptaszek z ciebie – dodaje. – Masz ochotę na herbatkę?

– Nie – odpowiada Dalila, nie do końca rozumiejąc akcent tej kobiety. – Szukam łazienki.

– No cóż, dobrze. Toaleta jest tam, po lewej. Kiedy skończysz, przyjdź do mnie do stołówki.

Na dole Dalila siada w tym samym miejscu, co poprzedniego wieczoru. W świetle poranka jest tutaj tak jasno, że wygląd pomieszczenia zupełnie nie pasuje do jej wczorajszych wspomnień. W powietrzu unosi się delikatna woń wilgoci i jest nieco za zimno, żeby czuć się dobrze. Dalila pamięta jednak herbatę wypitą w nocy, a kiedy Judith proponuje jej kolejną, odmawia. Woli grzanekę, odrywa od niej małe kawałki i stara się nie jeść zbyt szybko.

– Jest Melissa? – pyta.

– Nie, zaczyna zmianę dopiero o czwartej. – Judith podchodzi, kołysząc się, z kulą inwalidzką w jednej ręce i herbatą w drugiej, po czym opuszcza się na siedzenie obok Dalili. – Jesteś tu chyba od niedawna, prawda, kochanie?

Dalila przestaje żuć, stara się odszyfrować sens pytania Judith.

Kobieta próbuje ponownie:

– Jak długo tu mieszkasz, Irene?

Dalila odkłada grzanekę i mówi:

– Przyjechałam w to miejsce, do tego kraju, dwa dni temu.

– Masz tu rodzinę?

Patrzy na Judith i odwraca wzrok.

– A może przyjaciół? Jest ktoś, do kogo moglibyśmy zadzwonić w twoim imieniu?

Dalila chce spojrzeć na Judith, ale nie potrafi.

– Nie ma nikogo takiego – szepcze.

Słowa te coś w niej uwalniają. To coś pcha się na zewnątrz, łyzy zalewają jej oczy. Ociera je sztywną dłonią, jakby chciała wepchnąć tę rzecz z powrotem do

środka.

– Już dobrze – uspokaja ją Judith. – Już w porządku. Czyli przyjechałaś tu dopiero co?

Dalila kiwa głową.

– I podróżowałaś taki kawał świata całkiem sama?

– Tak – odpowiada dziewczyna. Pociąga nosem i dodaje: – Przyleciałam samolotem, sama. Pośrednik załatwił ludzi, którzy wyszli po mnie na lotnisko. Nie znałam ich. Dostali pieniądze, żeby pomóc mi zamieszkać w tym kraju. Ale kiedy poszłam z nimi, oni... ten mężczyzna...

Dzika istota w jej wnętrzu znów pcha się do góry, silniejsza niż przedtem. Łzy płyną, Dalila nie może wydobyć słowa.

– Już dobrze, kochanie – mówi Judith. – To stało się wczoraj, tak?

– On chciał mnie skrzywdzić – szepcze Dalila. – Uciekłam. – Grzebie w torebce i znajduje paczkę chusteczek. Wydmuchuje nos i przeprasza Judith.

– Nic nie szkodzi – odpowiada Judith. – Masz za sobą ciężkie przeżycia. Na pewno nie chcesz trochę herbaty?

Dalila potrząsa głową.

Między nimi zapada cisza. Judith podnosi swój kubek i sączy herbatę. Potem mówi:

– Uważam, że w życiu zawsze należy mieć jakiś plan i się go trzymać, zwłaszcza gdy zaczynają się schody. Więc co chciałabyś robić, Irene?

– Ja? Być dziennikarką – odpowiada Dalila. – Reporterką wiadomości, jak te kobiety w NTV Kenya. To moje marzenie.

Judith odstawia kubek i uśmiecha się szeroko.

– No tak, właściwie czemu nie? – mówi. – Jesteś elokwentna. Byłabyś świetną reporterką, na pewno.

– Studiowałam na uczelni tylko rok – opowiada Dalila. – Przerwałam naukę.

Ale jeszcze skończę studia.

– No i wspaniale, Irene. Jesteś ambitna, jak widzę. Ale chodziło mi raczej o to, jakie masz plany na teraz?

– Och – wzdycha Dalila, czując falę wstydu.

– Widzisz, nasza organizacja prowadzi tę noclegownię tylko w dni powszednie – ciągnie Judith – więc nie możesz tu zostawać w nieskończoność. Ale staramy się pomagać najlepiej, jak umiemy. Mówiłaś, że jacyś ludzie mieli ci pomóc w staraniach o azyl, zgadza się?

– Tak – odpowiada Dalila.

– No cóż, skoro zamierzasz wystąpić z takim wnioskiem, musisz jechać do Croydon. To pierwszy krok. Wszyscy jeżdżą do Croydon – wyjaśnia Judith. – To w południowym Londynie, niedaleko stąd. Chcesz wystąpić o azyl?

– Tak, muszę. Jeśli wrócę do Kenii, wujek mnie znajdzie.

– Dobrze więc – mówi Judith. – Zaraz po śniadaniu zadzwonię w parę miejsc. Umówimy cię i załatwimy wszystko, jak należy.

– Dziękuję – odpowiada Dalila.

Do stołówki wchodzi człowiek-guziec i kiwa im głową na powitanie. Włącza termos bufetowy i zaczyna przygotowywać sobie śniadanie.

Judith wstaje z trudem i zwraca się do Dalili:

– Chodźmy. Pokażę ci, gdzie są prysznicze.

Przed południem Judith zabiera Dalilę do ciasnego biura, które mieści się w kościele. Przerzuca stos ulotek dla osób szukających azylu i dzwoni do Jednostki Badania Spraw o Azyl w Croydon. To skomplikowany proces. Po wielu próbach udaje się jej wreszcie uzyskać połączenie z kim trzeba; mówi, że ma tu młodą damę, która chce się ubiegać o azyl, po czym recytuje najważniejsze dane Dalili. Podaje swój biurowy numer telefonu. Po półgodzinie ktoś z jednostki oddzwania, aby zadać więcej pytań. Czy panna Mwathi potrzebuje

tłumacza? Judith odpowiada, że nie, ale nalega, aby Dalilę przesłuchała pracownica, nie pracownik jednostki. Zostaje to odnotowane, padają kolejne pytania. W jaki sposób dostała się do kraju? Gdzie przekroczyła granicę? Czy choruje na gruźlicę? Czy ma dzieci bądź inne osoby na utrzymaniu? Czy cierpi na świerzb? Później dzwonią znowu i powtarzają podobne pytania, dopiero potem podają termin wizyty z przesłuchaniem: pojutrze. Informują ponadto, że panna Mwathi musi dostarczyć cztery zdjęcia paszportowe, nieobcinane, z pełnym imieniem, nazwiskiem oraz datą urodzenia, wypisanymi z tyłu każdej fotografii. Powinna mieć ze sobą także paszport i wszelkie inne dokumenty tożsamości – cokolwiek, co potwierdzi jej historię.

– Kiedy tam będziesz – mówi Judith do Dalili – po prostu opowiedz im, co ci się przydarzyło. Jakbyś była dziennikarką – dodaje, uśmiechając się. – Nie zapomnij o najdrobniejszych szczegółach.

Szczegóły. Dalila spuszcza głowę i dotyka kciukiem strupa na nadgarstku.

– Wiem, że to może być trudne, ale tylko oni są w stanie ci pomóc, jeśli im zaufasz.

Dalila czuje w samych trzewiach historię, którą musi opowiedzieć, ale dopiero co ją przeżyła, z nikim się nią nie dzieliła i zastanawia się, czy będzie umiała znaleźć odpowiednie słowa.

Judith bierze ją za rękę.

– Chcesz się ze mną pomodlić? – pyta.

– Tak.

Kobieta chwyta Dalilę za drugą dłoń i pochyla głowę.

– Panie Jezu, polecam ci tę piękną młodą kobietę i proszę, abyś prowadził ją przez te trudne dni. W swej nieskończonej mądrości skierowałeś ją do tego miejsca. Pozwól jej poczuć twoją miłość i opiekę, Panie. Niech wie, że choćby życie stało się najcięższym brzemieniem, ty trzymasz ją w swoich rękach jako ukochane dziecko. Pozwól jej zrozumieć, że wszystko dzieje się według twojego

boskiego planu. Daj jej poczuć nadzieję, zawartą w twoim słowie, że wszystko to jest dla dobra tych, którzy go kochają. Proszę o to w imię Jezusa. Amen.

– Amen – powtarza jak echo Dalila.

Kiedy przyjeżdża Melissa, posyła Dalili spokojny uśmiech, a dziewczyna nie może się nie uśmiechnąć w odpowiedzi. Idą obie do kabiny fotograficznej na pocztę, gdzie robią zdjęcia paszportowe, za które płaci Melissa. Dalila siada wyprostowana na stołku i zaciąga niewielką niebieską kotarę. Przed sobą, na cyfrowym ekranie widzi wizerunek swojej twarzy. Wargę ma wciąż napuchniętą od uderzenia głową przez Markusa. To ona, lecz jakby odwrócona na lewą stronę; jest jakąś inną osobą niż ta, którą przywykła oglądać w lustrze. Kobieta na monitorze jest chuda i przestraszona.

Czekając na wywołanie zdjęć, Dalila znów zaczyna się trząść.

– Och, bardzo zmarzłaś, co? – pyta Melissa.

Po powrocie do schroniska Melissa przetrząsa szafy z ubraniami, a Dalila stoi z boku i patrzy.

– To jest ładne – mówi kobieta, podnosząc jakiś płaszcz. – Przymierz i powiedz, co sądzisz.

Gdy Dalila się ubiera, Melissa trzyma drzwi szafy otwarte, tak by dziewczyna mogła zobaczyć się w lustrze. Dalili ogromnie podoba się ten kolor, żywy zielonkawy odcień liści bananowca, ale od płaszcza czuć zastałe perfumy. Poza tym w pasie jest o wiele za szeroki, a ona wygląda, jakby się w nim topiła.

– Spróbuj to – proponuje Melissa, podnosząc czarną puchową kurtkę. – Takie coś jest bardzo ciepłe. To nie jest prawdziwy płaszcz przeciwdeszczowy, ale będzie ci w nim całkiem sucho.

Dalila wsuwa ramiona w watowane rękawy. Kurtka układa się zgrabnie w jej talii, a następnie rozszerza się i wisi jak wielki dzwon, sięgający kolan.

– Pasuje ci. Odpowiedni rozmiar – ocenia Melissa. – Zapnij się pod samą szyję. Widzisz? Będzie ci ciepło, wiatr tu nie dotrze.

Dalila patrzy na siebie w lustrze. Wygląda zbyt puszyście. Pikowanie sprawia, że przypomina jakąś larwę. A czarny to kolor smutku.

– Jak się w tym czujesz? – pyta Melissa.

Dziewczyna skupia się na doznaniu. Tkanina jest podobna do tej, z której wyprodukowano śpiwór, owija jej szyję i ręce schowane głęboko w kieszeniach; zaczynają mrowić, gdy robi im się ciepło. Czy w tym kraju jest skazana na taką odzież? Skoro kurtka podoba się tej Angielce, to może ludzie właśnie tak się tu ubierają.

– Czuję się dobrze – odpowiada.

Melissa grzebie w jakimś kartonowym pudle i wyciąga parę czarnych wełnianych rękawiczek oraz czarną czapeczkę z małą nalepką „Thinsulate” na przedzie.

– To też ci będzie potrzebne – oznajmia.

Dalila wsuwa palce do rękawiczek i wkłada czapeczkę, naciągając ją na same brwi.

Robi jej się ciepło, wręcz przytulnie w uszy. Wygląda teraz jak chłopak, jeden z tych młodych mężczyzn, którzy grillują na ulicach kolby kukurydzy. Ale jest jej ciepło. Najprzyjemniej, odkąd tutaj przyjechała.

Obie robią krok do tyłu i przyglądają się odbiciu Dalili w lustrze.

– W tym momencie nie mamy damskich butów – tłumaczy Melissa – ale są grube, solidne skarpety. Zawsze to lepsze niż nic.

Rozpinając kurtkę, Dalila odpowiada:

– Nie mam na to wszystko pieniędzy.

– Och, nie, to niepotrzebne – mówi Melissa. – Zatrzymaj ubrania. To dary dla Kościoła. Działamy tylko dzięki dobroci ludzkiej.

Dalila kiwa głową i znów spogląda na siebie w lustrze. Odwraca się i podnosi czerwony skafander, który miała wcześniej na sobie, po czym wręcza go Melissie ze słowami:

- Oddaję to na schronisko, za to, że mi pomogło.
- Dziękuję – odpowiada Melissa.

Nazajutrz rano, postąpiwszy zgodnie z instrukcjami udzielonymi jej przez Melisę, Dalila wysiada z autobusu w Croydon. Kartonowy kubek po kawie toczy się w podmuchach wiatru. Dziewczyna naciąga swoją wełnianą czapczkę na uszy i mrużąc oczy, przygląda się otaczającym ją budynkom. Rozkłada ulotkę informacyjną, którą dostała w schronisku, i na podstawie fotografii próbuje zlokalizować Lunar House. To najwyższy, prostokątny blok w polu widzenia, siedziba Jednostki Badania Spraw o Azyl. Tchnie nowością, brakiem brudu, okna ma jak niebieskie lustra, co wydaje jej się prawie piękne. Tak właśnie wyobrażała sobie rządowe budynki w Wielkiej Brytanii – schludne linie, atmosfera powagi i misji. Gmach jest imponujący, a w niej wzbiera ekscytacja, nawet nadzieja. Jeśli powie tam wszystko otwarcie i zgodnie z prawdą, gdy już zapiszą sobie jej dane osobowe, pobiorą odciski palców i wysłuchają jej historii, nagrają ją albo zapiszą w swoich komputerach, to w jakiś sposób sama stanie się częścią tej ważnej misji. A jeżeli właśnie stąd wyjdą jej nowe dokumenty, z oficjalnym potwierdzeniem pozwolenia na pobyt, któż im się sprzeciwi? Czy istnieje coś bezpieczniejszego?

Przed wejściem do Lunar House stoi kolejka, składająca się z co najmniej dwudziestu osób. Dalila czeka razem z nimi. Ochroniarz w kamizelce kuloodpornej popędza ludzi do środka. Jego oczy badają każdą twarz w kolejce, a kiedy lądują na obliczu Dalili, ta spuszcza głowę, nie jest w stanie się powstrzymać. W tym momencie wzbiera w niej i kłębi się niepewność. A jeśli nie dostanie w ogóle szansy, żeby opowiedzieć swoją historię? Otworzy usta, lecz słowa nie będą chciały z nich wyjść? A jeśli nawet wyjdą, to czy będą na tyle mocne, aby przekazać to, co się z nią działo?

Wewnątrz budynku kontrola bezpieczeństwa przypomina tę na lotnisku. Dalila kładzie swoją puchową kurtkę, czapkę, torebkę i buty do pojemnika, który na pasie transmisyjnym przejeżdża przez skaner rentgenowski, sama zaś

przechodzi pod wykrywaczem metalu. Ochroniarze sprawdzają wszystkie przedmioty osobiste, wyciągają zestawy do pielęgnacji paznokci, wszelkie igły, szydełka, aerozole, perfumy i płyny. Te ostatnie traktują ze szczególną podejrzliwością. Osoby, którym konfiskuje się jakieś rzeczy, muszą stać osobno, a następnie dostają specjalny bilet, upoważniający do odbioru ich własności przy wyjściu. Reszta tłoczy się, ponownie wciągając paski albo pomagając dzieciom wkładać buty. Dalila przepycha się przez tłum, łapie swoją torebkę i kurtkę.

Trzy oszklone boksy, jak w banku. Podchodzi do pierwszego wolnego i mówi:

– Dzień dobry pani. Nazywam się Irene Dalila Mwathi. Przyszłam złożyć wniosek o azyl.

– Jest pani umówiona? – pyta urzędniczka.

– Tak.

– Cóż, nie widzę pani nazwiska.

Dalila przedstawia pismo z wyznaczonym terminem spotkania, które zostało przefaksowane do schroniska. Podaje urzędniczce także formularz. Wypełniła go sama, swoim najładniejszym charakterem pisma. Podsuwa kenijski dowód osobisty, zdjęcia paszportowe oraz sam paszport.

Urzędniczka wpisuje szczegółowe informacje do komputera na biurku i pyta:

– Gdzie pani mieszka?

– Ja? Nigdzie.

– Więc potrzebuje pani zakwaterowania?

– Tak.

Urzędniczka znów pisze.

– Moje spotkanie jest aktualne? – pyta Dalila. – Komputer znalazł moje nazwisko?

Kobieta podaje Dalili numererek, mówiąc:

– Proszę usiąść i poczekać na swoją kolej. Pani numer zostanie wywołany.

W poczekalni siedzi mnóstwo ludzi i chociaż pomieszczenie jest duże, panuje w nim straszna duchota. Troje dzieci płacze. Jedna z matek chodzi między ławkami i podrzuca niepokieszonego malca na biodrze. Inna próbuje jedną ręką karmić płaczącą niemowlę z butelki, a drugą przytrzymywać trochę większego brzdąca. Mąż nie zwraca na nich żadnej uwagi.

Dalila siada na samym końcu rzędu metalowych krzesel.

Wiele osób jest pochłoniętych swoimi telefonami; grają, piszą esemesy, rozmawiają, nie bacząc na znaki na ścianie, każące wyłączyć telefony komórkowe. Poruszają nogami. Wzdychają. Dzieci nie mogą usiedzieć spokojnie.

Dalila wstaje, zdejmuje kurtkę i znowu siada, zwijając ją na podołku. Grube skarpety zsunęły się do przodu i sterczą z nieosłoniętej części na przodzie butów. Sprawdziwszy, czy ktoś się jej przygląda, Dalila pochyła się i kładzie torebkę na stopy, a potem szybko podciąga skarpetki. Następnie prostuje się i w okolicach kolan poprawia swoją sukienkę w słoneczniki. Czeka ponad godzinę, obserwując, jak mała wskazówka zegara obiega tarczę. Zastanawia się, gdzie będzie spać dzisiejszej nocy. Melissa zapewniała ją, że MSW gdzieś ją zakwateruje, tylko gdzie? W ulotce napisano, że istnieje możliwość jej zatrzymania, lecz Judith i Melissa zgodnie twierdziły, iż kobiety ubiegające się o azyl umieszcza się najczęściej w jakimś hostelu w mieście.

Najczęściej.

Mężczyzna, który siedzi naprzeciwko niej, jest ubrany w brązową marynarkę, podobną do tej, jaką nosił jej ojciec. Miał ją na sobie w dniu, w którym Dalila zaczęła studia. Przywdział wtedy swój niedzielny garnitur i zawiózł ją na uczelnię. Zatrzymał się dokładnie przez bramą wjazdową. Była tak zdeterminowana, aby natychmiast tam polecieć, że szybko wysiadła i zamknęła drzwiczki. Kiedy machała mu na pożegnanie, ojciec przywołał ją z powrotem.

Zsunął szybę w oknie, a potem milczał, jakby nie miał nic do powiedzenia.

– O co chodzi, tato? – spytała.

– Mama kazała ci przekazać, że jest z ciebie bardzo dumna. To znaczy oboje jesteście dumni i chcemy ci to powiedzieć. Jesteś dobrą córką.

Pamięta spojrzenia, które wymienili, i zastanawia się, czy ojciec widzi ją teraz, w tym budynku, w tych żalonych skarpetkach.

Płacz dziecka przeistacza się w ryk na całe gardło. Jego matka wstaje i bierze je na ręce, kołysząc delikatnie i starając się uciszyć, ale płacz trwa, roznosi się po całej poczekalni.

O jedenastej dwadzieścia wywołują numerek Dalili.

Prowadzą ją do pokoju, gdzie musi podać imię, nazwisko, datę urodzenia i narodowość. Kaza jej przyłożyć palce prawej ręki do czytnika, a potem to samo zrobić z kciukiem. Posłusznie powtarza ten proces z lewą ręką. Ma patrzeć prosto w obiektyw. Najchętniej by się uśmiechnęła, ale atmosfera jest zbyt oficjalna, dlatego przejmuje nastrój, w którym są urzędnicy. Eskortujący dziewczynę ochroniarz zabiera ją do sąsiedniego pokoju przesłuchań; Dalila zostaje tam sama, czeka. Wpycha torebkę i kurtkę pod krzesło, siada ze złączonymi kolanami, wyrównuje dekolt sukienki. Spodziewa się urzędniczki, ponieważ Judith specjalnie prosiła, aby przesłuchanie prowadziła kobieta.

Do pokoju wchodzi biali mężczyźni w mundurach. Młodszy pyta:

– Irene Matty?

Dalila wstaje i odpowiada:

– Tak, proszę pana, jestem Irene Mwathi. – Podaje im rękę. Funkcjonariusze siadają. Obaj są pulchni i krótko ostrzyżeni. Młodszy ma tatuaż, którego fragment wystaje spod rękawa koszuli. Starszy ziewa i zerka na zegarek. Mają akta z jej dokumentami, zdjęciami paszportowymi oraz listem. Młodszy rozpoczyna całą procedurę od potwierdzenia wieku, daty urodzenia, narodowości

i stanu cywilnego. Następnie wyjaśnia, jak wygląda przebieg przesłuchania. W wyrazie jego twarzy, zwłaszcza w części między nosem a brwiami, jest coś, co wydaje się Dalili zupełnie obce. Gdy mężczyzna mówi, układa papiery w schludny stosik, delikatnie dotykając ich rogów, aby sprawdzić, czy leżą w idealnej linii.

– Zrozumiała pani wszystko, co przed chwilą powiedziałem, panno Matty?

– Tak, proszę pana, zrozumiałam. Czy to pan będzie mnie przesłuchiwał?

– Przesłuchanie właśnie trwa.

– Ach tak – mówi Dalila. – Ale poinformowano mnie przez telefon, że przeprowadzi je kobieta.

Starszy urzędnik odchyła się w swoim fotelu i krzyżuje ramiona na piersi.

– Nasze koleżanki są teraz zajęte – wyjaśnia. – Jeśli pani chce, może przyjść kiedy indziej. Mam to w nosie.

Dalila patrzy na jego nos.

– Nie – odpowiada. – Możemy porozmawiać teraz.

Starszy mężczyzna pochyla się do przodu.

– Zgoda, zaczynajmy. Co pani robi w Anglii?

Dalila w pełni rozumie to, co maluje się na twarzy starszego urzędnika, i bardzo się stara nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

– Przyjechałam tu, ponieważ groziło mi niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo, no tak. Jakie?

– W moim kraju jest dla mnie zbyt niebezpiecznie. Nie mogę tam wrócić.

Końcem palca wskazującego mężczyzna dotyka drewnianego blatu stołu.

– To my zdecydujemy, czy może pani wrócić.

– Tak, proszę pana – mówi Dalila, zaskoczona jego zachowaniem.

Młodszy urzędnik spogląda na swojego kolegę. Odwraca głowę w kierunku papierów i pyta:

- Dlaczego tam jest niebezpiecznie dla pani?
- Mój wujek jest bardzo groźny. Jeśli mnie znajdzie, zabije.
- Pani wujek?
- Tak, proszę pana.
- A jak on się nazywa?
- Nazywa się Kennedy Kimotho Mwathi.

Gdy młodszy funkcjonariusz to zapisuje, starszy odchyła się w fotelu i mówi:

– No cóż, może po prostu opowie nam pani całą historię, od początku do końca.

Dalila zamyka oczy. Próbuje spojrzeć na to, co się jej przydarzyło, znaleźć moment, który byłby początkiem. Pojawiają się przed nią twarze, a potem znikają. Odnosi wrażenie, że tonie, i jest w tym uczuciu chęć wypuszczenia powietrza z płuc, pozwolenia, żeby wciągnięto ją pod wodę.

– Fajnie byłoby zdążyć przed obiadem – dodaje starszy urzędnik.

Młodszy chrząka i rzuca:

– Proszę się nie spieszyć, panno Matty.

Dalila wyciąga z torebki paczkę chusteczek i wydmuchuje nos. Stara się spojrzeć na swoją historię oczyma dziennikarki, z detalami, a kiedy to robi, staje przed nią jej całokształt.

– Moja rodzina pochodzi z Nakuru – zaczyna. – Moja matka, ojciec i brat, my wszyscy jesteśmy Kikuju. Jesteśmy ludźmi interesu. Mój ojciec miał małą firmę *matatu*, razem ze swoim bratem Kennedym, moim wujkiem.

– Jaką firmę? – przerywa młodszy urzędnik.

– *Matatu*. To takie duże taksówki wieloosobowe – wyjaśnia Dalila. – Tata był mądry i firma bardzo się rozrosła, potem zaczęli wozić turystów po całym kraju, do Nairobi, Mombassy, Thika, Lamu. A nawet przez granicę do Ugandy. Kiedy biznes stał się zbyt wielki, postanowiono, że tata zostanie w Nakuru,

a wujek przeprowadzi się do Nairobi i stamtąd będzie zarządzał wszystkimi minibusami. Brat skończył osiemnaście lat i zaczął studia z zarządzania na koledżu w Nairobi. Dwa lata później ja również wyjechałam do Nairobi, by studiować dziennikarstwo. Chcę być reporterką wiadomości, w telewizji albo w radiu. Jeśli będę mogła zostać w tym kraju, pójdę na jakąś uczelnię i będę się bardzo pilnie uczyć. Jestem dobrą studentką. Chętnie zapracuję na swoje wykształcenie.

Starszy urzędnik unosi brwi.

– Nie będzie tu pani ani studiować, ani pracować. Zrozumiano?

Dalila nie rozumie. Patrzy na młodszego urzędnika, czekając na potwierdzenie.

– Podczas rozpatrywania wniosku o azyl nie wolno podejmować pracy ani studiów wyższych, to niezgodne z prawem – potwierdza młodszy funkcjonariusz. – Jeśli złamie pani ten przepis, zostanie zatrzymana, a następnie deportowana. – Podnosi długopis, jakby chciał coś napisać, a potem pyta: – Dlatego tu pani przyjechała? Żeby dostać pracę?

– Nie, proszę pana, przyjechałam ze względów bezpieczeństwa.

– Dlaczego w Kenii nie jest pani bezpieczna?

– Z powodu wujka.

– Proszę nam o nim opowiedzieć.

Umysł Dalili wciąż próbuje poradzić sobie z informacją, że nie wolno jej tu studiować, odpycha jednak te myśli i stara się skupić na swojej opowieści.

– Po wyborach w Kenii pojawiło się bardzo wielu niezadowolonych – mówi.

– Czy pani rodzina angażowała się w politykę? – pyta młodszy urzędnik, lecz starszy ucisza go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Moja rodzina nie angażowała się w politykę – kontynuuje Dalila – ale protestujący winili o wszystko lud Kikuju. Wielu Kikuju zamordowano. Mój brat przyjechał do Nakuru, chcąc sprawdzić, czy rodzice są bezpieczni. Kiedy tam

przebywał, w nocy przyszli do naszego domu bandyci i kazali się im wynosić. Brat odmówił, wywiązała się walka, gangsterzy zabili całą moją rodzinę. Brata. Ojca. Mamę. Zamordowali ich wszystkich w moim domu. – Dalila czuje, że tata stoi za nią, wyczuwa jego wsparcie. Bierze głęboki oddech i ciągnie opowieść: – Po pogrzebie wujek przejął część firmy należącą do ojca. Mnie zabrał do swojego domu w Nairobi. Powiedział, że nie mogę już studiować w koledżu, ponieważ nie jest tam bezpiecznie. Nie wolno mi było wychodzić na zewnątrz. Codziennie musiałam sprzątać dom i przygotowywać jedzenie. Spałam na podłodze. Traktował mnie jak niewolnicę. Siedziałam w tym domu przez dziesięć miesięcy. Jak w więzieniu. Któregoś dnia odmówiłam dalszej pracy. Rozzłościł się bardzo, wygrażał mi, a potem... zbił mnie pasem. Wychłostał.

Dalila milknie. Słuchała własnego głosu i wyczuła w nim ton, którego miała nadzieję uniknąć. Młodszy urzędnik podnosi wzrok znad notatek i pyta:

– Ma pani jakieś dowody na to znęcanie się?

Dziewczyna szarpie dekolt sukienki i przesuwa go w kierunku ramienia. Odślania się blizna na obojczyku, miejscami nadal różowa.

– Co jeszcze pani zrobił?

Jej opowieść zmierza ku mrocznym fragmentom. Rzeczom, o których nikomu nigdy nie mówiła. Rzeczom, których nie chce opisywać. Czuje napór płynący z głębin swojej istoty. Pojawia się obraz, na którym jest on, kładzie na nią ręce, sprawia, że jej umysł odpływa, znów szybuje wysoko, a ona przygląda się całej scenie spod sufitu. Dalila mocno mruga oczami. Pociera dłońią twarz, próbując wziąć się w garść, być tu i teraz, podczas tego przesłuchania, stawić czoło tym pytaniom.

– Jak się pani tu dostała? – pyta starszy urzędnik.

– Pomógł mi... znajomy. Zorganizował dokumenty i lot.

– Proszę nam opowiedzieć o tym znajomym.

– Nazywa się Charles Okema. To kierowca *matatu*, który pracuje u mojego

wujka.

– Jak go pani poznała?

– Do domu wujka przychodzi zawsze wiele osób. Ciągłe. Musicie wiedzieć, że w Nairobi biznes *matatu* przypomina gangi, proszę mi wierzyć. Walczą o terytorium, opłacają policję, korupcja jest ogromna. Firma mojego wujka jest bardzo duża, jego *matatu* jeżdżą wszędzie. On ma mnóstwo... doradców, ochroniarzy. Jednym z nich był Charles, przychodził do domu codziennie. Tam mnie zobaczył. Pewnego dnia wujek Kennedy przyprowadził do domu chłopca, zaledwie czternastoletniego. Powiedział, że chłopak go zdradził. Wujek był bardzo zły. Bił go pięściami, a kiedy dzieciak padł na podłogę, kopał go. Chłopiec błagał o litość, wołał imię swojej matki, ale wujek kopał i kopał, aż tamten zmarł. Charles był przy tym. Nawet ja to widziałam. Następnego dnia Charles rozmawiał ze mną poufnie. Powiedział, że wie o mojej rodzinie. Że gang, który ją zamordował, zrobił to nie z powodów politycznych, ale na zlecenie mojego wujka. Dodał, że jeśli mam pieniądze, pomoże mi uciec. Chciałam wyjechać, wzięłam więc gotówkę z pokoju wuja i dałam Charlesowi. Bardzo się bałam, ale piętnaście dni później Charles oświadczył, że wszystko jest załatwione. Nazajutrz rano, bardzo wcześnie, zabrał mnie z domu i zawiózł na lotnisko. Dał mi też wszystkie papiery i dokładnie wytłumaczył, co mam robić. W ten sposób dotarłam tutaj.

Starszy urzędnik przesuwając dłoń po policzku. Jego wzrok wbija się w Dalilę, w ciszy słychać szuranie suchych palców o świeży zarost. Przechyla się w bok i szepcze coś do kolegi. Potem mówi do Dalili:

– Sprawdziliśmy pani dane. Okazuje się, że przyjechała pani na podstawie wizy turystycznej.

– Tak jest.

– W jaki sposób ten... Charles Okema załatwił wizę i bilet na samolot?

– Przez Eddiego.

– Jakiego Eddiego?

– Nie wiem, proszę pana. Znam tylko jego imię. Eddie.

– Okłamywanie nas jest przestępstwem, panno Matty, wie pani o tym, prawda? Jeśli to zauważymy, może sobie pani bardzo zaszkodzić. Czy to jasne?

Teraz obaj mężczyźni patrzą na nią, czekając.

Dalila spuszcza głowę.

– Znam tylko imię Eddiego – powtarza. – Nigdy go nie spotkałam. Nigdy z nimi nie rozmawiałam. Charles tylko...

– Proszę mówić głośniej – poleca starszy urzędnik. – Nie słyszę pani.

Dziewczyna przełyka ślinę, prostuje się na krześle.

– Charles podał tylko imię Eddiego. Mówię prawdę.

– Dlaczego nie ubiegała się pani o azyl już na lotnisku?

– Postępowałam zgodnie z instrukcjami.

– Co to znaczy?

– Na lotnisku Charles dał mi paszport z wizą turystyczną, bilet na samolot, list i dolary amerykańskie. Przekazał mi również instrukcje. Powiedział, że muszę się ich nauczyć na pamięć i robić dokładnie to, co jest tam napisane. Potem ktoś miał po mnie wyjść na lotnisko, znajomi Eddiego, ci ludzie mieli mi pomóc. Pokazać, jak się załatwia azyl.

– Spotkała się pani z nimi?

– Tak, zabrali mi pieniądze, a ten mężczyzna... On próbował mnie skrzywdzić, dlatego uciekłam. Nie byłam tam bezpieczna. – Przerywa, czując, że za chwilę przestanie panować nad sobą. Gdy podnosi drżącą rękę do oczu, ogarnia ją dojmujący smutek. Stara się wyczuć obecność ojca, ale jej się nie udaje. – Proszę. Proszę mi pomóc – błaga. – Nie mam tu nikogo. Nie mam gdzie spać. Nie mam pieniędzy. Ja tylko chcę być bezpieczna.

Sięga do torebki po chusteczkę. Dwaj urzędnicy obserwują, jak wydmuchuje nos, i czekają, aż weźmie się w garść.

– Gdzie mieszkają ci ludzie, których spotkała pani na lotnisku? – pyta starszy mężczyzna.

Dalila podaje im adres, którego nauczyła się na pamięć, młodszy funkcjonariusz go zapisuje.

– Jak się nazywają?

– Anne i Markus – odpowiada, pociągając nosem i pocierając oko jednym palcem.

Starszy urzędnik pochyla się i szepcze coś do młodszego. Zerka w notatki, a potem sprawdza godzinę na zegarku.

– Okej, chyba już mamy wystarczająco dużo – stwierdza, wstaje i się rozciąga. – Myślę, że pora na lunch.

Młodszy urzędnik kiwa głową i także się podnosi. Zbierając papiery, mówi do Dalili:

– Otrzyma pani tymczasowe zakwaterowanie na kilka następnych dni, spotka się pani z naszym pracownikiem, który zajmie się pani sprawą. Niewykluczone, że MSW skieruje panią do innego miasta, gdzieś na terenie Wielkiej Brytanii. W takim wypadku zostanie pani przydzielony inny opiekun sprawy. Jasne?

Dalila wydmuchuje nos i kiwa głową.

– Dziękuję, panno Matty.

Tydzień później Dalila siedzi na schodach prowadzących do hostelu, w którym umieściło ją MSW. Schowana za balustradą z kutego żelaza, obejmuje kolana ramionami. Pięć gołębi dziobie rozmokłe okruchy na betonie. Jeden ma chorą łapkę. Jest najbardziej agresywny, kuśtyka na czerwonym kikucie w poszukiwaniu zdobyczy, czasem błędnie biorąc gumę do żucia za pokarm. Ptaki przypominają jej gołębie w Nairobi.

Gołębie – takie same.

Dalila ma katar, cieknie jej z nosa od wielu dni. Wargi są suche. Kiedy oddycha przez usta, powietrze poranka smakuje jak pasta do zębów.

Dalej, na chodniku, dwóch irakijskich nastolatków pali na spółkę papierosa. Gdy jeden z chłopców mruży oczy i wkłada filtr do ust, drugi pozuje, udając policjanta z telewizji, który zakłada włosy za uszy. Zerkają na ulicę, a potem do tyłu, przez ramię. Kopią palcami nóg w czerwoną skrzynkę pocztową, zbyt świadomi obecności tego drugiego, żeby przestać.

Chłopcy udający odważnych – tacy sami.

Czerwone skrzynki pocztowe – inne.

Chłopcy są braćmi. Przyjechali tu przedwczoraj. Nigdy nie słyszała, żeby mówili po angielsku, nigdy nie widziała ich osobno. Zeszłej nocy zsunęła się ze swojej pryczy i udała cichaczem do łazienki. Kiedy na drugim końcu korytarza coś się poruszyło, zamarła. Młodszy z braci leżał na podłodze, wsparty o ścianę, i łkał. Starszy próbował postawić go na nogi. Płacz był tak intensywny, tak rozdzierający, że jej także łzy napłynęły do oczu. Czmychnęła z powrotem do łóżka i wpatrywała się w ciemny sufit, nasłuchując, jak inne kobiety wiercą się pod dyktando snów.

Starszy z irackich chłopców rzuca papierosa i przydeptuje go, a potem bracia wchodzą do środka. Dalila zgina i rozgina swoje zziębnięte palce u nóg, schowane w butach, obserwując gołębia, który zbliża się chybotliwie i sprawdza

niedopałek.

Dziewczyna wstaje i wchodzi do wnętrza budynku. Młody człowiek dysponujący tablicą z przerzucanymi kartkami prowadzi w świetlicy zajęcia z angielskiego, na które może przyjść każdy, bez zapisywania się. Dalila idzie dalej, do stołówki. Cała podłoga jest zasłana porozrzucanymi zabawkami. Po pomieszczeniu biegają mali chłopcy i małe dziewczynki. Stoły poustawiano tak, aby tworzyły kształt litery U. Wolontariusze otwierają czarne foliowe worki z darowaną odzieżą, a następnie wysypują ich zawartość na stół. Kilku mieszkańców pomaga je sortować, większość jednak czyha tylko na te najdroższe. Największą popularnością cieszą się płaszcze i kurtki. Istnieje również spory popyt na ubranka dla dzieci. Gdy Dalila przebiera w ciuchach, wyczuwa słaby zapach ostrzałki do ołówków, jaki wydobywa się z tkaniny. Znajduje parę spodni i trochę bielizny, jeszcze w oryginalnym opakowaniu. Podnosi koszulkę bez rękawów, z wijącym się niebieskim wzorem.

– Siema – mówi młoda wolontariuszka. Tylną część jej głowy zasłania luźna, wełniana czapeczka, pulchną twarz otaczają kosmyki czarnych włosów.

– Dzień dobry – odpowiada jej Dalila.

– Chwileczkę. – Dziewczyna odwraca się do Dalili plecami. Staje za dużym gazowym grzejnikiem na kółkach i powoli przesuwając go bliżej. Grzejnik ma żarnik, który rzuca pomarańczowy blask. Wolontariuszka naciska coś na górnej obudowie urządzenia i niebieskie płomienie ogarniają drugie palenisko. – Tak chyba jest troszeczkę lepiej, nie sądzisz? – zwraca się do Dalili, po czym pyta: – Przepraszam, kochanie, ale jak ci na imię?

– Dalila.

– Dalia?

– Dalila.

– Da-li-la?

– Moje angielskie imię to Irene.

– Irene. Uroczo. Ja jestem Lyndsey. Szukasz czegoś konkretnego?

– Może jakichś butów, jeśli są.

– Pewnie, mamy sześć kartonów butów, o tutaj. – Lyndsey pochyła się przez cały stół i patrzy na skarpetki Dalili, wystające z przodu jej plastikowych sandałów. Jaki nosisz rozmiar? – pyta.

– Szóstkę?

– No to dobrze. Przejrzyj sobie te kartony, o tam. Chodź, pokażę ci.

Obok pudełek stoją solidne damskie buty, parami, ich cholewki przechylają się na boki jak ośle uszy. Lyndsey pochyła się nad kartonem i zagląda do każdego buta w poszukiwaniu odpowiedniego rozmiaru. Dalila kuca i patrzy na stos pasków, sprzączek i sznurówek. Przesuwa dłonią po butach biegowych, czółenkach, kapciach i sandałach.

Jakiś chłopiec jadący na plastikowym traktorze wpada na pudła z butami. Dalila poznaje go. To syn Farnaz. Kilka ostatnich wieczorów siedziała obok nich w czasie kolacji.

– *Salaam*, młody człowieku – mówi, uśmiechając się do dziecka. Dotyka jego policzka, malec oddaje jej uśmiech.

Farnaz podchodzi i się wita. Zabiera synka, żeby bawił się z innymi dziećmi, i podnosi parę czarnych butów.

– Och, te są bardzo ładne – stwierdza. – Irene, potrzeba ci butów?

Dalila kiwa głową.

– Okej, pomogę ci. – Farnaz zaczyna grzebać w pudle. Po chwili oznajmia: – Dzisiaj zgodziłam się na Birmingham. Wielu Irańczyków tam mieszka. Ludzie mówią, że Birmingham to najpiękniejsze miasto w całej Wielkiej Brytanii!

– Będziecie tam szczęśliwi. Na pewno – mówi Dalila.

– *Inszallah*³ – odpowiada Farnaz.

W ciągu ostatniego tygodnia Dalila próbowała zrozumieć system zarządzania

tym strumieniem ludzkim, który przepływa przez hostel. MSW wypychało osoby aplikujące o azyl poza Londyn – do Manchesteru, Birmingham, Newcastle, Glasgow albo Liverpoolu. Nazwa każdego z tych miast widnieje na tablicy korkowej. Jeśli ktoś zobaczy swoje nazwisko pod danym miastem, tam właśnie pojedzie. Jeśli nie, musi czekać w hostelu, dopóki nie znajdą dla niego miejsca. Jutro jest dzień poczty, napięcie narasta od kilku dni.

Mieszkańcy mogą wystąpić z prośbą o skierowanie ich w dowolne miejsce, ale – tak jak Dalila – większość osób w hostelu niewiele o tych miastach wie. Nikt się nie orientuje, czy są duże, czy nie, ani jak daleko leżą od Londynu. Wobec braku wiedzy o faktach, rolę informacyjną przejmują plotki. Utrzymują one, że najlepiej jechać do Manchesteru, ponieważ wszyscy słyszeli o Manchester United, a to znaczy, że miasto musi być ekscytujące i zamożne, skoro ma tak sławną drużynę piłkarską. Ta sama logika, choć w mniejszym stopniu, stosuje się do Liverpoolu. Popularne jest również Birmingham, gdyż wiele osób ma tam krewnych.

Dłoń Dalili trafia na złoty but do gry w koszykówkę. Jego sznurowadła są związane z drugim, do pary. Dziewczyna uwalnia je z płataniny innego obuwia w kartonie i podnosi. Bratu by się ogromnie spodobały. Miał obsesję na punkcie Nike. Dalila pamięta, że gdy był jeszcze małym chłopcem, na swoich płóciennych białych pantoflach rysował logo tej firmy. Kiedy skończył trzynaście lat, zaoszczędził dość pieniędzy, żeby kupić używaną oryginalną parę na targu. Szorował buty szczoteczką do zębów i trzymał je w plastikowej torbie na zakupy, tuż obok łóżka. Potem kroczył w nich z prawdziwą dumą. Właśnie to pamięta najlepiej – jego marsz i uśmiech, gdy zawiązywał sznurówki.

Dalila wstaje i przymierza swój sandał do koszykarskiego buta.

– Te chyba będą dobre na ciebie – mówi Farnaz, podnosząc parę czarnych wysokich butów na obcasie. – Jaki masz rozmiar?

– Szóstkę.

– Ach, to za małe. Znajdę inne. – Odwraca się do Lyndsey. – Ona powiada, że ma szóstkę, są tu takie rozmiary?

Lyndsey przyciąga następny karton i zaczyna wyjmować z niego buty.

Farnaz znów patrzy na Dalilę.

– Zdecydowałaś już, dokąd pojedziesz, Irene?

– Nie.

– Dlaczego? Musisz się wpisać pod jakieś miasto.

– Jest mi obojętne, dokąd pojedę – mówi Dalila. – Bóg zdecyduje.

– Jeśli sama tego nie zrobisz, przypiszą cię do Glasgow – tłumaczy Farnaz. – A Glasgow jest bardzo złe, bardzo brudne.

Dalila słyszała wcześniej plotki krążące o Glasgow. Nikt nie miał o tym mieście nic dobrego do powiedzenia. Mówiono, że jest daleko, daleko na północy, w jakimś innym kraju. Że zawsze jest tam zimno, leży śnieg, bardzo wieje. Niektórzy uważali, że w Glasgow nie mówi się w ogóle po angielsku i że mieszkańcy są paskudni, to rasiści. Zabijają azylantów nożami. Jak już się człowiek tam znajdzie, wszyscy o nim zapominają. Nikt w hostelu nie chce jechać do Glasgow. W zeszłym tygodniu pod nazwą tego miasta przyczepiono karteczkę z nazwiskiem jednej kobiety, a ona natychmiast zalała się łzami. Jeśli ktoś znajdzie się na tej liście, próbuje się zamienić. Błaga, żeby skierowano go gdzieś indziej. Niektórzy odmawiają wejścia do autobusu. Inni się ukrywają, noce spędzają w parku, w nadziei, że w kolejnym tygodniu zostaną przydzieleni do jakiegoś innego miasta.

– Och, Glasgow wcale nie jest takie złe – mówi Lyndsey. – Urodziłam się tam. Nie wierzycie mi? – pyta, kiedy Farnaz spogląda na nią. – Pokażę wam.

Gdy Lyndsey odchodzi w kierunku stołówkowej kuchni, Farnaz zwraca się do Dalili:

– Proszę, zapisz się na Birmingham. Pojedziesz ze mną.

Lyndsey wraca z kalendarzem. Przerzuca jego kartki na luty i pokazuje im

zdjęcie.

– Widzicie? To Glasgow.

Pod błękitnym niebem, nad błękitną rzeką stoją metaliczne, sprawiające futurystyczne wrażenie budynki.

– To jest kino IMAX i Centrum Nauki – wyjaśnia Lyndsey, wskazując na zdjęcie. – A to siedziba BBC.

– Telewizji BBC? – upewnia się Dalila.

– No tak, to BBC Szkocja, a obok jest centrala STV. Nad samą rzeką wznosi się cały kompleks medialny.

– Z dziennikarzami? – dopytuje się Dalila.

– Oczywiście, wiadomości nadaje się właśnie z tego budynku.

Farnaz przygląda się fotografii i potrząsa głową.

– Wydaje mi się, że tam jest bardzo zimno – mówi. – Odwraca się, podnosi parę czarnych butów i podaje je

Dalili. – Te będą dla ciebie lepsze. Weź. Przymierz je.

Są lepsze.

Dalila patrzy na złote najki, które trzyma w ręku.

– Te mi się podobają – oświadcza.

– Ale to nie jest obuwie dla kobiet – zauważa Farnaz.

Dalila wsuwa stopy w buty do koszykówki. Czuje kształt obcej nogi, lecz złoto lśni czystością. Podnosi wzrok na obie kobiety i uśmiecha się szeroko.

Nazajutrz rano na tablicy wisi lista. Wszyscy tłoczą się przed nią. Farnaz i jeszcze dwie kobiety z sali sypialnej Dalili dostają Birmingham. Jakaś mieszkanka Konga bierze na ręce swojego synka i zaczyna płakać. Dla niej jest Glasgow. Bracia z Iraku jadą do Manchesteru. Obejmują się i wymieniają uściski dłoni z kilkoma mężczyznami. Dalila słyszy słowa „Beckham” i „Rooney”. Ciżba zaczyna się rozpraszać. Paru facetów wychodzi na dwór zapalić. Niektórzy

rozmawiają w świetlicy. Większość kobiet wraca do swoich pokoi, aby się pakować.

Dalila podchodzi bliżej tablic i lustruje listę w poszukiwaniu swojego nazwiska. Widzi to, co spodziewała się zobaczyć. Jej imię znajduje się na samej górze pod „Glasgow”.

Cała trójka wyjeżdża na północ minibusem o godzinie jedenastej trzydzieści. Kongijka ze swoim synkiem w wieku niemowlęcym oraz Dalila. Dwie pozostałe osoby z listy się nie pojawiły. Nie można ich nigdzie znaleźć na terenie hostelu, ich bagaży nie ma przy łóżkach.

Kierowca jest młody, z kucykiem. Prowadzi z ręką przełożoną przez dolną część kierownicy. Nie rozmawia i nie patrzy na nich w lusterku wstecznym.

Autostrada jest wspaniała. Idealna. Żadnych dziur. Żadnych fragmentów pozbawionych asfaltowej nawierzchni. Nikt nie łązi na poboczach. Nie ma sprzedawców oferujących jedzenie. Ani chłopców pasących bydło. Nie ma dzieci, który by machały do przejeżdżających samochodów.

Drogi – inne.

Mija godzina, a Kongijka wciąż ociera łzy wierzchem ręki. Jej dziecko stęka przez sen.

Mijają pola, bardzo zielone pola. Kwadratowe skrawki ziemi, zaorane w równe rzędy. Każdy zakątek krajobrazu jest wykorzystany i uprawiany, nawet drzewa są sadzone w prostych szeregach, między ich górnymi gałęziami przesuwają się mgły. Mijają zielone znaki nad autostradą, szarą rzekę oraz stację benzynową, wymalowaną w podstawowe kolory. Przejeżdżają obok złomowiska, miasta zbudowanego z betonu i niszczonego kamiennego zamku. Czarno-białe krowy stoją na chłodnych wzgórzach, ich wymiona są powalane błotem.

Krowy – inne.

Dalila przygląda się swojemu odbiciu w szybie, które mknie przez ten mokry

i budzący niepokój kraj.

Po wielu milach zaczyna padać deszcz. Kropelki spływają po oknie. Dalila opiera głowę o chłodne szkło. Wibracje przechodzące przez jej czaszkę umożliwiają pozbawioną snów drzemkę.

³ Jak Bóg da (przyp. tłum.).

Furgonetka dociera do Glasgow po zachodzie słońca. Kiedy silnik gaśnie, jedynym dźwiękiem, jaki słycać, jest bębienie deszczu o dach. Dziecko Kongijki zaczyna kwilić. Kierowca wyskakuje, otwiera przesuwne drzwi boczne i bierze walizkę kobiety, podczas gdy ona niesie niemowlę. Dalila chwyta swoją torebkę oraz zawiniątko z używaną odzieżą, którą zgromadziła w hostelu. Kuląc się pod wiatrem i zacinającym deszczem, grupka idzie szybko przez parking w kierunku starego kamiennego budynku. Gdy są już w środku, Dalila ociera wodę z czoła.

Dziecko wrzeszczy już na całego. Matka kołysze je, coś do niego szepcze, ale płacz staje się coraz bardziej histeryczny. Pokój to skrzyżowanie biura z pokrytym wykładziną holem z recepcją. Za biurkami siedzą jakaś starsza kobieta i chudy mężczyzna, na stoliku między nimi leży otwarte pudełko herbatników. Kobieta wstaje i idzie pomóc Kongijce. Na zmianę grucha i mówi coś groźnie do niemowlęcia, lecz nic nie powstrzymuje jego wrzasku.

Mężczyzna podchodzi do Dalili i do kierowcy. Jest wyższy, niż podejrzewała.

- Która jest godzina, twoim zdaniem, co? – zwraca się do kierowcy.
- Nie zaczynaj, dobra? – odpowiada kierowca.
- Już po dziewiątej.

Dalila cofa się, niepewna, czy ta rozmowa ma z nią związek, czy nie. Jej oczy wciąż próbują się przystosować do światła, musi skorzystać z toalety. Wycie dziecka wdziera się prosto do jej głowy, przesłaniając jakiegokolwiek myśli, zanim te zdążą powstać.

Kierowca wręcza chudemu mężczyźnie segregator i mówi:

- Podpisz to, żebym mógł się odmeldować i skoczyć na pintę.
- Pintę?

– No, pintę – potwierdza kierowca. – A może nawet dwie.

Chudzielec wzdycha. Lustruje wzrokiem dokumenty i mówi:

– Dobra, czyli mamy dwa nowe przybycia?

– Trzy, licząc z dzieckiem.

– Panienko – zwraca się chudy do Dalili. – Proszę pani, jak się pani nazywa?

– Mam na imię Irene – odpowiada dziewczyna.

– Mogę zobaczyć pani kartę ARC⁴?

Dalila pokazuje mu kartę. Mężczyzna mówi:

– Proszę podpisać tutaj i tutaj.

Dziecko wydaje z siebie przeszywający wrzask, sprawiając, że wszyscy w pomieszczeniu nieruchomieją. Kongijka sama zalewa się łzami, starając się włożyć niemowlęciu smoczek do ust.

Dalila spogląda na papiery, na słowa, nie może się jednak skupić, by zrozumieć ich znaczenie. Podpisuje dokumenty.

Chudy mężczyzna woła do koleżanki:

– Maggie, jadę ich zawieźć do Govan.

– W porządku – odpowiada kobieta. – Zobaczymy się jutro.

– No dobra, Irene, chodź ze mną, zaprowadzę cię do twojego lokum.

Przytrzymuje drzwi i Dalila wychodzi w spokojną noc. Deszcz pada mniej ulewnie. Po drugiej stronie ciemnego parkingu dziewczyna dostrzega trzy furgonetki. Jej ciało się napina, czuje, że rytm serca przyspiesza. Przemożna chęć ucieczki walczy w niej o lepsze z jeszcze silniejszym pragnieniem, aby po prostu usiąść i odmówić wszelkiego ruchu. Odwraca się szybko w stronę wejścia do budynku i wpada na chudego mężczyznę, który upuszcza kluczyki do samochodu.

– Przepraszam – mówi chudzielec. Schyla się, wyławia kluczyki z kałuży i wyciera je o spodnie. – Przepraszam za wszystko, co tam się działo. Przy okazji,

jestem Paul.

Dalila patrzy na jego wyciągniętą dłoń. Potrząsa nią, nie zdjawszy rękawiczki.

– To tylko pięć minut jazdy – dodaje Paul. – Zaraz zabierzemy cię z tego deszczu do ciepłego mieszkania. Chodź.

Idzie za nim, w bezpiecznej odległości, przez ciemny parking do jednego z vanów. Mężczyzna sadowi się za kierownicą. Furgonetka jest bardzo podobna do *matatu*, którym jeździł jej ojciec. Dalila otwiera przesuwne drzwi z boku i zajmuje miejsce z tyłu pojazdu.

Furgonetki – takie same.

– Możesz usiąść z przodu, jeśli chcesz.

– Nie trzeba – odpowiada.

Długie palce mężczyzny zaciskają się na kierownicy. Ruszają, jadą po mokrych ulicach, między budynkami z ciężkiego kamienia. Paul pali papierosa. Otwiera szybę w oknie na grubość cala i w tę szczelinę strzepuje popiół. W radiu toczy się dyskusja na żywo, z udziałem słuchaczy. Wyrażane opinie są pełne pasji, wręcz agresywne, ale akcent mówiących jest zbyt twardy i Dalila nie nadąża ze zrozumieniem. Wydaje jej się, że rozmawiają o futbolu.

Furgonetka wjeżdża na jakiś parking. Rozbite kawałki szkła, porozrzucone po asfalcie, migoczą w świetle lamp pojazdu. Paul wyłącza silnik. Wycieraczki nieruchomieją pośrodku szyby.

– No to jesteśmy na miejscu – informuje.

Dalila wysiada, ściskając torebkę pod pachą, w drugiej ręce trzyma pakunek ubrań z hostelu w Londynie. Na ulicy nie ma ani jednej osoby. Mrugająca rytmicznie sygnalizacja świetlna rozjaśnia długą, pustą jezdnię. Gdy krople deszczu przelatują obok pomarańczowych żarówek, wydaje jej się, że całą dzielnicę zalewa jeden gigantyczny prysznic. Nawet przez puchową kurtkę czuje zimno. Wystawia twarz na deszcz. Trzy blade wieżowce, betonowe i prostokątne,

nikną w mroku gdzieś ponad ulicznymi latarniami. W kilku oknach za zaciągniętymi zasłonami pali się światło.

Martwe ulice – inne.

Lodowaty deszcz – inny.

Paul naciąga kaptur na głowę, łapie segregator z siedzenia dla pasażera i truchta w stronę najbliższego budynku, pilotem zamykając furgonetkę.

– Chodź – woła. – Wejźmy do środka, zanim kompletnie zmokniemy.

Dalila patrzy na najbliższy wieżowiec. W Nairobi jej koleż zajmował cztery pierwsze piętra podobnego budynku.

Bloki – takie same.

W holu śmierdzi wybielaczem i uryną. Na metalowych drzwiach windy ktoś nabazgrał jakieś graffiti. Da się głównie odczytać słowa IBROX YF.

– No dobrze – mówi Paul – teraz wyjaśnię ci, jak działają windy. Widzisz te numerki nad drzwiami? Ta winda zatrzymuje się tylko na parzystych piętrach, a ta – tylko na nieparzystych. Ty mieszkasz na siedemnastym, więc skorzystamy z tej.

Drzwi się otwierają, wchodzą do wnętrza obitej metalowymi panelami kabiny. W rogu pod sufitem tkwi kamera monitoringu, która ich filmuje. Paul wciska guzik z numerem siedemnastym. Pęcherz Dalili najpierw gwałtownie opada, a potem odbija się i wraca na miejsce, gdy jadą samym środkiem wieżowca.

Na siedemnastym piętrze winda się otwiera. Dokładnie naprzeciwko widać ciężkie drzwi z czerwonym napisem WYJŚCIE AWARYJNE. Wyżej na ścianie znajduje się świetlówka w ochronnej drucianej siatce. Na prawo jest niewielkie półpiętro z czworgiem zielonych drzwi, a na lewo – podobne półpiętro, z takimi samymi drzwiami. W powietrzu wciąż unosi się wyraźny zapach wybielacza, a także słaba, zastała woń dymu z papierosów. W tej ogólnej ciasnocie Dalila nie może się pozbyć wrażenia, że jest tu intruzem.

Paul przebiera w pęk kluczy, a następnie otwiera jakieś drzwi. Przesuwają się w głąb zaledwie kilka cali, potem zatrzymują na łańcuchu, który trzyma mocno i uniemożliwia wejście.

– Tak? – odzywa się jakiś głos zza drzwi.

– Dobry wieczór. Tu Paul ze spółdzielni mieszkaniowej. Pamięta pani? Mówiłem, że przyjedziemy.

Oko Afrykanki przygląda się im zza łańcucha.

– Nie pukacie? Od razu wchodzić? O co wam chodzi? – irytuje się kobieta.

– Kto założył ten łańcuch na drzwi? – pyta Paul.

– Ja. Ja założyłam.

– Nie wolno tak niszczyć własności prywatnej, wydaje mi się.

– Wy nie pukacie, ludzie. Za każdym razem po prostu sobie wchodzić.

Paul wzdycha. Dalila widzi, że mężczyzna zмага się z problemem, nie bardzo wiedząc, jak go załatwić. W końcu mówi tylko:

– Przepraszam, że tak późno.

Drzwi się zamykają, łańcuch zostaje odczepiony. Gdy znów się otwierają, Afrykanka odwraca się na pięcie i drepcze w głąb mieszkania. Dalila wchodzi do środka za Pauliem, zauważając, że mężczyzna wysuwa ramiona do przodu, jakby garbiąc się w ten sposób, chciał ukryć własny wzrost albo przeprosić za swoją obecność.

Po wewnętrznej stronie drzwi spoczywają trzy pary damskich butów, kopnięte i porzucone bezładnie. Na ścianie, na jednym haku wiszą płaszcz i parasolka.

Dalila zsuwa swoje złote koszykarskie obuwie i umieszcza je równo pod ścianą.

Paul otwiera segregator i mówi:

– No dobrze, Maza, to jest dziewczyna, o której pani mówiłem.

Ona odwraca ku niemu twarz.

– Nazywam się Ma’aza. Ma’aza!

– Zgadza się, Maza, tak właśnie powiedziałem. – Sprawdza coś w segregatorze, przesuając palcem po liście. – A to jest, hm, Irene. Pochodzi z Kenii, która chyba sąsiaduje z Etiopią, prawda? Jesteście więc sąsiadkami. Będziecie miały mnóstwo wspólnych tematów do rozmowy, jestem pewien.

Ma’aza krzyżuje ręce i staje w rozkroku, z zaciśniętymi ustami. Ma długą i giętką szyję, jak tułów gekona. Jej wzrok sięga daleko, jest przeszywający.

– Ma’aza uprzejmie zgodziła się dzielić z tobą to mieszkanie – zwraca się Paul do Dalili. – Tylko przez krótki okres, rozumiesz, dopóki nie zwolni się coś bardziej odpowiedniego. Pomyślałem, że tutaj będzie ci o wiele wygodniej niż w hostelu.

Dalila wyciąga rękę. Ma’aza rzuca okiem na skarpetki na jej nogach. Odwraca głowę w bok i niechętnie podaje jej swoją wiotką dłoń.

– Nie zawsze umieszczamy obcych sobie ludzi w jednym mieszkaniu, ale to tylko chwilowo – wyjaśnia Paul. – Poza tym jestem pewny, że Maza chętnie pokaże ci całą okolicę.

Etiopka mlaska językiem i wskazując drzwi za plecami Dalili, oznajmia:

– Ona śpi tam.

Cała trójka obraca się twarzą do drzwi, które Paul otwiera pchnięciem.

– Och, widzę, że wyniesiono stąd wszystkie rzeczy osobiste. Jest pani pewna tej decyzji?

– Ja śpię w salonie – oświadcza Ma’aza.

– No cóż, okej. Irene, wygląda na to, że masz cały pokój tylko dla siebie. To bardzo miło z pani strony, Mazo. Dziękuję.

Ze środka sufitu zwisa goła żarówka. Widać jednoosobowe łóżko. Zastłonę w kwiaty. Dywan jest zielony, szafa biała. W rogu odłazi ze ściany tapeta,

wygięta niczym liść bananowca. Dalila kładzie torebkę na podłogę. Sama nie wie, czego się właściwie spodziewała, ale czuje, że to miejsce nigdy nie będzie dla niej domem. A jednak ów pozbawiony wyrazu pokój ma w sobie coś dziwnie dodającego otuchy. Przypomina jej, że to jedynie tymczasowe rozwiązanie, dopóki nie załatwi reszty formalności. Na razie zaspokaja ono wszystkie jej potrzeby.

– Pokażę ci pozostałą część mieszkania – proponuje Paul.

W ciasnej łazience nie ma okna. W zasłonie prysznic, wiszącej nad wanną, zachowała się szpitalna, plastikowa woń. Ściany mają kremowy kolor, tak samo jak w nowej sypialni Dalili, tutaj również są tapety o identycznej fakturze. Deska sedesowa jest drewniana. Na obudowie wanny brakuje kafelków. W narożnikach rośnie czarna pleśń, rozchodząc się po fudze między płytkami.

– Więc tak, to jest prysznic – mówi Paul. – Żeby działał, trzeba to pokrętko ustawić w pozycji „on”, a to w „off”, temperaturę wody reguluje się tą tarczą, tutaj. Rozumiesz?

Dalila kiwa głową.

– Widziałas wcześniej podobny prysznic?

Nie widziała, ale znów potakuje głową.

– Zawsze zaciągaj zasłony, żeby woda nie chlapała na podłogę, i pamiętaj, by pociągnąć za ten sznurek. – Paul szarpie sznurek i uruchamia wentylator. – To jest zasysacz. Umożliwia pozbycie się pary z pomieszczenia, kiedy bierzesz prysznic. A to grzejnik. – Pociąga za sznurek urządzenia przyśrubowanego nad wieszakiem na ręczniki, ale nic się nie dzieje. Kilka razy szarpie mocniej, bez skutku.

– To zepsute – odzywa się Ma’aza. – Już im mówiłam, ale nic nie zrobili.

– Och – rzuca Paul. – A wypełniła pani formularz? – Otwiera segregator, Ma’aza przygląda się drukowi uważnie.

– Tak – odpowiada. – Wypełniałam dwa razy. A także zgłoszenie na to. –

Rozsuwa zasłonę prysznicową i wskazuje pleśń oraz brakujące kafelki. – Woda się tam dostaje. To niezdrowe. Oni muszą to naprawić.

– No tak, cóż – mówi Paul – możemy wypełnić kolejne zgłoszenie do konserwatora, jeśli pani chce.

– Żadnych więcej pism – oświadcza Ma’aza. – Oni muszą tu ponaprawiać wszystko.

Paul wysuwa formularz z polietylenowej koszulki i zaczyna go wypełniać. Kobieta podchodzi bliżej, żeby dokładniej zobaczyć, co on tam pisze.

Dalila rzuca na nią ukradkowe spojrzenie. Ma’aza ma włosy zaczesane do tyłu i zaplecione w szpic, który sterczy jej u podstawy czaszki. Kiedy stoi bezpośrednio pod lampą w łazience, wyraźnie widać jej blizny. Trzy małe, czyste nacięcia w obu brwiach oraz maleńki krzyżyk wryty pośrodku czoła. Piękne blizny. Będąc w koledżu, Dalila zauważyła, że niektóre cudzoziemki, na przykład Etiopki, nosiły podobne znaki, nigdy jednak z żadną z nich się nie zaprzyjaźniła. Jej brat nie lubił tych wszystkich imigrantów i uciekinierów z północy. Sudańczyków, Somalijszczyków, Etiopczyków. Mówił, że przyjeżdżają do Kenii rozrabiać. Dalila pamięta, że w pierwszym tygodniu jej studiów brat przedstawił ją swoim znajomym. Wszyscy byli Kenijczykami, w większości z ludu Kikuju; zaprzyjaźniła się z nimi i już tak zostało.

Paul zamyka segregator. Obie dziewczyny idą za nim do przedpokoju. Mężczyzna otwiera drzwi do salonu, do którego Ma’aza przeniosła wszystkie swoje rzeczy.

Pod jedną ścianą tkwi szara sofa z zielonym kraciastym kocem, zwisającym z poręczy. Naprzeciwko niej stoi komoda z sosnowego drewna, a obok szklany stolik do kawy, przy samej ścianie. Na nim znajduje się telewizor z odtwarzaczem DVD, umieszczonym niepewnie na odbiorniku. Po stoliku walają się płyty, jest tam także kubek, puste opakowanie po chipsach, papierki po czekoladowych batonach, szczotka do włosów oraz czasopisma. Pod drugiej stronie pokoju,

wetknięte pod okno, stoi łóżko z pryzmą rozpakowanych ubrań. Nad nocnym stolikiem widać zdjęcia przytwierdzone taśmą klejącą do ściany; Dalila przypuszcza, że są to fotografie rodziny Ma'azy.

To prywatna przestrzeń tej kobiety. Żeby się dostać do sąsiedniej kuchni, Dalila musi przejść przez jej terytorium, jak intruz. Paul idzie prosto do kuchni. Ma'aza snuje się po pokoju, chowa ubrania pod kołdrę, zbiera płyty DVD na kupkę. Kiedy się odwraca plecami, Dalila przebiega szybko do aneksu kuchennego.

Z niemal naturalną wesołością Paul tłumaczy jej działanie tosterka, mówi, jak napełniać czajnik, który to kran z gorącą wodą. Wszystko tutaj to maszyny. Dalila przygląda się, jak mężczyzna włącza i wyłącza poszczególne urządzenia, otwiera każdą szafkę i zagląda przez drzwiczki piekarnika. W tym pomieszczeniu dziewczyna czuje się jeszcze bardziej nieswojo niż w sypialni. Przypomina jej ono kuchnię w domu wuja, gdzie zmuszano ją do gotowania i gdzie często sypiała. Gdy słyszy jakieś pytanie, które kieruje do niej Paul, kiwa głową. Lecz tak naprawdę nie może się powstrzymać, by nie zerkać do salonu na Ma'azę, która siedzi teraz na sofie i przerzuca kanały w telewizji.

Paul wyciąga z szuflady drewnianą łyżkę i dźga nią w czujnik dymu na suficie. W porządku. Odwraca się do Dalili i mówi:

– No dobrze, to chyba wszystko. Masz jakieś pytania?

Dziewczyna potrząsa głową.

– W tym pakiecie jest o wiele więcej informacji – dodaje, wręczając jej plastikową koszulkę z ulotkami i broszurkami. – Jak to sobie przeczytasz, dowiesz się, gdzie jest przystanek autobusowy, punkty usługowe, wiesz, tego typu sprawy.

– Dziękuję – mówi Dalila.

– Zanim sobie pójdę, mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

Ona spuszcza głowę.

– Dobrze, w takim razie proszę, podpisz tutaj i tutaj.

Gdy Dalila pisze swoje nazwisko, Paul zwraca się do Ma'azy:

– Dzięki, że się pani na to zgodziła. To tylko chwilowy układ, na parę tygodni. Myślę, że znajdę rozwiązanie zadowalające wszystkich.

Ma'aza świdruje współlokatorkę wzrokiem.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebować – zwraca się Paul do Dalili – po prostu powiedz o tym Mazie. Jestem pewny, że chętnie ci pomoże. Wrócę za kilka dni, ale zawsze możecie zadzwonić do spółdzielni mieszkaniowej. Numer jest na kopii formularza. Och, zapomniałem, tu jest klucz, proszę. Pamiętajcie, żeby zawsze zamykać drzwi, kiedy wychodzicie.

– Dziękuję panu.

Podają sobie ręce, jakby zawarli niezwykle ważną umowę. Paul wychodzi z mieszkania, Dalila zamyka za nim drzwi. Patrzy na klucz i zaciska na nim wszystkie palce.

Drzwi od salonu też się zamykają.

Dalila idzie do swojego pokoju i robi z drzwiami to samo, jednak klucz w jej dłoni, wypolerowany i błyszczący jak nowa moneta, nie pasuje do zamka. Wkłada go do portmonetki, a potem siada na łóżku.

Koło dywanu, pod oknem, widać piegi pleśni wyrastającej spod tapety. Gdyby był tu jej ojciec, wiedziałby, jak sobie z tym poradzić.

Dalila wstaje i odsuwa zasłonę. W podwójnej szybie widzi swoje rozmazane odbicie, które wpatruje się w jej oczy. Za oknem rozciąga się głęboka, nieprzerwana ciemność. Gasi światło i wraca do parapetu. Gęsta mgła blokuje widok. Dziewczyna przyciska czoło do zimnej szyby i próbuje zajrzeć bezpośrednio na dół, lecz dostrzega tylko pomarańczową poświatę ulicznych latarni.

Zza ściany sąsiedniego mieszkania dobiega ją słaby dziewczęcy śmiech. W uszach Dalili brzmi on tak, jakby chichotały dwie małe dziewczynki.

Nasłuchuje i odbiera głosy innych członków rodziny, która mieszka tuż obok. Bezpośrednio pod nią też muszą być ludzie. Szesnaście pięter w dół, sypialni takich jak ta. Nad nią zresztą także. Ludzie. Są wszędzie, oglądają telewizję, rozmawiają w gronie rodzinnym.

Albo siedzą samotnie, jak ona.

Kładzie się na łóżku, burzy kołdrę, zaciska jej poszwę ciasno na obu palcach wskazujących. Bierze głęboki oddech i leży absolutnie bez ruchu.

„Jesteś tutaj – szepcze w ciemności. – Jesteś tutaj”.

⁴ Karta ARC (Alien Registration Card) – dokument rejestracyjny cudzoziemców (przyp. tłum.).

Dalila się budzi Siada i przeciera rękami oczy.

W mieszkaniu panuje cisza.

Bierze prysznic, wyciera wannę, myje zęby, szoruje umywalkę do czysta. Owinięta w ręcznik szybciotko wraca do swojego pokoju. Powietrze jest tu chłodniejsze, widzi nikłą parę unoszącą się z ust. Wciąga na siebie ubranie, wilgotny ręcznik wiesza na drzwiach szafy.

Siada na łóżku i nasłuchuje. Wiatr za oknem. W mieszkaniu brak ruchu.

Podnosi broszurkę informacyjną, którą dostała wczoraj wieczorem. Czyta tytuł: „Witamy w Glasgow: przewodnik dla nowo przybyłych i uchodźców”. Zdjęcie na okładce przedstawia posąg mężczyzny na koniu. Mężczyzna ma na głowie jasnopomarańczowy pachołek, taki, jaki stosuje się na drogach. W środku są fotografie ludzi siedzących w klasach, dzieci wpatrzonych w monitory komputerów oraz uśmiechniętej policjantki w żółtej fluorescencyjnej kamizelce. Są mapki i trasy autobusów, adresy sklepów sprzedających jedzenie *halal*, a także afrykańskich fryzjerów. Numery telefonów, pod którymi oferuje się pomoc prawną, gdzie można zgłaszać przemoc domową, numery pogotowia ratunkowego oraz Służby Wsparcia Ubiegających się o Azyl.

Otwierają się jakieś drzwi i Dalila słyszy, jak Ma’aza, szurając nogami, idzie do łazienki. Próbuje czytać dalej, ale cała jej uwaga kieruje się ku ruchom współlokatorki. Tamta splukuje wodę w toalecie, a potem otwiera i zamyka drzwi.

Dalila zmusza się, aby dalej studiować broszurkę. Szkicowa mapka Glasgow przedstawia bladoniebieską rzekę o nazwie Clyde, która dzieli miasto na dwie części. Autostrada, zaznaczona na granatowo, przecina Glasgow z północy na południe. Reszta to zniechęcająca platanina ulic i zielonych połączy parków. Każda dzielnica ma osobliwie brzmiącą nazwę: Possilpark i Pollokshields, Dennistoun

i Dowanhill. Dalila zastanawia się, w której części miasta obudziła się dziś rano.

Wstaje i przesuwa zasłonę. Wszędzie rozciąga się szarość, pozbawiona wszelkich odcieni, niezmienna. Taką samą barwę widzi bezpośrednio przed sobą, jak również na widnokręgu. To nie chmury. Nie smog. Ani śladu słońca. Światło dnia sączy się znikąd. Przelatuje mewa, Dalila odchodzi od okna. Nigdy dotąd nie była aż tak wysoko. Daleko w dole są srebrne dachy magazynów, dachówki domów, kominy i puste ulice. Nie widać ani jednej osoby. W oddali, na krańcach miasta, samolot podchodzi do lądowania.

„Glasgow”. Czuje to słowo w ustach, gdy je wymawia. „Glasgow”.

Słyszając szum wody oraz brzęk naczyń dobiegające z kuchni, Dalila idzie korytarzem i puka delikatnie do drzwi Ma’azy.

Ma’aza otwiera je do połowy. Oczy ma nadal spuchnięte, a na sobie jedynie długi T-shirt.

Dalila rzuca okiem na aneks kuchenny w jej pokoju, a potem spuszcza głowę.

– Przepraszam – mówi – nie chciałam... Myślałam, że gdybyś...

Ma’aza wzdycha, długo i powoli.

– Chcesz herbaty? – pyta.

Dalila nawiązuje z nią kontakt wzrokowy na jedną sekundę i odpowiada:

– Tak. Dziękuję.

Ma’aza otwiera szerzej drzwi i wskazuje kuchenkę.

– Zrób herbatę. Ja się ubiorę.

Pokój Ma’azy pachnie maślaną i chyba osmalonymi włosami. Odnosi się tu bardzo silne wrażenie czyjejs prywatności; Dalila przebiega przez wykładzinę i staje bezpieczna na linoleum. Ma’aza wyjmuje z komody jakieś ubrania, zbiera spodnie z podłogi i znika w korytarzu, zmierzając do łazienki.

Kuchenka składa się z samych przycisków, numerów na panelach i światełek.

Dalila zgina i rozgina palce, tęskniąc za normalnym ogniem. Nawet wtedy, gdy firma ojca zaczęła przynosić pieniądze i ich rodzina przeprowadziła się do nowocześniejszego domu, na podwórzu, z tyłu, zawsze rozpalali ognisko do gotowania. Wydawało im się to łatwiejsze, bardziej krzepiące. Ale osmolone garnki i dmuchanie w żar to już przeszłość. W każdym razie nie jest tak, żeby Dalila nigdy nie miała do czynienia z kuchenką elektryczną. Potrafi ją włączyć. Otwiera lodówkę i na jej drzwiach znajduje plastikowy dzbanek z mlekiem. Wącha je. Zagląda do każdej szafki i wreszcie ma to, co jest jej potrzebne: rondel, pudełko z herbatą, dwa kubki i drewnianą łyżkę. Wszystko kładzie szeregiem na kontuarze. Teraz trzeba już tylko rozszyfrować kuchenkę. Przełącza panel na szóstkę, ale nic się nie zaświeca. Przesuwa wnętrzem dłoni nad płytą grzejną, nie czuje jednak ciepła. Próbuje z innym panelem. Wciąż nic.

Ma'aza staje za nią i wyjaśnia:

– Musisz włączyć kuchenkę do prądu. – Nachyla się i pstryka czerwony przełącznik na ścianie. Światełka paneli błyskają, płyta zaczyna się nagrzewać.

– Dziękuję – mówi Dalila. – Muszę się wszystkiego nauczyć.

– Odeślą cię, zanim się nauczysz czegokolwiek – odpowiada Ma'aza.

– Ja się uczę bardzo szybko – podkreśla Dalila.

Kładzie rondel na rzucającą pomarańczową poświatę płytę, wlewa mleko i wrzuca dwie saszetki herbaty. Drewnianą łyżką miesza zawartość rondla, przyglądając się torebkom herbaty, które wirują na powierzchni.

Ma'aza zdejmuje pokrywkę z pocerniałego dzbanka, po czym napełnia go wodą i zmieloną kawą.

– W Etiopii pijamy kawę. Herbata jest dla dzieci.

Ma'aza przerzuca kanały w telewizorze. Dwóch prezenterów siedzi na masywnej kanapie i omawia nagłówki gazet. Kobieta otwiera drzwi szafy i przygląda się sobie w lustrze. Wciera w twarz jakiś krem, potem także w przedramiona i czesze się grzebieniem. Dalila obserwuje ją z boku. Zawsze

myślała, że Etiopki mają szczęście do pięknych włosów, jedwabistych loków, przez co wyglądają na pół Arabki, pół Afrykanki. Dalila dotyka aksamitnego meszku na swojej wygolonej głowie. Może teraz, w tym nowym miejscu, powinna trochę zapuścić włosy.

Znad mleka unosi się para. Saszetki herbaty barwią je na brązowo. Dalila wyłącza kuchenkę i wyciska każdą torebkę o krawędź rondla, aż mleko przybiera kolor karmelu. Zdejmuje naczynie i wlewa jego zawartość do kubka. Kiedy kawa zaczyna wrzeć, napełnia również kubek Ma'azy.

– Chcesz cukru? – pyta Ma'azę, która właśnie spina włosy.

– Wsyp mi trzy łyżki.

Dalila uśmiecha się w duchu, niosąc jej kawę.

– Ja także bardzo lubię cukier – przyznaje się. – Jesteśmy cukrowymi siostrami. – Ma'aza, z zapinką we włosach, unosi wysoko jedną brew.

Dalila wycofuje się do strefy neutralnej, czyli do kuchni. Płucze rondel i drewnianą łyżkę. Obejmując kubek obiema rękoma, sączy swoją herbatę.

Ma'aza przechodzi koło niej, otwiera okrągłe drzwiczki pralki i wyjmuje naręczce wilgotnych ubrań. Zbliża się do okna i przekręciwszy klamkę, otwiera je. Z nagłym zdumieniem Dalila uświadamia sobie, że to nie okno, lecz oszklone drzwi. Ma'aza wychodzi na świeże powietrze.

Odłożywszy kubek, Dalila chwytą się futryny i robi krok na balkon. Przesuwa się jeszcze dalej, zerka za balustradę. Nisko w dole ziemia zdaje się kołysać. Żołądek podchodzi jej do gardła, więc szybko wskakuje z powrotem do kuchni. Ma'aza potrząsa głową i przypina klamerkami skarpetki i spodnie do małej suszarki. Ubrania powiewają na wietrze.

Z tej strony mieszkania otwiera się widok na wysokie, nowoczesne budynki, które muszą stać, jak przypuszcza Dalila, w samym centrum miasta. Autostrada wysoką estakadą przekracza szarobrazową rzekę. Bliżej jest coś, co dziewczyna rozpoznaje. Wieża. Srebrna i opływowa, z czymś, co wygląda na dziób samolotu

odrzuconego, balansującego na jej szczycie. Tak jak na zdjęciu z kalendarza, które pokazano jej jeszcze w Londynie.

– Co to za miejsce? – pyta, wskazując na wieżę.

Ma'aza odwraca głowę znad bluzki, którą przypina klamerką do sznurka.

– To Centrum Nauki – odpowiada. – A także BBC.

BBC. To jest to samo miejsce. A ponieważ umieszczono ją w mieszkaniu, które jest tak blisko niego, Dalila czuje rękę przeznaczenia. Uczucie to szybko narasta. Może sam Bóg ją tu przyprowadził? Może istnieje jakaś głębsza przyczyna wszystkich tych wydarzeń, które stały się jej udziałem?

Powstrzymuje te myśli, nie pozwala im się plenić. Podczas rozpatrywania wniosku o azyl nie wolno jej pracować, a poza tym przecież nawet nie skończyła studiów.

Ale popatrzeć można.

Sącząc herbatę, obserwuje teren między mieszkaniem a satelitarnymi antenami na dachu BBC, próbując zapamiętać każdy szczegół krajobrazu, by móc się w nim poruszać. Wygląda na to, że można tam dojść spacerkiem w dziesięć minut. Przełyka reszkę herbaty i płucze kubek.

Uzbrojona w swoją powitalną broszurkę klucz oraz torebkę na ramieniu, Dalila wychodzi z mieszkania. Wciska guzik windy; w tym momencie otwierają się drzwi sąsiadów i staje w nich stara kobieta z psem.

– Dzień dobry – mówi kobieta. Bierze psa na ręce i czeka na windę.

Dalila szuka gorączkowo pełnych szacunku angielskich słów, którymi mogłaby się zwrócić do staruszki, ale nie umie ich znaleźć. Odpowiada więc po prostu:

– Dzień dobry.

Przyjeżdża winda. Gdy z niej wysiadają, pies próbuje obwąchać Dalilę, lecz ona ucieka jak najdalej.

Na zewnątrz nie ma cienia. W powietrzu wiszą chłodne opary, przylegają do puchowej kurtki, gdy Dalila się przez nie przebija. Dziewczyna naciąga na głowę swoją wełnianą czapkę.

Stara kobieta zakłada plastikowy kaptur i zaciska jego pasek pod brodą, podczas gdy pies kuca i dygocząc z wysiłku, robi kupę w wysoką zieloną trawę.

Dalila spogląda w górę na budynek. Niebo to jedna pofałdowana chmura. Jej nowy dom jest jednym z trzech identycznych wieżowców z białego betonu. Nad wejściem widać kamerę monitoringu, wycelowaną w drzwi, które nie zamykają się, jak należy. Duży napis na ścianie głosi: ZAKAZ GRY W PIŁKĘ.

Z miejsca, w którym stoi, Dalila nie widzi ośrodka BBC. Właściwie z poziomu parteru wszystko wygląda inaczej. Nie jest do końca pewna, w którą stronę patrzy ani dokąd powinna iść.

Pyta staruszkę o kierunek.

– BBC, mówi pani? – odpowiada kobieta, wyciągając z kieszeni foliową torebkę. – No cóż, to tam, niedaleko wody. Tobie i ja właśnie tam idziemy. Może

pani pójść z nami, jeśli chce.

– To bardzo miłe – odpowiada Dalila.

Starsza pani wkłada rękę do foliowej torby, zgina się i zbiera świeże psie odchody.

Nigdy, w całym swym życiu, Dalila nie widziała czegoś takiego. Zamyka rozdziawioną buzię i rozgląda się, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze był świadkiem tej sceny. Gdy stara kobieta dwukrotnie owija worek i zawiązuje na nim węzeł, dziewczyna zastanawia się, czy po prostu się od niej nie oddalić.

– Nazywam się Gilroy – przedstawia się staruszka. Podaje jej tę samą rękę, którą przed chwilą zawijała psią kupę.

Dalila waha się, w pułapce między odrazą a uprzejmością. Zmusza się do dotknięcia drobnej dłoni kobiety.

– Jestem Irene.

– No to świetnie. Idziemy?

Pani Gilroy przypina psu smycz. Idą przez parking, lawirując między odłamkami potłuczonego szkła. Choć niska i korpulentna, starsza pani kroczy równym tempem, ciągnąc za sobą maleńkiego pieska, który przebiera szybko łapkami po ziemi.

– Ładny dzień, prawda? – zagaduje pani Gilroy. – Toby, ten tutaj, nie cierpi wiatru. Gdyby nie ja, całymi dniami leżałby w łóżku, ale przecież trzeba spacerować, prawda, malutki?

Pies gwałtownie skręca w kierunku latarni. Dalila podskakuje, żeby zejść mu z drogi, i wpada na panią Gilroy.

– Tak, wszyscy potrzebujemy czasem wyjść – stwierdza staruszka.

Dalila wpycha ręce głęboko do kieszeni i idzie dalej, pilnując, żeby starsza pani znajdowała się między nią a psem.

Na chodniku leży gładki asfalt. Jezdnie są trochę bardziej nierówne, ale i tak

wszystkie smołowane. Brak jakichkolwiek odcinków niedokończonych dróg, których nawierzchnia przechodziłaby w żużel. Nawet najmniejsze boczne uliczki są w pełni wyasfaltowane.

Chodniki – inne.

Mijają leżący odłogiem kawałek ziemi. Wśród chwastów walają się śmieci. W błocie leży rozmokły materac. Dalej widzą spaloną sofę, z której wystaje płatanina pordzewiałych sprężyn. Pani Gilroy staje, wyciąga z kieszeni pakiet z psią kupą i umieszcza go w czerwonym koszu przytwierdzonym do latarni. Ruszają dalej.

Początkowo wydaje się, że dzielnica ta składa się wyłącznie z ceglanych magazynów, ale kilka przecznic w głąb architektura się zmienia. Czterokondygnacyjne budynki, z kominami na dachach, wyrastają po obu stronach ulicy. Przycupnięte konstrukcje barwy ochry, czerwone jak afrykański pył, z wielkimi oknami i kruszącą się murarką. W oknach Dalila dostrzega zasłony i niebieską poświatę telewizorów, domyśla się więc, że są to budynki mieszkalne. Wejścia do nich zdobią niskie murki, porasta je gąbczasty, szmaragdowozielony mech, najbardziej jaskrawy, jaki kiedykolwiek widziała.

Mech – inny.

Gdy zbliżają się do rzeki, w polu widzenia pojawia się wieża.

– Czy to nie jest BBC? – pyta Dalila.

– Nie, nie – zaprzecza pani Gilroy. – To jakaś szkarada. Ta wieża to głupio wydane pieniądze. Jest dla turystów. Widzisz, zbudowano ją, żeby udawała skrzydło samolotu, i podobno miała się obracać z wiatrem. Tylko że się nie obraca. Kiedyś się zawali. Wtedy przyjedzie straż pożarna i będzie wszystkich ratować. To Wieża Grozy, nic innego. Za wjazd na górę i widok na Govan każą sobie płacić prawdziwą fortunę. Nikt mnie nie namówi, żebym tam poszła. Mieszkam w Govan od czterdziestu trzech lat i powiadam ci, że najładniejszy widok jest stąd.

Pani Gilroy wskazuje ręką i kontynuuje:

– Ten budynek trochę dalej to studia szkockiej telewizji, a to wielkie kwadratowe coś, bliżej, to właśnie twoje BBC.

Dokładnie tak Dalila go sobie wyobrażała. Nowoczesny, kliniczny, z dużą ilością szkła. Profesjonalny wygląd. Dwie kobiety w żakietach przechodzą przez szerokie obrotowe drzwi. Na schodach wejściowych stoi pięć osób i pali papierosy. Chichoczą i strzepują popiół na ziemię.

– Czy to dziennikarze? – pyta Dalila.

– Możliwe, tak. Przez ten budynek przewija się mnóstwo ludu.

– Chcę być dziennikarką – wyznaje Dalila. – To moje marzenie. Dla mnie to najważniejsza praca, zbierać i opowiadać różne historie w telewizji, żeby wszyscy wiedzieli, co się dzieje. Zawsze wierzyłam, że pewnego dnia będę pracować w NTV Kenya.

– Więc jesteś z Kenii?

– Tak, mieszkałam w Nairobi – odpowiada Dalila. – Mrużąc oczy, patrzy w górę na budynek BBC. Grupka dziennikarzy drepcze w kierunku obrotowych drzwi i wchodzi do środka. – Nie wiem, co ze mną będzie dalej – dodaje. – Może będę musiała porzucić to marzenie z mojego kraju.

– Mogłabyś czytać wiadomości – mówi pani Gilroy. – Masz uroczą buzię, nadajesz się. A jak twoje zęby? W telewizji trzeba pokazywać zęby. Dalej, zobaczmy.

Dalila nie może powstrzymać uśmiechu.

– Tak, masz ładne, równe uzębienie. – Starsza pani też się uśmiecha. – Już jesteś w połowie drogi, żeby dostać tę pracę.

Dalila unosi dłoń do ust, nagle onieśmielona. Próbuje zmienić temat, wskazuje ręką i pyta:

– Co to za miejsce?

– Cóż, zobaczymy – zastanawia się pani Gilroy. – To jest Centrum Nauki. Moim zdaniem wygląda jak jeden wielki plaster cytryny. A ten srebrny wihajster zaraz obok? To kino IMAX. Nigdy nie byłam w środku. Filmy za bardzo mnie nie interesują. A tamto? To Pancernik.

Po drugiej stronie rzeki wznosi się okazały budynek podzielony na segmenty jak jakieś srebrzyste morskie stworzenie. Wygląda, jakby wypełił z wody i zajął przyczółek na brzegu.

– Nie przyszłoby ci to pewnie do głowy, ale w środku jest sala koncertowa. A to zaraz obok? To hotel. Ekskluzywny.

Krzywizny Pancernika odbijają się w niebieskim szkłe hotelu. Razem sprawia to wrażenie, jakby dwa zwierzęta szykowały się do starcia.

– Co to jest pancernik? – pyta Dalila.

– To jest... To taki stwór z tycieńkim pyszczkiem. Pochodzi z twojej części świata⁵. Na grzbiecie ma łuski, jak zbroję. Rozumiesz? Pancernik! – Pani Gilroy wykonuje gest obrazujący rozmiar i cielsko zwierzęcia, którego nie udaje jej się opisać.

Dalila kiwa głową.

– Tak, chyba wiem, o co chodzi.

Ponownie spogląda na budynek. Podobieństwo do ochronnych łusek pancernika jest zadziwiające, ale nie do końca idealne.

– Według mnie to bardziej przypomina rogalik, croissant, z waszej części świata.

Słowa wymykają jej się nazbyt szybko. Napina mięśnie żuchwy, mając nadzieję, że nie była zbyt bezczelna w stosunku do starszej osoby.

– No tak, masz rację – zgadza się z nią pani Gilroy. – Teraz to widzę. Wiesz co, myślę, że wszystkie te budowle zaprojektowano tak, żeby przypominały coś innego. W tym miejscu zawsze czuję się taka strasznie mała, jak Calineczka. Wiesz, kto to jest Calineczka?

Dalila potrząsa głową.

– Nie? No cóż, nieważne.

Pani Gilroy podnosi Toby'ego i kładzie go sobie w zgięciu ramienia. Jakaś mewa opada gwałtownie, po czym wisi kilka cali nad powierzchnią rzeki. Obserwują, jak szybuje przez chwilę. Następnie pani Gilroy patrzy do góry na ogromny dźwig, który stoi w uśpieniu na drugim brzegu, niczym jakiś relikwiarz.

– No tak, kiedy byłam młoda – wspomina – w tym miejscu roło się od statków i robotników. Mój Sam pracował tu trzydzieści jeden lat. A teraz to tylko atrakcja turystyczna. Naprawdę smutne, kiedy się o tym pomyśli.

Wiatr znad wody przynosi odgłosy ruchu pojazdów w centrum miasta.

– Też robi mi się smutno, gdy patrzę na to miejsce – stwierdza Dalila.

– Naprawdę?

– Kiedy byłam małą dziewczynką, tata mówił mi, że Wielka Brytania jest Czołem Świata.

Stara kobieta unosi brwi.

– Ho! Pewnie miał rację.

Dalila się uśmiecha.

– Proszę mi wierzyć, to prawda. Mój ojciec powiadał, że Brytania jest bardzo, bardzo bogata. Może się zatroszczyć o wiele innych krajów. Próbowałam sobie wyobrazić, jak wygląda taki bogaty kraj. Czasem oglądałam w telewizji Jasia Fasolę. Czasami w gazecie pojawiała się jakieś zdjęcie. Byłam żądna wiedzy. Wierzyłam, że w Wielkiej Brytanii wszystko jest nowe i czyste. Żadnych śmieci. Żadnych miast-ruder. Ludzie są ubrani tylko w ładne rzeczy. Zburzono wszystkie stare budynki, a w ich miejsce wzniesiono nowe i czyste, jak te.

Pani Gilroy zaczyna chichotać.

– Myślałaś, że całe miasto wygląda tak jak Centrum Nauki?

Dalila wzrusza ramionami.

– No cóż, jednak nie wygląda. Prawda?

– Tak.

Ciężkim krokiem mija je jakiś biegacz, Toby zaczyna ujadać.

– Och, cicho! – uspokaja psa pani Gilroy, głaszcząc go po łbie. – No tak, chyba już czas zabrać tego maleńkiego gościa do domu. – Kładzie Toby’ego na ziemi i odplątuje smycz z jego przedniej łapy. – No cóż, to by było na tyle.

Zaskoczona tym wyrażeniem, którego nie zna, Dalila odpowiada:

– Na ile?

– Znasz drogę powrotną, tak?

– Chyba tak.

– Okej, to na razie.

– Do widzenia.

⁵ W rzeczywistości pancerniki zamieszkują Amerykę Południową i część Ameryki Północnej (przyp. red.).

Po powrocie do mieszkania Dalila woła głośno Ma'azę, lecz tej nie ma w domu. Zostawia buty do koszykówki pod drzwiami wejściowymi i idzie do kuchni. Ubrania nadal suszą się na balkonie, kuchnia jest czysta. Dalila nie bardzo wie, co ma teraz robić. Czuje, że powinna kupić jakieś jedzenie, ale przecież nie ma pieniędzy ani pojęcia, gdzie znajduje się sklep. Otwiera szafkę i widzi zapasy pożywienia na dwa, trzy dni. To jedzenie Ma'azy. Może Paul wróci dziś po południu i powie jej, gdzie jest placówka MSW, którą mogłaby odwiedzić. Potem może dostanie trochę pieniędzy. Może MSW wkrótce znów ją gdzieś przemieści?

Nie pozostaje nic innego, jak tylko czekać. Bo co właściwie mogłaby robić? Ktoś na pewno przyjdzie.

Włącza telewizor, przerzuca kanały, aż wreszcie znajduje wiadomości i ze skrzyżowanymi nogami siada na sofie.

Program nazywa się 5News. Nigdy nie słyszała o takiej stacji. Prezenter siedzi w przesadnie czerwonym studiu i przedstawia skrót najnowszych wydarzeń, po czym obiecuje pełną relację z dnia wieczorem.

Dalila skacze po kolejnych programach i znajduje ITV News. Tę stację stać na prezenterów obojga płci, a biurko z matowego szkła, za którym siedzą, jest bardzo wyrafinowane. Jednakże w studiu panuje nadmierne ożywienie, jakby wczesnym rankiem realizowano tam program dla dzieci. „To pewnie taki tutejszy styl” – myśli.

Za plecami prezenterów jest szklana ściana, oddzielająca ich od newsroomu, to znaczy pomieszczenia pełnego biurek i komputerów, które należą do reporterów zbierających informacje. Jedna z dziennikarek wstaje i przechodzi przez pokój do biurka kolegi. Dalila jest zafascynowana tą anonimową reporterką w jej miejscu pracy. Kobieta ma na sobie koszulę, włosy wetknięte sztywno za uszy i najwyraźniej czuje się zupełnie swobodnie w tym środowisku pełnym

nowoczesnej technologii. Ciekawe, jak to jest, Tak nurzać się w informacjach. Mieć łączność ze wszystkimi wielkimi miastami świata i ich eleganckimi newsroomami. Spędzać każdy dzień życia w wolnym od kurzu świecie jasności i blasku, w którym można się oderwać od biurka, kiedy się tylko zechce, bez narażania się na konsekwencje, i tak swobodnie spacerować do współpracownika mężczyzny, żeby po prostu zadać mu jakieś pytanie.

Ukazują się napisy końcowe po wiadomościach i Dalila przełącza kanał na BBC. Tutaj prezenterką jest czarna kobieta z mocnym brytyjskim akcentem. Dziewczyna pochyla się na sofie. Uwielbia, gdy czarna osoba mówi w ten sposób, zastanawia się, skąd spikerka pochodzi. Ma w sobie coś kenijskiego, ale równie dobrze może być z Ghany albo z innego kraju. Jej włosy są wspaniałe. Zapewne wpleciono jej jakieś obce pasemka, może cudowne włosy Hindusek, ale gdy kamera najeżdża bliżej, żeby zmienić kadr, można odnieść wrażenie, że to autentyczne włosy dziennikarki. Linia nad czołem jest zbyt delikatna, żeby była nieprawdziwa. To naprawdę idealne włosy. Lśniące, obsydianowe fale opadają lekko na ramiona. Na pewno były prostowane przez wiele lat. No i ten akcent. Nieskazitelnym, tak pełnym godności, jakby mówiła prawdziwa Angielka.

Obraz przechodzi na inne studio, zapowiadają wiadomości z BBC Szkocja. Za scenerię robi tu zdjęcie mostu oraz Centrum Nauki, które Dalila właśnie odwiedziła. Jakby nadawano z dachu tego samego budynku, pod którym stała niecałą godzinę temu.

Dziewczyna zrywa się i idzie do drzwi balkonowych, lecz mgła zasłania widok na wieżę i rzekę. Mimo wszystko ekscytująca jest myśl, że to, co widzi teraz w telewizorze, dzieje się naprawdę, o tam, w tym studiu, zaledwie kilka minut piechotą od miejsca, w którym teraz mieszka. Wsuwa się z powrotem do salonu i sadowi na kanapie. Wiele reporterek to kobiety, nawet te zajmujące się polityką i sportem; kiedy tak ogląda, czuje, że wszystko zaczyna nabierać sensu, jakby głębsze, utajone dotąd powody częściowo wychodziły na jaw. Być może

to niekoniecznie przypadek, że Dalila znalazła się właśnie tutaj, w tym konkretnym miejscu. Jeśli weźmie pod uwagę całą tę ciężką pracę, jaką wykonała, oraz fakt, że jest teraz tak blisko studia BBC. Prawdziwej British Broadcasting Corporation. To coś więcej niż zbieg okoliczności. Kiedy już załatwi wszystkie formalności, wtedy skończy jakiś tutejszy koleż, a potem zacznie się ubiegać o pracę. W BBC oraz w tym jej szkockim oddziale. STV? A może nie będzie nawet musiała kończyć studiów. Jeżeli kupi ładne, profesjonalne ubranie, wystarczy, że pójdzie w nim do recepcji i zapyta o wolne posady. Będzie tam chodzić co tydzień albo nawet każdego ranka; to nie problem, ponieważ oba newsroomy są bardzo blisko na piechotę. Pokaże im swój upór, swoje ambicje, swoje oddanie temu zawodowi. Jeśli pojawi się tam odpowiednio wiele razy, być może zwrócą na nią uwagę i dadzą jej pracę, choćby byle jaką, wystarczy, żeby piąć się w górę. A tymczasem, czekając na papiery z MSW, będzie szlifować swoje umiejętności. Napisze parę artykułów albo przeprowadzi wywiady na dowolny temat.

A potem, po roku albo dwóch latach pracy w BBC, sytuacja w jej ojczyźnie powinna się już uspokoić. Powrót będzie bezpieczny. Gdy tylko wyląduje w Nairobi, pójdzie prosto do NTV i złoży aplikację o posadę. Może to nawet zrobić drogą mejlową, zanim jeszcze tam pojedzie. Dzięki doświadczeniu zdobytemu w Wielkiej Brytanii, w BBC, z pewnością uznają ją za odpowiednią kandydatkę i dadzą jej każdą pracę.

Dziewczyna wstaje, biegnie do swojego pokoju, otwiera drzwi szafy i unosi podbródek w stronę lustra.

„Tu Dalila Mwathi na żywo ze studia NTV Kenya”.

Nie brzmi to zbyt dobrze. Nie powinna używać owsiankowego imienia. Próbuje znowu, tym razem z wyraźniejszym brytyjskim akcentem.

„Irene Mwathi na żywo z...”

I kolejna próba. „Jestem Irene Mwathi. Oglądali państwo program stacji

NTV”.

Zdejmuje wieszak, przystawia go pod brodę jak mikrofon, prostuje ramiona i mówi dalej.

„Tak, znajduję się obecnie w małej miejscowości Njoro, skąd dochodzą niepokojące wieści o ciągłych aktach przemocy...”

Czy nadal używa się mikrofonów? Może raczej to są mikroporty? A ona ma takie krótkie włosy. Z tym wyglądem nie może zostać reporterką. Bierze swój czarny dżersej i naciąga wycięcie dekoltu za czoło, pozwalając, aby materiał zwisał jej na ramiona jak włosy. Obracając twarz raz w jedną, raz w drugą stronę, studiuje w lustrze swój profil, wtyka rękaw za szyję. Patrzy prosto przed siebie, wyobrażając sobie, że gdzieś tam stoją tubylcy, cofają się, udostępniają jej miejsce. Wszystkie oczy są skierowane na nią. Kamerzysta unosi trzy palce, dwa, jeden.

„Mogę państwu powiedzieć, że sytuacja staje się tutaj coraz bardziej napięta – zaczyna. – W mieszkańcach narasta lęk, ponieważ są nękani sporadycznymi aktami przemocy, które w ciągu ostatnich miesięcy dotknęły ich wieś. Tymczasem rząd sprawia wrażenie niezdolnego do...”

Dżersej nie pasuje. Wygląda bardziej na hidżab niż na perukę.

Nagle wydaje jej się to żalosne. Ona jest żalosna. Gada do siebie z jakimś głupim swetrem na głowie. Zdejmuje go i siada na łóżku.

Powinna coś zrobić. Przebywanie w tym pustym mieszkaniu jest bez sensu. Powinna przynajmniej udawać zajętą, bo Ma’aza może w każdej chwili wrócić. Zbiera swoje nieliczne ubrania i nie bardzo wiedząc, jak obsługuje się pralkę, klęka obok wanny i pierze wszystko w rękach, wyżyma, a potem idzie do kuchni. Otwiera drzwi na balkon. Trzymając się futryny, wystawia tylko jedną stopę na zewnątrz i przyciąga do siebie suszarkę, jednocześnie trzymając drugą nogę w bezpiecznej kuchni. Przypinając ubrania, skupia się wyłącznie na zadaniu do wykonania; nie chce nawet przez sekundę patrzeć na balustradę i otchłań

poniżej.

Wróciwszy do kuchni, zamyka drzwi i gapi się na budynek BBC oraz stojącą obok niego wieżę. Nad rzeką unosi się jasna mgiełka.

W szafce znajduje kilka ziemniaków i przygotowuje je do ugotowania.

Trudno jej sobie przypomnieć, czego właściwie spodziewała się po dzisiejszym porannym spacerze. Architektura była piękna, inspirująca. A ludzie przed budynkiem, dziennikarze, o ile to byli dziennikarze, mieli na sobie eleganckie ubrania, których teraz Dalila nie może sobie wyobrazić. Pamięta jedynie, że palili papierosy. Stali zwrócenii do siebie twarzami, żartując i śmiejąc się cicho. Od czasu do czasu któryś z nich wyciągał do tyłu rękę i strzepywał popiół. Nim ten zdążył opaść na ziemię, rozwiewał go wiatr.

Kiedy ziemniaki są gotowe, odsąca wodę i wyklada je na talerz. Wysypuje trochę soli z jednej strony talerza, na drugą wyciska sok z cytryny. Siada bokiem przy kuchennym stole, wkłada ziemniaki między kciuk i dwa palce i ugniata je. Posypuje miazgę solą, zanurza w soku z cytryny i je.

Smak przynosi jej przed oczy obraz matki.

Kiedy pierwszy raz jadła tę przekąskę, była małą dziewczynką i gorączkowała. Mama kucnęła tuż obok i wsuwała jej w usta tłuczonego ziemniaka. Początkowo smak cytryny wydał jej się ostry i gorzki, potem jednak ustąpił przed ciepłym, słonym ziemniakiem. Pamięta, że później nieraz jadły to razem z mamą. Nie był to właściwie przysmak, po prostu przekąska, którą dzieliły się podczas gotowania. Dalila wysysa sól z kciuka. Rozsuwa palce i uświadamia sobie, że jej ręce zaczynają przypominać ręce jej matki.

Odkłada jedzenie na kontuar i przykrywa je drugim talerzem, dla ochrony przed muchami, aczkolwiek nie widziała w tym mieszkaniu żadnych much. Nie zauważyła właściwie ani jednego owada, odkąd wylądowała w Wielkiej Brytanii, ale i tak nakrywa pożywienie.

Na zewnątrz mgła gęstnieje i zawisa nad całym miastem. Zarysy budynków

tracą ostrość, zdają się rozplýwać w popołudniowym mroku, przechodzącym w wieczór.

Nazajutrz wczesnym rankiem Ma'aza puka do drzwi pokoju współlokatorki i otwiera je, nie czekając na odpowiedź. Dalila odsuwa kołdrę i mruga.

– Chodź – mówi Ma'aza. – Musimy iść.

– Dokąd?

– Do Festival Court. Chodź. Wstawaj.

Dalila znów się kładzie, zakrywa uszy łokciem.

– To do ciebie. – Ma'aza kładzie list na łóżku. Koperta jest zaadresowana do Dalili, ale została już otwarta. Ma'aza wzrusza ramionami. – Zajrzałam do środka za ciebie – dodaje.

Dalila wyjmuje pojedynczą kartkę papieru. Górny lewy róg zdobi pieczęć Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Na prawo widać zeskanowane zdjęcie jej twarzy. Pismo jest zatytułowane: „Ustawa imigracyjna z 1971 roku – Zawiadomienie o tymczasowym pozwoleniu na pobyt osoby, która może zostać internowana”.

Paragraf A nosi tytuł: „Kto podlega internowaniu”.

Paragraf A głosi: Jest pani osobą, która zgodnie z prawem może zostać internowana w specjalnym ośrodku.

To wszystko, co jest w nim napisane. Cała treść paragrafu.

– Wsadzą mnie do więzienia? – pyta Dalila.

– Nie. To nie jest pismo, że chcą cię aresztować. Masz się zgłosić – wyjaśnia Ma'aza. Wskazuje na paragraf B. – Zobacz tutaj. Piszą, że musisz przyjść z tym listem do Festival Court i zameldować się w MSW. Termin wyznaczono ci na dzisiaj. Na dziewiątą.

– Dzisiaj? – Dalila siada w łóżku.

– No a jak? – wzdycha Ma'aza, kręcąc głową. Szarpie za kołdrę i zsuwa ją do

połowy z posłania, po czym mówi: – Jak nie pójdiesz, będziesz miała kłopoty. Odrzuć swój wniosek. Chodź. Przygotuj się. Umyj twarz i weź swoją kartę ARC. Pokażę ci, dokąd masz iść. – Powiedziawszy to, wychodzi z pokoju, pozostawiając otwarte drzwi.

Dwadzieścia minut później Dalila wychodzi za Ma'azą z budynku i przecina rozmokły trawnik. Dzień jest wilgotny, chociaż nie pada.

Mijają pustą wiatę na przystanku autobusowym. Ma'aza mówi:

– Jeśli będziesz chciała skorzystać z autobusu, tu jest twój przystanek. Okej?

Dalila kiwa głową. Zerka za siebie na drogę, skąd mogą nadjechać autobusy. Nie widać żadnych samochodów. Ani rowerzystów. Ani jednego człowieka, który szedłby ulicą. Nigdzie nie ma ludzi. Cisza jest prawie totalna. Brak dzieci idących do szkoły. Obnośnych sprzedawców oferujących swój towar. Kierowców *matatu* nawołujących klientów. Żadnych osłów ciągnących wózki. Nikt nie sprzedaje pieczonej kukurydzy. Nie ma przebiegających psów. Ani marabutów, które przyglądają się wszystkiemu z drzew.

Życie uliczne – inne.

– Gdzie są ludzie? – pyta Dalila, zapinając kurtkę pod szyję. – Nawet wczoraj nie widziałam na ulicach zbyt wielu osób.

– Co? Tam są – pokazuje Ma'aza. – Siedzą w domach.

– A wychodzą czasem?

– Wolą siedzieć w środku.

Dalila przyspiesza, żeby dotrzymać kobiecie kroku.

– Napawa mnie strachem to miejsce – wyznaje. – Jest jak z filmu o jakimś potwornym wirusie. Wszyscy nie żyją, nie ma już ludzi, ulice są puste, samochody stoją, wszędzie panuje cisza. Wokół same trupy. Znasz ten film?

Ma'aza przewraca oczami.

– Ja lubię tylko komedie.

– Jest przerażający – ciągnie Dalila. – Zarażeni stają się potworami i pożerają zdrowych.

– Gdzie widziałaś ten film?

– Na DVD. Oglądałam go z bratem w... To było dawno temu.

Ma'aza zerka na Dalilę, ale nie zwalnia tempa. Idzie szybko dalej, każdy krok stawia z rozmysłem. Po minucie mówi:

– Popatrz tam.

W ich kierunku człapie jakaś staruszka. Ma niebieski foliowy kaptur na głowie, związany mocno pod brodą, w jednym ręku niesie toster. Kable zwisają luźno, wtyczka wlecze się po ziemi. Stara kobieta staje, owija sobie kabel wokół ramienia i idzie dalej. Gdy jest już blisko, Dalila próbuje się jej ukłonić, bo to przecież starsza osoba, ona jednak nie podnosi na nie wzroku. Mijają się w milczeniu. Ma'aza unosi głowę, jakby zobaczyła w oddali coś ciekawego. Dalila ogląda się za siebie i obserwuje, jak staruszka drepcze dalej, powłócząc nogami.

– Widzisz – mówi Ma'aza – są ludzie.

Mijają jeszcze dwie przecznice, pokonując niemalże tę samą trasę, którą Dalila szła wczoraj z panią Gilroy.

Ma'aza pokazuje grupę trzech identycznych budynków stojących wzdłuż drogi.

– Tam musisz iść.

– A ty nie pójdziesz ze mną? – pyta Dalila.

– Nie. Ja zgłaszam się jutro. Teraz muszę... odwiedzić parę osób. Weź to – dodaje, podając Dalili parasol.

– Spotkamy się później? – pyta Dalila.

Ma'aza wydyma wargi, wzrusza ramionami i wraca tą samą drogą, którą przyszły.

Gdy Dalila idzie na wyznaczoną wizytę, zaczyna padać ulewny deszcz. Otwiera brązowy parasol, który rozpościera się nad nią jak miseczka żółdzia. Z poliestrowej czaszy spływa woda, a dziewczyna stoi na chodniku i przygląda się budynkowi z drugiej strony ulicy.

Kompleks jest otoczony wysokim na osiem stóp żelaznym płotem. Obok głównej bramy tkwi mała przenośna kabina. Na bramie widnieje napis:

MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH

Brytyjska Straż Graniczna

FESTIVAL COURT 1

Ośrodek Meldunkowy

Za płotem rośnie pięć młodych drzewek, kruchych i bezlistnych. Kamery monitoringu, udające lampy, przeczesują każdy zakątek pustego dziedzińca. Trzy budynki zaprojektowano w tym samym utylitarnym stylu: szare cegły, potem cegły brązowe, szare okna na drugim piętrze pod aluminiowym dachem. Każdy budynek ma odrębną nazwę. FESTIVAL COURT 1. FESTIVAL COURT 2. FESTIVAL COURT 3.

Dalila zastanawia się nad tymi słowami, pozwala, żeby ich znaczenie nabrało kształtów w jej umyśle.

Festival⁶. Court⁷.

Przez bramę przechodzi para Azjatów. Zbliżają się do środkowej budowli, idą ostrożnie, ze spuszczonego wzrokiem, przygarbieni.

Zastanawia się, co się stanie, kiedy tam wejdzie. Zaaresztują ją? Dadzą pieniądze? Odeślą do domu, jeśli nie ma odpowiednich dokumentów?

Spogląda w dół na swoje mokre koszykarskie buty i zauważa setki niedopalków porzucanych po całym chodniku. Są wilgotne i wzdęte, jak tłuste larwy. Zaczyna pojmować, że nie jest jedyną osobą, która stała w tym

miejscu, zwrócona twarzą w stronę budynków i zbierająca się na odwagę.

Obiema dłońmi przywiera silniej do rączki parasola i przekracza ulicę. Strażnik w budce otwiera drzwi i woła coś do niej.

– Do zameldowania?

Dalila nie podchodzi do niego.

– Tak – odpowiada.

– Dokument tożsamości jest?

Słyszając to pytanie, podnosi oficjalne pismo i przykłada je do piersi, żeby uchronić przed wodą.

– A gdzie karta ARC?

Dalila grzebie w torebce, wyjmując kartę i unosi.

Strażnik wsadza ręce do kieszeni neonowożółtej kurtki.

– Budynek dwa – mówi.

Kiedy dziewczyna podchodzi do środkowej budowli, inny ochroniarz otwiera jej drzwi i prosi o pokazanie dokumentów. Dalila przedstawia mu list i kartę ARC. Mężczyzna czyta oba i uważnie bada zdjęcie, upewniając się, że pasuje do jej twarzy. Zadowolony cofa się o krok i ją przepuszcza. Dalila otrząsa parasol z wody i wchodzi do środka.

Za kontuarem recepcji siedzi dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, oboje w mundurach. Gapią się na nią, ale nic nie mówią. Licząc, że dowie się, co powinna teraz zrobić, podchodzi do nich i się wita:

– Dzień dobry.

– Dokument tożsamości – odpowiada kobieta.

Dalila wręcza jej list i swoją kartę ARC.

– Nazwisko?

– Dalila... Irene Dalila Mwachhi.

– Zgłasza się pani pierwszy raz?

– Tak.

Mężczyzna za kontuarem odchyła się do tyłu i szeroko ziewa. Kiedy zamyka usta, jego wzrok pada na twarz Dalili. Wzbiera w niej nagła chęć przełknięcia śliny pod językiem, ale się powstrzymuje.

– Poproszę torebkę, klucze, telefon komórkowy, pasek i sznurówki – wylicza kobieta.

Wyraz twarzy dwójki osób za kontuarem jest dokładnie taki sam; Dalila nie potrafi stwierdzić, czy jest to wzgarda, czy po prostu znudzenie.

– Chcecie moją torbę? – pyta.

– Tych rzeczy nie można wnosić do środka – wyjaśnia strażniczka. – Takie są przepisy. Musi mi pani oddać torebkę, klucze, telefon albo inny aparat fotograficzny i przedmioty z metalu. Należy również oddać pasek i sznurówki... dla pani własnego dobra. Wszystko otrzyma pani z powrotem, przy wyjściu.

Dalila wkłada klucz do torebki, zapina jej zamek i podaje strażniczce. Ta natychmiast otwiera torebkę i palcami bada jej zawartość. Wyciąga niektóre przedmioty i umieszcza je w przezroczystym foliowym worku.

Dziewczyna kuca i zaczyna wyjmować sznurówki z butów. Nie potrafi sobie wyobrazić, dlaczego każą jej to zrobić. Zza kontuaru wyłaniają się stopy strażnika. Dalila podnosi wzrok i patrzy na niego – jego zwisająca różowa twarz jest beznamiętna. Wyciąga obie sznurówki i podaje je ludziom za kontuarem.

– Poproszę również pasek i parasol.

Dalila rozpina sprzączkę i wysuwa pasek. Podnosi parasol, a następnie kładzie go na ladzie. Strażniczka odkłada przedmiot gdzieś za siebie, resztę rzeczy należących do Dalili wrzuca do foliowego worka.

– Jakies inne ostre przedmioty? Długopisy?

– Nie.

– Ma pani tabletki albo inne leki?

- W torebce mam paracetamol.
- Jakież inne leki przy sobie?
- Nie.
- Okej. Proszę przykleić to na piersiach, to numer pani depozytu. Teraz może pani iść.

Strażniczka pokazuje wykrywacz metalu u wejścia do kolejnego pomieszczenia. Dalila podchodzi do urządzenia i czeka, aż inny strażnik przepuści ją machnięciem ręki.

Mężczyzna wykonuje ruch dłonią.

Przechodzi przez niewidzialne drzwi, świadoma ich działania – wie, że przeszukują każdy cal jej ciała, aby znaleźć nawet odrobinę podejrzaną rzecz. Maszyna wydaje z siebie długi, wysoki dźwięk alarmu. Podchodzi ochroniarz, każe jej wrócić i ponownie przejść przez wykrywacz. Kiedy jest już po jego drugiej stronie, strażnik poleca dziewczynie zdjąć buty.

Zdejmuje.

- Jakież pierścionki, biżuteria, zegarki? – pyta ochroniarz.

Dalila unosi ręce, aby pokazać, że nie ma nic takiego.

Mężczyzna machnięciem każe jej iść dalej, tym razem maszyna milczy.

Strażnik z obwisłą twarzą podchodzi i wyciąga rękę ku jej szyi. Dalila cofa się, powietrze więźnie jej w gardle.

- W porządku, kochana – uspokaja ją. – Chcę tylko sprawdzić twoją kurtkę.

Maca kołnierz jej kurtki, potem szuka czegoś w kieszeniach. Stoi na tyle blisko, że Dalila czuje zapach kawy w jego oddechu. Wspomnienie rąk, męskich rąk, które łapią ją za szyję, zalewa jej umysł; odwraca głowę i z trudem przełyka ślinę, z niemal fizycznym trudem odpychając te obrazy od siebie. Kiedy strażnik przesuwają się i bada jej buty, dziewczyna powoli wypuszcza powietrze z płuc, otwierając i zamykając palce w pięści. Mężczyzna zagląda pod języki butów,

a także do środka. Wyjmuje wkładki, szukając schowanych przedmiotów, a potem oddaje jej obuwie. Dalila zauważa, że jej ręce się trzęsą; traci na chwilę równowagę, próbując wsunąć stopy do butów.

Prowadzą ją do kolejnego biurka. Tam zapisują imię, nazwisko, numer oraz godzinę przybycia, a następnie dają jej karteczkę z numerkiem. Słyszy, że ma czekać, zostanie wywołana.

Poczekalnia jest pełna ludzi. Prawie wszystkie miejsca są zajęte. W powietrzu unoszą się słowa w wielu językach, okna pozostają zaparowane od wewnątrz. Dzieci siedzą na kolanach matek bądź na podłodze, niektóre znajdują sobie zajęcie, jakim jest robienie zabawek z papieru. Tu i ówdzie stoją mężczyźni, umożliwiając reszcie rodziny wspólne zajęcie szeregu miejsc.

Na lewo od Dalili widać dwoje drzwi. Na pierwszych widnieje napis TOALETA, na drugich SALA MODLITWY. W rogu stoją błyszczące automaty z napojami i przekąskami.

Zapala się jakiś numerek, czemu towarzyszy przerywany dźwięk. Wszyscy cichną i pochylają głowy, sprawdzając swoje karteczki. Jakaś kobieta wstaje, kładzie sobie dziecko na biodro i człapie krótkim korytarzem, wychodzącym z głównej poczekalni. Znowu robi się gwarno, jak przedtem, ludzie rozmawiają w grupach, kiwają głowami i zagryzają wargi. Niektórzy siedzą zgarbieni, pochyleni do przodu, masują sobie kłykcie, inni wydają się śpiący, nieomal drzemią. Jakaś matka próbuje opanować swoje dziecko, przekładając malucha z jednego kolana na drugie i starając się chwycić je mocniej, mimo wierzania. Dalila wstaje, niepewna, co robić dalej.

– Moja siostró, proszę – odzywa się jakiś stary mężczyzna. Gestem pokazuje, żeby zajęła wolne miejsce obok niego.

– Dziękuję. Nie trzeba – odpowiada Dalila.

– Stać jest dobrze – mówi starzec. – Ponieważ jeśli o mnie chodzi, nie wierzę, żebyś umiała chodzić w tych butach.

Dalila spogląda na swoje stopy. Bez sznurówek języki obu pantofli wyłożą na zewnątrz.

Kozia bródka starca przetykana jest siwymi włosami. Jego niebieski krawat i poplamiony kołnierzyk koszuli przypominają Dalili nauczyciela matematyki z liceum.

– Jeśli chcesz stać – kontynuuje mężczyzna, podnosząc wzrok na Dalilę – to będziesz stała bardzo długo. Zmęczysz się, osłabniesz i upadniesz. A ponieważ tylko ja zamieniłem z tobą słowo, wszyscy pozostali uznają, że odpowiadam za ciebie. Jestem za stary, żeby cię stąd wynosić. Więc z troski o moje własne słabe kończyny proszę cię, żebyś usiadła.

Mężczyźnie nie udaje się stłumić swawolnego uśmiechu. Ruchem głowy wskazuje krzesło obok siebie.

Dalila siada, zaciska kolana, kładzie ręce na podolku.

– Jestem Daniel – przedstawia się mężczyzna.

– Mam na imię Dalila – odpowiada.

– Miło cię poznać – mówi i potrząsa jej dłoń. – Skąd jesteś, siostrze?

– Z Kenii.

– Ach, Kenia to cudowny kraj. – Daniel przechodzi na suahili. Nachyla się odrobinę bliżej. – Wiele lat mieszkałem w Nairobi, miałem tam swój biznes. Ilekroć wracam, zawsze zaskakuje mnie mikroklimat tego miasta. Podczas gdy pozostała część Afryki zalewa się potem, Nairobi to oaza chłodu. Na pewno sama zauważyłaś. Ale dla moich gości jest tam prawie za zimno.

Na podstawie jego akcentu Dalila może stwierdzić, że nie urodził się w Kenii, jednak swojskość ojczystego języka jest niczym wejście w słoneczny blask. Słuchając mowy mężczyzny, patrzy na jego usta. W samogłoskach słychać afrykańską melodyjność, w sylabach – muzykę pop i rock and rolla.

– O wiele bardziej wolę Lamu – ciągnie Daniel. – Przepiękne miasteczko. Afrykański klejnot. Byłaś w Lamu?

Pozwalając, aby znajome rytmy suahili przez nią przepływały, Dalila odpowiada w swoim ojczystym języku:

– Wybrałam się kiedyś do Mombasy. Widziałam ocean, ale niestety w Lamu nie byłam nigdy.

– To dobrze – mówi Daniel. – Im mniej ludzi tam jeździ, tym dłużej miasto zachowa swój urok.

Dalila kiwa uprzejmie głową, niepewna, czy żartował, czy nie. Patrzy na bilecik trzymany w ręku, a potem na zegar.

– Co teraz będzie? – pyta.

Daniel opiera się wygodniej i zakłada nogę na nogę.

– No cóż, przypuszczam, że porozmawiamy sobie o naszym życiu i trochę się poznamy, a potem, jeśli się okaże, że mamy wspólne zainteresowania, być może zostaniemy przyjaciółmi.

Dalila patrzy na niego. Tym razem się uśmiecha.

– Miałam na myśli, co się stanie, kiedy wywołają moje nazwisko? Co mam robić?

– Ach. Masz robić to, co ci każą. – Zdejmuje nogę i pochyla się do przodu. – Na szczęście MSW ułatwiło nam sprawę, odebrawszy wszelką możliwość korzystania z wolnej woli. – Przerywa w oczekiwaniu na odpowiedź, jego oczy błyszczą.

Dalila znów się uśmiecha, tym razem znacznie wyraźniej.

– Wywołają twój numer i powiedzą ci, do którego boksu masz się zgłosić – tłumaczy Daniel. – A potem, normalnie, rób to, co ci powiedzą.

Dziewczyna kiwa głową, splatając palce i zaciskając je.

– Nie ma się co przejmować, sostro. Przyzwyczaisz się do tego wszystkiego.

Brzęczyk wzywa kolejny numer, który pojawia się na ekranie, wszyscy w sali pochylają głowy i sprawdzają swoje karteczki.

– Bingo. – Daniel macha bilecikiem w stronę Dalili. Wstaje, zapina marynarkę, idzie i siada w pierwszym boksie.

Mija dziesięć minut. Dalila zauważa, że wszystkie siedzenia są połączone spawem. Patrzy na plakat MSW, przedstawiający ładną, uśmiechniętą parę z Bliskiego Wschodu, która z wyraźnym zachwytem przyjmuje propozycję powrotu z Wielkiej Brytanii do swojego kraju.

Sięga do kieszeni i wyjmuje zwiniętą chusteczkę higieniczną, wydmuchuje w nią nos, po czym wkłada ją z powrotem do kieszeni. Ktoś jeszcze w tym pomieszczeniu pociąga nosem. To ciężarna kobieta w szarym hidżabie, która kołysze się w przód i w tył. Po jej policzkach spływają łzy. Pociąga nosem i dotyka go wewnętrzną stroną nadgarstka. Nikt się do niej nie zbliża.

Strażnik przy drzwiach patrzy na kobietę w ciąży, a po chwili odwraca wzrok. Kobieta nie przestaje płakać. Dalila wyczuwa, że nie dręczy jej ból fizyczny, lecz psychiczny, że jest kompletnie załamana. Tych łez nie da się powstrzymać, nie można ich zignorować. Mężczyźni pochylają głowy, niektórzy prostują się i gapią w okno. Starsza pani w czarnym hidżabie podchodzi i siada obok ciężarnej. Bez słowa kładzie rękę na ramieniu młodej kobiety. Siedzą teraz razem, kobieta łka miękko.

Na ekranie wywołują z brzękiem dwa kolejne numerki. Dalila sztywnieje, zdawszy sobie sprawę, że właśnie wyświetlono jej numer. Wstaje i idzie niepewnie w swych rozlazłych butach w kierunku boksu czwartego.

Za szybą siedzi wielki łyсы mężczyzna o potężnej głowie.

Kiedy dziewczyna siada, urzędnik wykrzywia kąciki ust, jakby chciał się uśmiechnąć.

- Poproszę ARC – mówi.
- Słucham? – pyta Dalila.
- Proszę mi dać swoją ARC.
- Moją kartę ARC?

Mężczyzna trąca łącznik swoich okularów.

– To się nazywa Karta Rejestracji Wniosków – tłumaczy. – Jeśli pani używa sformułowania „karta ARC”, to *de facto* powtarza pani jedno słowo bez potrzeby, zgadza się?

Dalila milczy i podaje mu kartę. A także list. Mężczyzna wsuwa kartę do otworu jakiegoś urządzenia i patrzy na ekran przed sobą. Jego oczy śmigają między twarzą dziewczyny a monitorem, weryfikując zdjęcie. Dalila zauważa, że skóra na brodzie mężczyzny jest różowa od podrażnień. I że nie ma on prawie brwi.

– Nazwisko?

– Irene Dalila Mwathi.

– Adres?

– Iona Court trzydzieści jeden. Mieszkania siedemdziesiąt dwa.

– Zgłasza się pani pierwszy raz?

– Tak.

Wklepuje coś na klawiaturze.

– Proszę położyć palec wskazujący na skanerze.

Dalila waha się, zmieszana.

Urzędnik wzdycha. Podnosi swój prawy palec wskazujący.

– Połóż palec... na czerwonym światełku – mówi, wskazując na skaner przed dziewczyną.

Dalila kładzie palec na ciepłej szklanej powierzchni.

Mężczyzna wpisuje kolejne dane do komputera, wyjmuje jej kartę i podnosi.

– Z tą kartą... trzeba iść na pocztę... na poczcie dadzą ci pieniądze.

Rozumiesz?

Dalila marszczy brwi.

Pchnięta zza szyby, karta powraca do niej.

– A teraz... zaczekaj tutaj. – Urzędnik wskazuje pojedyncze krzesło w korytarzu za jej plecami. Opiera się w fotelu, krzyżuje ramiona i chowa swój podrażniony żyłką podbródek. Po kilku sekundach gapienia się jedno na drugie Dalila dochodzi do wniosku, że rozmowa jest chyba skończona. Wstaje, podchodzi do krzesła i siada.

Dwadzieścia minut później zbliża się do niej jakaś kobieta w białej bluzce.

– Pani Mercy Kiguru?

Dalila rozgląda się na boki, żeby sprawdzić, do kogo ta kobieta mówi, ale ponieważ w pobliżu nikogo nie ma, postanawia odpowiedzieć:

– Nie.

– Nie?

– To nie ja.

Urzędniczka kartkuje akta, które trzyma w zgięciu ramienia.

– To może... zobaczmy tutaj... Irene Dalila Matty? To pani?

– Tak, jestem Irene. – Dalila kiwa głową.

– To dobrze, proszę iść ze mną.

Wchodzi za kobietą do małego biura. Są tam: biurko z komputerem, regały na akta i pudełka na podłodze. Kosz obok biurka jest wypełniony po brzegi strzępami papieru i kartonowymi kubkami po kawie. W pokoju panuje duchota, ale okno pozostaje szczelnie zamknięte. Kobieta siada za biurkiem, a Dalila zajmuje miejsce na plastikowym krzeselku naprzeciwko niej.

– No dobrze – odzywa się urzędniczka, odkładając wszystkie akta na bok i otwierając tylko te z nazwiskiem Dalili. – Tu jest napisane, że mówi pani po angielsku. Zgadza się?

– Tak.

– Dobrze, w takim razie powinno nam pójść szybko. Jestem panna Colgan, przydzielono mnie jako opiekunkę pani sprawy. To znaczy, że jestem

odpowiedzialna za kontrolowanie postępów w badaniu pani wniosku.

– Miło mi panią poznać, panno Coligan – mówi Dalila.

– Panno Colgan.

Dziewczyna stara się zwalczyć falę zawstydzienia, gdy próbuje ponownie wymówić to nazwisko.

– Panno Col-gin, przyjemnie panią poznać.

Podają sobie ręce; zimny, suchy dotyk skóry tej kobiety pozostaje jeszcze długo na palcach Dalili.

– Rozumiem, że niecałe dwa tygodnie temu przeszła pani fazę przesiewową w Croydon i została skierowana do Glasgow.

– Tak.

Panna Colgan się uśmiecha, kładzie łokcie na biurku i opiera się na nich.

– Ale wszystko po kolei – mówi. – W przesłanym pani piśmie wymieniono terminy, w których ma się pani zgłaszać. Ma pani to pismo ze sobą?

– Tak, jest tutaj.

– Dobrze, wie pani zatem, że należy się meldować u nas dwa razy w tygodniu, we wtorki i w piątki rano. Jeżeli nie spełni pani tego obowiązku, choćby raz, narazi się pani na kłopoty. Czy to zrozumiało?

Dalila kiwa głową.

– Podczas rozpatrywania wniosku o azyl nie wolno pani podejmować pracy w naszym kraju. Chcę, żeby pani wiedziała, że traktujemy to bardzo poważnie. Próba zatrudnienia się w Wielkiej Brytanii bez zgody na pobyt jest przestępstwem. Jeśli zostanie pani na nim przyłapana, grozi jej areszt i więzienie. Jasne?

– Dalila spuszcza głowę.

– Tak, panno Col-gin.

– Wkrótce otrzyma pani pocztą formularz sprawozdawczo-dowodowy –

kontynuuje panna Colgan. – Jest podobny do formularza wniosku. Musi go pani wypełnić, podając wszystkie szczegóły swojej sprawy. Proszę niczego nie pomijać. Opisać dokładnie, co się pani przydarzyło i dlaczego azyl w Wielkiej Brytanii jest niezbędny. Proszę zapisać każdy detal. Wystarczy powiedzieć prawdę, a wszystko będzie dobrze.

Żołądek Dalili zaciska się w węzeł, gdy dziewczyna zastanawia się nad prawdą, nad detalami. To przecież kwestie, o których nie była zdolna rozmawiać, nie wyobraża sobie, że miałyby je teraz opisywać. Lecz kiedy zerka na pannę Colgan, stwierdza, że kobieta się uśmiecha. Jej oczy nie są miłe, chyba, ale jest w niej jakaś otwartość, spokój, który podoba się Dalili. Dziewczyna się zastanawia, czy – jeśli poznają się lepiej – będzie umiała porozmawiać z tą kobietą.

– Nie musi się pani niczego obawiać – ciągnie panna Colgan. – To ja przeprowadzę z panią rozmowę dotyczącą azylu i będę panią reprezentować prawnie. Ma pani adwokata?

– Nie – odpowiada Dalila, znów zaniepokojona. – Nie stać mnie na prawnika.

– Raczej nie będzie pani potrzebny. W trakcie całego procesu pani i ja musimy być w stałym kontakcie, ale ma pani możliwość skorzystania z zewnętrznej pomocy prawnej, jeśli sobie tego życzy. Kiedy już znajdzie pani czas na wypełnienie formularza sprawozdawczo-dowodowego, ustalimy termin pani przesłuchania w sprawie azylu. Przyniesie pani formularz ze sobą, a także wszelkie możliwe dowody i dokumenty. Sama przeprowadzę z panią tę rozmowę, ale towarzyszyć mi będzie dwóch kolegów, jako świadkowie. Szczegółowo omówimy pani sytuację, a potem zdecyduję, co dalej. Czy to brzmi dla pani rozsądnie? Ma pani pytania?

Dalila spogląda na bluzkę panny Colgan. Jest biała, satynowa, z płytkim wcięciem pod szyją w kształcie litery V, bez poduszczek na ramionach.

– Pracuje pani w MSW? – pyta.

– Ha! – Panna Colgan odchyła się na krzesło i cicho śmieje. – Owszem, zgadza się. Rzeczywiście tu pracuję, ktoś musi, prawda? To będzie pani potrzebne. – Przesuwa jakąś broszurkę po blacie w stronę Dalili. – Są tu wszystkie informacje, o których przed chwilą wspomniałam. A to moja wizytówka z numerem telefonu. W razie potrzeby proszę dzwonić. Okej?

– Dziękuję – mówi Dalila.

– I niech się pani o nic nie martwi – dodaje panna Colgan. – Po prostu zgłaszać się w terminie i wypełnić papiery. Zobaczymy się na przesłuchaniu.

⁶ *Festival* (ang.) – festiwal, święto, festyn; świąteczny, uroczysty (przyp. tłum.).

⁷ *Court* (ang.) – sąd, dwór, dziedziniec (przyp. tłum.).

Dalila wychodzi za bramę Festival Court i kuca, żeby włożyć sznurówki do swoich złotych koszykarskich butów.

– *Jambo?* – słyszy. Ktoś się zbliża. – *Habari gani?*

Podnosi wzrok i widzi starego człowieka, którego poznała w poczekalni.

– *Mzuri, ahsante* – odpowiada.

– Znów się spotykamy. To ja, Daniel – mówi w suahili mężczyzna.

– Tak, pamiętam. – Dalila wstaje, aby podać mu rękę.

– Dzięki temu, że cię widzę, mój dzień stał się jaśniejszy – oznajmia Daniel.

– Mój też – przyznaje Dalila, trochę bardziej oficjalnie, niż zamierzała.

– Idę do biblioteki – informuje Daniel. – Wiesz, gdzie to jest?

– Nie, czuję się tu jeszcze obco.

– To przy tej samej ulicy, niedaleko. Chodzę tam przez większą część tygodnia. Czytam to, co jest w Internecie. Jeśli nie przeszkadza ci wolne tempo i towarzystwo męczącego staruszka, takiego jak ja, to pokażę ci drogę.

W rogu sali bibliotecznej dwoje dzieci siedzi na poduszce wypełnionej plastikowymi kuleczkami i pokazuje sobie obrazki w jakiejś książce. Po drugiej stronie pomieszczenia widać pięciu starych mężczyzn w fotelach, którzy czytają gazety. Są tu regały z płytami CD i DVD, a przy głównym wejściu znajduje się wystawka książek w niebieskich obwolutach. Napis zaprasza wszystkich: „Pokonaj zimową chandrę dzięki książce!”.

Daniel przedstawia Dalilę bibliotekarce za ladą i informuje, że dziewczyna chciałaby się zapisać. Po wypełnieniu paru druczków rezerwują sobie komputery z dostępem do Internetu na jedną godzinę.

Wyżej, na półpiętrze, znajduje się rząd stanowisk komputerowych. Przed ekranami monitorów siedzi kilka osób. Daniel rozpoznaje jednego z mężczyzn. Podają sobie ręce i szeptem mówią „dzień dobry”. Dalila siada przed

komputerem, który jej wyznaczono.

Loguje się, korzystając z podanego hasła. Natychmiast po wejściu do sieci licznik na dole ekranu zaczyna odmierzać czas. Pozostało pięćdziesiąt dziewięć minut.

Jej palce zawisają nad klawiaturą. Pasek adresu strony w wyszukiwarce internetowej jest równie pusty, jak jej umysł.

Kiedy ostatnio siedziała przed takim komputerem? Gdzie wtedy była? Pewnie w pracowni na terenie kampusu, ponad miesiąc temu. Nie, chyba raczej w kafejce internetowej w galerii. Zaraz po tym, jak jej brat wyjechał na północ, żeby odwiedzić rodziców. Pamięta, że poszła tam szybko, by sprawdzić, czy nie przysłał jakiejś wiadomości.

Jej palce piszą jedno słowo. Facebook.

Podaje swój adres mejlowy i hasło. Palce przypominają sobie rytm pisania na klawiaturze szybciej niż umysł. Ma czterysta siedemdziesiąt osiem powiadomień oraz sto dziewiętnaście wiadomości. Klika swój profil. Wciąż jest na nim jej zdjęcie, jak pozuje w peruce i w czerwonej koszuli, w których – jak sądziła – wygląda bardziej profesjonalnie. Pod mocnym makijażem prawie nie widać oczu. Ta osoba już nie wygląda na Dalilę albo właściwie to Dalila nie czuje się tą osobą. Fotografia jest żenująca, lecz coś zmusza ją do patrzenia, do sprawdzenia, kim kiedyś była. Głupiutką studentką, która próbowała wyglądać dorosłe.

Przesuwa ekran w dół, szybko czyta poszczególne posty na swojej osi czasu.

Sarah Wa Mum: tw brat był najlepszy. Wieczny odpoczynek.

Anthony Gamboa: xoxo D. Słyszałem o twojej rodz. Tak mi przykro. Niech Bóg będzie z tobą w tych trudnych chwilach.

G. Talai: Tak mi przykro. Kondolencje *dada*.

Piękny Muragu: Ludzie gadają o tobie dziwne rzeczy, Irene. Co się dzieje? Wszystko OK?

Judy Mwenda: *pole sana kwa msiba* moje kondolencje. Zadzwoń.

Eunice Ndirangu: Naprawdę się martwię. Jak to? Nie widziałam cię wiele miesięcy! Gdzie jesteś???? Ludzie mówią, że jesteś u wujka czy coś. Proszę, proszę, proszę – napisz mejla. Cokolwiek.

Caleb Wairimu: Wieczny odpoczynek, Dalila Mwathi, zawsze byłaś taka słodka.

Judy Mwenda: Przecież ona nie umarła!!

Caleb Wairimu: Co? Sorry. Słyszałem o tych zamieszkach, o jej rodzinie.

Muthoni Muragu: Czy ktoś miał jakieś wiadomości od Dalili #whereisdalila

JC Kinuthia: Nie.

Njeeh Kimenju: Nie ma jej na @uczelni, na zajęciach. Dawno nikt jej nie widział.

Moses Kaire: Jest u swojego wujka.

Faith Ndungu: Podobno przeprowadziła się do Thika.

N. Mutiso: Bardzo za tobą tęsknię, dziewczyno moja. Mam nadzieję, że nic ci nie jest, gdziekolwiek przebywasz.

Sam Mbuvi: Kondolencje. Niech odpoczywa w spokoju. Byłaś piękną dziewczyną, zachwycającą.

Kenny Kibue: Opłakujemy przyjaciółkę.

Muthoni Muragu: Dalila, jeśli to czytasz, zadzwoń!!! Wiem, że gdzieś tam jesteś. #whereisdalila

Esther Njanja: Wiele osób na uczelni jest poruszonych losem twoim i twojego brata. Odpoczywajcie oboje w Bogu.

Muthoni Muragu: Siostró, prześlij mi wiadomość na priv. Przyjaciele *milele!*⁸ #whereisdalila

Posty nie mają końca. Dalila ustawia kursor na aktualizacji statusu i nie bardzo wiedząc, co napisać, zaczyna nerwowo stukać w klawiaturę.

Saseni! Dementując liczne wpisy z życzeniami „wiecznego odpoczynku”, *sijadie*, wciąż żyję! Jestem bezpieczna w Wielkiej Brytanii. Mój adres to Glasgow! To był ciężki rok z wieloma *shidaz*, ale *niko poa!* *Nawamiss!*

Nie wie, co jeszcze mogłaby napisać, lecz te słowa powinny przynajmniej

położyć kres plotkom kursującym po uczelni. Najpierw niech się rozniesie, że Dalila żyje i ma się dobrze, a potem odnowi kontakty ze wszystkimi znajomymi, po kolei. Wciska klawisz ENTER.

Rodzice nie korzystali z Facebooka, nie należeli do pokolenia „xoxo”. Matka kupiła sobie telefon zaledwie przed trzema laty. Ale wszyscy pozostali używają Facebooka, jej znajomi, nauczyciele, kiedyś brat.

Samuel, jej brat.

Bardziej go wyczuwa, niż potrafi sobie zwizualizować. W najgorszych momentach jej myśli zawsze kierowały się ku mamie i tacie. Oni byli jej ziemią, która wysunęła się jej spod nóg. Natomiast Samuel stoi gdzieś z boku, twarz ma niewyraźną, jakby był tylko sylwetką w blasku księżyca. Jego zarys staje się ostrzejszy, gdy dziewczyna nie patrzy nań bezpośrednio. Niepokoi ją fakt, że niezbyt mocno przeżywa śmierć brata. Jego tragedia została w jakiś sposób przesłonięta przez jej własną. Jego odejście nie stało się wydarzeniem samym w sobie, lecz zaledwie jednym ze skutków trzęsienia ziemi, które miało miejsce w jej życiu.

Wpisuje jego imię i klika.

Oto jego twarz. Realna. Prawdziwa. Jakby wyszedł ku niej z cienia. Wyczuwa jego nastrój w tym dumnym, pewnym siebie profilowym zdjęciu. Starszy brat, atletyczny i łagodny.

Jego strona zamieniła się w pomnik pamięci, z setkami życzeń i wpisów typu R.I.P. Dalila przesuwa litanie hołdów. Wielu przyjaciół zamieściło kondolencje i fotografie, których nigdy wcześniej nie widziała. Klika folder i szybko przegląda zdjęcia. Na jednym widać tłum odświętnie ubranych ludzi, stojących na jakimś polu. Na drugim pozują na parking. Nikt się nie uśmiecha, ale jej brat jest oznaczony na każdej fotce. Szuka jego twarzy, lecz jej nie znajduje. Na kolejnym zdjęciu ładnie ubrani ludzie czekają przed kościołem. Rozpoznaje

w nim coś znajomego. Następne ujęcie jest bardzo podobne do poprzedniego, lecz tym razem Dalila czuje, że obraz wzbudza w niej dziwny niepokój. Poznaje przyjaciół rodziny, ludzi, którzy pracowali u jej ojca, kuzynów oraz kilka osób z uczelni.

A potem już wie.

To jest pogrzeb.

Zdjęcie zrobiono na pogrzebie jej brata. To uroczystość rodzinna. Oto jej przyjaciele i rodzina, żegnający się z młodym człowiekiem. Wszyscy mówią mu „do widzenia”, wszyscy oprócz niej. To właśnie na ten pogrzeb wujek zabronił jej jechać. Wciąga powietrze do płuc tak gwałtownie, że wydaje z siebie dźwięk. Przegląda kolejne fotografie i znajduje go, swojego wuja, jak tkwi przy samochodzie z kilkoma pracownikami. Są ubrani w garnitury i palą papierosy. Na pierwszym planie widać paru przyjaciół Samuela, którzy stoją obok siebie i trzymają koszulkę od stroju do koszykówki jej brata.

W zdjęciu tym jest jakaś przerażająca cisza.

Serce dziewczyny zaczyna bić tak mocno, że boi się, iż za chwilę krzyknie. Odpycha się od biurka i próbuje znaleźć w kieszeni chusteczkę do nosa. Daniel odwraca się na krześle i obniża okulary, by na nią spojrzeć. Dalila wydmuchuje nos, po czym podnosi rękę w uspokajającym geście: Danielu, wszystko okej. Znów dmucha w chusteczkę, a kiedy rzuca okiem na ekran, wyskakuje prywatna wiadomość. Przysuwa się szybko, żeby ją odczytać.

Muthoni: Kto tam jest? Naruszasz profil mojej koleżanki. Zgłoszę to ochronie kampusu.

Dalila gapi się na mały zielony kursor, który wskazuje, że Muthoni, jej najlepsza przyjaciółka, jest teraz *online*. Nie bardzo wie, jak na to odpowiedzieć. Muthoni musi jednak zdawać sobie sprawę, że ona też jest w necie i można do niej pisać.

Muthoni: Skąd masz hasło do konta mojej koleżanki? Hakowanie prywatnych danych to poważne przestępstwo!!

Dalila: To ja.

Muthoni: Kim jesteś?

Dalila: *ni mimi* Dalila.

Muthoni: NIE jesteś Dalilą. Już ja to wiem!!

Dalila: Uwierz mi. To ja. Razem studiowałyśmy media i komunikację.

Muthoni: Wiesz o tym z jej profilu. Uważasz mnie za głuuuuupią? Masz poważne kłopoty. Wyleją cię za to. Jeśli jesteś nią, to powiedz, gdzie się poznałyśmy.

Muthoni nie odpowiadasz? Rzygać mi się chce.

Dalila: Noni, nie bądź taka! Poznałyśmy się w małym sklepie z telefonami komórkowymi na Moi Avenue, niedaleko lokalu, gdzie podają świetne frytki. Kupowałaś aparat z obudową Nicki Minaj. Pomogłaś mi wyjąć z mojego telefonu baterię, bo miałaś dłuższe paznokcie. To ja, Noni. Dali.

Muthoni: OMG OMG OMG!!!! Przyjaciółki na zawsze!

Muthoni: Dali, to naprawdę ty??

Dalila: Tak! :)

Muthoni: Mówili, że nie żyjesz. Że cię zamordowano!! Ale ja wiedziałam, WIEDZIAŁAM. Wiedziałam wiedziałam wiedziałam!!!! :) Wszystko ok? Jesteś chora? Co? Przesyłam ci najmocniejsze uściski!

Dalila: Nic mi nie jest.

Muthoni: Jesteś w W.Bryt.?

Dalila: Tak. W Glasgow.

Muthoni: Co to za miejsce? nigdy o nim nie słyszałam. Jakies zdjęcia? Są gdzieś? Chcę cię zobaczyć w fajnych ciuchach!! :)

Dalila: To nie tak. W Glasgow jest na to za zimno. Nie jest mi łatwo.

Muthoni: Nie martw się, dziewczyno. Cieszę się, że jesteś bezpieczna. Wszyscy gadali, że nie

żyjesz. Mówili, że uciekłaś, szukali cię. Podobno mieszkałaś u wujka. Tu zapanowało istne szaleństwo! Po roku chcieli cię skreślić z listy studentów, dasz wiarę? Ale udało mi się to odroczyć, więc wciąż trzymają twoje miejsce ;)

Dalila: wow!! Udało ci się? Jesteś niesamowita!!

Muthoni: Kiedy wracasz?

Dalila: Chciałbym wrócić natychmiast, wierz mi. Ale boję się wujka.

Muthoni: mieszkałaś u niego?

Dalila: najpierw tak, dobrowolnie, ale potem nie pozwalał mi odejść. Źle mi się działo, Noni. Wydarzyły się złe rzeczy, ale uciekłam, wyrwałam się.

Muthoni: gnojek z Mungiki!⁹ Tak mi przykro, Dali.

Muthoni: Jak się dostałaś do Wlk. Bryt.?

Dalila: 1 z kierowców mojego wujka mi pomógł.

Muthoni: on zgrywa teraz ważniaka.

Dalila: kto? Mój wujek?

Muthoni: tak

Muthoni: Widziałam jego zdjęcia na tylnych szybach *matatu*. Startuje do rady miasta.

Dalila: Serio?

Muthoni: Ci z Mungiki bardzo się zmienili. Już nie żują tytoniu, nie noszą dredów. Teraz wkładają garnitury. Naprawdę! Żadnych gangsta, chcą być biznesmenami. Nawet u nas w koledżu jest dużo Mungiki. Wszędzie są właściwie. Jeśli zaczniesz na nich wygadywać, możesz mieć problemy.

Dalila: To niedobrze dla mnie. Mogę nigdy nie wrócić do domu.

Muthoni: nie myśl tak, Dali. Niedługo tu przyjedziesz, spoko. Lepiej, żebyś na razie była bezpieczna. Ale nie mów nikomu, gdzie jesteś. Ludzie gadają.

Dalila wyobraża sobie, co ludzie gadają. Znajomi z uczelni, którzy rozmawiają z innymi studentami, jadąc do domów w *matatu*. Wieści o jej miejscu pobytu roznoszą się błyskawicznie. Lojalni wobec Mungiki studenci

przekazują wszystko bileterom albo kierowcom, którzy też należą do organizacji. Kierowcy *matatu* zapamiętują jej nazwisko. Potem gadają z wujkiem. Wujek wpadł we wściekłość, że udało jej się uciec, ale kiedy się dowie, gdzie Dalila przebywa, może już skierować swój gniew we właściwe miejsce.

Dalila: Właśnie dodałam Glasgow do swojego statusu!!! Głupia, głupia!!

Muthoni: Lepiej szybko usuń.

Dalila klika z powrotem swój profil i stwierdza, że zmiana statusu przyniosła jej dwadzieścia dziewięć lajków i osiem komentarzy. Znajomi z koledżu życzą jej powodzenia i pytają o życie w Wielkiej Brytanii. Kasuje post jak najszybciej i odświeża stronę, dla pewności, że zniknął.

Na ekranie miga ostrzegawcze światełko z informacją, że zostały jej już tylko dwie minuty korzystania z Internetu.

Wysyła Muthoni wiadomość.

Dalila: Skasowałam post, ale się martwię.

Muthoni: Będzie dobrze. Spokojnie. W Wielkiej Brytanii nikt cię nie znajdzie. Ale lepiej korzystać z prywatnych wiadomości albo mejli.

Dalila: Niedobrze mi, Noni. Proszę, nie mów o mnie nikomu.

Muthoni: Jesteś bezpieczna, dziewczyno. Wierz mi! Mungiki nie latają do Anglii.

Dalila: Zostało mi 45 sekund na kompie. :) całusy, Noni. Niedługo pogadamy.

Muthoni: Kocham cię, Dali!!!

⁸ *Milele* (suahili) – na wieczność, na zawsze (przyp. tłum.).

⁹ Mungiki – paramilitarna organizacja plemienia Kikuju w Kenii, nieuznawana przez władze kraju, utrzymująca się głównie z haraczy (przyp. tłum.).

Kiedy Dalila wraca do mieszkania, zamyka za sobą drzwi na klucz i rygluje je. W głowie huczy jej od myśli. Czuje, że właściwie krążą po całym jej ciele, wicherzą się w piersi, nurkują w żołądku. Wiercą się i mkną, zbyt szybkie, żeby je złapać. Ten dziwny stary człowiek, jak on miał na imię? Daniel. I panna Colgan. Col-gan. Dlaczego kazano jej wyjąć sznurówki z butów? Czy będzie musiała to robić podczas każdej wizyty? Znow powinna zajrzeć na Facebooka. Muthoni. Słodka, drogocenna Noni. Taka dobra przyjaciółka, prawdziwa siostra.

Ma'aza wchodzi do jej pokoju.

– Zgłosiłaś się do Festival Court? – pyta. – Namagnesowali twoją kartę?

– Tak – odpowiada, zdejmując kurtkę.

– Okej, to idziemy – mówi Ma'aza.

– Dokąd?

– Na pocztę. Jak namagnesowali ci kartę, to znaczy, że masz pieniądze. Musimy już iść.

Dalila podąża za Ma'azą w kierunku czegoś, co wygląda na dworzec autobusowy. Za nim wznosi się kilka wyższych budynków, bardzo starych, z iglicami wystrzelającymi w niebo. Na parterze każdego z nich znajdują się sklepy.

Ma'aza kroczy pewnie, z uniesioną głową, nie patrząc ani w lewo, ani w prawo, podczas gdy Dalila stara się przyglądać wszystkiemu. Jakaś kobieta z dzieckiem śmieje się do telefonu, pchając wózek. Dziecko ma cztery lata, może jest trochę starsze. Mewy rzucają się na odpadki i je dziobią. Mewy są takie same jak w Mombasie; Dalila się zastanawia, czy Glasgow jest miastem nadmorskim. Stare drzewa rozkładają szeroko konary, ich korzenie wypaczają betonowe płyty wokół pni. Czarna taksówka, podobna do tych, które widziała w Londynie,

zawraca i zatrzymuje się przy krawężniku. Biały mężczyzna zamiata śmieci z chodnika.

Biali sprzątacze – inni.

Taksówki – inne.

– Czy to centrum miasta? – pyta Dalila.

– Nie. To Govan. Centrum jest po drugiej stronie.

Przechodzą przez ulicę, w kierunku niewielkiej galerii handlowej. U jej wejścia siedzi mężczyzna na wózku inwalidzkim, ubrany w koszulkę z napisem „Iron Maiden”. Ma grube okulary i tatuaże na przedramionach. Wózek jest bardzo nowoczesny. Mężczyzna nie żebra ani nie odzywa się do przechodniów, po prostu siedzi, czekając na kogoś lub na coś.

Żebracy – inni.

W środku jest odrobinę cieplej i trochę duszno. Czuć przypalonym jedzeniem; nie jest tak nowoczesnie, jak się Dalila spodziewała. Galerie handlowe w Nairobi są lepsze niż ta. Tu wiele stoisk pozamykano, ich szyby od wewnątrz zamalowano na biało. Mijają piekarnię o nazwie The Wee Cake Shop. Na wystawie pyszną się tarty truskawkowe. Pulchną, znudzona kobieta ma na głowie papierową czapkę i gapi się zza lady. Z przodu Dalila dostrzega sklep z napisem „Farmfoods – Zdrowa Żywność”. Pełno w nim lodówek; mało prawdopodobne, by któryś ze znanych jej farmerów odwiedził takie miejsce.

Ma’aza ciągnie Dalilę za łokieć do jasno oświetlonego sklepu ze słodyczami, gazetami, materiałami piśmienniczymi, napojami, czasopismami i papierosami. Poczta mieści się na jego tyłach, za artykułami biurowymi i kartkami z życzeniami urodzinowymi. Personel pracuje za pancerną szybą i komunikuje się z klientami przez szkło, za pomocą mikrofonów. Okienka są cztery, pracowników tylko dwoje.

Ma’aza i Dalila stają w kolejce za mężczyzną w niebieskim turbanie. Ma’aza, jak wszyscy, patrzy prosto przed siebie i nie nawiązuje z nikim rozmowy. Dalila

stara się dostosować, przybierając obojętny wyraz twarzy, maskę, ale jej zafascynowane oczy lustrują pomieszczenie. Najbardziej zdumiewające jest to, co się nie dzieje. Nikt nie próbuje się przepchnąć na przód kolejki. Ludzie nie tłoczą się przy ladzie. Nikt nie siedzi na podłodze. Nie ma żadnych dzieci. Ani ochroniarzy, broni. Klienci po prostu czekają, jak zmęczeni szkołą uczniowie, jak osadzeni. Wołają następną osobę, żeby podeszła do okienka, i cały ogonek szura jeden krok do przodu.

Pod przeciwległą ścianą widać setki błyszczących czasopism. Prawie każda okładka przedstawia kobietę o cudownej skórze. Na górnej półce leżą magazyny z pornografią – nagie białe kobiety wyginają się w nich i wszystko pokazują. Dalila spuszcza oczy, ale nie może się powstrzymać, by znów nie zerknąć. Te zdjęcia tam po prostu są, bezwstydnie leżą w miejscu publicznym, najwyraźniej jednak nikt nie zwraca na nie uwagi.

Pornografia – różnica.

Przesuwają się naprzód, idąc za kolejką, która zaczyna się dublować; teraz stoją twarzą do osób, które były wcześniej z tyłu. Dalila zauważa dwie starsze panie na samym końcu ogonka i nawiązuje krótki kontakt wzrokowy z wyższą, ale ta odwraca głowę i szepcze coś do swojej pękatej towarzyszki. Dziewczyna domyśla się, że mówią o niej. Fala gorąca zalewa jej twarz.

Następna osoba zostaje wezwana do kontuaru. Dalila musi teraz podejść trochę bliżej starych kobiet. Zerka na Ma'azę, która pisze coś na telefonie. Spuszcza wzrok na swoje stopy, potem podnosi głowę i udaje, że czyta plakat dotyczący transakcji bankowych na poczcie. Przez cały czas czuje na sobie oczy starszych kobiet: na swoich wargach, na włosach, skórze. Kolejka znów rusza. Dziewczyna stoi teraz tuż obok tamtych. Wysoka gmera w jakichś listach, pulchna próbuje jej pomóc. Dalila korzysta z okazji, by im się przyjrzeć. Ich obwisła sucha skóra ma barwę słabej herbaty, włosy są jak nić pajęcza.

Do okienka wzywają Ma'azę, która wsuwa swoją ARC przez szczelinę,

w kierunku kobiety za szybą.

– Masz kartę? – pyta Ma’aza. – Po zameldowaniu się przyjdiesz tutaj po pieniądze, okej? Musisz zapamiętać drogę. Nie mogę ci pokazywać za każdym razem.

Dalila kiwa głową i patrzy, jak kobieta za kontuarem przeciąga kartę przez czytnik. Przez chwilę pracownica poczty analizuje ekran monitora, potem odlicza kilka banknotów i monet, drukuje paragon i przesuwając wszystko w stronę Ma’azy, która łapie banknoty i szybko chowa je w przedniej kieszeni spodni.

Dalila podaje swoją kartę ARC i po kilku minutach ona również otrzymuje pieniądze. Trzydzieści siedem funtów, czterdzieści jeden pensów. Przelicza je w myślach na kenijskie szylingi. Kwota wydaje się spora.

Zerka za siebie na dwie stare kobiety. Nie patrzą na nią. Nie patrzą na nią w ten szczególny sposób, w jaki kobiety potrafią sobie urągać, odmawiając dostrzeżenia drugiej osoby.

Po wyjściu z galerii z drugiej strony Dalila opatula się dla ochrony przed wiatrem. Idzie za Ma’azą obok jakichś magazynów, warsztatu naprawy samochodów, pustej parceli, usianej kawałkami papieru, które toczy wiatr. Zbliżają się do szeregu starych domów, tych barwy ochrowej.

– Zaczekaj tutaj – mówi Ma’aza.

Dalila kiwa głową.

Ma’aza znika wewnątrz jakiegoś budynku.

Wiatr zrzuca brązowe liście z drzew. Dalila wciska ręce jeszcze głębiej w kieszenie kurtki. Jest na ulicy sama. Trudno uwierzyć, że naprawdę się tu znajduje, w pojedynkę, na tej dziwnej zimnej ulicy. Kto dałby temu wiarę? Nigdy wcześniej nawet nie słyszała o Glasgow. Nieważne, jak wujek będzie wściekły, i tak tutaj nie przyjedzie. Na pewno nie. Nikt jej tu nie znajdzie. Jest bezpieczna, nie ma wątpliwości. Ale szkoda, że podała swoje miejsce pobytu na tym głupim Facebooku. Idiotyczne, że w ogóle wspomniała o Glasgow. „Jesteś

głupią dziewczyną, Dali. Głupią, niemądrą dziewczyną”.

Podchodzi do niej jakiś pies. Dalila cofa się pod ścianę, jak najdalej od zwierzęcia, i pokonuje trzy schodki prowadzące do bramy budynku. Pies obwąchuje latarnię, unosi nogę, a potem biegnie dalej ulicą.

Ma’aza wychodzi i mówi:

– Weź. Musisz go mieć.

Podaje jej stary telefon komórkowy marki Nokia, taki, jaki Dalila miała jako siedemnastolatka.

– Dziękuję. – Biorąc komórkę, spogląda w górę na budynek i zastanawia się, co to za miejsce. Wygląda, że są w nim mieszkania. Czy Ma’aza kupiła właśnie ten aparat od kogoś znajomego? Może gdzieś wewnątrz jest sklep. Kiedy zwraca się z pytaniem do Ma’azy, ta odchodzi ulicą. Dalila spieszy się, by ją dogonić.

Zbliżają się do głównej arterii, pełnej pojazdów. Mijają mrugający światłami McDonald drive z kolejką samochodów czekających na dostęp do mikrofonu i złożenie zamówienia.

Dalej w polu widzenia pojawiają się trzy wieżowce – skupisko identyczne jak to, w którym obie mieszkają. Dwa z nich wydają się puste i pozbawione okien, a ich balkony są upstrzone graffiti. Trzeci wieżowiec w ogóle nie ma przedniej ściany; skruszyła się i opadła jak piasek, jakby zmieciona wybuchem bomby. Widok ten przywołuje Dalili na myśl tło, na jakim stoją reporterzy wojenni, nadający z rejonów walk. Cała jedna strona budynku zniknęła. Z poszarpanego betonu sterczą splątane metalowe dźwigary. Z czegoś, co kiedyś było salonem i pokojem dziecięcym, zostały ściany i kolorowe tapety, widać też resztki kuchni z kafelkami.

Gdy podchodzą bliżej, na wysokości mniej więcej piętnastego piętra budynku, u samego szczytu, coś się przesuwa. Betonowa płyta wielkości ściany pokoju Dalili odrywa się i spada na gruzowisko poniżej. Sekundę po tym, jak trafia w grunt, obie kobiety czują na piersiach falę uderzeniową.

– Kiedyś tu mieszkałam – mówi Ma’aza.

– Tu?

– Tak, u góry. – Wskazuje tam, gdzie trwają prace wyburzeniowe.

Dalila przygląda się i dopiero teraz widzi przegubową koparkę, ukrytą za wieżowcem. Jest wyposażona w długie, owadzie ramię, które drapie i szturcha pozostałości pokoju z żółtą tapetą, spycha je, aż wreszcie ściana pęka i wali się na ziemię. Koparka zajmuje nową pozycję i zaczyna dźgać kolejną barwną połąć.

– Jak długo tu mieszkałaś? – pyta Dalila.

– Piętnaście miesięcy. Potem wszystkich wykwaterowali. Rozrzucili nas po całym mieście. Mnie zostawili przy tej samej ulicy. Nasze budynki są takie same jak te. W przyszłym roku znów nas eksmitują i zniszczą także nasz blok, tak jak ten.

– To kiedy tutaj przyjechałaś? – zadaje kolejne pytanie Dalila.

– Jestem w Wielkiej Brytanii od czterech lat i siedmiu miesięcy.

– Tak długo? I nie masz jeszcze dokumentów?

Ma’aza wzdycha i potrząsa głową.

– Posłuchaj mnie, nigdy nie powiedzą ci nic konkretnego. Każą tylko czekać. Może skierują cię w jakieś inne miejsce i tam będziesz sobie wegetować. Czekanie jest najgorsze. To nie Afryka. Tu nie stosuje się pistoletów. Tu wolą używać przeciwko tobie papieru i kłamstw. Obiecują ci wszystko, a potem tylko od ciebie biorą. Starają się nas ze sobą skłócić. Chcą, żebyśmy siedzieli w domu, samotni, i nic nie robili. To załamujące miejsce. Najczęstszą chorobą jest tutaj smutek serca. Dlatego codziennie wychodzę z mieszkania. Żeby zapomnieć o czekaniu. – Dziewczyna patrzy prosto na Dalilę. – Ruch to życie – podsumowuje. – Możesz mi wierzyć.

Na ziemię opada kawał betonu, wzbijając chmurę pyłu. Stoją przez chwilę, obserwując, jak metalowe ramię wbija się szczypcami w coś, co było kiedyś

łazienką.

– Dlaczego to robią? – pyta Dalila.

Widzi, że Ma'aza podnosi wzrok na budynek, a potem spogląda na ulicę.

– Myślę, że jest tak – odpowiada – że oni nas nie nienawidzą, ale po prostu nie lubią na nas patrzeć. Jak te dwie stare oślice na poczcie.

Dalila wydaje z siebie chichot.

– Myślałam, że ich nie zauważyłaś.

Ma'aza potrząsa głową z uśmiechem.

– Widziałam takie jak one wiele razy. Udają, że nas tu wcale nie ma. Tak sądzę. Dla nich jesteśmy jak śmieci, coś, czego nie życzą sobie oglądać. Dlatego upychają nas w tych paskudnych wieżowcach albo ośrodkach dla uchodźców. Grożą nam albo nas ignorują, w nadziei, że może sami wyjedziemy. Ale my zostajemy. Jesteśmy śmieciami, które umieją chodzić. Wystajemy w ich kolejkach, siedzimy w ich autobusach i mieszkamy na ich ulicach. Nie są w stanie nas schować.

Idą do ogromnego sklepu. Nad wejściem świecą się zielone litery ASDA; Dalila mruży oczy, zastanawiając się, co to znaczy. W środku jest cudownie kolorowo, tętni życie. Wejście zdobią świeże kwiaty. Takie same, jakie kiedyś zrywała jej matka w toksycznych foliowych tunelach.

Kwiaty – takie same.

Dalej znajduje się stoisko najpiękniejszych warzyw i owoców, jakie Dalila kiedykolwiek widziała. Jabłka o skórce tak lśniącej, jak stronice czasopism. Prościuteńkie marchewki z oberwaną nacią, każda tak idealna, jakby pochodziła z książeczki do kolorowania. Ziemniaki bez skazy, wymyte i gotowe, by wrzucić je do garnka. Najmniejsze arbuzy, jakie w życiu spotkała. Bardzo długie banany, żółte, wycięte z kiści. Przepiękne, polerowane fioletowe bakłażany.

Warzywa i owoce – inne.

Podnosi awokado, ale jest ono twarde i jeszcze niedojrzałe. Zbliża do nosa małą morelę, jednak jej zapach jest słabiutki, a sam owoc nie nadaje się do jedzenia. Zielone winogrona zdają się pełne soku. Noszą nazwę „bezpestkowe”. To nie może być prawda, Dalila jest pewna. No bo czy owoc może nie mieć pestki? To skąd się bierze, skoro nie ma nasienia? Jak się go potem sadzi? Po prostu pestki muszą być bardzo miękkie. Tylko się wydaje w ustach, że nie ma żadnych nasionek.

Nad głowami klientów rozbrzmiewa łagodna muzyka z radia, odbija się echem o wysokie sklepienie z metalu. Sufitu nie ma. Szerokie przewody wentylacyjne i cienkie kable wiją się między krokwiami dachu. Kable pokrywa nietknięta warstwa kurzu. Za kratownicami wolno obracają się śmigła wentylatorów.

Ma’aza grzebie w kolbach kukurydzy. Bierze jedną do ręki i wsadza do foliowego worka. Potem dodaje jeszcze cztery. Worek wędruje do koszyka, kobieta rusza dalej alejką.

– Masz pieniądze z poczty? – pyta Dalilę.

– Tak, mam – odpowiada Dalila.

– Będą ci je dawać raz w tygodniu – mówi Ma’aza. – Wydaje ci się, że to dużo, ja wiem, ale wszystko w Wielkiej Brytanii jest bardzo drogie. Musisz uważać. Ja wydaję około dwudziestu funtów tygodniowo na jedzenie, od pięciu do dziesięciu funtów na karty telefoniczne, pięć funtów na pastę do zębów i tego typu rzeczy. Reszta idzie na autobus, czasem na ubrania. Ale skoro mamy mieszkać razem, musimy się składać po piętnaście funtów na jedzenie i wszystkim dzielić. Także mydłem i papierem toaletowym. Tak jest lepiej.

Dalila kiwa głową. Podejmuje w duchu decyzję, że wypróbuje przez tydzień, jak taki układ działa. Być może pozwoli im to na bliższy kontakt. Mogą żyć ze sobą jak członkowie jednej rodziny, dzieląc się wszystkim. A jeśli się nie uda, w przyszłym tygodniu Dalila sama zrobi sobie zakupy. Sięga do kieszeni

i wręcza Ma'azie piętnaście funtów.

Mijają lodówki z różowym mięsem, pokrojonym w plasterki i zapakowanym. Tłuste obrznięte kurczaki, oskubane z pierza, z odciętymi głowami i stopami. Pizze zapakowane w folię, upchnięte jedna na drugiej jak płyty w sklepie muzycznym. Pojemniki z gotowymi sałatkami. Makaron z tuńczykiem pływający w majonezie. Kuskus i czerwona papryka pokrojona w kostkę. Dalej stoisko rybne z białym i różowym mięsem, które spoczywa na kruszonym lodzie. Krewetki i kraby. Dalila szuka tilapii, ale chyba nie ma jej na składzie. Wędrują alejką, która przeznaczona jest wyłącznie na płatki śniadaniowe w jaskrawych pudełkach, takie, jakie podaje się tylko w najelegantszych hotelach. Artykuły objęte promocją są oznakowane na czerwono; Dalila przelicza ceny na kenijskie szylingi, wychodzi jej, że jest bardzo drogo. Podążają za zapachem pieczywa, znajdują ciastka w pudełkach z życzeniami urodzinowymi dla anonimowych dzieci. Piekarz w białej czapce wyklada bochny świeżego chleba.

Nie kupują żadnego z tych artykułów.

Ma'aza wkłada do koszyka najtańszy biały chleb, już pokrojony. Herbatę w saszetkach. Kawę. Mleko UHT. Torebkę polenty. Ziarna kukurydzy na popcorn. Sześć jajek. Opakowanie mrożonych rybich kotletów oraz trzy wgniecione, dlatego tańsze, puszki z zupą.

– Potrzebujemy cukru – mówi. – Idź poszukaj, ale tylko czegoś w tym stylu – dodaje, podnosząc opakowanie z herbatą marki własnej supermarketów ASDA. – Szukaj takich artykułów, są tańsze.

Dalila wyrusza na samodzielną wędrowkę po supermarkecie. Mija ją jakaś rodzina, ojciec z przystrzyżoną czarną brodą, matka w hidżabie. Widzi też Afrykankę i serce bije jej szybciej, chce do niej podejść i zadać jej mnóstwo pytań, lecz kobieta czyta obwolutę słoika. Dalila nie ośmiela się jej przeszkodzić.

Na tyłach sklepu trafia na płyty DVD i CD, płaskie telewizory i kamery. To

wytwory najnowocześniejszej techniki, a nikt ich nie pilnuje. Wolna droga. Wszyscy mogą ich dotykać. Na podłodze siedzi po turecku jakieś dziecko i ogląda program przyrodniczy o zimorodkach. Dalila staje za dzieckiem i patrzy na ścianę ekranów. Wiele z nich jest większych niż telewizor w domu jej wuja. Niektóre rozmiarami dorównują odbiornikowi, który widziała przez chwilę w mieszkaniu Mamy Anne.

Na ekranie zimorodek unosi się nad wodą, machając skrzydłami tak szybko, że stają się niewyraźne.

Mama Anne. Anne Nafula Abasi. Dobrze zapamiętała te imiona i nazwisko. Były w jej instrukcjach, tych, które dostarczył jej Charles Okema od Eddiego. Dalila zastanawia się nad Eddiem. Nigdy go nie spotkała, ale Charles go znał i powiedział, że to dobry kontakt. Takiego właśnie użył słowa. Kontakt. Jeśli wujek się dowie, że ona jest w Glasgow, może pogadać sobie z Eddiem, może zmusić go do mówienia. Zaczyna myśleć krytyczniej o Eddiem, o tym, jakiego rodzaju może być człowiekiem. Zapewne przekazał wujowi te same szczegółowe dane, które były zawarte w jej instrukcjach. A jeśli wujek zagroził Eddiemu i kazał mu znaleźć swoją bratanicę, Eddie na pewno zadzwoni do Mamy Anne i poleci jej pojechać do Glasgow. Podróż z Londynu trwa siedem godzin; Mama Anne jest wprawdzie twarda, ale stara. Czy naprawdę będzie jej się chciało jechać tak daleko autobusem po to tylko, żeby przekonać Dalilę do powrotu do Londynu? Mało prawdopodobne. Anne to przecież Mamuśka, pewnie wyśle kogoś od brudnej roboty. Kogoś ostrego i lojalnego. Pozbawionego skrupułów, kto zaciągnie ją, choćby gryzła i wierzgała, z powrotem do Londynu.

Dalila traci na chwilę oddech, myśląc, że już jutro rano może się tu pojawić Markus. Będzie jej szukał tutaj, w Glasgow. W bardzo zwolnionym tempie ptak nurkuje prosto w dół i zanurza się w wodzie; na wszystkich ekranach jest ten sam zimorodek. Na jego piórach błyszczą srebrne krople. Bezgłośnie otwiera dziób, łapie powietrze.

Dalila przewraca się w łóżku, przyciska mocniej poduszkę do piersi. Zatoki ma zatkane, bolesne, piecze ją pod powiekami. Śniła jej się jakaś kłótnia, wybuch złości, coś, co było istotne. Nie pamięta wyraźnie treści tego snu, pozostaje w niej tylko ogólne wrażenie.

Zapada w nowy sen, w którym stoi sama na zimnej ulicy, ubrana w bardzo elegancką garsonkę. Umówiła się na spotkanie z opiekunką swojego wniosku azylowego, ale poczucie winy z powodu wcześniejszej kłótni nie chce jej opuścić. Rozmawia z opiekunką prawną w sposób bardzo uprzejmy i niezwykle oficjalny. Siedzą na dwóch fotelach, nie do końca zwrócone twarzami do siebie, niczym odwiedzający się dygnitarze w wiadomościach. Obecnych jest wielu fotografów i dziennikarzy, którzy rejestrują to wydarzenie. W trakcie spotkania panna Colgan niechętno upuszcza długopis. Dalila pochyla się, nadal w pozycji siedzącej, żeby go podnieść, ale sięga ręką i dotyka czarnego lakierka panny Colgan. Obejmuje zarówno jej but, jak i stopę obiema dłońmi. Jeden z dziennikarzy szepcze coś do drugiego, aparaty błyskają jak oszalałe.

Późnym rankiem przychodzi poczta. Dalila przerzuca listy i znajduje jeden adresowany do niej. Znosi go do swojego pokoju, siada po turecku na łóżku, po czym otwiera kopertę.

To formularz sprawozdawczo-dowodowy. W notce objaśniającej jest napisane, że stanowi on podstawę jej wniosku o azyl w Wielkiej Brytanii. Z pewną dozą łaskawości stwierdza ponadto, że zostaje jej przekazany bezpłatnie.

Dalila obraca jedną kartkę po drugiej. Formularz ma ponad dwadzieścia stron, są w nim duże, puste miejsca, w których powinna opisać swoją historię oraz wyjaśnić, dlaczego się tutaj znalazła i z jakich powodów nie może wrócić do domu.

Zaczyna wypełniać pierwszą stronę: nazwisko, imiona, data urodzenia,

narodowość, aktualny adres w Wielkiej Brytanii oraz sposób wjazdu na teren kraju. Pisze ładnie i równo, dużymi literami, zgodnie z instrukcją.

Część B dotyczy „Szczegółowych informacji o rodzinie”. Dalila omija rubrykę „Małżonek i dzieci”, pod „Rodzicami” wpisuje imię ojca, jego datę urodzenia i narodowość. Długopis zatrzymuje się przed „Aktualnym adresem zamieszkania”.

Aktualny adres?

Musi pozostawić to miejsce puste, boleśnie puste. Po co wpisywała inne dane ojca? Wpatruje się w wyraz będący jego imieniem. Pokój wydaje jej się teraz większy, jak gdyby łóżko i szafa się odsunęły. Tkwi w nim sama, klęczy na wielkim dywanie. Nagle uderza ją świadomość tej dziwnej prawdy, która zadaje jej świeży cios.

Ona nie ma już rodziny.

Wszystkie te miejsca w formularzu muszą pozostać puste, szczegóły na temat jej krewnych, które chroni i nosi w sobie, nie mają teraz znaczenia.

Szybko przeskakuje przez kolejne strony do Części C. Uzasadnienie wniosku. Pospiesznie czyta stosowne instrukcje. Wypełnienie Części C1 jest obowiązkowe. Tę część formularza ma wykorzystać na przekonanie ministerstwa, dlaczego kwalifikuje się do uzyskania azylu w Wielkiej Brytanii. Potem powinna wypełnić także jedną albo więcej kolejnych sekcji formularza, w zależności od typu uzasadnienia wniosku.

Dalila stuka długopisem o dolną wargę, zagryza jego sześciokątną obudowę. Sprawdza uważnie, którą sekcję powinna wypełnić jako uzasadnienie wniosku.

Część C2. „Rasa, pochodzenie etniczne lub narodowość”.

Część C3. „Wyznanie”.

Część C4. „Poglądy polityczne”.

Część C5. „Inne dane, w tym przynależność do konkretnych organizacji społecznych”.

Czyta listę ponownie w nadziei, że coś przeoczyła. To, co zagrażało jej życiu, co ją dręczyło, przed czym musiała uciekać, nie mieści się w żadnej z wymienionych kategorii. Wujkiem nie powodowała ani jedna z tych rzeczy. Zrobił to, co zrobił, ponieważ mógł. Wykorzystał ją, bo jest dziewczyną.

Wraca do Części C1. „Prześladowania, molestowanie, wyrządzone krzywdy”. W pierwszym pytaniu prosi się ją, aby zechciała wytłumaczyć powód ubiegania się o azyl w Wielkiej Brytanii, drobiazgowo opisała wszystkie wydarzenia, które stały się jej udziałem, tudzież – jeśli to możliwe – podała daty owych wydarzeń.

W jej wnętrzu czają się wspomnienia, surowe, nieprzetworzone, gniewne. Jest tam wszystko. Każdy szczegół. Pamięta kwadratowe kafelki w domu wuja. Widzi wyraźnie ich wzorek. Kafelek obok kafelka, rząd za rządem. Czuje ich chłód pod bosymi stopami, ich zimno, gdy spała na nich nocą, na podłodze, mając za poduszkę tylko własne ramię. Twarz wuja, która się do niej zbliża, jego uśmiechnięte usta przy jej szyi, jej policzku, jego język na jej twarzy.

Dalila odkłada długopis i gapi się na gołą żarówkę, jakby ta mogła wypalić ogniem obrazy z jej głowy.

Idzie do łazienki i myje zęby.

W lustrze zauważa, że jest właściwie całkiem spokojna. Wspomnienia nie są problemem, nie dzisiaj. Pojawiają się i znikają. Frustracja bierze się z próby powiązaniach tych wszystkich obrazów w jedną opowieść, cofnięcia się i zebrania ich w spójną całość. Jakby człowiek starał się zobaczyć lamparta w wysokiej trawie.

Płucze usta i myśli o koledżu. Aby opisać jakąś historię, sporządza się notatki. Tak ją przynajmniej uczono, tak postępują dziennikarze. Idzie do kuchni, bierze ołówek i wraca do formularza. Ołówek zawisa nad kartką, gdy Dalila próbuje przypomnieć sobie, jak się to wszystko zaczęło. Zapisuje początkowo po prostu pojedyncze słowa, a potem całe frazy. Im więcej wyrazów pojawia się na papierze, tym bardziej konkretna staje się jej historia.

Pisze o swoim domu rodzinnym w Nakuru, gdzie mieszkała z ojcem, matką i bratem. Notuje ich imiona, ponieważ są częścią tej opowieści; mimo że wspomniała o tym krótko już w Croydon, chce, aby ich tożsamość została odnotowana w oficjalnych dokumentach. Wyjaśnia, raz jeszcze, że jej rodzina wywodzi się z plemienia Kikuju, a Kikuju to ludzie interesu. Jej ojciec prowadził własną firmę, oferował przewozy *matatu*. Przedsiębiorstwo prosperowało, tata miał wiele minibusów i zatrudniał licznych kierowców, transportował klientów do Nairobi i do Thika. Współwłaścicielem tego interesu był jego brat, a wujek Dalili, Kennedy Kimotho Mwathi. W miarę rozwoju firmy ojciec zarządzał nią z Nakuru, natomiast wujek przebywał w Nairobi. Mieli wspólne plany poszerzenia działalności o nowe trasy, w tym do Mombasy, Lamu, a nawet do Ugandy.

Po wyborach całą Kenię ogarnęły protesty. Demonstranci obrali sobie za cel Kikuju, dochodziło do mordów. Dalila jasno daje do zrozumienia, że ojciec nie zajmował się polityką. Lubił rozmawiać o samochodach oraz o drużynie piłkarskiej Chelsea, ale nigdy o polityce. Zupełnie go nie obchodziła.

Pewnej nocy do domu rodziców przyszli gangsterzy. Dziewczyna nie zna szczegółów tego najścia, ale jego wynik okazał się fatalny. Wszystkich domowników zamordowano: ojca, matkę i brata. Bóg sprawił, że ona przebywała wtedy w Nairobi, na uczelni, przygotowywała się do egzaminów. Gdyby była tamtej nocy w domu, bez wątpienia również by zginęła.

Zdaniem policji śmierć rodziny należało uznać za uboczny skutek zajść na tle politycznym, które objęły kraj. Sprawców nigdy nie ustalono.

Dalila pisze dalej, dlaczego uważa, że gang odpowiedzialny za zamordowanie jej rodziców i brata nie działał z pobudek politycznych, ale został wynajęty przez wuja. Powiedział jej o tym niejaki Charles Okema, bliski współpracownik wymienionego. Stwierdził, że to wujek zabił ojca Dalili, nadając temu pozory napaści politycznej, ażeby przejąć firmę brata.

Po pogrzebie wuj został jedynym szefem przedsiębiorstwa. Ogromnej firmy przewozowej, która działała w całym kraju i zatrudniała wiele, wiele osób. I stał się bardzo potężnym człowiekiem.

Wuj wziął sobie również ją.

Opowiada, że przyjechał po nią do akademika i zawiózł do swojego domu. Nie znała wujka zbyt dobrze, nie odwiedzała go w dzieciństwie. Po zamordowaniu rodziny była tak załamana, że pojechała z nim tam, dokąd chciał. Na całym świecie pozostał jej tylko on. Powiedział, że Dalila ma zamieszkać w jego domu, dla własnego bezpieczeństwa. Nie pojechała nawet na pogrzeb. A potem w ogóle zakazano jej wychodzić. Siedziała w tym domu dziesięć miesięcy, zmuszona gotować i sprzątać. Sypiała na podłodze w kuchni. To było jej więzienie.

Dalila patrzy na swoje pismo, na ołówek unoszący się kilka centymetrów nad kartką. Jest znacznie więcej do opowiedzenia. O czym jeszcze nigdy nikomu nie mówiła. Rzeczy, o których pisanie przychodzi z trudem. Nie śmie poruszać tych wspomnień, żeby nią nie owładnęły, lecz przecież – bez wchodzenia w te bolesne miejsca – nie zdoła zarysować narracji, która przyniesie jej bezpieczeństwo.

„Po prostu to napisz – szepcze do siebie. – Ujmij to, co zrobił, w jednym zdaniu”.

Po kilku miesiącach pobytu w tym domu – pisze – mój wujek pchnął mnie na podłogę i zgwałcił.

Nie śmie oderwać ołówka i szybko tworzy następne zdanie.

Gwałcił mnie wiele razy. Kiedyś próbowałam z nim walczyć. Rzuciłam w niego przedmiotami i ugryzłam go w rękę. Na widok krwi wpadł we wściekłość. Odpiął pas i zlał mnie. Sprzączka uderzyła mnie w bark, przecięła skórę na obojczyku. Krwawiłam całą noc, ale on nie wezwał lekarza. Po tamtym wieczorze wciąż mam bliznę.

Dalila unosi ołówek i żuje jego końcówkę. Pisze dalej, bez przerw na

czytanie lub poprawianie poprzedniego akapitu.

Mój wujek ma wielu zauszników. Widziałam mnóstwo osób, które pojawiały się w jego domu, biznesmenów, kierowców matatu, nawet policjantów. Wszyscy przychodzili spotkać się z moim wujkiem. Jest potężnym człowiekiem, który prowadzi dużą firmę, a tacy ludzie zawsze mają konkurencję. Pewnego dnia przyprowadzili chłopca, miał tylko czternaście lat, chyba. Powiedzieli, że chłopak zdradził mojego wujka. Wujek był bardzo, bardzo zły. Bił go pięściami, a kiedy dzieciak padł na podłogę, wujek go kopał. Chłopiec wołał imię swojej matki, ale wujek kopał i kopał, aż tamten zmarł. Wiele osób było tego świadkami. Oglądałam tę scenę zza drzwi, na własne oczy widziałam, jak zabija chłopaka. Wtedy zrozumiałam, że moje życie też jest w niebezpieczeństwie. Wujek zabije mnie, ponieważ widziałam, co zrobił.

Następne pytanie w formularzu brzmi: „Jeżeli zaznaczyłeś/zaznaczyłaś, że padłeś/padłaś ofiarą molestowania/prześladowania, wpisz, kto jest za nie odpowiedzialny. Podaj nazwę grupy lub organizacji”.

Dziewczyna wpisuje tylko imiona i nazwisko wuja.

Kennedy Kimotho Mwathi.

Pytanie 3. „Dlaczego, twoim zdaniem, doszło do molestowania/prześladowania?”.

Dlaczego.

Dlaczego to się wydarzyło? Pytanie to tkwi w jej sercu od wielu miesięcy, wilgotne i ciężkie jak rzeczny szlam, który grozi wciągnięciem, jeśli tylko postawi się na nim nogę. Są takie chłodne dni, gdy Dalila czuje się tak oderwana od życia, że może udawać obiektywizm, nieomal rozumie, dlaczego wujek kazał wymordować jej rodzinę. Chciwość. Władza. Te rzeczy są realne. Każdy je zna. Sprawiają, że ludzie słabi przyczyniają się do tragedii. Ale dlaczego trzymał ją w swoim domu? Dlaczego po prostu nie pozbawił jej życia, zamiast dręczyć?

Czy wujowie gwałcą swoje bratanice? Jaki może być powód takich postępków? Brudne pragnienia wypełzają z bagniska w męskim umyśle. W te straszne noce, kiedy on do niej przychodził, nie chciała się nurzać w mrocznych deltach samczego pożądania, szukając w nich samorodków zrozumienia.

Przykłada ołówek do papieru i pisze: *Nie wiem, dlaczego tak się stało.*

Pytanie 4 brzmi: „Czy zgłosiłeś/zgłosiłaś opisane wyżej incydenty policji lub innym organom państwa? Jeśli nie, dlaczego?”.

Dalila wyjaśnia ponownie, że więziono ją w prywatnym domu, z którego nie mogła wychodzić, rzadko z kimkolwiek rozmawiała. Ale nawet gdyby mogła się udać na policję, nie zrobiłaby tego. Wiedziała, że policjanci bywają w domu wuja i omawiają z nim różne kwestie. Jej zdaniem byli przez niego opłacani. Zdaje sobie również sprawę, zwłaszcza dzięki studiom na dziennikarstwie, że policja nie wywiązuje się z obowiązków. Kiedy kobiety zgłaszają się na komisariat, aby złożyć zawiadomienie o przestępstwie na tle seksualnym, funkcjonariusze nie podają im stosownego formularza zdarzenia, nie umieją właściwie przyporządkować sprawy. Po prostu dzwonią do rodziny ofiary i informują, że dana kobieta – córka czy siostrzenica – jest u nich na komisariacie.

W kolejnym punkcie Dalila ma podać wszystkie szczegóły konkretnych wydarzeń, które skłoniły ją do decyzji o wyjeździe ze swojego kraju.

Kiedy zobaczyłam, jak wuj zabija tego chłopca, zrozumiałam, że muszę uciekać. Jeden z jego zauszników, niejaki Charles Okema, również widział śmierć chłopaka. Następnego ranka, przed świtem, Charles przyszedł do mnie. Powiedział, że wie o mojej rodzinie oraz o tym, co wujek mi robi. Oświadczył, że pomoże mi uciec.

O domu wuja wiedziałam wszystko. Gdzie trzyma mój paszport i dowód osobisty i gdzie jest trochę pieniędzy. Któregoś dnia, kiedy go nie było, zabrałam dokumenty i ukradłam pieniądze z jego sypialni. Dałam wszystko Charlesowi. Zdawałam sobie sprawę, że jeśli wuj to odkryje, wyrzędzi mi

straszna krzywdę, ale już mnie to nie obchodziło. Musiałam uciec albo wybrać śmierć. Po sześciu dniach Charles powiedział, że wszystko jest gotowe. Tamtej nocy imprezował z moim wujem, jak wielokrotnie wcześniej. Dopilnował, aby się zaopatrzyć w spory zapas piwa i wódki. Nazajutrz wczesnym rankiem, kiedy wszyscy w domu spali pijani, Charles zawiózł mnie na lotnisko. Przekazał mi wszystkie dokumenty i dokładnie wytłumaczył, co mam robić. Wsiadłam do samolotu i przyleciałam do Wielkiej Brytanii.

Dalila kartkuje kolejne strony formularza sprawozdawczo-dowodowego. Są w nim pytania na temat służby wojskowej, wyznawanej religii, przynależności do partii politycznych – żadne jej nie dotyczy.

Czyta to, co napisała. Wszystkie te chaotyczne rzeczy, które jej się przydarzyły, po raz pierwszy ujęte są w ramy, stanowią jedność. Jej doświadczenia nabierają spójnego kształtu, który może analizować i być może zrozumieć. Lecz choć to wszystko prawda, czuje się teraz w jakiś sposób nieważna. Oto smutna opowieść o nieszczęściu, ale tylko opowieść. Nie ma żadnych dokumentów, które by ją potwierdzały, nikogo, z kim by się można skontaktować, a kto poparłby jej wersję wydarzeń. Są jedynie słowa. Jeżeli nie wystarczą, nie jest w stanie uczynić nic więcej.

Dalila puka do drzwi Ma'azy w nadziei, że kobieta wróciła po cichu do domu nad ranem.

Żadnej reakcji.

Otwiera drzwi i zagląda do środka. Pokój wygląda tak samo jak poprzedniego wieczoru. Dziewczyna się zastanawia, gdzie może być jej współlokatorka. W czasie tych paru dni wspólnego mieszkania nie poznała jej codziennej rutyny. Ma'aza wychodzi i wraca o różnych porach, nie mówiąc nawet, dokąd się wybiera.

Dalila trze kącik oka i szura do kuchni. Przez okno widzi chmury, które zalegają nad całym miastem. Niskie wzgórza na horyzoncie obsypane są śniegiem.

Zaczął się kolejny dzień, zaczął się także dla niej.

Wlewa mleko do rondla i kładzie go na kuchence. Dzbanek do herbaty z poprzedniego wieczoru czeka obok zlewu. Wkłada do niego dwa palce i wyciąga mokre saszetki z herbatą. Gdy mleko jest ciepłe, przelewa je do dzbanka, dodaje cztery łyżeczki cukru i jedną torebkę herbaty. Miesza i odkłada na bok, żeby się zaparzyło.

Siedząc po turecku na sofie, ogląda telewizję. Jakiś mężczyzna rozmawia z innym mężczyzną. Za nimi stoi prawie ukończony dom. Mówią o winie, o uprawie warzyw, o szkle oraz poczuciu przestrzeni, ale program dotyczy też chyba budownictwa. Ukazuje się gruba kobieta z wielkim naręczem papierów. Choć dom jest po prostu przepiękny, grubasce się nie podoba. Są jakieś problemy. Potem dużo jeżdżą samochodem, mówiąc jednocześnie do kamery. Dalila nie rozumie tej telewizyjnej audycji.

Wraca do kuchni, miesza herbatę, dopóki mleko nie zbrązowieje. Znosi dzbanek i kubek na miejsce przed telewizorem i zmienia kanał. Teraz widzi program o zakupach. Stary mężczyzna z bakami i w okularach zabiera czworo

osób obojga płci na targ. Każdej z par daje dwieście funtów, ot tak sobie. Muszą się przejść po targu i jak najmądrzej wydać te pieniądze. Ludzie ci są bardzo poważni, ale rzeczy, które im się podobają, wydają się zupełnie bezwartościowe. Figurka kota. Stary talerz. Ozdobne świeczniki. Ciekawe, że nie mają oni zielonego pojęcia, jak się targować. Płacą ponad sto funtów za figurkę kota i sprawiają wrażenie bardzo z siebie zadowolonych.

Dalila rozmyśla o pieniądzach. Sączy herbatę.

Po przerwie reklamowej stary człowiek zabiera obie pary na aukcję, na której mają sprzedać przedmioty nabyte na targu. Dalila jest pewna, że nikt ich nie kupi, zwłaszcza kociej statuetki. Ale ludzie licytują za porcelanowego kota większe pieniądze, niż MSW daje jej na cały miesiąc. Ostatecznie jednak obie pary odnotowują stratę. Wzruszają ramionami i się uśmiechają. Obejmują się, chichocząc. Starzec nie odzyskał swoich pieniędzy. Spogląda na tę czwórkę znad okularów i posyła im bardzo dziwny uśmiech. Tej audycji Dalila też nie rozumie.

Wyłącza telewizor i wkłada pusty kubek do zlewu. Podchodzi do okna. Chmury przesuwają się spokojnie ponad miastem. Mewa szybuje na prądzie powietrznym i nurkuje, znikając z pola widzenia. Na ulicy, siedemnaście pięter niżej, stara kobieta czeka na przystanku autobusowym. W Dalili zaczyna narastać coś ciężkiego. Minęły dwa dni, odkąd opuściła dom, ale nie może przestać myśleć o Markusie. Wyobraża go sobie, jak siedzi na ławce przed jej blokiem, zgarbiony nad swoją komórką, i czeka. Albo jak opiera się o słupek bramy przed Festival Court i jej szuka.

Dziewczyna siada i gapi się na swoje ponure odbicie w ekranie telewizora. Wstaje i wraca do okna. Staruszka wciąż stoi na przystanku. Na światłach drogowych niebieski samochód czeka z zamiarem skrętu, po chwili wolno rusza. Uczucie w Dalili staje się jeszcze wyraźniejsze, cięższe; wie już, że musi stąd wyjść. Jest piątek, dziś po południu ma obowiązek się zameldować.

Idzie do Festival Court w swojej wełnianej czapeczce naciągniętej nisko na brwi. Nikt na nią nie czeka, nikt się do niej nie odzywa. Przechodzi przez kontrolę bezpieczeństwa, odsiaduje ponad godzinę, zgłasza się i wychodzi. Wraca prosto do trzech wieżowców – ten, w którym mieszka, stoi w środku. Dalila robi sobie skrót przez parking przed południowym blokiem, aby szybciej dojść do budynku. Nagle jej uwagę przyciąga jakiś ruch. Na szorstkim asfalcie, pod samochodem, leży na plecach mężczyzna. Stuka w coś za przednim kołem, a potem – z pewnym trudem – wstaje i poprawia okulary.

Dziewczyna rozpoznaje starszego pana z ośrodka meldunkowego, tego, który pokazał jej bibliotekę. Czuje ulgę, że to on. Ma już zawrócić, kiedy starzec ją zauważa i unosi rękę.

– *Habari?* – woła.

– *Muzri Sana.* – Dalila macha, próbując przypomnieć sobie, jak miał na imię.

– To ja, Daniel – mówi mężczyzna w suahili. Na powitanie podaje jej wierzch nadgarstka, nie chce dotykać jej brudnymi palcami.

– Pamiętam – odpowiada. – Ja jestem Dalila. Mieszka pan tutaj?

Mężczyzna rzuca okiem na wieżowiec po lewej.

– Tak. Tam jest moje mieszkanie.

– To pana samochód? – pyta Dalila.

Daniel kładzie zaciśnięte pięści na biodrach i marszczy brwi, patrząc taksująco na wóz.

– Tak, teraz to jeden z moich samochodów. Kupiłem go wczoraj.

– Wyciera palce o spodnie. Otwiera drzwiczki i wsiada. Silnik startuje. Daniel uśmiecha się szeroko, z dumą. – Co sądzisz o tym cacku?

Mimo wielu chwil spędzonych w pobliżu samochodów oraz w towarzystwie mężczyzn, którzy je kochali, Dalila wciąż nic nie wie o tych maszynach, nie

odróżnia ich od siebie.

– Fajny – mówi. – Ile ich pan ma?

– Na razie tylko dwa.

Zapach smaru i oleju zawsze przypomina Dalili ojca. Chce zadać następne pytanie, ale postanawia milczeć.

Daniel wyłącza silnik i tłumaczy:

– Samochody to moja praca.

– Naprawdę? – pyta dziewczyna przyciszonym głosem. – Ale przecież nam nie wolno pracować. A jak się dowiedzą?

– No cóż, teoretycznie ty i ja mamy zakaz pracy – potwierdza Daniel – ale przecież każdy ma swoją robotę do wykonania. Moja to naprawianie tych wozów, dbanie o nie.

Pochyla się i wsuwa narzędzia do kieszeni płóciennej torby, a potem ją roluje. Dalila chowa dłonie jeszcze głębiej w kieszeniach puchowej kurtki i kuli ramiona przed wiatrem.

– Kiedy tu przyjechałem – opowiada Daniel – miałem ze sobą tylko trochę oszczędności. Wiedziałaś, jak zaprząć te pieniądze do pracy, ponieważ, jak wspomniałaś, mamy zakaz podejmowania zatrudnienia. Popytałem tu i ówdzie i ustaliłem, że policja sprzedaje na aukcjach skonfiskowane pojazdy. Kiedy się tam pojawiłem, zobaczyłem bardzo tanie samochody i powiedziałem sobie: „Danielu, właśnie znalazłeś robotę”. Najpierw kupiłem toyotę corollę, białą. To bardzo solidne wozy. Jeśli się o nie dba, mogą posłużyć bardzo długo. Przez miesiąc naprawiałem karoserię i szukałem części. Jeździłem za nimi po całym mieście, autobusami. W ten sposób poznałem Glasgow, bo dni spędzałem w autobusach, rozmawiałem z facetami w warsztatach samochodowych, odwiedzałem szroty, szukałem tanich sklepików z częściami zamiennymi, uczestniczyłam w licytacjach. Kiedy mój wóz był gotowy, sprzedałem go z zyskiem czterystu funtów.

Dalila przelicza w myślach tę sumę na kenijskie szylingi.

– Dużo – mówi.

– To była dobra transakcja. Niedługo potem kupiłem następny samochód i zacząłem go naprawiać. – Zamyka maskę i dodaje: – Ten wozik tutaj to numer dziewięć. Stary jest, ale ma jeszcze wiele mil przed sobą. Chyba mam już na niego klienta.

– A gdzie jest pański drugi samochód? – pyta Dalila.

– Tam, w garażu – odpowiada, wskazując drzwi za sobą. – Także toyota corolla. To najbardziej niezawodne samochody. Miałem kiedyś taki wóz, w Kenii. Takiego samego koloru.

– Samochody są wszystkie takie same – stwierdza Dalila. – Tylko drogi inne.

Daniel poprawia swoje dwuogniskowe okulary i zerka na dziewczynę zza brudnych szkieł.

– Nie rozumiem – mówi.

Dalila potrząsa głową, czuje się jak głupie dziecko.

– Och, nieważne. To tylko taka niemądra zabawa w mojej głowie. Odkąd tu przyjechałam... hm, porównuję różne rzeczy, czy są takie same jak w domu, czy inne. Głupia gierka, wiem.

– Tak, tak, rozumiem. Ja też tak robię – przyznaje się Daniel. – Zobaczmy więc: w obu krajach pije się herbatę, ale jej smak? Bardzo odmienny.

Dalila parska śmiechem.

– Tak, to prawda. Dlaczego tak jest?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Myślałem, że Brytyjczycy lubią dobrą herbatę, ale nie mają o tym pojęcia.

Jej kolej.

– Psy są takie same, ale Brytyjczycy zbierają, wie pan, ich odchody własnymi rękami. To wielka różnica.

– *Ghai fafa!* – Daniel potrząsa głową, chichocząc. – Też to widziałem. Dziwne zajęcie *muzungu*, zbieranie po psach.

Chichot udziela się Dalili, macha rękami, jakby chciała go odgonić.

– Jak długo jesteś w Glasgow, siostrze? – pyta Daniel.

– To mój szósty dzień.

– Podoba ci się tutaj?

Dalila wzrusza ramionami.

– Jest okej.

– Odpowiedź, która nie udziela odpowiedzi. Bardzo uprzejma – komentuje Daniel.

– Jestem wdzięczna, że tu jestem.

– Tak, rozumiem – mówi Daniel. – Kiedy tutaj przyjechałem, wszystko wydawało mi się inne. Źle sypiałem, musiałem wykonać całą tę papierkową robotę dla MSW. Było jej za dużo, nic nie rozumiałem.

Dalila patrzy w górę na swój budynek. Chce już iść do domu, zostawić za sobą zimno, ale nagle, dziwiąc się sobie, oznajmia:

– Mój formularz przyszedł przedwczoraj, formularz dowodowy.

– Tak, to ten najważniejszy – podkreśla Daniel.

– Ale kiedy próbowałam spisać swoją historię... Sama nie wiem. Większość formularza jest pusta, nie mam żadnych dowodów. Są tylko moje słowa. Opiekunka wniosku powiedziała, że nie potrzebuję prawnika, ale na formularzu jest o nim mowa, a ja nie wiem, gdzie znaleźć adwokata. Pan go ma? Czy prawnicy są drodzy? Pewnie tak, w tym kraju wszystko jest drogie. Nie wiem już, co robić.

Daniel nie odpowiada od razu. Poprawia okulary, kiwa głową i patrzy na koniec parkingu. Dalila uświadamia sobie, że mężczyzna daje jej chwilę na uspokojenie się.

– Byłaś w Centrum Solidarności? – pyta.

– Nie, a co to takiego?

– To organizacja charytatywna, która pomaga ludziom ubiegającym się o azyl. Znam ich. Mnie pomogli. Może tobie także pomogą. Dziś jest już za późno, żeby tam iść, ale może jutro rano? Zaprowadzę cię.

Odziesiątej Dalila czeka pod blokiem Daniela. Chowa brodę w kołnierzu kurtki i obserwuje swój własny oddech, który pojawia się i znika.

Wilgotny ziąb – coś zupełnie innego.

Zimowe słońce – inne.

Oddech – taki sam.

Zjawia się Daniel, razem wyruszają w drogę. Światło poranka jest ostre, pada znad horyzontu, odbija się bielą w witrynach sklepów. Nad asfaltem tańczy para, miniaturowe obłoki unoszą się znad rur wydechowych samochodów. Daniel jest ożywiony, rozprawia o autach, pokazuje zabawne nazwy ulic, opowiada o drzewach w swoim kraju, co Dalila ledwie rozumie.

Kiedy idą blisko siebie, czuje jego przykry oddech, dostrzega, że mężczyzna jakoś dziwnie się porusza. Nie utyka, ale wyraźnie faworyzuje lewą nogę. W jego stopie widać sztywność, woli się trzymać bezpiecznej krawędzi trawnika niż oblodzonego trotuaru. Przechodzą przez ulicę; ich cienie, wydłużone i chude jak gałązki, ciągną się na całą długość jezdni.

– Zauważyłem, że pięknie mówisz po angielsku – mówi Daniel. – Czym się zajmujesz zawodowo?

– Byłam studentką – odpowiada Dalila – ale nie skończyłam uczelni.

– Co miałaś zamiar robić po studiach? Kim chcesz zostać?

Już ma odpowiedzieć, ale gryzie się w język. Mówi tylko:

– Głupio mi się przyznać. To tylko takie marzenie małej dziewczynki.

Daniel unosi brwi i patrzy na nią, czekając na odpowiedź.

W jej umyśle pojawia się ta sama scena, którą widuje, odkąd skończyła dwanaście lat. Wyobraża sobie, że stoi w plenerze, ubrana w żakiet, z kosztownym splotem obcych, lśniących włosów, które opadają jej na ramiona.

Gdy wygłasza swoją kwestię do kamery, tłum trzyma się z szacunkiem poza kadrem. To ono. To jest jej marzenie.

– Teraz wydaje się to głupie – przyznaje Dalila – ale marzyłam, żeby zostać reporterką w NTV Kenya, dziennikarką. Dzisiaj już sama nie wiem.

– Ach, oczywiście – mówi Daniel. – Już rozumiem. Umiesz uważnie słuchać. Umiesz obserwować. Zawsze potrzeba kogoś z takimi umiejętnościami. Twoim zadaniem jest być słuchaczem. Gromadzić opowieści.

Dalila nigdy nie widziała tego w ten sposób.

– Tak, umiejętność słuchania jest ogromnie ważna – ciągnie Daniel. – Ludzie tacy jak ty zawsze znajdują zatrudnienie na tym świecie.

Centrum Solidarności mieści się zaledwie o jedną przecznicę od Festival Court. Wygląda jak kiosk z gazetami na rogu ulicy. Nie ma żadnego znaku. Jedna żaluzja na oknie jest zasunięta, a ta nad drzwiami – podciągnięta tylko w jednej czwartej.

U wejścia stoi trzech mężczyzn, którzy palą papierosy i tupią nogami z zimna. Gdy Dalila i Daniel mają już wejść do środka, Daniel poznaje jednego z nich. Przybijają piątkę i poklepują się wzajemnie.

– Abbi, kopę lat, przyjacielu. – Daniel się uśmiecha. – Co tam słyhać?

Abbi wzrusza ramionami i unosi dłonie wnętrzem do góry.

– Wiesz, jak jest – odpowiada. – Jakoś leci dzień za dniem.

– A to? – pyta Daniel, wskazując na brodę mężczyzny. – To coś nowego.

– Tak. – Abbi śmieje się, gładząc zarost na podbródku. – Wiesz, każdy chce wyglądać jak Bob Marley and the Wailers.

Wybuchają śmiechem, Abbi trąca pięścią jednego z mężczyzn.

– Panowie – mówi Daniel – to moja dobra znajoma, Dalila. Jest tutaj nowa.

Dziewczyna spuszcza głowę, skrepowana. Podaje wszystkim mężczyznom rękę, lecz odzywa się do niej tylko Abbi:

– Witaj, siostrze.

Daniel unosi lekko dłoń, nie po to, żeby się pożegnać, lecz raczej by wstrzymać na chwilę rozmowę. Odwraca się, pochylony wchodzi pod żaluzję, a następnie do wnętrza budynku. Dalila idzie za nim.

Ośrodek tak naprawdę składa się tylko z jednego pomieszczenia. Jednego pokoju, w którym mieści się wyposażenie godne trzech. Są to szafki na akta, plakaty, ulotki, kserokopiarka, skaner i drukarka, stosy pudeł, używane kubki do kawy, długopisy i ołówki, paczka chusteczek higienicznych oraz zabawki dla dzieci. Pokój jest tak mały i tak zagracony, że Dalila staje tuż za Danielem i nie może zrobić kroku dalej.

Przy drzwiach wznosi się sięgająca do pasa pryzma foliowych worków wypchanych używaną odzieżą. Pod ścianą, na sofie siedzi troje ludzi. Jedna kobieta pochyła się naprzód, pociera palcami o lśniące palniki przenośnej kuchenki gazowej. Na drugim końcu pomieszczenia widać chudego mężczyznę z mizernym kucykiem, który tkwi za biurkiem. Rozmawia przez telefon zaklinowany w wygięciu jego szyi, jednocześnie czytając coś na ekranie monitora i pisząc na klawiaturze. Na biurku zalegają segregatory, luźne kartki papieru, zszywacz, naboje do drukarki atramentowej i kolejne kubki z kawą.

Daniel macha na powitanie do mężczyzny za biurkiem. Ten kiwa mu głową, nie przerywając rozmowy przez telefon.

Daniel przechodzi na suahili i zwraca się do dziewczyny:

– Celem tej instytucji jest pomaganiem takim jak my. Phil to dobry człowiek, zna wiele osób. Nie ma żadnych gwarancji, ale on spróbuje ci pomóc. Udzieli ci porad dotyczących wniosku o azyl. Warto znać tego faceta. Przedstawię cię, tylko najpierw muszę pokazać ci to. – Podnosi z biurka wielką księgę rejestrową. Na jej okładce widać okrągłą nalepkę z obliczem indiańskiego wodza w misternym pióropuszu. Wokół nalepki biegną słowa: „Moi bohaterowie zawsze zabijali kowbojów”.

Daniel otwiera księgę i wyjaśnia:

– Najpierw musisz się zarejestrować w Centrum Solidarności. To prosty formularz, w którym podaje się podstawowe informacje o swojej sprawie, dane kontaktowe oraz dane znajomych i przyjaciół. Potem, co najważniejsze, zanim pójdziesz się zameldować w MSW na sąsiedniej ulicy, przychodzisz najpierw tutaj i wpisujesz do tej księgi swoje nazwisko i czas wizyty. Jak namagnesują ci kartę, wracasz do tego pokoju i wypisujesz się. Rób tak za każdym razem, kiedy odwiedzasz MSW. Tak jest bezpieczniej.

– Dlaczego? – pyta Dalila.

– Ponieważ, moja siostró, oni zabierają ludzi. Coraz więcej osób idzie się meldować i dowiaduje się, że ich wnioski odrzucono. Od razu pakują ich do minibusu i wiozą do ośrodka internowania. Ale nie zawsze. MSW brak konsekwencji. Trudno się zorientować, co robią. Jeśli zarejestrujesz się w tej księdze, a potem – na koniec dnia – nie wyrejestrujesz, Phil i inni wolontariusze zaczną dzwonić. Wyśledzą, dokąd cię wywieziono, i spróbują ci pomóc. I wiesz co, czasami ich wysiłki na coś się przydają. Zawsze dobrze mieć kogoś po swojej stronie. Widzisz tę tablicę? – pyta, wskazując na białą tablicę za biurkiem, pokrytą ręcznym pismem. – To osoby, które ostatnio zniknęły. Ci w największej potrzebie.

Dalila jest nieco zaskoczona wyrazem twarzy Daniela. Znów zerka na białą tablicę i czyta uważniej to, co jest na niej napisane. W linii na samej górze widzi słowa:

Mary Nartey/Ghana/Yarl's Wood/Wywieziona 11 sierpnia

Trzy linijki niżej:

Yousif Mohammed/Algeria/Dungavel/Zwolniony!

Karim Begum/Pakistan/Yarl's Wood

Dennis Kitunguka/DR Konga/Colnbrook/Wywieziony 11 listopada

J.K. Mazomba/Zimbabwe/Dungavel

Lista zawiera ponad trzydzieści nazwisk. Dalila wie, że patrzy na coś, czego do końca nie rozumie.

– Kto to jest Dungavel i Yarl's Wood? – pyta Daniela.

– To nazwy miejsc – odpowiada. – Tak się nazywają ośrodki internowania na terenie Wielkiej Brytanii. Dungavel leży najbliżej. Tutaj, w Szkocji. Jeśli cię zabiorą, jest spora szansa, że właśnie tam trafisz.

– Myśli pan, że wsadzą mnie do więzienia i odeślą do Kenii?

– Kto to może wiedzieć, co się stanie.

– Nie mogę tam wrócić, panie Danielu. Nie wyjdę żywa z lotniska. Dorwą mnie, jak tylko zobaczą. Rozumie pan? Muszę tu zostać.

Phil zerka na nich znad telefonu; Dalila uświadamia sobie, że podniosła głos. Daniel kiwa głową do Phila, dając mu znać, że nic się nie stało.

– Zadzwoń później – rzuca Phil do słuchawki. Odkłada telefon, uśmiecha się i wyciąga do Daniela rękę. Ściskają sobie dłonie.

– Pozwól, że przedstawię swoją dobrą znajomą – mówi Daniel po angielsku.

– To Dalila Mwathi, chce się zarejestrować w Centrum Solidarności.

Mężczyzna wstaje i przechyla się przez biurko.

– Miło mi cię poznać, jestem Phil.

– Bardzo mi przyjemnie – odpowiada Dalila.

– No cóż. – Phil kładzie ręce na głowie i spogląda na blat. – Wszystko po kolei. Najpierw musisz wypełnić formularz rejestracyjny... który mamy gdzieś tutaj, chwileczkę, zobaczę, czy... o, jest. Znasz angielski?

– Och, ona jest bardzo wykształconą osobą – stwierdza Daniel. – Jej angielski jest doskonały.

– Naprawdę? No to jak już to wypełnisz – mówi Phil – to potem, hm, potem wprowadzimy cię do systemu. Może uda ci się znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogłabyś usiąść...

Gdy Dalila przysiadła na poręczu kanapy, Daniel oznajmia, że musi iść się zameldować. Obiecuje wrócić za godzinę.

Dalila rozgląda się po pokoju, zauważając kolejne szczegóły. Całą przeciwległą ścianę pokrywają plakaty. „Linia kryzysowa dla ofiar gwałtu”. „World Café”. „Stop Trident!”. „Dość wojen! Popieraj Koalicję Antywojenną”. „Linia pomocowa dla osób LGBT”. „Klub piłkarski Centrum Solidarności potrzebuje właśnie ciebie”. „Międzynarodowy Dzień Zwalczenia Faszyzmu i Antysemityzmu”, z ludzikiem, który wrzuca swastykę do kosza na śmieci. Wśród ulotek Dalila dostrzega tę samą broszurkę „Witamy w Glasgow”, którą otrzymała pierwszego wieczoru w tym mieście. Gdy jej wzrok przyzwyczajają się do powodzi kolorów i zalewu informacji na plakatach, dziewczyna dostrzega również wiele kartek z podziękowaniami, przypiętych do ściany. Jest ich ponad pięćdziesiąt, każda z wyrazami wdzięczności dla centrum za jego działania.

Dalila bierze z biurka długopis i zaczyna wypełniać formularz. W większości wypadków są to te same pytania, na które już odpowiadała i które budzą w niej mdłości. Imię, nazwisko, wiek, data urodzenia, data wjazdu na teren Wielkiej Brytanii, narodowość, kraj pochodzenia, numer telefonu, adres, najbliżsi krewni i liczba osób na utrzymaniu. Pytają również o dane dotyczące przedstawiciela prawnego oraz o zamiary na znajomych i przyjaciół. Dalila ma nadzieję dopiero zapytać Phila o jakiegoś adwokata, na razie jednak wypełnia formularz na tyle, na ile może. Następna sekcja to jedna pusta strona, na której ma szczegółowo wskazać powody ucieczki z ojczystego kraju oraz opisać najważniejsze elementy własnej sprawy. Gdy znów relacjonuje swoją historię, stwierdza, że przychodzi to łatwiej, jakby jej kształt stał się teraz wyraźniejszy.

Prawie kończy wypełnienie formularza, gdy nagle kobieta na kanapie naprzeciwko niej, biała kobieta, trąca ją w kolano i podsuwa pudełko chusteczek higienicznych. Dalila uświadamia sobie, że koncentrując się na pisaniu, cały czas pociągała nosem. Zawstydzona przeprosza i bierze dwie chusteczki.

– Och. – Kobieta się uśmiecha. – Panuje istna epidemia wirusowa. Chyba wszyscy coś podłapałiśmy. – Sama wyciąga chusteczkę i wydmuchuje nos.

Wchodzi Abbi i zaczyna zbierać puste kubki z całego pokoju. Lawiruje między pudłami w rogu i odsuwa małą kotarę, odsłaniając mikroskopijny zlew, czajnik, opakowania herbaty i biszkoptów. Włącza płytę CD i tańczy w rytm muzyki. Wskazuje na każdą osobę w pomieszczeniu i śpiewa: „Wstawaj, rusz się. Nie rezygnuj z walki”.

Wszyscy się uśmiechają i spoglądają po sobie.

Ale Phil macha ręką i pokazuje telefon przy uchu. Abbi ścisza muzykę, po czym pyta:

– Ktoś chce herbaty?

Liczy podniesione ręce, odwraca się plecami, nastawia czajnik i zaczyna płukać kubki.

Do ośrodka wpada kobieta w chuście na głowie. Kiwa głową Philowi na powitanie, wpisuje się w rejestrze i znika. To już piąta osoba, która tak robi, odkąd Dalila zaczęła wypełniać formularz.

Obok biurka Phila jest wielka mapa świata, przyklejona do ściany. Wzrok dziewczyny automatycznie dryfuje na południe, przez kolorowe plamy krajów Afryki, aż znajduje Kenię. Wyraźna linia równika dzieli jej ojczyznę na dwie połowy, biegnąc niemal dokładnie przez środek. Jej oczy przesuwają się na północ, śledząc trasę, którą tu przyleciała, ponad błękitną połącią Morza Śródziemnego i zbitymi drobinkami krajów na kontynencie europejskim, aż wreszcie, gdzieś wysoko, na Atlantyku, znajduje wysepkę zwaną Wielką Brytanią oraz maleńką kropkę – Londyn. Wzrok wędruje jeszcze dalej na północ, do Szkocji. Ktoś przykleił do mapy dużą czerwoną strzałkę. Jej czubek wskazuje na Glasgow. JESTEŚ TUTAJ – oznajmia papierowa strzałka. Dalila patrzy na przestrzeń między swoimi stopami i próbuje sobie wyobrazić ten teren jako miejsce na mapie. Że jest w Glasgow, w mieście, o którym nigdy wcześniej nie

słyszała, mieście starym i zimnym, na północ od Moskwy, na północ od Nowej Funlandii położonym bliżej bieguna północnego niż Kenii. Rozgląda się po ludziach zebranych w tym małym pomieszczeniu i ogarnia ją zdumienie, że jej życie potoczyło się w ten sposób.

Phil odkłada telefon i chwilę pisze na komputerze. Nie golił się od kilku dni; czytając coś na monitorze, drapie się w zarost pod brodą. Wstaje, podchodzi do kanapy i po imieniu zwraca się do jednej z czekających kobiet. Kobieta wstaje, cicho rozmawiają na jakiś temat. Dalila nie słyszy, ponieważ wszystko zagłusza muzyka Boba Marleya. Phil ma pogniecioną koszulę, spodnie na pośladkach wiszą mu jak worki. Nie wygląda na człowieka, u którego ktoś chciałby szukać pomocy.

Wraca Daniel, uśmiecha się, pokazując żółte zęby.

– Dzisiaj żadnego czekania – zwraca się do Dalili. – Nieźle, co? Rozmawiałaś już z Philem?

– Jeszcze nie – odpowiada. – Wypełniłam formularz, to wszystko.

Daniel pochyla się, żeby spojrzeć na formularz, ale Dalila przyciska go do piersi, wciąż niegotowa ujawnić swoją historię komukolwiek. Mężczyzna się prostuje.

– Rozumiem – mówi. – Chodź. Zobaczmy, czy uda nam się pogadać z Philem.

Gdy Dalila wstaje, Daniel zatrzymuje Phila, który zmierza właśnie do swego biurka.

– Phil, przyjacielu – odzywa się Daniel po angielsku. – Potrzebujemy twojej rady.

– Ach tak – odpowiada Phil, podnosząc wzrok na nich obojga. – Bardzo przepraszam, ale zapomniałem, jak ci na imię.

– To jest Dalila – przypomina Daniel.

– Irene – mówi Dalila jednocześnie.

Oczy Phila przeskakują z dziewczyny na starca i z powrotem. Zwracając się do Dalili, pyta:

– Więc jak wolisz?

W jego oczach jest jakaś dobroć, którą Dalila rzadko widuje w Wielkiej Brytanii; już wie, dlaczego ludzie przychodzą do tego człowieka ze swoimi problemami.

– Jestem Dalila.

– Okej, Dalilo. Czym mogę ci służyć?

Nie bardzo wiedząc, od czego powinna zacząć, dziewczyna wyjmuje pismo, które dostała dziś rano, przed spotkaniem z Danielem.

– Ten list przyszedł do mnie z MSW. – Rozpłaszcza kartkę na blacie i czyta na głos pierwszą linijkę tekstu po angielsku: – „Wyznaczono termin przesłuchania w związku z pani wnioskiem o azyl w Wielkiej Brytanii”. – Przesuwa palcem w dół strony i znów czyta: – „Na rozmowę należy przynieść niniejsze pismo, a także wszelkie dokumenty, które chciałaby pani złożyć w celu poparcia swojego wniosku”.

– Tak. – Phil przechyla się nad biurkiem. – To jest wezwanie na rozmowę merytoryczną. Kto prowadzi twoją sprawę?

– Panna Col-gan – odpowiada Dalila.

– Hm, nie znam jej, mówi Phil, ale podczas przesłuchania ona będzie obecna i podejmie decyzję, czy przyznają ci prawo pobytu.

– Tu jest napisane tak – kontynuuje Dalila, wskazując na jedną z linijek pisma, po czym czyta głośno: – „W rozmowie może wziąć udział pani pełnomocnik prawny, lecz jedynie wtedy, gdy spełnia warunki określone w Części V Ustawy o udzielaniu azylu z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego”. Czy ja muszę mieć adwokata? Wydaje mi się, że prawnicy są dla mnie za drodzy.

Phil odwraca się w stronę biurka i podnosi segregator, z którego wyjmuje

kartkę papieru.

– To są dane większości prawników, którzy są raczej skłonni podejmować się spraw o azyl – mówi. – Łapie długopis leżący na blacie i zaczyna odhaczać kolejne nazwiska. – Wiemy na pewno, że te kancelarie nie przyjmują już żadnych zleceń – wyjaśnia. – Ale możesz spróbować z panem Rafą. On bierze mnóstwo spraw tego typu. Nie skłamię, jeśli powiem, że on jest trochę...

Phil wykonuje gest, którego Dalila nigdy dotąd nie widziała. Ma zapewne znaczyć, że pan Rafa nie jest zbyt solidny albo że stosuje wątpliwe metody, a może jego motywacje nie są klarowne.

Daniel popycha okulary na nasadę nosa i zerka na listę.

– A ci są w porządku? – pyta, wskazując środkowym palcem jakieś nazwisko na samym dole.

– Z tego, co słyszałem, to tak – odpowiada Phil. – Ale ta kancelaria mieści się w Dundee, mają tam skłonność przekazywać sprawy azylowe młodszym pracownikom, żeby zdobyli troszkę doświadczenia na sali sądowej.

– Dundee? – dziwi się Daniel. – Gdzie to jest?

– Po drugiej stronie kraju. Ale wcale nie tak daleko. Jakieś dwie godziny jazdy, tylko że im się nie chce przyjeżdżać. Większość konsultacji przeprowadzają telefonicznie, osobiście stawiają się tylko na rozprawy. Jednak są dobrzy.

– Tylko oni mogą nam pomóc?

– Szczerze mówiąc, nie wiadomo, czy zechcą. To znaczy, rozejrzyj się. Wszyscy się boją, szukają jakiegoś zabezpieczenia, dlatego zwracają się do prawników.

Daniel kiwa głową i bierze papier. Dalila przygląda się Philowi, który patrzy na wyraz rezygnacji malujący się na obliczu Daniela.

– Panno Dalilo – mówi Phil, drapiąc się po brodzie. – Widzę, że wypełniłaś formularz rejestracyjny?

Dalila przytakuje.

– Mógłbym zerknąć?

Dziewczyna bierze głęboki oddech i wręcza formularz Philowi.

Mężczyzna przebiega wzrokiem informację i mówi:

– Więc jesteś z Kenii?

– Tak. Mieszkałam w Nairobi.

Obserwuje oczy Phila, który czyta intymne szczegóły jej historii. Oczy te są dowodem inteligencji, widać, że wchłaniają wszystkie niuanse oraz implikacje płynące z tej opowieści, nie wzdragają się wobec zawartej w niej grozy. Przeczytawszy już wszystko, mężczyzna rzuca jej szybkie spojrzenie. Spojrzenie, które zdaje się mówić: „Dziękuję, że mi zaufałaś. Jesteś bezpieczna. Nie narażę cię na niebezpieczeństwo”.

– Kiedy jest to przesłuchanie? – pyta Phil.

– Za cztery dni.

Mężczyzna wydyma policzki i sprawia wrażenie, jakby rozważał różne opcje.

– Okej, moja rada jest taka – mówiąc to, nachyla się ku Dalili. Daniel także podchodzi krok bliżej; teraz cała trójka prowadzi prywatną, przyciszoną dyskusję w pokoju pełnym ludzi. – Pierwsze, o czym musisz wiedzieć, to to, że Kenia jest na „białej liście”.

Dalila przechyla głowę, aby okazać, że słucha. Czeka.

– Okej, „biała lista” to nieoficjalny spis krajów, które zdaniem MSW są na tyle bezpieczne, żeby odsyłać tam ludzi.

– Ale dla mnie Kenia nie jest bezpieczna – oponuje Dalila.

– Rozumiem to. Naprawdę. Nasze MSZ twierdzi, że wasz kraj jest zbyt niebezpieczny dla brytyjskich turystów i lepiej tam nie jeździć, a jednocześnie MSW postrzega to samo państwo jako spokojne i odmawia jego obywatelom azylu. Kto się w tym rozezna? W zeszłym tygodniu na „białej liście”

umieszczono Irak. Dacie wiarę? Dobra wiadomość jest jednak taka, że kwestia Kenii jest skomplikowana. Status „białej listy” ma zastosowanie tylko do mężczyzn. MSW nadal jest skłonne uznać, że kobietom i dziewczętom grozi tam o wiele większe niebezpieczeństwo. To wystarczy, żeby nie wszystkie odsyłać. Ale bardzo często zmieniają zdanie. Cholernie trudno przewidzieć, co zrobią, chyba jednak masz sporą szansę na korzystną decyzję.

– To jest dobra wiadomość – zauważa Daniel, uśmiechając się.

Phil unosi ramiona.

– Nie chcę wzbudzać nadmiernych nadziei, ale musisz koniecznie zapamiętać jedno: podczas rozmowy merytorycznej najgorszym błędem, jaki ludzie popełniają, jest opowiadanie w najdrobniejszych szczegółach o wszystkich strasznych rzeczach, które przeżyli, o swojej tragedii, a potem oczekiwanie, że to wystarczy, aby pozostać w Wielkiej Brytanii. A nie wystarczy. Postawmy sprawę jasno. Pozwolenie na pobyt to nie jest rekompensata za nieszczęścia, które cię dotknęły. Pozwolenie na pobyt to twoja ochrona. Przed zagrożeniami, wobec których musiałabyś stanąć, gdyby cię deportowano. Rozumiesz?

Dalila kiwa głową.

– Kiedy więc będziesz opowiadać swoją historię – kontynuuje – musisz im, rzecz jasna, podać wszelkie powody, dla których uciekłaś z Kenii. Nie zatajaj niczego. Ale bądź sprytniejsza i nie skupiaj się na przeszłości, tylko skup się na przyszłości. Musisz zrozumieć, że twoim zadaniem jest udowodnić, że w chwili powrotu do Kenii spotka cię ogromna krzywda, a jeśli postanowią cię tam odesłać, wtedy to oni poniosą za tę krzywdę odpowiedzialność.

Daniel wolno potakuje głową.

– Tak – potwierdza.

Zachęcony potakiwaniem Daniela, Phil ciągnie:

– Potrzebne ci będą dowody. Dokumenty, artykuły, petycje, cokolwiek dla poparcia swojej historii. I będziesz musiała wykazać, kto cię ściga i w jaki sposób

może cię znaleźć, nawet gdyby odesłano cię w zupełnie inny rejon Kenii. Masz w Kenii przyjaciół, z którymi możesz się kontaktować?

– Tak, na Facebooku – odpowiada Dalila.

– Doskonale. Zapytaj ich, co się dzieje w twoim kraju. Niech piszą listy i zbierają podpisy. Wyszukaj wszystko, co potwierdza twoją historię.

– Ona jest dziennikarką – przerywa Daniel z nutką dumy w głosie. – Dzięki komputerom potrafi znaleźć różne rzeczy.

– Świetnie – zwraca się Phil do Dalili – ponieważ teraz musisz zbudować solidną bazę dla swojej opowieści. Sama dla siebie. Następne kilka dni poświęć na realizację tego zadania. Możesz nawet napisać raport i wręczyć go swojej opiekunce wniosku jako zeznanie otwierające przesłuchanie.

– To mogę zrobić – mówi Dalila.

– Przesłuchujących będzie kilku, zaczną zadawać ci najróżniejsze pytania, spróbują znaleźć lukę w twojej historii, jakąś skazę, ale jeśli jest ona prawdziwa, odpowiednio poparta dowodami, myślę, że masz szansę.

Cała trójka kiwa głowami, zadowolona z planu, który właśnie powstał.

– Skąd pan o tym wszystkim wie? – pyta Dalila.

– Och, to już zupełnie osobna historia – odpowiada mężczyzna.

Dalila czuje nagle ukłucie wyrzutów sumienia. Nie może uwierzyć, że właśnie okazała się taka gruboskórna, podczas gdy on, przez delikatność, nie zadał jej żadnych krępujących pytań. Wyciąga rękę, by mu podziękować i wyjść, ale Phil mówi nagle:

– Właściwie to nie tajemnica, że pracowałem kiedyś w MSW.

– Naprawdę? – dziwi się Daniel. – Ty?

– Nie chwalebę się tym na lewo i prawo, ale tak, pracowałem wtedy w Anglii. Prowadziłem wnioski azylowe.

– Hm. No tak, a teraz zajmujesz się tym, mówi Daniel.

Phil rozgląda się po zatłoczonym pokoju i wzrusza ramionami:

– A teraz zajmuję się tym.

– Skąd taka zmiana?

– Z wielu powodów, ale czarę goryczy przelała małpka.

Daniel i Dalila patrzą po sobie.

– Zaraz po studiach zatrudniłem się w MSW. To była solidna posada, rodzice byli dumni, wynajmowałem ładne mieszkanie i tak dalej, rozumiecie. Traktowałem wszystko poważnie. Drobiazgowo badałem każdą sprawę, która trafiała na moje biurko, studiowałem przepisy i starałem się podejmować najlepsze, najbardziej odpowiedzialne decyzje. Ale po jedenastym wrześniu ta robota się upolitycyziła. Pojawiły się odgórne limity przyjęć, zachęcano nas do odrzucania jak największej liczby wniosków. Potem któregoś dnia kierownik oznajmił całemu personelowi, że zaczniemy rywalizację. Pod koniec każdego tygodnia opiekun, który przyzna azyl największej liczbie imigrantów, to znaczy udzieli im pozwolenia na pobyt, znajdzie na swoim biurku wypchaną małpkę. – Phil patrzy na Daniela i na Dalilę, pociera ręką czoło. – Wierzcie mi, to, co ta małpka symbolizowała, było dla nas jednoznaczne. Właściwie większość osób uważała ten pomysł za zabawny. Na koniec miesiąca okazało się, że zdobyłem małpkę trzy razy z rzędu. Dlatego zrezygnowałem i znalazłem się tutaj.

Dalila idzie prosto do biblioteki Jest już dla niej jasne, co ma teraz zrobić. Zamawia komputer na dwie godziny i z przygotowanym długopisem oraz kartką papieru zaczyna sesję.

Najpierw loguje się do Facebooka i przesyła Muthoni prywatną wiadomość.

Xoxo Noni! Mam do ciebie WIELKĄ prośbę. Możesz się dowiedzieć, co mój wujek teraz robi? To znaczy, jak radzi sobie jego firma itd.? Za cztery dni mam tutaj bardzo ważną rozmowę z władzami brytyjskimi. Chcą dowodów i oświadczenia, że jak wrócę do kraju, to znajdę się w niebezpieczeństwie. Może zacznij od zapytania BB i Anne, a także tamtych ludzi. Jesteś sprytną dziewczyną. Pytaj spokojnie i tylko tych, którym naprawdę ufasz. Żadnych Mungiki!

Trzymaj się! Asante.

Googluje imiona i nazwisko wujka: „Kennedy Kimotho Mwathi”. Wyskakuje jakiś stary artykuł prasowy o nim oraz o ojcu Dalili, z czasów, gdy wspólnie zaczęli rozwijać firmę przewozową. W nekrologu opisującym pogrzeb członków jej rodziny również pojawia się nazwisko wuja. Przewijając odnośniki, odkrywa, że istnieje inny człowiek o takich samych imionach i nazwisku jak jej wujek, który stworzył obóz szkoleniowy dla biegaczy długodystansowych. Znajduje wiele artykułów na temat tego człowieka, w tym linki do jego strony internetowej, do kont na Facebooku i LinkedIn.

Klika zdjęcia. Są tylko dwie fotografie wuja, związane z poprzednimi dwoma artykułami. Pozostałe przedstawiają biegacza Kennedy’ego Kimotho Mwathiego.

Dalila zatrzymuje się na chwilę, myśli; jej palce głaszczą klawiaturę. Aby ludzie, którzy mają ją przesłuchiwać, zrozumieli, jakim człowiekiem jest jej wuj i jakie ma możliwości, żeby wyobrazili sobie niebezpieczeństwo, przed którym Dalila stoi, muszą się najpierw dowiedzieć co nieco o Mungiki.

Googluje: „organizacja mungiki Kenia” oraz „organizacja mungiki a polityka”.

Pojawiają się trzy znakomite artykuły, z których Dalila robi notatki. Informują one, że organizacja Mungiki wyłoniła się z Kikuju, jej własnego plemienia. Że powstała jako sekta religijna, ale ostatnio zajęła się bardziej polityką. Jej członkowie zgolili nawet charakterystyczne dredy, aby się zintegrować z politycznym mainstreamem i zająć stanowiska w strukturach władzy. Że kontrolują oni wielkie slumsy, takie jak Kibera, oraz wiele innych dzielnic Nairobi, często zapewniając ich mieszkańcom elektryczność i bezpieczeństwo za obowiązkowe składki, uiszczane przez wszystkie rodziny. Że działają głównie na dworcach *matatu*, skąd wychodzi ich sieć wpływów, rozciągająca się na całe miasto, a właściwie na cały kraj.

Gdy kończy się jej czas na komputerze, Dalila idzie do lady bibliotecznej i prosi o wydrukowanie artykułów, które właśnie przestudiowała.

Słyszy, że nie można.

Zapisuje adres internetowy każdego artykułu, potem wkłada kurtkę i wychodzi.

Wraca przez trzy przecznice do Centrum Solidarności. Na kanapie siedzi już tylko Abbi i jakaś druga osoba. Phil sączy napój z kubka, podnosi wzrok i się uśmiecha.

– Przepraszam, panie Philu – mówi Dalila.

– Phil. Wystarczy Phil.

– Phil, tak. Znalazłam parę artykułów, żeby pomóc sobie w czasie przesłuchania, ale w bibliotece nie pozwalają mi ich wydrukować. Czy mogłabym...

– No pewnie, nawet od razu, jeśli chcesz. – Mężczyzna wstaje zza biurka i podsuwa jej swój fotel.

– To tylko parę stron.

– Absolutnie nie ma problemu. Czy udało ci się już, hm, załatwić jakiegoś prawnika?

– Nie. Jeszcze nie dzwoniłam.

– Możesz skorzystać z tego telefonu, kiedy się będzie drukować – proponuje mężczyzna. Dalila wstaje, ale Phil przysuwa jej aparat. – Nie, nie, wszystko w porządku. Po prostu siedź i dzwoń.

Dziewczyna telefonuje do pana Ruffy, lecz nikt nie odbiera. Gdy łączy się z kancelarią w Dundee, każą jej czekać, a potem proszą o numer komórki i obiecują oddzwonić.

W domu, leżąc na brzuchu w swoim łóżku, Dalila zaczyna szkicować wstępną wersję raportu dla opiekunki wniosku. Nie pamięta, kiedy ostatnio pracowała w ten sposób. Nawet mimo presji terminu, misja napisania czegoś odręcznie sprawia jej przyjemność, uspokaja, wydaje się czymś znajomym. „Jakbym odrabiała zadanie domowe” – myśli.

Pracuje do późnego wieczoru, w końcu kładzie się twarzą na formularzu i zapada w głęboki sen. Śni jej się, że idzie na uczelnię razem z Noni. Odkrywają, że mają dokładnie te same modele komórek, co jej przyjaciółka uznaje za niezwykle zabawne. „Jesteśmy takie do siebie podobne – śmieje się Noni. – Jak bliźniaczki”. Ale Dalila zaczyna czuć dziwny niepokój, nie bardzo wiedząc dlaczego. Ma wrażenie, że się dokądś spóźniła, a może powinna być teraz gdzieś indziej. Trzyma oba telefony, po jednym w każdej dłoni. Są identyczne. To dokładnie ten sam model.

Wieje mocny poranny wiatr, gdy Dalila idzie skrótem przez płaski, pokryty błotem i betonem teren byłej fabryki. Przychodzi jej na myśl, żeby wstąpić do Centrum Solidarności i ogrzać palce o gorący kubek herbaty. Może też pogadać chwilkę z Philem? Ale nie. Powinna jak najwcześniej dotrzeć do biblioteki, skoncentrować się na swoim wniosku. Przechodzi na drugą stronę ulicy, mija sklep na rogu, którego właściciel, Polak, kiwa jej głową na powitanie i zwija rolety, gotowy na otwarcie swojego biznesu.

Dalila ma torbę cięższą niż zwykle z powodu wszystkich papierów, które ze sobą dźwiga. Torba zwisa niewygodnie, pasek wbija jej się w szyję. Podnosi ją, przekłada pasek na drugie ramię i wtedy – między jadącymi samochodami – kątem oka widzi jakiś kształt. Jej ciało rozpoznaje go wcześniej niż umysł, mięśnie napinają się samoistnie, gotowe do biegu, do walki. Dziewczyna obrzuca postać szybkim spojrzeniem i natychmiast spuszcza głowę, odsuwając ramiona do tyłu. To on. Sterczące barki, solidny kark, sposób, w jaki wysuwa do przodu głowę, jakby spoglądał na świat spode łba.

Markus. Nie ma mowy o pomyłce.

Ciało Dalili tężeje. Jej wolę i siły wsysa próżnia, wytworzona przez strach.

Mężczyzna odchodzi pewnym siebie krokiem, wpatrzony w telefon komórkowy, ale to na pewno on. Jest tutaj, w Glasgow.

Dalila musi uciekać. Wie, że musi. Robi jeden długi krok i chowa się za parą budek telefonicznych. Gdyby on obejrzał się za siebie, budki powinny ją zasłonić. Serce tłucze się jej w piersiach, jakby przebiegła wiele mil. Widzi siebie leżącą na tej sofie w londyńskim mieszkaniu. Markus stoi nad nią. Nacisk jego ręki na jej usta, sposób, w jaki siłą rozsunał jej kolana.

Na twarz zaczynają występować kropelki potu. Pod wełnianą czapeczką swędzi ją czoło. Szarpnięciem zrywa czapkę z głowy, chcąc się trochę ochłodzić, próbując myśleć. Czy to naprawdę on? Po co miałby tu być? Ale sama siebie nie

zdoła oszukać. To on. Nigdy nie zapomni jego sylwetki. Przyjechał po nią. Sama jest sobie winna. Przecież była bezpieczna, ukryta. A teraz problemy powróciły, facet za nią węszy.

Gdy Markus znika za rogiem, Dalila zmyka w przeciwnym kierunku. Najpierw stara się iść, potem jednak się poddaje i pędzi sprintem, tak szybko, jak tylko potrafi.

Kiedy wpada przez drzwi i zamyka je na zasuwkę, Ma'aza akurat czyści sedes.

– Markus. – Dalila z trudem łapie oddech, starając się nad nim zapanować. – Był tam. Stał koło... koło Festival Court. Widziałam go. Znam go. Widziałam go tam.

– Kogo? – pyta Ma'aza, wsuwając szczotkę do muszli klozetowej. – Kogo widziałaś?

Dalila wypuszcza powietrze, wiedząc, że mówi za szybko. Rozpina kurtkę i ciska ją na haczyk na drzwiach wejściowych, a potem przygląda się, jak kurtka spada na podłogę.

– Ten facet był w Londynie – stara się mówić wolno. – Razem z jedną kobietą. Ale on, ten Markus, on... Spałam, kiedy przyszedł do mnie i próbował... A mieli mi pomóc. Wyszli po mnie na lotnisko.

Dalila czuje, że pod naporem tego wspomnienia jej umysł za chwilę odmówi posłuszeństwa, zapadnie się. Stawia stopy tak, jakby miała się zachwiać i stracić równowagę.

– Zaatakował mnie, ale uciekłam – dodaje.

– I widziałaś dzisiaj tego człowieka? – pyta Ma'aza, myjąc ręce.

– Tak.

– Jesteś pewna?

Dalila nie wierzy, że Ma'aza może w ten sposób mówić. Czyżby sądziła, że ona się przechwala, że próbuje jej zaimponować? To, co dzisiaj widziała, może

stanowić zagrożenie dla nich obu. Czy Ma'aza jest w ogóle po jej stronie? Nie potrafiąc wydobyć z siebie słów z dostateczną prędkością, Dalila obrzuca współlokatorkę spojrzeniem, w którym zawiera wszystkie swoje myśli.

– Nie patrz tak, moja siostró – mówi Ma'aza. – Widzę, że się boisz, ale strach sprawia, że niektóre rzeczy wydają się jeszcze straszniejsze. Dlatego cię pytam, czy jesteś pewna, że to był ten człowiek z Londynu.

– To był on, okej? – odpowiada Dalila ostro, jej gniew wzbiera. – On tam był. Widziałam go. To Markus.

Ma'aza prostuje się i kładzie ręce na biodrach.

– Widział cię?

– Nie, chyba nie.

– Na pewno?

– Tak. Tak, na pewno – wrzeszczy Dalila. Odwraca się plecami. – Nie widział mnie, po prostu zwałam.

Ma'aza spogląda na koleżankę, jej oczy lustrują ją uważnie, analizują, ale jeszcze nie obwiniają.

– Może facet przyjechał tu do kogoś innego – sugeruje.

– Przyjechał po mnie. Po mnie – krzyczy Dalila, waląc się w pierś. – Ja to wiem.

– Skąd to niby wiesz?

– Przez tego dumnego Facebooka, wrzeszczy Dalila. Ponieważ powiedziałam moim głupim znajomym, że jestem tutaj, w tym głupim mieście. Bo sama jestem głupia, głupia, głupia.

– Okej, wierzę ci. – Ma'aza otacza ją ramionami. – Wierzę ci. Ale on nie wie, gdzie mieszkasz. Nie widział cię. Na razie jesteś bezpieczna.

Dalila uwalnia się z jej objęć, rozdarta między nadzieją bezpieczeństwa a poczuciem winy, że naraża tę kobietę.

Ma'aza wycofuje się i chwyta szczotkę do toalet. Podnosi ją i deklaruje:

– Od dzisiaj chodzimy wszędzie razem, ty i ja. Okej? Tak będzie bezpieczniej.

Nazajutrz rano Dalila i Ma'aza maszerują przez pusty plac, na którym stała kiedyś fabryka. Etiopka kroczy przodem, z podniesioną głową i zdaje się zasłaniać sobą całą resztę świata, skupiona wyłącznie na miejscu, do którego zmierza. Dalila idzie szybko za nią. Nie chciała wychodzić dziś z mieszkania, lecz cały wczorajszy dzień straciła przecież z powodu lęku przed Markusem i wie, że musi wrócić do biblioteki, aby dokończyć swój wniosek. Nie może się powstrzymać od rzucania ukradkowych spojrzeń przez ramię, w razie gdyby Markus szedł gdzieś z tyłu. Lustruje okna przejeżdżającego autobusu, przygląda się badawczo sylwetkom ludzi po drugiej stronie ulicy, zagląda przez drzwi sklepów, nigdzie go jednak nie widzi.

W bibliotece czuje się trochę bezpieczniej. Rezerwują sobie z Ma'azą komputery obok siebie. Gdy Dalila loguje się do Internetu, w głowie huczy jej od pytań. Co takiego opiekunka jej wniosku musi koniecznie wiedzieć? Jaki kontekst powinna zarysować w swoim opisie sytuacji? Czego konkretnie się obawia? Co wujek może jej zrobić, kiedy ją znajdzie? Czy można dowieść, że dopuścił się też innych aktów przemocy, aby przekonać urzędników, iż zdolny jest do wszystkiego? Kto mógłby jej pomóc? Gdyby jednak odesłali ją do kraju, komu zaufa? Czy ktoś wyszedłby po nią na lotnisko? Czy udałoby się przemknąć obok lotniskowych *matatu* i postojów taksówek tak, żeby pracownicy wujka jej nie zauważyli? I gdzie mogłaby się ewentualnie ukryć? W Thika? W Lamu? A niby jak tam dotrze? Gdyby ktoś poinformował wuja o miejscu pobytu Dalili, na pewno by po nią przyjechał. I wtedy spotkanie to mogłoby się dla niej zakończyć tylko w jeden sposób. Lecz przed jej śmiercią, przed załatwieniem sprawy, on chciałby poczuć smak zemsty, i właśnie tego Dalila boi się najbardziej. Wie, w jaką wściekłość potrafi wpaść wuj, wie, że chciałby sprawić jej jak najwięcej bólu, więcej niż kiedykolwiek przedtem, więcej, niż mogłaby znieść. Ucieknie, jeśli postanowią ją odesłać.

Palce Dalili drżą na klawiaturze. Stwierdza nagle, że je gryzie. Odchyła się na krześle, ociera spocone dłonie o górną część ud i otwiera usta, uwalniając napięcie zgromadzone w okolicy żuchwy.

„Sytuacja może się jeszcze zmienić” – próbuje przekonywać siebie samą. Wujek może umrzeć. To się zdarza. Ma wielu wrogów. Po jego śmierci będzie mogła wrócić do domu. Ta myśl wprawia ją w ekscytację. Skoro los przywiódł ją tutaj, tak samo może uwolnić ją od problemów. Musi tylko poczekać. Nawet gdyby miało to trwać całe życie, będzie czekać.

Ma'aza prostuje ramiona nad głową i ziewa.

– Kurczę – wzdycha – kawa w tym kraju nie jest dostatecznie mocna.

Dalila patrzy na migający kursor na ekranie monitora i próbuje zebrać myśli.

Googluje: „gangsterzy z matatu”, „korupcja w policji Kenia”, „gangi matatu korupcja w policji Nairobi”.

Czyta każdy artykuł, a potem notuje źródło i datę. Zapisuje cytaty.

Po godzinie lektury prostuje się na krześle i rozciąga mięśnie pleców, kierując łokcie w stronę sufitu. Materiały, które udało jej się dotychczas zebrać, są całkiem dobre. Będą stanowić wsparcie dla jej historii, niezbicie dowodząc, że członkowie organizacji Mungiki działają na terenie całego Nairobi poprzez siatkę kierowców *matatu*. Opłacają się policji albo po prostu policja toleruje Mungiki, ponieważ ci zarządzają slumsami. W związku z tym, że jej wuj jest członkiem gangu i prowadzi firmę *matatu*, ma niewiarygodne wpływy. Jeśli tylko Dalila wróci, on natychmiast ją znajdzie. A gdyby poszła prosto na policję, na pewno wuj zostanie o tym poinformowany.

O czym jeszcze prowadzący przesłuchanie powinni wiedzieć? Dziewczyna przypomina sobie rady, których udzielił jej Phil. Ażyl to nie rekompensata, musi udowodnić, że grozi jej realne niebezpieczeństwo. Uświadamia sobie, że jeszcze tego nie przygotowała.

Zamyka oczy, aby pomyśleć. Jej palce wsuwają się pod wycięcie bluzki

i znajdują nienaturalną, stwardniałą skórę blizny. Pamięta wrzask, swój wrzask. Pamięta sprzączkę pasa, która na nią spada. Krew. Pamięta, jak on opuszcza spodnie. Pamięta swoją twarz, przyciśniętą mocno do dywanu. Na szyję wstępuje gorąco, wydaje jej się, że wuj stoi tuż za nią, właśnie tu, w bibliotece. Czuje jego zapach. Otwiera oczy i patrzy na drzwi toalety, myśląc, że za chwilę zwymiotuje.

Drżącymi palcami pisze: „ofiary Mungiki”.

Googluje: „brutalność policji w Nairobi”, „statystyki gwałtów w Nairobi”, „system kar Mungiki, zabójstwa”.

W południe Ma’aza ma już dość.

– Muszę iść, mówi, jestem bardzo głodna.

Dalila podnosi wzrok znad ekranu.

– Okej – odpowiada. – Jedna minutka.

– Ale tylko jedna – upewnia się Ma’aza. Zwiesza głowę na jedną stronę, próbuje usunąć napięcie ze swojej długiej szyi.

Dalila wylogowuje się, zbiera notatki i pyta:

– Możesz przespacerować się ze mną do Centrum Solidarności? To niedaleko. Tam będę bezpieczna, a ty sobie pójdziesz.

Ma’aza kiwa głową, a potem znów przechyla ją na bok.

W centrum Dalila ponownie prosi o wydrukowanie kilku stron internetowych. Dzwoni do kancelarii prawnej w Dundee, lecz rezultat jest taki sam, jak wczoraj: najpierw każą jej czekać, potem zapisują numer i obiecują oddzwonić.

Telefonuje więc do pana Ruffy, który odbiera po pierwszym sygnale. Kilka minut słucha opisu sytuacji, a następnie przerywa jej uprzejmie, aby wyjaśnić, że nie przyjmuje już więcej klientów. Z powodu ostatnich zmian politycznych ma dwa razy więcej pracy. Cały dzień spędza w salach sądowych i wniósł już tyle apelacji, że sam nie może za tym wszystkim nadążyć. Uczestniczenie w rozmowie merytorycznej to nie jest jego obecny priorytet. Ale mówi jej, żeby się nie

martwiła. Jej znajomość angielskiego jest, co oczywiste, znakomita i podczas przesłuchania z pewnością przedstawi wszystkie fakty w sposób klarowny. A to najważniejsze. Jeśli potrzebuje kolejnych porad, niech zadzwoni do Szkockiej Rady ds. Uchodźców. Gdyby nadal były jakieś problemy z jej sprawą, niech się śmiało z nim kontaktuje. A tymczasem poleca jej kancelarię prawną w Dundee. Oni podobno zajmują się sprawami azylowymi.

Dalila zbiera swoje wydruki, przegląda je, sprawdzając, czy wszystkie są wyraźne.

– W porządku, Dalilo? – pyta Phil.

– Tak, dziękuję – odpowiada. – Ale jest jedna sprawa.

– Jaka?

Chce mu powiedzieć o Markusie, że widziała go w pobliżu, że w Londynie zaatakował ją, więc musiała uciekać, lecz nie bardzo wie, jak zacząć tę rozmowę.

– Nie rozumiem tego – mówi, kładąc notatki na biurko i wyciągając z koperty formularz sprawozdawczo-dowodowy. – Składa się z trzech części, ale nie mam pojęcia, co w nim umieścić. Muszę podać, co jest powodem występowania o azyl. Ale w C2 pytają o moją rasę i narodowość, w C3 o religię, w C4 o poglądy polityczne, natomiast w C5 każą wskazać wszelkie inne przyczyny, w tym przynależność do jakichś ugrupowań.

Phil już kiwa głową, jakby wiedział, o co dziewczyna zamierza go zaraz spytać.

– Wiesz o moich... powodach, dla których musiałam wyjechać z Kenii – ciągnie Dalila. – Ale one nie pasują do tego formularza.

– No tak, często mam z tym do czynienia – odpowiada Phil. – To powszechny problem kobiet, które występują o azyl.

– Dlaczego tylko kobiet? Nie chcą nas tutaj, w Wielkiej Brytanii?

– Nie, nie, nie o to chodzi. Rzecz ma związek z przeszłością – tłumaczy Phil.

– Kiedyś w Genewie odbyła się konwencja, na której sporządzono kluczowe

akty prawne określające, kto to jest uchodźca. Miało to miejsce w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku, zaraz po drugiej wojnie światowej. Wtedy koncentrowano się głównie na problemach w samej Europie, dlatego status uchodźcy przyznawano tym, którzy byli prześladowani z powodu rasy, narodowości, religii i sympatii politycznych. Tak właśnie skonstruowano definicje prawne. I dlatego masz je w swoim formularzu. Tego wymagają przepisy.

Dalila spogląda na formularz, wciąż nie wiedząc, jak go wypełnić.

– W tamtych czasach – ciągnie Phil – myślano wyłącznie o Europie, a nie o reszcie świata. Po prostu nikomu nie przyszło do głowy, żeby zajmować się takimi kwestiami, jak przymusowe małżeństwa, obrzezanie kobiet, klęska głodu, dzieci-żołnierze, zbiorowe gwałty czy przemoc domowa. I dlatego kobiety często nie podpadają pod żadną kategorię, gdyż to, przed czym uciekają, nie zostało ujęte w przepisach. Na szczęście w tym samym roku troszeczkę rozszerzono zakres spraw. Dlatego w formularzu znajduje się również sekcja C5. Zobacz tam, gdzie jest napisane: „Wszelkie inne powody, w tym przynależność do konkretnych organizacji społecznych”. To właśnie dla osób w twojej sytuacji. Rozumiesz?

Dalila kiwa głową.

– Więc co mam tu wpisać?

– To, że jesteś kobietą – podpowiada Phil. – Napisz o przemocy, przed którą uciekłaś, oraz o prześladowaniach, których się boisz, a które mają związek z twoją płcią. Oni mogą to zakwestionować, spierać się z tobą, okej? Bądź na to przygotowana. MSW pewnie powie, że to, co ci się przytrafiło, to tylko tragiczny zbieg okoliczności. Że twój kraj nie prowadzi działań politycznych wymierzonych w kobiety. Przecież nie wszystkie kobiety w Kenii cierpiały tak, jak ty. Mogą więc spróbować deportować cię do innej części kraju.

– Ale wujek znajdzie mnie wszędzie. Nawet tutaj, w tym mieście, boję się

o siebie.

– Rozumiem – odpowiada szybko Phil. – Czy mógłbym zadać ci osobiste pytanie?

Dalila wpatruje się w jego oczy, próbując odgadnąć, o co chciałby ją spytać. Czyżby słyszał o Markusie?

– Czy twój wujek albo inny członek rodziny należy do organizacji Mungiki?

– Tak, mój wujek jest z Mungiki. Skąd o tym wiesz?

– Prawie wszystkie Kenijki, które tu przychodzą, mają problemy z Mungiki – wyjaśnia Phil. – MSW dobrze wie o tych draniach i o ich wpływach politycznych. Dlatego radziłbym, żebyś przedstawiając swoją sprawę, spróbowała wykazać polityczne powiązania wuja. Udowodnić, że jeśli wrócisz do Kenii, zostaniesz uciszona jako dysydyntka polityczna. Wystarczy sama twoja obecność w tym miejscu, nawet jeśli zachowasz milczenie i nie będziesz zeznawać przeciwko niemu.

– Tak, rozumiem – mówi Dalila.

– To wzmocni twój wniosek o azyl, ponieważ składasz go jako członek konkretnej grupy społecznej w ramach sekcji C5, a twoje poglądy polityczne są opisane w sekcji C4.

Deszcz zaczyna padać ulewnie Phil proponuje Dalili i jeszcze paru osobom, które mieszkają w jej dzielnicy, że podwiezie ich samochodem. Furgonetka zatrzymuje się przed blokiem, Dalila macha Philowi na pożegnanie i szybko wbiega do środka. Wchodzi do windy i naciska guzik z numerem siedemnastym. Palce nóg w koszykarskich butach ma zdrętwiałe i wilgotne. Zdejmuje czapkę i wytrząsa srebrne kropelki deszczu, zaplątane we włóknach.

Otwierają się drzwi, z których wprost na Dalilę wypada mała dziewczynka. Między kostkami jej nóg tkwi piłka wklonowana w dysk, rodzaj plastikowego Saturna, na którym mała podskakuje, piszcząc z zachwytu. Leci na tej swojej planecie w przestrzeni tylko sekundę, trzepocząc rączkami, ze wzdętą spódnicą i falującymi jak w nieważkości ciemnymi włosami, nim zwycięży ją grawitacja. I tak góra, dół, na zmianę.

Za nią w poskokach wypada wyższa dziewczynka, wołając:

– Moja kolej. Moja kolej.

Wyglądają na siostry, mają takie same gęste, falujące włosy. Otwarte drzwi ich mieszkania sąsiadują bezpośrednio z lokum Dalili. Gdy dziewczyna podchodzi do swoich drzwi, z kluczem w dłoni, starsza z sióstr pyta:

– Mieszkasz tu teraz?

Zanim Dalila zdąży odpowiedzieć, pani Gilroy otwiera drzwi swojego mieszkania po drugiej stronie pólpiętra. Spód jej nóg wypada piesek.

– Toby – piszczą obie dziewczynki i ślizgają się na kolanach, żeby się przywitać z psem. Z uszami do tyłu, machając ogonem, psiak przeskakuje od jednej rączki do drugiej i liże ich palce.

Pani Gilroy, w kapciach i szlafroku, potrząsa głową i mówi:

– No dobrze, dziewczynki. Wiem, że pada, ale jeśli chcecie się bawić tu, na

półpiętrze, musicie robić to ciszej. Przez ten cały zgiełk prawie nie słyszę telewizora.

– Toby liże mi palce – woła ze śmiechem mniejsza dziewczynka. Jej szkocki akcent jest prawie tak silny, jak u pani Gilroy.

– Tak, on jest z tego znany. Ale słyszałaś, co powiedziałam, Roso? Irene niedawno się wprowadziła, a wy tutaj urządzenie okropny harmider.

Mała patrzy w górę na Dalilę.

– Kiedy tu przyjechałaś?

– Wprowadziłam się tydzień temu.

– Och – wzdycha Rosa. A potem dodaje: – Wiesz co? Dzisiaj w szkole mieliśmy wuef, no wiesz, biegaliśmy, i ja jestem najszybsza w klasie, ale Ashley Worsdale jest ode mnie szybsza.

– Naprawdę? – Dalila kuca przy dziecku. – Ja też kiedyś biegałam w szkole, dziesięć tysięcy metrów wokół boiska.

Starsza z sióstr przygląda się Dalili spod bujnej grzywki. Jej oczy są mądre i czujne. Dalila uśmiecha się do dziewczynki i wstaje.

– Czy Toby może znów przyjść się do nas pobawić, pani Gilroy? – pyta mniejsza, ciągnąc psa za ucho obiema rączkami.

– Może innym razem, kochanie – odpowiada starsza pani i szura w ich stronę. – Toby ma za sobą długi dzień.

Podnosi psa i delikatnie dotyka głów dziewczynek, a potem wchodzi do swojego mieszkania. Także Dalila otwiera drzwi i znika w środku. Wiesza kurtkę i rozwiązuje buty, kładzie je równo pod ścianą.

Pukanie do drzwi zaskakuje ją.

Zawiesza łańcuch i otwiera. Siostry stoją ramię w ramię. Starsza mówi:

– Mama kazała nam przyjść i zapytać, czy chciałabyś przyjść dziś do nas coś zjeść.

– Och, hm, dziękuję – odpowiada Dalila. – Kiedy?

Dziewczynka przechyla się i krzyczy do matki w sąsiednim mieszkaniu. Wymiana zdań odbywa się w języku, którego Dalila nie rozumie. Mała przekazuje Dalili:

– Mama mówi, że za dwadzieścia minut. Po prostu przyjdź do nas.

– To jest nasze mieszkanie – dodaje mała Rosa, wskazując na sąsiednie drzwi. Nagle dziewczynki zaczynają chichotać i uciekają do siebie.

Dalila przebiera się w sukienkę z kwiatowym wzorkiem. W policzki oraz w przedramiona wciera krem nawilżający. W kuchni otwiera szafki w nadziei, że znajdzie jakiś prezent, który mogłaby zanieść rodzinie sąsiadów. Widzi dużą paczkę nachosów, nieotwartą. Bierze ją.

Puka do drzwi, a potem ze środka słyszy wołanie:

– Kto tam?

– To ja, mieszkam obok.

Otwiera starsza z sióstr, mówi „cześć”, a druga, ta mniejsza, bierze Dalilę za rękę i wprowadza do mieszkania, jednocześnie wołając do matki:

– Już przyszła! Ta pani już przyszła.

Dalila zrzuca sandały i idzie za dziećmi korytarzem, następując na zabawki zalegające na podłodze. Zerka do sypialni. Walają się w niej zabawki, ubrania i tomistry szkolne, widać plakaty z bajek Disneya i gwiazdek popu, czasopisma i pluszowe misie. Pod jedną ścianą stoi piętrowe łóżko, pod drugą – komoda i biurko, między nimi jest tylko tyle miejsca, by można było przejść.

– To mój pokój – chwali się Rosa. – A to jest salon.

Na spotkanie Dalili wychodzi tęga, sprawiająca wrażenie zmęczonej kobieta, która przedstawia się jako Olcay. Rzut oka wystarczy, aby wiedzieć, że obie dziewczynki mają ciemne, niesforne włosy po matce.

– Siadaj, siadaj, proszę – mówi Olcay, wskazując na stół i krzesła w aneksie

kuchennym.

– Dziękuję za zaproszenie – odpowiada Dalila. – Przyniosłam coś dla was.

Skłoniwszy głowę, Olcay przyjmuje paczkę nachosów.

– Dziękuję – mówi. – Ty... bardzo... miła. – Stara się coś dodać, ale rezygnuje i zaczyna przemawiać do starszej córki w obcym języku. Dziewczynka siada przy stole w kuchni i tłumaczy:

– Mama mówi, że bardzo się cieszy, że cię poznała, i że zawsze jesteś u nas mile widziana.

– Dziękuję. – Dalila się uśmiecha.

Olcay nalewa herbaty z czajnika do wielkiego różowego kubka z Barbie, po czym kładzie go przed gościem.

– Jesteś... mile... widziana – powtarza, wyraźnie zachwycona, a potem nagle skrępowana swoją słabą znajomością angielskiego. Otwiera paczkę nachosów, wysypuje jej zawartość do plastikowej miski i umieszcza ją na stole. Starsza dziewczynka bierze tylko jednego chipsa, natomiast młodsza wsadza do miski najpierw jedną rączkę, a później drugą. Stoi i patrząc na Dalilę, skubie garść nachosów.

Dalila nie może się powstrzymać od śmiechu. Od bardzo dawna nie miała do czynienia z dziećmi i czuje, że zaczyna się zakochiwać w małej Rosie.

Dziewczynka szepcze coś do ucha starszej siostry. Chichoczą i wyskakując za drzwi, wołają:

– Zaraz wracamy.

Dalila trzyma kubek z Barbie, ciesząc się ciepłem, które sączy się w jej zgrabiące koniuszki palców. Olcay pilnuje jedzenia na kuchence. Na balkonie widać suszarkę do ubrań oraz dwa dziecięce rowerki. W rogu leży zabawkowy zestaw do gotowania, którego kolory spłówiały wskutek warunków atmosferycznych. Tylko kawał blachy oddziela ten balkon od balkonu Dalili.

Telewizor jest włączony, cicho rozmawia sam ze sobą, zapobiegając

niezręcznej ciszy. Salon jest schludny, jednak zastawiony meblami. Sofa, regał na książki, szafa, rodzinne zdjęcia w ramkach, płyty DVD upchnięte pod szklanym stolikiem do kawy. Za sofą, pod ścianą wetknięto materac dla dwóch osób. Jego bladoniebieski kolor niemal pasuje do tapety. Niemal. Dalila gapi się na niego, jak gdyby ów materac był w jakiś sposób ważny.

To mieszkanie, uświadamia sobie, stanowi lustrzane odbicie jej własnego. Pokój dziewczynek jest odpowiednikiem jej sypialni; Dalila przypomina sobie, że to ich głosy słyszała przez ścianę. Aneks kuchenny i salon przylegają do kuchni i pokoju Ma'azy. Mieszkanie ma dokładnie taki sam metraż, taki sam rozkład. Znów zerka na materac. Dociera do niej, że skoro dziewczynki śpią na piętrowym łóżku w swoim pokoju, to rodzice muszą sypiać właśnie tutaj, każdej nocy rozkładając materac, a potem, rano, upychając go znów pod ścianą.

Dziewczynki wpadają do kuchni jak tornado. Młodsza oznajmia:

- Ja i Parla zrobimy przedstawienie, a ty będziesz oglądać.
- Oczywiście – zgadza się ze śmiechem Dalila.

Rosa bierze Dalilę za palec wskazujący i ciągnie, prowadząc w kierunku sofy.

- Musisz tu siedzieć – decyduje.

Gdy tylko Dalila siada, przedstawienie się rozpoczyna. Parla sadowi się na poręczu kanapy, przykłada mikrofon do ust i nuci jakąś melodię. Jest zawstydzona i skrępowana. Rosa podnosi zabawkową gitarę i dziko uderza w struny, skacząc z jednego końca pokoju na drugi. Ich matka uśmiecha się i udaje, że stara się je uciszyć, co tylko sprawia, że przedstawienie jeszcze nabiera wigoru.

Nagle dziewczynki milkną i patrzą na drzwi wejściowe. Ich uszy wyłapały jakiś dźwięk, którego Dalila nie słyszała. Na ich buziach uwidacznia się zachwyt; pędzą ku drzwiom, wołając:

- *Baba. Baba* przyszedł.

Dalila wstaje z kubkiem w ręku, niepewna, gdzie powinna się znaleźć.

Przechodzi do kuchni i kładzie kubek na stole. Uśmiecha się do Olcay, która wyciera ręce w ścierkę.

– *Baba, baba*, to nasza znajoma – mówi Rosa, prowadząc ojca za palec. – Mieszka obok, ma na imię Irene, w szkole też biegała.

– Och, to bardzo fajnie. – Mężczyzna ma wyraźny obcy akcent, ale posługuje się angielskim o wiele lepiej niż jego żona. Przykłada lekko dłoń do swojej piersi i kłania się Dalili. – Witamy. Witamy w naszym domu. Nazywam się Erdem. – Wyciąga rękę, Dalila nią potrząsa.

– Jestem Irene – przedstawia się.

– Miło cię poznać, zawsze przyjemnie mieć gości na kolacji – mówiąc to, mężczyzna zerka na żonę, która przygotowuje więcej jedzenia niż zwykle. Dotyka jej ramienia i rzuca parę słów w ich języku. Jest przysadzisty, ubrany w brązowy garnitur, szary krawat i czarne, wypastowane buty. Gładko ogolony, o przetłuszczonych szpakowatych włosach, równo zaczesanych na bok. Porusza się z namysłem, niemalże powoli, a kiedy się uśmiecha, Dalila zauważa, że jego usta sprawiają wrażenie bardziej zadowolonych niż oczy.

Olcay rozdziela między córki zadania i wkrótce wszystkie kobiety, włącznie z Dalilą, nakrywają do stołu, rozkładają noże i widelce. Parla napełnia wodą dzbanek Tupperware. Rosa składa kwadratowe arkusze papierowego ręcznika w trójkąty. Dalila kładzie przy każdym nakryciu szklanę, przez cały czas jednym okiem zerkając na ojca rodziny.

Pan Erdem siada na sofie, rozwiązuje sznurówki, zdejmuje buty i zanosz je do przedpokoju. Wraca, nadal ubrany w garnitur i krawat, ale na stopach ma kapcie. W jego ruchach widać znużenie; Dalila zauważa również, że po jego przyjsciu dziewczynki są nieco mniej ozywione. Mężczyzna znów siada na sofie i włącza w telewizji jakiś obcy kanał informacyjny.

Mała Rosa idzie, chwiejąc się lekko, ponieważ dźwiga krzesło spod biurka w swoim pokoju. Stawia je przy stole.

– Musisz usiąść koło mnie – zwraca się do Dalili – a Parla będzie siedzieć tam, mama tam i tata tam.

Oclay kładzie talerz pełen płaskiego pieczywa, podobnego do chleba, owiniętego w ściereczkę do naczyń. Umieszcza na stole również miskę z ryżem oraz danie z piekarnika, a następnie woła męża.

Wszyscy siadają do stołu.

Olcaj znów wstaje, pochyla się, podaje chleb Dalili.

– Proszę... jedz – mówi.

– To twoja szklanka, *baba* – oświadcza Rosa. – A ta jest moja.

– Dziękuję, moje dziecko. – Pan Erdem dotyka potylicy swojej córki. Bierze głęboki oddech i patrzy po kolei na każdego członka rodziny. Łagodnie kiwa głową, jakby sam do siebie, i dopiero wtedy nakłada sobie na talerz łyżkę ryżu.

Proponuje ryż Dalili. Zwraca się do niej tonem dość oficjalnym:

– Twoja obecność dzisiaj z nami jest dla nas błogosławieństwem. Zawsze jesteś mile widziana przy naszym stole.

– Bardzo dziękuję – odpowiada dziewczyna, czując przypływ wdzięczności. Minęło wiele czasu, odkąd siedziała tak ze swoją rodziną. Chce wytłumaczyć, że dobrze, a zarazem smutno jest jej tu siedzieć i udawać, iż stanowi jedną z nich. Poczucie przynależności jest jak wybudzanie się z długiego, niespokojnego snu, kiedy słońce ogrzewa ci twarz. Zanim się rozplacze, wie, że powinna coś powiedzieć, więc rzuca:

– Ja... To ja mam szczęście, że tu jestem.

Do ważnej rozmowy pozostał już tylko jeden dzień. Dalila wraca do biblioteki, aby przygotowywać swój wniosek. W skrzynce odbiorczej czeka na nią wiadomość od Muthoni.

Xoxo Dali,

mam wieści! W ostatnich miesiącach twój wujek był bardzo zajęty. Ciągłe gdzieś jeździł, uśmiechał się i ścisnął ludziom ręce. Podobno jest hojny, zawsze kupuje herbatę i inne prezenty. Krążą też pogłoski, że przekazał spore środki na partię Narodowej Tęczowej Koalicji.

Chodzi tylko w garniturze. Wiele osób sądzi, że będzie się ubiegał o miejsce w radzie miasta. Kiedy rozmawiałam z BB, powiedział mi, że w zeszłym miesiącu znaleziono dwa ciała, zwłoki dwóch kierowców matatu, którzy pracowali u twojego wujka. Ci dwaj nie należeli do Mungiki. Spekuluje się, że twój wujek pozbywa się tych, którzy mogliby zaszkodzić jego reputacji. Ale oczywiście nie ma na to dowodów. Mogę tylko powiedzieć, że w Nairobi wielu go szanuje i wielu się go boi.

Załączam dwa linki do artykułów w gazecie „Standard”. Jeden zawiera spekulacje na temat jego zaangażowania w politykę, drugi sugeruje, że śmierć obu kierowców matatu nie była przypadkowa.

Pracuję również nad pismem, które mogłoby ci pomóc zostać w Wielkiej Brytanii, zbieram podpisy od zaufanych przyjaciół, kolegów i znajomych, tutaj na uczelni.

Twoja Noni

PS Gromadząc te wszystkie informacje, czułam się jak prawdziwa reporterka. Mam swój pierwszy autentyczny temat, zanim jeszcze skończyłam studia!!

Dalila czyta list dwukrotnie, a potem uważnie analizuje artykuły. Pozostałą część ranka spędza na tworzeniu swojego oświadczenia we wniosku azylowym, opisując szczegółowo powody, dla których jej zdaniem zostanie uwięziona, gdy

tylko wróci do Nairobi. Pisze również o tym, co wujek z nią zapewne zrobi. Wszystkie jej obawy, podkreśla, wypływają z faktów, które miały miejsce w Nairobi; stanowią one dowód, że również jej przypadek oraz jej lęk przed wujem mają związek z ogólnym klimatem korupcji oraz przemocy wobec kobiet, jaki panuje w Nairobi. Zresztą Mungiki prześladują wszystkich, którzy im się nie podobają.

W konkluzji stwierdza, że bardzo pragnęłaby móc wrócić do domu. Jej jedynym marzeniem jest ukończyć studia, odwiedzić groby członków rodziny, odbudować swoje życie. Mieszkać tam, gdzie jest jej miejsce. Jednak żadnej z tych rzeczy nie może zrealizować, dopóki jej wuj żyje. Dalila potrzebuje bezpiecznego miejsca, w którym będzie mogła doczekać dnia swojego powrotu.

Opiera się w fotelu, zadowolona. Wysyła dokument mejlem do samej siebie.

W przypływie odwagi postanawia się przespacerować do Govan. Jesienne liście leżą zagrabione w przyzmy obok chodnika. Na powierzchni kałuży utworzyła się lodowa skorupka. Dalila dotyka jej butem; lód pęka, kruchy jak jajko.

Kiedy otwiera drzwi sklepu z używaną odzieżą, brzęczy dzwonek. Z zaplecza wychodzi sprzedawczyni, tęga kobieta z ciemną grzywką, i dotyka oprawek okularów. Kiwiają sobie głowami. Dalila przegląda bluzki.

– Szuka pani czegoś konkretnego? – pyta sprzedawczyni.

– Potrzebuję zakietu – odpowiada dziewczyna.

– Garsonki?

– Nie, raczej czegoś takiego jak to. – Podnosi dwuczęściowy beżowy komplet. Spódnica sięga do kolan, górna część jest szeroka, ma grube poduszki na ramionach. – Ale ja potrzebuję tylko góry – dodaje. – Jutro mam rozmowę kwalifikacyjną.

– Ach, no tak. Cóż, tutaj chyba będziemy mieć pani rozmiar.

Dalila idzie za sprzedawczynią na sam koniec wieszaka.

Kobieta zadziera głowę i taksuje ją znad dolnej części swoich okularów. Odwraca się w stronę ubrań, po czym wybiera jeden artykuł.

– Może to? – pyta, trzymając bladozielony żakiet. – Albo może... to? – Podnosi granatową marynarkę.

Dalila wskazuje marynarkę.

Przymierza ją i staje przed lustrem. Rękawy są dobrze dopasowane, ale poduszeczki na ramionach zdają się szersze, niż wcześniej myślała. Marynarka jest odrobinę za luźna jak na jej drobną figurę, lecz efekt piorunujący. Dalila zapina jedyny guzik na brzuchu. Wygląda jeszcze lepiej.

– Taka chudzina z pani. – Sprzedawczyni się uśmiecha. – Ale myślę, że to dobrze na pani leży. Teraz przydałoby się jeszcze coś do tego, na przykład... zobaczmy tutaj. – Kobieta przerzuca wieszaki i wybiera bluzkę z łódkowatym wycięciem, barwy kości słoniowej. – Proszę. Co pani o tym sądzi? Może przymierzy je pani razem?

Kiedy Dalila wychodzi z przebieralni, sprzedawczyni znów zadziera podbródek, aby spojrzeć na nią przez dolne połówki soczewek.

– Bardzo ładnie – wyraża swoją opinię. – Bardzo elegancko. Mając to na sobie, na pewno dostanie pani pracę.

Dalila odwraca się do lustra. Bluzka z łódkowatym wcięciem to duży postęp, a kołnierz marynarki przykrywa bliznę na obojczyku. Prawie. Ale ona sama wygląda nieźle. Sprawia teraz wrażenie osoby poważnej, profesjonalistki. Prezenterki wiadomości.

W nocy śni jej się, że wróciła do Naivashy, wsi, w której się wychowywała, do szkoły podstawowej, do której chodziła. Jest już dorosła, siedzi w małej ławce w otoczeniu nieznanym sobie dzieci, które gapią się i chichoczą, zasłaniając buzie rękoma. Błat znajduje się tak nisko, że Dalila musi siedzieć z kolanami po

bokach.

To śmieszne, że w ogóle tu jest. Nie może w to uwierzyć, lecz oni twierdzą, że czegoś brakuje w jej aktach. Nalegają, żeby wróciła i je skompletowała. Mówią to bardzo stanowczo. Ale nie może nigdzie iść, dopóki znów nie zaliczy tych zajęć. Jest wściekła, gniew chwyta ją za gardło, nie chce jednak utracić panowania nad sobą i przestraszyć te dzieci. Mruga, starając się skupić na słowach nabazgranych kredą na tablicy, lecz wyrazy nie mają żadnego sensu.

Rankiem w dniu bardzo ważnej rozmowy Dalila bierze prysznic i wkłada nową bluzkę oraz marynarkę, a do tego czarne spodnie. Granat marynarki nie pasuje do czerni spodni, ale dziewczyna nie ma innego wyboru.

Idzie do łazienki i prosi Ma'azę o opinię:

– Te spodnie są w porządku? Bo już sama nie wiem.

Ma'aza, nie przerywając mycia zębów, rzuca okiem na ubranie koleżanki. Z ustami pełnymi piany unosi kciuk w geście aprobaty.

– A buty? – pyta Dalila. – Te koszykarskie są cieplejsze, ale chyba nie nadają się na rozmowę. Mówi tak w nadziei, że Ma'aza zareaguje jakoś na tę sugestię.

Ma'aza wypluwa pastę i płucze usta. Bez słowa mija Dalilę i idzie do swojego pokoju. Po kilku sekundach wraca z parą czarnych, wsuwanych pantofli.

– Te będą lepsze – stwierdza.

– Jesteś pewna?

– Buty nie pomogą ci załatwić sprawy, ale na ten wywiad nadają się bardziej.

– Dziękuję – mówi Dalila.

Ma'aza i Dalila ponownie udają się do biblioteki, aby zobaczyć, czy dotarł mejl od Muthoni. Dotarł.

Dali, przyjaciółko moja,

przygotowałam ten list i skłoniłam do jego podpisania tyle osób, ile mogłam, chociaż niektórzy tego nie zrobili, bo się za bardzo bali.

Mam nadzieję, że to coś pomoże. Powodzenia! Xxxx

W załączniku Dalila znajduje zeskanowaną kopię pisma.

Do Rządu Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii w sprawie Irene Dalili Mwathi, która wystąpiła z wnioskiem o azyl ze względów bezpieczeństwa, a także o uzyskanie statusu uchodźcy.

My, niżej podpisani, wyrażamy obawę o bezpieczeństwo naszej siostry, przyjaciółki i koleżanki ze studiów.

Rodzina Irene Mwathi została zamordowana w czasie zamieszek na tle politycznym, które nastąpiły po wyborach powszechnych w Kenii. Zdaniem niektórych osób mord ten był przypadkowym aktem przemocy, jednak inni podejrzewają, iż doszło do zaplanowanej zbrodni, podyktowanej względami finansowymi. Policja prowadzi śledztwo w tej sprawie, ale tutejszy wymiar sprawiedliwości nie jest godzien zaufania ze względu na wszechobecną korupcję. W związku ze wspomnianym dochodzeniem policja z Nairobi przesłuchała już wuja Irene Mwathi, pana Kennedy'ego Kimotho Mwathiego, do aresztowania jednak nie doszło. Żadnej innej osobie nie postawiono zarzutów.

Pan Kennedy Mwathi to potężny biznesmen z Nairobi, działający w całej Kenii. Ostatnio ogłosił, że zamierza się ubiegać o stanowisko radnego stolicy. Kilku z jego oponentów, którzy występowali publicznie przeciwko niemu, znaleziono martwych. Innych dotkliwie pobito. Osoby te, przesłuchiwane przez policję, mimo obrażeń twierdziły, że padły ofiarą przypadkowej napaści lub rabunku. Pana Kennedy'ego Mwathiego otacza atmosfera strachu; w jego sprawie prowadzonych jest aktualnie pięć odrębnych śledztw policyjnych, w tym o zabójstwo, wymuszenia, oszustwa podatkowe i jazdę po pijanemu.

Wyrażamy przekonanie, że gdyby panna Irene Mwathi wróciła teraz do Kenii, zostałaby zabita, tak samo jak ludzie, którzy występowali przeciwko jej wujowi, panu Kennedy'emu Mwathiemu.

Irene Mwathi jest uczciwą, bardzo pilną studentką, przewodniczącą roku na Wydziale Dziennikarstwa i Mediów Uniwersytetu w Nairobi. Zawsze miała wielu przyjaciół, nigdy nikomu nie wyrządziła krzywdy. Wszyscy pragnęlibyśmy znów ją zobaczyć. Jednakże zwracamy się z prośbą o udzielenie Irene Mwathi zgody na tymczasowy pobyt w Zjednoczonym Królestwie, gdzie jej bezpieczeństwo jest zagwarantowane, aż do zakończenia policyjnych dochodzeń przeciwko jej wujowi.

Prosimy o to całkowicie dobrowolnie, aby pomóc naszej drogiej, ciężko pracującej siostrze, Irene Dalili Mwathi.

Pod listem podpisało się dziewiętnaścioro studentów z jej roku, przyjaciół z uczelni oraz troje wykładowców, w tym dziekan Wydziału Dziennikarstwa i Mediów.

Dalila zakrywa usta i nos dłonią i ponownie czyta nazwiska osób, które podpisały się pod listem, a jej oczy wypełniają się łzami. Z pamięci wyłaniają się twarze wszystkich przyjaciół i znajomych. Ich przyjaźń i odwaga budzą zdumienie i podziw, dziewczynę ogarnia głęboka nostalgia za domem, którą czuje nawet w żołądku. Gdyby tylko mogła podziękować i uścisnąć każdego z tych pięknych ludzi, prawdziwych przyjaciół, prawie swoją rodzinę, jedyną, jaka jej jeszcze pozostała. Łzy spływają jej po twarzy.

Na dworze naciera na nie wicher, który pomaga Dalili ostudzić emocje, gdy idą z Ma'azą do Centrum Solidarności.

– Powodzenia, sostro – mówi Ma'aza, krótko obejmując Dalilę. – Zobaczymy się wieczorem?

– Dziękuję – odpowiada Dalila. – Tak. Wieczorem. Może Phil podwiezie mnie do domu. Napiszę ci esemesa.

W środku Dalila wpisuje się do rejestru i drukuje zeskanowany list od przyjaciół. Czekaając, przyjmuje kubek herbaty od Abbiego.

– Dobrze wyglądasz, siostró – mówi, zauważywszy jej bluzkę i marynarkę. – Ale nie masz złotych butów? Co się stało?

Dalila spogląda na pantofle od Ma'azy, które ma na nogach.

– Dziś mam rozmowę, wywiad – wyjaśnia.

– Ach, dobrze wyglądasz. Jak prawniczka z telewizji. Na pewno udzieli ci pozwolenia na pobyt. – Dalila kręci głową, lecz uśmiecha się ciepło do chłopaka.

– A jak ktoś się tak do ciebie uśmiecha, to na pewno da ci swój numer telefonu.

Dziewczyna się śmieje, trochę zawstydzona, i lekko uderza Abbiego w ramię.

Gdy dokumenty się drukują, Phil pochyla się nad biurkiem i pisze coś na klawiaturze. Drukuje kolejny papier, podpisuje go, po czym wręcza Dalili.

– Proszę, dołącz do swoich akt. Powinno pomóc. – Przekazuje jej kartonową teczkę na dokumenty, a potem czyta to, co przygotowała. – To jest dobre, Dalilo. W porządku. Chyba zadziała. – Podaje jej list. Wydrukowano go na papierze firmowym Centrum Solidarności, z logo i adresem. Pismo stwierdza, że Irene Dalila Mwathi to wartościowa członkini organizacji, której zaangażowanie przyniosło wiele korzyści lokalnej społeczności. Glasgow powinno być dumne z faktu, że Irene tu mieszka. Należy jej przyznać pozwolenie na pobyt w Wielkiej Brytanii, ponieważ jej wiedza oraz kompetencje interpersonalne byłyby dla tego miasta cennym nabytkiem.

– Dziękuję – mówi Dalila. – Bardzo ci dziękuję, jesteś dla mnie dobry. – Czuje, że łzy znów napływają jej do oczu, ale Phil reaguje, zanim dziewczyna okaże więcej emocji.

– No dobrze, więc masz już wszystko? Jesteś gotowa? Wygląda, że tak. Jak się czujesz?

Dalila przyciska teczkę do piersi. Mając własny raport, artykuły prasowe na poparcie swych racji, petycję z Kenii oraz list od Centrum Solidarności, a także elegancki strój – czuje się przygotowana.

Zrobiła wszystko, co mogła.

– Jestem gotowa – odpowiada.

Dalila wychodzi z Festival Court Uszy jej płoną, serce uwięzło wysoko w gardle; oddała się od bramy wejściowej, odprowadzana znudzonym spojrzeniem strażnika. Zaczyna biec, wystawiając gorącą twarz na zimny wiatr. W jej głowie hałasują cykady, brzęczą, wydają przeszywające piskliwe tony, wypełniając przestrzeń wewnątrz i wokół niej.

Jakby z oddali, lecz szeptem, powracają do niej pytania urzędników dochodzeniowych.

– Panno Mwathi, sugeruje pani, że za tragedią, jaka przydarzyła się pani rodzinie, stał pani wuj, niejaki Kennedy Mwathi. Czy ma pani jakiś dowód potwierdzający tę teorię? Coś, co łączyłoby go z tymi zabójstwami? Czy ktoś może poprzeć pani twierdzenia?

Znów staje jej przed oczami przystojna twarz panny Colgan. Dalila przypomina sobie uściski dłoni, a także uśmiech na wargach opiekunki jej sprawy. Pamięta ciszę panującą w pokoju, gdy troje przesłuchujących czyta jej raport, inne dokumenty, a także obie petycje. Dokładnie pamięta również moment, w którym panna Colgan odkłada papiery i podnosi wzrok. Jej twarz jest teraz nieprzenikniona.

– Panno Mwathi, skoro podejrzewała pani, że wuj maczał palce w zamordowaniu pani rodziny, dlaczego pojechała pani do jego domu? Dlaczego nie udała się pani od razu na policję?

Dalila zwalnia do szybkiego marszu. Wieża Centrum Nauki wbija się w pociemniałe chmury. Dziewczyna idzie prosto ku niej. Odtwarza w myśli, jak weszła do tamtego pokoju. Tamta trójka już na nią czekała. Twarde plastikowe krzesło. Szorstka wykładzina w brązowe kwadraty.

– Panno Mwathi, w swoim raporcie stwierdza pani, że była fizycznie i seksualnie wykorzystywana przez wuja. A jednak podczas pierwszego wywiadu w Croydon nie wspomniała pani o tym. Dlaczego

zmieniła pani swoją historię?

Widzi go, tego przesłuchującego. Jedna brew uniesiona, długopis stukający o blat biurka, stuk, stuk, stuk. I już wtedy poczuła, że wie. Uczucie to wcale nie mija, pozostaje na jej skórze, w kościach.

– Panno Mwathi, przyjechała pani do Wielkiej Brytanii, aby uciec przed niebezpieczeństwem grożącym jej ze strony wuja, tak? Ale po wylądowaniu na Heathrow nie wystąpiła pani o natychmiastowy azyl. Powiedziała pani nawet, że przyleciała tu na wakacje, w odwiedziny do swojej ciotki, na dwadzieścia dni. To była nieprawda, zgadza się?

Dalila idzie zgarbiona pod uderzeniami wiatru. Na końcu ulicy skręca w lewo, wprost w kolejne podmuchy. Kiedy przechodzi przez park, bzyczenie w jej głowie przekształca się w wirówkę, gonitwę wichru między drzewami. Mija od tyłu budynek BBC i przystaje na moście. Czuje lodowate nadrzeczne powiewy znad Clyde. Ma zimne kolana, zimne palce nóg.

Coś jest inaczej. Nastąpiła jakaś zmiana. Przecież przedstawiła im swój raport. Opowiedziała swoją historię, w całości, niczego nie zataiła, podała każdy wstydlivy szczegół. Ale gdzieś pod tą rozmową, w tle zadawanych pytań i udzielanych odpowiedzi, ukryte za uprzejmym tonem i zapewnieniami, coś staje się coraz wyraźniejsze, a potem nagle ulega zmianie.

– Panno Mwathi, twierdzi pani, że ktoś pomagał jej dostać się do Wielkiej Brytanii. Czy to się zgadza? Czy mogłaby pani podać nam nazwiska i dane kontaktowe osób, które pomagały w załatwianiu wszystkich dokumentów niezbędnych do wjazdu do kraju?

– Panno Mwathi, pomoże sobie pani, jeśli przekaże nam nazwiska ludzi, u których zatrzymała się pani w Londynie, a także ich adres zamieszkania.

– Dlaczego ciągle mnie o to pytacie? Ja nic o tych ludziach nie wiem – mówi głośno, zadziwiając tym samą siebie.

Wiatr smaga wodę. Dalila przechodzi przez betonowy łącznik między BBC i Centrum Nauki, sama, z głową pochyloną przed wichrem. Nadchodzi deszcz, rześisty, pędzony wiatrem. Beton ciemnieje, pojawiają się na nim wielkie kropki. Za daleko do domu, żeby biec; poddaje się wilgoci, akceptuje zimno. Odwraca się i patrzy na deszcz, płaczący nad miastem.

– Panno Mwathi, twierdzi pani, że nie zna ani adresu, ani nazwisk osób, u których mieszkała w Londynie. Czy mamy zatem uwierzyć, że po przyjeździe do obcego kraju dobrowolnie poszła pani przenocować do ludzi, których pani w ogóle nie знаła? A nawet nie wiedziała pani, jak się nazywają?

Dalila idzie dalej, deszcz nie przestaje zacinać. Wełniana czapeczka nasiąka wodą. Krople spływają jej po czole i po twarzy. Wilgoć gromadzi się w kołnierzu kurtki i zmierza ku plecóm. Mokre spodnie przylegają do skóry. Woda sączy się przez cienkie buty i osiada wokół palców.

Nawet pod drzewem mocno pada.

Wszystko jest zimne. Wszystko jest bardzo zimne.

– Panno Mwathi, opisała pani swojego wuja jako człowieka brutalnego i nieprzewidywalnego, który więził panią w swoim dużym domu w Nairobi. Twierdzi pani, że jest on aktywnym członkiem organizacji Mungiki. A jednocześnie zeznaje pani, że jeden z jego oddanych zauszników zlitował się i dostarczył pani dokumenty oraz pieniądze. Ten człowiek pomógł pani uciec, zawiózł ją na lotnisko. Czy mogłaby pani jeszcze raz nam powiedzieć, jak to było możliwe?

– Nie wiem, jak to było możliwe – odpowiada głośno.

Martwe, wilgotne liście drżą na ogrodzeniu. Przed mokrymi domami pełnią straż mokre kubły na śmieci. Dziewczyna przeskakuje przez kałużę obok krawężnika.

Z deszczu wyłania się jej budynek, jego szczyt ginie w szarości. W jednej kieszeni kurtki ściska w rękę klucz do mieszkania, w drugiej telefon. Telefon wibruje.

– Halo? Dalila?

– Tak?

– Tu Phil, z centrum. Tylko sprawdzam, czy wszystko w porządku, ponieważ nie odmeldowałaś się w księżde dziś wieczorem. Więc pomyślałem, że sprawdzę. Wszystko okej?

– Nie wiem.

– Jesteś jeszcze w Festival Court? Zatrzymali cię?

– Nie. Nie, nic mi nie zrobili. Ale chyba poszło źle.

– Twoja rozmowa?

– Tak. Zadawali mi dużo dziwnych pytań. Myślę, że byli rozgniewani, ale nie wiem dlaczego. Ja nawet... Ja powiedziałam im wszystko, ale oni... Wydaje mi się, że nie słuchali.

– Ale jesteś bezpieczna, tak?

– Tak. Prawie dotarłam do domu.

– Te rozmowy są trudne dla wszystkich. Straszne, wiem, ale nie pozwól, żeby cię to załamało.

– Okej.

– Jest ktoś, kogo mogłabyś odwiedzić? Może pogadaj o tym z jakąś przyjaciółką czy kimś takim? Na pewno nie zaszkodzi.

– Mam znajomą, z którą mieszkam. Ma'azę.

– Dobrze. To dobrze. To lepsze niż samotne siedzenie w domu przez całą noc.

Dalila nie wie, co jeszcze powinna powiedzieć, jej milczenie staje się coraz dłuższe.

– Okej, czyli spotkamy się jutro w centrum, tak?

– Tak. Może jutro przyjdę.

– W porządku. Cieszę się, że jesteś bezpieczna.

Dalila się rozłącza.

Mrużąc oczy pod uderzeniami wiatru, patrzy na swój wieżowiec.

Budzi się w środku nocy. Czyżby słyszała, jak Ma'aza wróciła do domu? Nasłuchuje jej kroków. Słucha bardzo długo. Nic. Ma'azy nie ma. Tej nocy nie będzie już więcej spania.

Odrzuca kołdrę i idzie chwiejnie ciemnym korytarzem do kuchni. Nalewa sobie szklanekę wody, wypija ją, wskutek czego całkiem się rozbudza. Oni tutaj są, razem z nią. Cała trójka. Brat i ojciec stoją sobie na balkonie, wpatrzeni w światła miasta i kasztanowe, iluminowane od dołu chmury, unoszące się ponad światem.

Matka też tu jest, siedzi przy stole, spogląda na swoje ręce.

W ciszy Dalila siada i gapi się na kształt własnych dłoni.

Po powrocie do sypialni Dalila wyjmuje z torebki trzy fotografie. Kuca tak nisko, że pachy ma na wysokości rzepek kolanowych, i trzyma zdjęcia przed oczami. Na pierwszym widać ją przy ognisku, razem z mamą. Jest tam młodsza, miesza jedzenie w garnku, w lewej ręce trzyma kawałek kartonu do podsycania płomieni. Dociera do niej zapach kapusty i cebuli. Pamięta dzień, w którym zrobiono tę fotografię. Ojciec zaczynał zarabiać już trochę więcej pieniędzy i właśnie kupił mały, kieszonkowy aparat. Robił zdjęcia wszystkiemu. Matka uważała to za ekstrawagancję i marnotrawstwo, machała do niego ręką, żeby skierował aparat gdzie indziej. Ale potem wymieniała potajemne spojrzenia z Dalilą i próbowała ukryć uśmiech.

Dalila przysuwa zdjęcie bliżej, aby studiować wyraz twarzy mamy. W jej oczach jest miłość, może też odrobina swawolności, ale ramiona ma wychudzone. Sprawia wrażenie wyczerpanej. Przez wiele lat pracowała w fabryce kwiatów, chodziła długimi alejkami między grządkami w foliowych tunelach, pielęła, przygotowywała ziemię, ścinała róże, lilie i goździki, zawijała je. Kwiaty wysyłano potem samolotami do Europy. Tak właśnie poznali się jej rodzice.

Dalila słyszała tę historię wiele razy. Ojciec jeździł ciężarówką, która transportowała kwiaty, i zobaczył mamę u wejścia na teren zakładu. Zsunął szybę w oknie i zapytał: „Jak to możliwe, żeby prawdziwy kwiat opiekował się tymi wszystkimi chwastami?”. To zawsze był jej ulubiony fragment opowieści. Po ślubie rodzice zamieszkali razem na terenie fabryki, gdzie urodził się brat Dalili. Jednak z powodu wszystkich tych chemikaliów, które rozpryskiwano we wnętrzu foliowych tuneli, u mamy pojawiły się problemy z oddychaniem. Dlatego Dalila przyszła na świat jako dziecko małe i słabe. W okresie ciąży doszło do komplikacji, matce powiedziano, że nie będzie już mieć więcej dzieci.

Stąd właśnie wzięło się jej imię. Dalila – to znaczy delikatna.

Historie te opowiadano sobie w kółko. Wszystkie fakty dziewczyna może teraz z łatwością wyrecytować. A jednak patrząc na kruchą kobietę na zdjęciu, zastanawia się, czy rzeczywiście dobrze znała swoją matkę.

Gdy mama spotykała inne kobiety i dzieci, zawsze był w niej jakiś chłód. W sposób uległy i prostolinijny pogodziła się z faktem, że los dał jej tak nieliczne potomstwo, lecz kryła się w niej również niewypowiedziana tęsknota. Milcząca tęsknota, która niepokoiła Dalilę, nawet jako małą dziewczynkę. Pamięta, jak bardzo pilnie uczyła się w szkole, każdego popołudnia przykładła się też do nauki w domu. Wszystkie klasy kończyła jako jedna z najlepszych uczennic. Gotowała, prała, karmiła kury, choć nikt jej tego nie nakazywał, jakby pragnęła zrekompensować matce brak innych córek, jakby przez swą pracowitość, przez podejmowanie obowiązków dwóch dziewcząt chciała udowodnić samej sobie, że jest dwa razy więcej warta.

Dalila kładzie zdjęcie na podłodze i przygląda się następnemu. To jej ojciec jako młody mężczyzna, trzymający na ręku jej brata.

Czy to zdjęcie zrobiła mama? A może wujek? Na twarzy ojca maluje się pełna swoboda. Większość jego fotografii jest przesadnie upozowana. Często występuje tam elegancko ubrany, poważny, pozujący, eksponujący siebie jako

biznesmena, wizerunek żywiciela rodziny. Ale to zdjęcie przedstawia go prawdziwszego, takiego ojca, jakiego Dalila знаła prywatnie. Był pięknym człowiekiem, tak dobrym, że czuje z tego powodu dumę. Jego ręce są silne, widać, że jest zachwycony swoim synem. Brat Dalili, jeszcze osesek, trzyma ramiona w górze, głowę ma odchylną do tyłu, jest całkowicie bezpieczny w objęciach ojca.

Sama pamięta, że ją też tak trzymał.

Dotyka palcem uśmiechu ojca, przerwy między jego zębami. Wszystko wydaje się tak autentyczne, że Dalila też się uśmiecha. Nieomal słyszy śmiech taty, a wówczas zaczyna chichotać i nie może przestać. Chichot wypływa z niej gwałtowną falą. Jest tak zabawnie, cudownie, przejmująco boleśnie, że prawie traci oddech. Przez łzy widzi dziecięcą twarzą swojego brata; on chyba też się śmieje, to śmiech zamrożony, zatrzymany. Ojciec trzyma jedyne synka na ręku, obaj są tacy piękni, tak niesamowicie piękni, że Dalila nie potrafi powstrzymać kolejnych łez.

Smutek, który ją ogarnia, jest nagły i przemożny, wzbiera w piersi, a nawet jeszcze niżej, pozbawia ją powietrza. Nie przestaje łkać, aż czuje się pusta w środku, lecz płacz zalewa ją nieustannie, fala za falą, podmywając wszystkie części jej osoby. W końcu nie zostaje nic, co by się trzymało pionowo.

Dalila budzi się i stwierdza, że leży na wykładzinie. Zasłania oczy przed blaskiem nagiej żarówki. Poczucie niedoli jest w niej tak dojmujące, że nie ma siły nawet zgasić światła. Ściąga z łóżka kołdrę i przykrywa nią głowę.

W ciemnościach odpływa.

Widzi swojego brata. Brat idzie ścieżką w kierunku dworca autobusowego. Kiedy sytuacja zaczęła się pogarszać, on wrócił od razu do domu, natomiast Dalila została na uczelni. Została, ponieważ czekały ją egzaminy, ponieważ to brat był starszy i to on miał obowiązek zatroszczyć się o rodziców.

Ale w tych ciemnościach wszystkie jej tak misternie malowane kłamstwa

tracą wszelki kolor. Zna prawdę, zimną i twardą jak kamień. A prawda jest taka, że nie opuściła uczelni, gdyż chęć zostania najlepszą na roku okazała się ważniejsza niż bycie razem z tymi, których kochała. Dalila została, ponieważ jest próżna i egocentryczna, ponieważ miała nadmiernie rozdmuchane ambicje. Została, bo zdjął ją strach. Bezwartościowa córka. Co za hańba. Skaza na rodzinnej historii.

Płacze za mamą, ze pełnym godności ojcem, za dzielnym bratem. Łzy wychodzą z jej wnętrza, obmywają ją, na chwilę ustają, po czym znów płyną strugą.

Najbardziej ze wszystkiego Dalila pragnie wrócić do Kenii, poczuć słońce na ramionach, stanąć nad grobami swojej rodziny i przeprosić.

Z głębin snu wrywa ją odgłos otwieranego kluczem zamka. Drzwi wejściowe się zamykają, łańcuch zostaje wsunięty na swoje miejsce. Dalila uświadamia sobie, że Ma'aza jest już w mieszkaniu. Jej myśli są tak wyraźnie, jakby wypowiadała je na głos.

Z przedpokoju sączy się słaby szept z telewizora. Dalila próbuje poruszyć swoje ciało, ale jest ono ociężałe, jakby należało do kogoś innego, jakby wszystkie kończyny miała związane. Wydaje jej się, że Ma'aza weszła do pokoju i patrzyła na nią, jednak nie ufa temu wspomnieniu. To chyba bardziej myślenie życzeniowe. Lecz kiedy ściąga kołdrę z twarzy, zauważa, że światło jest zgaszone. Podnosi się na łóżko i chowa pod pościelą. Skulona na poduszce, zaczyna opadać.

Śni, że stoi w jakimś domu i patrzy przez okno. Słońce zachodzi pomarańczowo. Na równinie rysuje się sylwetka wielkiego, pozbawionego liści drzewa. Siedzi na nim pies. Ma sterczące pionowo uszy, obserwuje dom. Wyżej na drzewie tkwi hiena, przygarbiona, potężna, zaczajona na psa. Pies zauważa hienę, a gdy ta rzuca się w pościg, skacze z jednej gałęzi na drugą. Dalila mówi do ludzi w domu, do swojej rodziny: „Patrzcie. Wydaje mi się, że pies za chwilę spadnie”.

I pies spada, skomląc, gdy uderza o konary. Hiena także traci równowagę. Oba zwierzęta lądują boleśnie na ziemi. Hiena kłapie paszczą i chybia o włos, ponieważ pies zdążył już wstać. Zdesperowany i okulały, ucieka w kierunku domu, szukając w nim schronienia przed hieną.

Dalila stoi w oknie i obserwuje, jak się zbliżają.

„Zamknij drzwi – krzyczy do matki. – Zamknij drzwi”. Ale z jej gardła nie wychodzi żaden dźwięk.

Rozlega się jakiś głos, lecz Dalila nie umie rozróżnić słów. Czuje tylko czyjaś

obecność.

Ma'aza ściąga kołdrę z jej twarzy. Rozsuwa zasłony, pozwalając, aby do pokoju dostało się ostre światło.

– Chodź – mówi. – Wstawaj.

Dalila zasłania oczy przedramieniem.

– Spałaś i płakałaś przez dwa dni – mówi Ma'aza. – Wystarczy. Wszyscy tak mają, kiedy przyjeżdżają do Wielkiej Brytanii. Koniec tego płaczu.

Dalila odsuwa się od niej.

– Idę nalać wody do wanny – informuje Ma'aza i wychodzi z pokoju.

Na dworze wyje silny wiatr. Tłucze w okno.

Do wanny zaczyna spływać woda. Dalila zakrywa twarz rękoma. Wciąż czuje ogromny, dotkliwy smutek, lecz nie ma już więcej łez.

Wraca Ma'aza. Siada na łóżku i mówi:

– Chodź, Dalila.

– Chcę spać.

– Znam to uczucie – oświadcza Ma'aza. – Żeby spać, spać i się nie obudzić.

A potem siedzi się cały dzień i czeka nie wiadomo na co. To wegetacja, nie życie godne człowieka. – Bierze Dalilę za nadgarstek i odrywa jej rękę od twarzy. – Pośpisz sobie później. Teraz musisz iść.

Zbyt zmęczona, by się opierać, Dalila pozwala się wyciągnąć z łóżka, postawić na nogi i zaprowadzić do łazienki.

Kłębi się tam gęsta para. Z kranu bucha gorąca woda, natomiast kurek z zimną wypluwa tylko kropelki. Ma'aza pociąga za sznurek zasysacza, który budzi się z warkotem do życia, a potem odkręca kran z zimną wodą.

Kiedy wszystko jest już gotowe, wydaje polecenie:

– Wskakuj. – I zamyka drzwi do łazienki.

Dalila gapi się na parę unoszącą się znad wody. Czuje się słaba i rozdarta.

Ucisk w piersi sprawia, że ogarniają ją mdłości. Wyczuwa go wyraźnie, ręką, o tu, ponad żołądkiem, poniżej żeber, w samym środku jej ciała, jakby jakiś węzeł albo kulę, której nie jest w stanie rozmasować.

Wie, że matka jest w tym pomieszczeniu, wyczuwa jej obecność. Ojciec też, siedzi wyprostowany na zamkniętej pokrywie sedesu i czeka. Chcą porozmawiać, a ona wie, że pragną ją również zapytać: „Dlaczego nie byłeś na pogrzebie? Dlaczego się nie pożegnałeś? Dlaczego tego nie zrobiłeś?”. Czekają, aż coś odpowie. Gdy wyobraża sobie brata, znowu wzbierają w niej łzy. Czasy, kiedy oboje byli mali – na schodkach za domem rozkładali karty z obrazkami awerssem w dół, po czym odwracali je jednocześnie, żeby zobaczyć, czy odkryli takie same, czy inne. Brat zawsze wygrywał, ponieważ był starszy. Pamięta jednak, że nienawidziła go wtedy za to; a teraz nienawiść może czuć tylko do siebie.

Oddycha głęboko, próbując napęłnić płuca powietrzem, pozbyć się tego fatalnego wrażenia w okolicach żeber. Ściera skroploną parę z lustra. Zdaje sobie sprawę, że powinna się trochę uspokoić, może nawet wybrać później na jakiś spacer. Lecz przypomina jej się Markus, który stoi przy jej łóżku i patrzy na nią. Markus. Możliwe, że gdzieś tu teraz jest, czeka pod blokiem. Może nawet pod drzwiami jej mieszkania. Jeśli wyjdzie, on dorwie ją w każdej chwili. Nie pozwoli mu na to. Nie dopuści, żeby sytuacja się powtórzyła. Nikt jej nie zgwałci, ani Markus, ani wujek Kennedy, ani MSW. Tylko ten wyraz twarzy panny Colgan. Dalila nie może się go pozbyć ze swoich myśli. W trakcie całej rozmowy oczy kobiety niosły to samo spojrzenie. Jej spojrzenie mówiło: „Kłamiesz. Jesteś kłamczuchą. Okłamałaś nas, okłamujesz samą siebie, skoro sądzisz, że pozwolimy ci zostać. Sama się w to wpakowałaś. To, co ci się przydarzyło, to twoja wina. Tylko do siebie powinnaś mieć pretensje”.

Im więcej myśli o wyrazie twarzy panny Colgan, tym mocniej zaciska się ów węzeł ponad żołądkiem. Jakby wszystkie narządy wewnętrzne, wszystkie kości, były połączone strunami, a struny te prowadziły do węzła w piersi. Kiedy węzeł

się obraca, pociąga za sobą każdy fragment jej ciała.

„To twoja wina” – szepcze do siebie.

Dlaczego wujek nie pozwolił jej pojechać na pogrzeb? Nawet o nim nie wspomniał. Czemu? O co mu chodziło? Po co ich zabijał? Przecież to była jego rodzina. Jedyna rodzina. I jeszcze to, co zrobił jej. W imię czego?

„To nie fair – mówi sama do siebie. – Dlaczego? Ja nie...”

Gniew, który ją zdejmuję, jest tak gorący, tak srogi, że ma ochotę wyć. Nawrzeszczyć prosto w ich twarze. Panny Colgan. Markusa. A jeśli zobaczy jeszcze kiedyś wujka, złapie go za uszy i będzie krzyczeć mu w tę tłustą, ohydłą gębę, aż rozboli ją gardło, aż zaczną krwawić.

Przykłada dłonie do oczu, ścisną głowę najsilniej, jak potrafi. Kula w trzewiach się obraca, każąc jej ciału spać się jeszcze bardziej. W tym naprężonym mroku jest tylko miejsce na obrzydzenie. Nienawidzi się za to, że została wykorzystana. Że była słaba. Że jest taką skończoną idiotką. I proszę, jakie są skutki: jest zużyta i złamana. Jak jakiś śmieć, okropny, odrażający, nieprzydatny do niczego. Tyle z niej zostało. Powinno się ją wyrzucić, pozbyć się jej.

Widzi matkę, ojca i brata, którzy na nią patrzą. Beznamiętne oblicza, bez zmrużenia powiek. Panna Colgan unosi brwi i spogląda na Dalilę. Markus stoi nad jej łóżkiem, gapiąc się, jest także Mama Anne. A potem zbliżenie twarzy wujka Kennedy’ego. Jego otwartych ust, czarnych i pozbawionych głębi oczu.

Dalila otwiera powieki, żeby twarze zniknęły, lecz oni ciągle patrzą. Wszystko zaciska się jeszcze mocniej, napina do ostatnich granic.

Wanna jest prawie pełna. Przez zasłonę pary i łez dziewczyna sięga ręką do kranu z gorącą wodą, chcąc go zakręcić, i dotyka parzącego strumienia. Wszystkie postacie potrząsają głowami. „Bezużyteczna, żalosna. Masz to, na co zasłużyłaś”. Jej ciało zwija się w sobie, sztywne i napięte bardziej niż kiedykolwiek, po prostu brzydkie – powykręcane szczątki kogoś, kim kiedyś

była. Przyciska wewnątrz nadgarstka do piekącego metalowego kranu i naciska na niego drugą ręką. Przenika ją ból, pcha jednak dalej, dopóki twarze nie zaczynają znikać, dopóki wszyscy w jej głowie nie będą zatarci, dopóki lęk i gniew nie zmienia się w jeden maleńki punkt wstrząsającego bólu. Węzeł w piersi się poluznia, jest uwolniona, bezwładna, wyczerpana.

Różowy znak na przegubie natychmiast zmienia się w pęcherz, lecz Dalila znów może oddychać.

Ma'aza puka do drzwi.

– Dali, wszystko w porządku? – woła. – Dali?

– Ja... Tak, wszystko gra – odpowiada Dalila, starając się z całych sił, aby jej głos zabrzmiał pewnie.

Rozbiera się, odkręca na chwilę kran z zimną wodą, po czym wchodzi do wanny. Woda jest jeszcze za gorąca. Stoi w wannie i czuje pieczenie w palcach nóg, które przystosowują się do temperatury.

Powoli siada, trzymając oparzony nadgarstek z dala od gorącej wody; ręka ciągle drży od szoku. Zanurza się coraz bardziej, aż po samą brodę. Woda się uspokaja. Jej powierzchnia staje się równa i płaska jak szkło, odbijając światło żarówki pod sufitem, a jednocześnie skrywa Dalilę, która zamyka oczy i zatapia się w swoim ciele.

Mimo bezruchu dziewczyny, woda się kołysze. Dalilę przeszywa kolejny dreszcz niepokoju, kiedy wiatr uderza o wieżowiec, a woda w wannie zalewa jej podbródek.

Wykapana i ubrana Dalila siada na swoim łóżku i naciąga kołdrę na ramiona. Ma'aza puka do drzwi, wchodzi.

– Czujesz się lepiej? – pyta.

Dalila spuszcza głowę.

Ma'aza kładzie na łóżku talerz. Są na nim dwie grzanki z plasterkami

awokado. Wyciąga w stronę Dalili kubek z herbatą.

– Nie, dziękuję.

– Nie jadłaś i nie piłaś od dwóch dni.

– Nie jestem głodna.

Ma'aza siada obok niej na łóżku.

– Znam ten smutek – mówi. – Ja też płakałam wiele dni. I bardzo schudłam, za bardzo. Ale nie wolno marnować tyle czasu na żal. Czy to przywróci nam zmarłych? Przekreśli twoje problemy? Czas, żebyś znów była silna. Herbata jest ciepła i słodka, moja mała cukrowa siostrzyczko. Wypij ją.

Dalila uśmiecha się słabo i bierze kubek.

– Wiem, że rozmowa źle ci poszła – oznajmia Ma'aza.

– Kto ci powiedział?

Etiopka kręci głową i uśmiecha się smutno.

– Każdemu idzie źle. Oni tak zawsze robią.

– Odeślą mnie?

– Prawdopodobnie tak. Bardzo wiele osób deportują. Kto wie, co się stanie?

Ale teraz musisz po prostu czekać.

– Jak długo?

– Nie wiadomo – odpowiada Ma'aza. – Niektórzy czekają miesiące, inni lata.

Nikt nie wie, ile czasu będzie czekać, a właśnie czekanie jest najgorsze. Czekanie może cię zabić, zanim jeszcze MSW cię stąd odeśle.

– Może... ja zasługuję, żeby mnie deportowali – szepcze Dalila.

Ma'aza przysuwa się bliżej.

– Ciii, nie mów w ten sposób.

Dolna warga Dalili zaczyna drżeć.

– Ty nie wiesz... co ja zrobiłam – wyznaje szeptem. – Jak głupia i... samolubna byłam.

– Mylisz się, Dalilo.

Dalila z trudem przętyka ślinę, próbuje wziąć się w garść.

– Moja mama – mówi. – Moja mama twierdziła, że Bóg widzi wszystko. Nawet to, co jest w głębi naszego serca. Kiedy się urodziłam, byłam bardzo mała i moja matka czuła w sercu gniew. Z tego powodu uważała potem, że Bóg nie dał jej więcej dzieci. Zawsze mi powtarzała, że nic się nie dzieje bez powodu.

– Moja matka też tak sądziła. Zaszczepiła to przekonanie wszystkim swoim dzieciom. – Ma'aza przeciąga palcem przez środek czoła, wzdłuż małej blizny w kształcie krzyża. – Powiadała, że zostaliśmy oddani Bogu, że on nas chroni i otacza miłością, ale to nieprawda.

Dalila opuszcza kubek i ociera oczy palcem. Ma'aza przekłada talerz z grzankami na szafkę i siada na łożku po turecku.

– W Etiopii spędziłam pięć miesięcy w obozie dla uchodźców – zaczyna swoją opowieść. – Ludzie byli głodni. Wszyscy przeżyli wielki smutek. Obóz prowadziła pewna organizacja pozarządowa. Czasem pojawiali się wolontariusze do pomocy. Niektórzy z nich, biali, powtarzali nam w kółko: „Nie martwcie się, nic nie dzieje się bez powodu. Bóg wam dopomoże. Wszystko to wielki Boży plan”.

Pewnego dnia pasterze kóz przynieśli do namiotu medycznego somalijską dziewczynę. Znaleźli ją, jak leżała na drodze. Niektóre kobiety w obozie znały somalijski. Rozmawiały delikatnie z tą dziewczyną i dowiedziały się, w jaki sposób tu trafiła.

Jej wieś napadli bojownicy. Chodziło im o zapasy żywności, a także o wodę. Zabrali kozę ojca dziewczyny i wrzucili do dżipa. Kiedy protestował, zastrzelili go. Dziewczyna krzyknęła i podbiegła do ciała ojca. Żołnierze podnieśli ją i uprowadzili ze sobą. Trzymali ją trzy tygodnie, stale przenosili się z miejsca na miejsce, jeździli tu i tam. Kiedy się zatrzymywali, przywiązywali ją do drzewa albo do samochodu. Gwałcono ją dzień i noc. Kolbą karabinu wybili jej zęby

i używali również jej ust. Dręczyli ją dla zabawy. Czasem udostępniali innym żołnierzom na jedną noc w zamian za zapasowe koło.

– Dzisiaj nie chcę słuchać takich historii – protestuje szeptem Dalila.

– Żołnierze nie dawali jej nic do jedzenia – ciągnie Ma’aza. – Pozostawili ją przy drodze, bo myśleli, że dziewczyna umarła. Ale ona żyła. W obozie próbowano ją leczyć, jednak rany okazały się zbyt poważne. Nie trzymała moczu ani stolca, nie mogła chodzić. Miała czternaście lat.

Wiatr znów łomocze o budynek. Pokój się chwieje. Ma’aza bierze głęboki oddech i kontynuuje:

– Siedziałam przy tej dziewczynce każdej nocy. Nie mówiła po amharsku, ja nie znam somalijskiego, ale czasem trzeba mieć kogoś blisko, niekoniecznie do rozmowy. Nie chciała jeść. Nie lubiła, kiedy jej dotykałam. Więc tylko z nią siedziałam, w ciemnościach. W tym namiocie było tyle smutku. Myślałam sobie: jakich to złych czynów dopuściła się ta dziewczyna, żeby spotkało ją coś tak strasznego? Ale nie mogłam niczego takiego sobie wyobrazić. A czasem, w niektóre noce, wydawało mi się, że może Bóg pozwolił, aby tak się stało. Księża mówią, że z drobnych złych uczynków dowiadujemy się drobnych prawd, a kiedy Bóg dopuszcza wielkie zło, wtedy możemy poznać prawdy najgłębsze. I pomyślałam: może ta dziewczyna to część wielkiego Bożego planu. Każdy, kto pozna jej los, zrozumie też jakąś głębszą prawdę.

Ma’aza okręca się na łóżku tak, żeby się odwrócić twarzą do Dalili, i mówi dalej:

– Właśnie w tym okresie zaczynał rosnać we mnie straszny gniew. Jaką to ważną lekcję da się usprawiedliwić cierpieniem tego dziecka? Czyżby Bóg chciał mi powiedzieć: dam ci poznać moją mądrość, ale tylko poprzez cierpienie pewnej dziewczynki? I wiesz co? Wolałabym nie poznać tej mądrości, wolałabym, żeby to dziecko było bezpieczne. Za każdym razem dokonałabym takiego wyboru. Niech Bóg zachowa swój wielki, szefowski plan dla siebie.

Ma'aza wstaje, nie może już usiedzieć.

– W każdym razie następnego dnia dziewczyna umarła. Większość ludzi w obozie nie słyszała o jej historii. Nikt się niczego nie nauczył. Była maltretowana i zmarła na darmo. Tamtego dnia zrozumiałam, że Bóg to krętacz. Prosi nas o wiarę, że jest wspaniały i ma plan na wszystko, ale taki plan nie istnieje. Nie ma żadnych głębszych przyczyn. Nie ma nic. – Podnosi talerz z grzankami i awokado i dodaje: – Wszystko dzieje się bez powodu, Dalilo. – Podaje jedzenie Dalili. – Musisz jeść.

– Nie mam ochoty.

– Dobrze ci zrobi, siostrze. Powinnaś jeść.

– Po co?

– Żeby być silniejsza.

– Po co?

– Żebyś mogła dalej żyć.

Dziś rano wychodzę – obwieszcza Ma’aza, wyłoniwszy się z łazienki. Włosy ma zaczesane do tyłu i spięte w ciasny kok. Dalila zauważa, że włożyła stare dzinsy i buty do pieszych wędrowek.

– Dokąd się wybierasz?

– Wychodzę – powtarza. – Ty też musisz wyjść.

– Ja dziś zostanę tutaj – oświadcza Dalila. – Na dworze jest za zimno.

– Nie – oponuje Ma’aza. – Będziesz walczyć. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że to jest załamujące miejsce? Chcą, żebyś siedziała w domu, samotna. Musisz to zwalczyć, nie kamieniami, ale własnym postępowaniem. Wyjdiesz, ponieważ oni chcą, żebyś została. Będziesz chodzić, bo oni chcą, żebyś była słaba. Będziesz rozmawiać z ludźmi, ponieważ oni chcą, żebyś była samotna. Jeśli masz zamiar tu przetrwać, musisz się ruszyć. – Wyciąga z tylnej kieszeni ulotkę i podaje ją Dalili. – Kiedy przyjechałam do Glasgow, poszłam do tego miejsca. Jest dobre. Bywa tam wiele osób, dają darmowy lunch.

Dalila czyta ulotkę i podnosi wzrok na współlokatorkę.

– Zajęcia z angielskiego? Dla mnie?

– To zajęcia z konwersacji, nie tylko sama nauka – odpowiada Ma’aza. – Tam są fajni ludzie.

Dalila odpycha papier.

– Na nic mi się nie przyda.

– Przecież nie możesz tu tylko czekać, bo zwariujesz, wierz mi – przekonuje Ma’aza. – Musisz wyjść z domu. Wykorzystaj ten czas. – Popycha ulotkę z powrotem ku Dalili. – Chodź. Ubieraj się. Zajęcia zaczynają się za godzinę. Idziemy, idziemy.

Dalila wciska brzęczyk na futrynie drzwi budynku YWCA¹⁰. Zagląda przez matową szybkę i widzi jakąś kobietę o szerokich biodrach, która drepcze

w kierunku wejścia.

- Siemka. Czym mogę służyć?
- Przyszłam na zajęcia konwersacyjne w języku angielskim.
- Właż do środka. Zwią mnie Gemma.
- Irene – przedstawia się Dalila i potrząsa ręką kobiety.

Wewnątrz panuje ciepła duchota. Czuć zakurzonymi dywanami i jedzeniem dla dzieci. Tapeta w niebiesko-białe pasy sięga do starego żyrandola. Gemma wsuwa się za małą ladę recepcyjną u stóp spiralnych schodów. Na ścianach wiszą plakaty, w większości zdjęcia kobiet – kobiet szczęśliwych, kobiet w sińcach, kobiet stojących w cieniu. Słowa spadają lawiną. „Pomoc dla kobiet”. „Grupa wsparcia matki z dzieckiem”. „Informacje z azylu dla kobiet”. „Wstęp do jogi”. „Przemoc domowa to przestępstwo”. „Sprawiedliwy handel”.

Dalila patrzy za siebie na drzwi i wyobraża sobie, że zwyczajnie stąd wychodzi. Opuszcza to miejsce. Wcale nie potrzebuje zajęć z angielskiego.

Gemma przesuwa ku niej rejestr i prosi, aby się wpisała.

– I pamiętaj, żeby się wymeldować przy wyjściu. Zajęcia odbywają się na piętrze, pierwsza sala po lewej. Zobaczysz inne osoby, które czekają pod drzwiami.

Drewniane schody skrzypią pod stopami Dalili. Wytarta poręcz jest gładka od dotyku miliona palców. U szczytu schodów stoi pięć kobiet. Dalila dołącza do nich. Czekają w milczeniu. Jedna z nich, ubrana całkowicie na czarno, z czarną chustą na głowie, trzyma w ramionach małego chłopca. Malec jest zaabsorbowany różową karteczką samoprzylepną, która przyłgnęła do jego paluszków.

Ulotki, dziecięce rysunki, numery taksówek i odręcznie pisane notki zdobią wielką korkową tablicę. Na ścianie widać kolejne plakaty. „Linia kryzysowa dla ofiar gwałtu”. „Czwartkowe zajęcia z gotowania”. „Kursy dla liderek Aktywne Dziewczeta”. „Kampania na rzecz pozytywnego wizerunku ciała”. Płaskie oczy

modelek na plakatach wpatrują się prosto w obiektyw aparatu, prosto w Dalilę.

Drzwi się otwierają. Wylewa się z nich dwadzieścia kilka kobiet, które rozmawiają z ożywieniem, wsuwając ramiona w rękawy płaszców, niosąc torebki, siatki z zakupami oraz parasolki. Fala ludzi spycha Dalilę pod ścianę; kobiety przemykają obok niej, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi.

W klasie jest trochę chłodniej. Duże przesuwne okna pozwalają, żeby ciepło z kaloryferów ulatniało się na zewnątrz. Pośrodku stoją cztery złożone stoliki, w otoczeniu plastikowych czarnych krzeseł. W rogu widać dwie wieżyczki krzesełek, ustawionych jedno na drugim. Dalila zauważa tablicę demonstracyjną opartą o ścianę, gaśnicę, farbę łuszczącą się z narożnika sufitu.

Kobiety siadają za stolikami. Żadna nie zdejmuje płaszcza. Ta cała w czerni zajmuje miejsce, kładąc sobie synka na kolanach, i zaczyna wyciągać z torby papier i kredki. Dziecko łapie kredki i natychmiast próbuje wsunąć je sobie do ust. Obok kobiety siedzą dwie chichoczące dziewczyny w wielobarwnych chustach. Cała trójka sprawia wrażenie, że przyszła tu razem. Swoboda w zachowaniu dziewcząt, zapewne podświadoma, sprawia, że Dalila uznaje kobietę w czerni za kogoś w rodzaju ich opiekunki, może przyzwoitki. U szczytu stołu tkwi starsza pani z misternie stylizowanymi brązowymi włosami. Kobieta wyglądająca na Chinkę otwiera elektroniczny słownik wielkości dłoni i palcem wskazującym zaczyna stukać w klawisze. Może to Japonka albo Koreanka, Dalila nie jest pewna. W swoim życiu spotkała tylko dwie osoby z Dalekiego Wschodu.

Dalila siada blisko drzwi. Jedyne dźwięki, jakie słychać w sali, to chrzęst papieru w rękach dziecka, stukot klawiszy elektronicznego słownika oraz szum ruchu ulicznego na zewnątrz. Dziewczyna nie podnosi wzroku.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi jakaś kobieta, która wpada do pomieszczenia, obciążona torebką, butelką wody oraz naręczem segregatorów. Idzie do krawędzi stołu i ustawia tablicę demonstracyjną. Dalila domyśla się, że to nauczycielka.

Do sali wchodzi też Afrykanka.

– Dzień dobry, Constance – odzywa się nauczycielka. – Czy mogłabyś zamknąć drzwi?

Constance wykonuje polecenie i siada obok Dalili.

– Cóż – mówi nauczycielka, rozpinając płaszcz – cudownie znów was widzieć. I zdaje się, że mamy dzisiaj nową twarz. Jak ci na imię?

– Irene.

– Cóż, Irene, cudownie, że tu jesteś. Jestem pewna, że zostaniesz mile przyjęta. Wszystkie traktujemy się tutaj życzliwie.

Cała klasa gapi się na Dalilę. Brązowowłosa kobieta kiwa jej głową.

– Brałaś kiedyś udział w takich zajęciach z języka anielskiego? – pyta nauczycielka.

– Nie. Ale uczyłam się w moim kraju.

– Skąd jesteś?

– Z Kenii.

– Więc gdzie się uczyłaś angielskiego?

– W szkole. Od dziadków. W Kenii wszyscy znają angielski.

– Naprawdę? To znaczy, no tak, oczywiście. – Nauczycielka się rumieni. – W takim razie dlaczego postanowiłaś do nas dołączyć?

Dalila się waha. Szczera odpowiedź naraziłaby ją na wstyd. Wie, dlaczego się tu znalazła. Właśnie z tego powodu w ogóle wstała dziś rano. Wyszła wcześniej, kroczyła przez całą dzielnicę, co chwila oglądając się za siebie, w razie gdyby Markus ją śledził. Jednocześnie przerzucała kartki informatora „Glasgow od A do Z” w poszukiwaniu siedziby YWCA. Przyszła tutaj, bo nie może spać, bo walczy ze sobą, żeby wstać z łóżka, ponieważ nie czuje głodu, bo ciągle płyną jej łzy, bo wczoraj po południu nagle przestała zmywać naczynia, powoli usiadła na linoleum podłogi i została tam do zachodu słońca. Tak wygląda jej życie, ale nie

może się zmusić, by o tym powiedzieć.

– Przyszłam... dla konwersacji.

– Okej. Cudownie. Znakomicie. Wszystkie tu po to jesteśmy – stwierdza nauczycielka, zacierając ręce. Nerwowo zakłada włosy za ucho. – No cóż, może zaczniemy od maleńkiej rozgrzewki? Odwróćcie się do osoby obok i przez pięć minut zadawajcie sobie pytania, zaczynające się od: kto, co, jaki, kiedy, gdzie, dlaczego, aby się lepiej poznać.

Trzy muzułmańskie kobiety skupiają się razem i zaczynają debatować, która z nich ma mówić pierwsza. Azjatka przysuwa się z krzesłem bliżej pani o brązowych włosach. Constance, zamiast się obrócić na siedzeniu, opada gwałtownie na stół i podpira głowę jedną ręką. Wzdycha i pyta:

– Jak ci na imię?

– Irene.

– Gdzie mieszkasz?

– Przy Ibrox Holm Oval dwadzieścia pięć, mieszkania siedemnaście, Glasgow.

– Jaki jest twój ulubiony kolor?

– Hm, niebieski?

– Kiedy się urodziłaś?

– Dwudziestego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego.

– Skąd ty jest?

Dalila czuje, że coś jej rośnie w gardle. Zawsze ta sama lista pytań. Ludzie od kwaterunku, pracownicy MSW, właściciele hosteli – wszyscy żądają tego samego spisu danych. Im częściej odpowiada na te pytania, tym bardziej czuje, jak prawda wymyka jej się z rąk. Gdzie bowiem mieszka? Sypia pod określonym adresem, ale czy rzeczywiście tam mieszka? Jak naprawdę ma na imię? Dlaczego data urodzenia jest aż tak ważna?

– Skąd ty jest? – powtarza Constance.

– Skąd jesteś – poprawia ją Dalila.

– Nie. Ja pytam pierwsza.

– Okej, ale mówi się: skąd jesteś.

Constance siada prosto.

– Tak powiedziałam, skąd jesteś?

Dalila krzyżuje ramiona. Rozmowa na ten temat jest zbyt przygnębiająca.

– Pochodzę z Kenii – odpowiada.

– Ile masz dzieci?

– Nie mam.

– Jesteś mężatką?

Dalila gapi się przez okno na ostatnie liście na gałęzi walczącej z lodowatym wiatrem. Kieruje wzrok na rozmówczynię.

– Nie, nie jestem mężatką.

Nauczycielka klaszcze w dłonie.

– No dobrze, drogie panie. Kiedy jedna osoba skończy już zadawać pytania, proszę pamiętać, aby się zamienić i pozwolić partnerce na to samo. W ten sposób wszystkie mamy okazję poćwiczyć.

– Okej, pytaj mnie – mówi Constance.

– Myślałam, że to zajęcia z konwersacji.

– Jak zapytasz, jest konwersacja.

– Świetnie. – Dalila się poddaje. – Jesteś mężatką?

– Tak.

– Mąż mieszka z tobą?

– Nie, on zostaje w Kongo.

– Macie dzieci?

– Tak. Cztery. Trzech chłopców i jedną córkę.

– Gdzie są?

– Starsze chłopcy som z ojcem w Kongo. Ta trzeci ma cztery i pół roku, a moja dziewczyna ma dwa lata. Som na dole w żłobku.

W umyśle Dalili pojawia się pięćdziesiąt pytań – wszystkie domagają się, by je zadano.

Constance kontynuuje:

– Mój mąż mówić, że niedługo przyjedzie. Problem to pieniądze. Ale on przyjedzie, może w przyszłym roku.

Nauczycielka znów klaszcze w dłonie.

– No dobrze, drogie panie, mogę prosić o uwagę? Cóż, to była miła rozgrzewka. Teraz proszę, żebyście spojrzwały na tablicę, powtórzmy sobie wiadomości z gramatyki. Czy ktoś pamięta, co omawialiśmy w zeszłym tygodniu?

Brazowowłosa pani podnosi rękę, jednocześnie zerkając w notatki.

– Czas Present Continuous – mówi.

– Bardzo dobrze. – Nauczycielka jest zadowolona. – Zgadza się. Od kilku tygodni zapoznajemy się właśnie z czasem teraźniejszym ciągłym. Dowiedziałyśmy się, jak tworzyć zdania twierdzące i przeczące, a także jak zadawać pytania. Czy ktoś potrafi mi podać przykład zdania twierdzącego w czasie Present Continuous?

Jedna z muzułmańskich dziewcząt podnosi rękę.

– Tak, Aiesho? – mówi nauczycielka.

*The baby is eating the paper*¹¹ – rzuca Aiesha. Obie dziewczyny wybuchają cichym śmiechem. Pozostałe kobiety uśmiechają się, słysząc to zdanie.

– Doskonale. – Nauczycielka wtóruje im. Pisze zdanie na tablicy i znów odwraca się do klasy. – Który wyraz to czasownik, Aiesho?

– *Eating*.

– Dobrze. A posiłkowy?

– Hm... *is*?

– Bardzo dobrze. Wiemy już, że aby utworzyć zdanie w czasie teraźniejszym ciągłym, trzeba użyć czasownika posiłkowego, natomiast do czasownika głównego dodać końcówkę „ing”. Dziś nauczymy się, kiedy używać tego czasu – mówi nauczycielka. Rysuje na tablicy diagram.

[PRZESZŁOŚĆ] — [TERAZ] — [PRZYSZŁOŚĆ]

Wskazuje diagram i tłumaczy:

– Czasu Present Continuous używamy, kiedy chcemy powiedzieć, że coś dzieje się teraz, w tym momencie. Możemy na przykład stwierdzić: *I am breathing*¹². Albo inne zdanie: *I am sitting*¹³. Czas ten stosujemy również do opisu sytuacji tymczasowych. Mówimy na przykład tak: *I am reading a book*¹⁴. Co nie znaczy, że ów ktoś czyta książkę dokładnie w chwili, kiedy wypowiada to zdanie, ale chodzi mu o ten krótki okres w przeszłości, kiedy zaczął czytać książkę i zakłada, że niedługo ją skończy. Rozumiecie?

Dalila odnosi wrażenie, że kobieta mówi za szybko i w sposób zbyt fachowy jak na ten poziom angielskiego, wszyscy jednak ochoczo kiwają głowami, gotowi pokazać, że nadążają za jej wywodem.

Nauczycielka kontynuuje:

– Czyli mamy sytuacje tymczasowe. Czas teraźniejszy ciągły opisuje czynności, które jeszcze trwają. Tworzymy w nim zarówno zdania twierdzące, jak i przeczące.

Dalila gapi się na słówko TERAZ, wzięte w nawias przez dwie równoległe linie. Odcięte od przeszłości i od przyszłości. Zamknięte w sobie.

– Kto może podać mi jakiś przykład zdania w czasie Present Continuous? – pyta nauczycielka. – Jest ktoś?

W umyśle Dalili rozbłyskują zdania dotyczące sytuacji tymczasowej, ciągle trwającej.

„Dalila mieszka w Glasgow”.

„Dalila czeka na decyzję MSW”.

„Dalila spędza dni samotnie”.

– Może ty? – zwraca się nauczycielka do brązowowłosej kobiety. –
Przychodzi ci do głowy jakieś zdanie?

Zapytana namyśla się, po czym odpowiada:

– *I am enjoying this class*¹⁵.

– Bardzo dobrze. Świetna robota. Ktoś jeszcze? A może zdanie przeczące?

„Dalila nie jada tak, jak należy”.

„Dalila nie sypia”.

Kobieta w czerni mówi:

– *I am not standing up*¹⁶.

– Znakomicie – oświadcza nauczycielka. – Więcej przykładów?

„Dalila próbuje się nie poddawać”.

„Dalila dzisiaj nie płacze”.

– Ja codziennie mówię po angielsku – odzywa się Constance.

– Okej, zamiar był dobry. – Nauczycielka się uśmiecha. – Ale lepiej powiedz tylko: *I am speaking English*¹⁷.

– No, tak powiedziałam. *I... am... speaking... English.*

– Dobrze – kwituje nauczycielka. – Inne przykłady?

„Dalila tonie”.

– No cóż, może utworzymy dwie grupy i opowiemy sobie o tym, co planujemy zrobić przez pozostałą część dzisiejszego dnia. To idealny sposób na ćwiczenia z Present Continuous. Zwłaszcza jeśli chodzi o plany na najbliższą przyszłość. Na przykład: ponieważ mam już bilety do teatru na wieczór, mogę

powiedzieć tak: *I am meeting my friends at five pm*¹⁸. *We are having a few drinks because we are celebrating my sister's birthday. Then we are watching the show*¹⁹. Widzicie, jak to działa? Może spróbujcie same.

Gdy kobiety formują dwie osobne grupy, Dalila podnosi rękę.

– Przepraszam – zwraca się do nauczycielki. – Gdzie jest toaleta?

– Na parterze, po lewej – odpowiada zapytana.

Dziewczyna wstaje, zawiesza sobie torbę na ramieniu i wychodzi.

¹⁰ Young Women's Christian Organisation (YWCA) – organizacja założona w Wielkiej Brytanii, zrzeszająca kobiety i promująca ich działalność na różnych polach (przyp. tłum.).

¹¹ Dziecko je papier.

¹² Oddycham.

¹³ Siedzę.

¹⁴ Czytam książkę.

¹⁵ Podobają mi się te zajęcia.

¹⁶ Ja nie stoję.

¹⁷ Mówię po angielsku.

¹⁸ Spotykam się ze znajomymi o siedemnastej.

¹⁹ Wypijemy kilka drinków, ponieważ będziemy obchodzić urodziny mojej siostry. A potem obejrzymy przedstawienie.

Dalila wraca do domu, idzie prosto do łóżka i przesypia całe popołudnie. Budzi się, półprzytomna i zeszywniała, po czym drepcze do łazienki. Siada, aby się wysiusiać, jednocześnie wydmuchuje nos, zastanawiając się, czy się przypadkiem nie przeziębiła. Kiedy wstaje, zauważa krew na papierze toaletowym. Mruga i gapi się na sedes, a następnie sprawdza krocze. To jej. Zaczął się okres. Od ponad roku, odkąd wujek zaczął ją gwałcić, nie miesiączkuje regularnie. Od ostatniego razu minęło więcej niż dwa miesiące, ale okres znów jest i Dalila prawie nie może w to uwierzyć.

Ulga.

Słodka, ogromna ulga sprawia, że dziewczyna wstaje, spłukuje wodę i patrzy, jak wszystko niknie, pozostaje tylko czysta biała ceramika. Myje ręce i twarz. Zalewa ją kolejna fala ulgi. Zwija się w kłębek na skraju wanny i wybucha płaczem, łkaniem wyrzucając z siebie lęk, który nosiła w sobie i o którym zapomniała. Wraz z ulgą przychodzi zadowolenie. Czysta, skrzęca się radość, że znowu kontroluje swoje ciało, że jest wolna. Spod łez wydobywa się jej bełkotliwy śmiech. Ociera oczy przegubem ręki.

„Nie będzie dziecka” – szepcze do siebie.

Mimo tego wszystkiego, co on jej zrobił, nie będzie dziecka.

Gdy Ma’aza przychodzi do domu, rzuca swój plecak na stół w kuchni i wyciąga z niego dwie mrożone pizze, butelkę pepsi, frytki, salsę oraz wielki pojemnik lodów waniliowych marki własnej ASDA.

– Skąd to wszystko wzięłaś? – pyta Dalila.

Ma’aza likwiduje kok z tyłu głowy. Przesuwa palcami po skórze czaszki i wytrząsa włosy, dopóki luźne loki nie rozsypią się we wszystkie strony.

– Dziś wieczorem, moja cukrowa siostrzyczko, będziemy sobie tyć, tyć, tyć – mówi, strzelając palcami i kręcąc biodrami. – Spróbuj tego. – Podaje Dalili ciasto

marki Tunnock.

– Co to jest?

Ma'aza wzrusza ramionami.

– To coś... słodkiego. Bardzo smaczne. Spróbuj.

Dalila zdejmuje folię i trzyma w ręku kopulasty kawałek czekoladowego ciasta rozmiarów małego granatu.

– Jak mam to jeść?

– Po prostu... – Ma'aza pokazuje gestem, że trzeba wsunąć wszystko do ust.

Kiedy Dalila gryzie ów kawałek słodkości, czekoladowa skorupka pęka, a po brodzie i palcach dziewczyny spływa słodka, biała, piankowa masa.

Ma'aza wybucha śmiechem.

– Dobrze, co? Ha ha, masz trochę na nosie.

Dalila uśmiecha się z pełnymi ustami i wyciera nos wierzchem dłoni.

– Dziś wieczór jemy i imprezujemy – oświadcza Ma'aza, po czym włącza piekarnik i zdejmuje opakowanie z pizzy. – Tę płytę DVD kupiłam na targu. Możemy sobie obejrzeć. To film o takich dwóch Amerykankach, policjantkach, ta gruba jest bardzo śmieszna.

– Okej – odpowiada Dalila, biorąc DVD i próbując odczytać coś z fatalnej jakości nadruków na obwolucie. – Mam zrobić herbaty?

– Nie, nie – odpowiada Ma'aza, machając palcem. – Wy, Kenijczycy, zawsze chcecie herbaty. Ale nie, dziś zrobimy sobie kawy i popcorn, w stylu etiopskim. Usiądź na sofie. No idź. Włącz telewizor i weź te nachosy.

W połowie filmu siedzą, głęboko zapadnięte w poduszki kanapy, tuż obok siebie. Ma'aza trzyma stopy na stoliku do kawy. Od czasu do czasu jej ręka zanurza się w misce z popcornem na kolanach Dalili.

– Zajęcia były w porządku? – pyta Ma'aza.

– Co?

– Zajęcia z angielskiego. Poszłaś tam?

– Poszłam – odpowiada Dalila, nie odrywając oczu od ekranu telewizora.

– Ludzie byli mili?

Dalila wzrusza ramionami i wrzuca popcorn do buzi. Przez chwilę Ma'aza dalej ogląda film, a potem pyta:

– Dali, zostałam do końca zajęć?

Nie ma odpowiedzi. Ma'aza siada prosto i otwiera szeroko oczy w udawanym zdziwieniu:

– Nawet nie wytrzymałam do końca, jak widzę.

Dalila próbuje zwalczyć uśmiech, który pojawia się na jej twarzy, lecz nie umie.

– To było strasznie nudne. – Śmieje się. – Nie byłam w stanie usiedzieć. Staralam się, ale nie mogłam.

Ma'aza wzdycha teatralnie, jednak uśmiech zdradza jej prawdziwy nastrój. Bierze garść popcornu i rzuca nim w twarz Dalili.

Dalila zbliża się do wieżowca, w którym mieszka Daniel. Widzi samochód z otwartą maską, wyglądający jak krokodyl pływający się w słońcu. Daniel stoi pochylony, zagląda w jego paszczę.

Mężczyźni zgięci nad samochodami – tacy sami.

Daniel podnosi wzrok i krótko jej macha.

– Przyjdę jutro – mówi Dalila. – Jest pan zajęty.

– Nie, ale proszę – odpowiada w suahili. – Prawie skończyłem. Byłbym zaszczycony, gdybyś dotrzymała mi towarzystwa. Ale nie podchodź zbyt blisko, tu wszystko jest brudne.

– Mój ojciec uwielbiał samochody – mówi Dalila. – Ciągle sam je naprawiał.

– Chyba bym go polubił. – Daniel siada na ziemi. Wsuwa ramię pod maszynę i coś maca. – Jak się masz, siostrze? – pyta.

– Okej – wzdycha Dalila. – W niektóre dni jest lepiej.

– Dawno cię nie widziałem. Co porabiałaś?

– Nic, tylko spacerowałam.

– Tylko spacerowałaś? Och, ale powinnaś też spotykać się z ludźmi. Próbowiałaś pójść na zajęcia z angielskiego?

– Raz spróbowałam, ale... – Dalila milknie, nie dopowiedziawszy reszty, nie wiedząc, jak to wytłumaczyć.

– Mnie też zdarzają się trudne tygodnie – przyznaje Daniel. Wstaje i wyciera ręce w szmatę. – Zdarza mi się wiele dni beczynności – dodaje. – W takich okresach nie poznaję samego siebie, jestem starym człowiekiem, który gapi się w telewizor i czeka, aż deszczowe chmury odejdą.

Dalila podejrzewa, że on mówi to tylko po to, by okazać jej solidarność, aby poczuła się lepiej. Nie może wyobrazić sobie Daniela tkwiącego beczynnie w jakimś mieszkaniu. Ilekroć go spotyka, zawsze jest czymś zajęty,

zmotywowany, bez lęku stawia czoło światu.

– Lecz dzisiaj jest inaczej – mówi dalej mężczyzna. – Bo zobacz. Oboje wyszliśmy z domu. Nie pada. A słońce jest... – Mruży oczy i spogląda w niebo.
– No cóż, słońce prawdopodobnie świeci gdzieś w Afryce.

Dalila się uśmiecha.

– Tak, Afryka wykradła stąd wszystkie słoneczne promienie. To nasza wina.

– Moja siostrzo, czy jadłaś coś? – pyta Daniel.

– Zjem w domu – odpowiada.

– Właśnie idę do mojego ulubionego lokalu gastronomicznego na kółkach. Podają tam szkockie potrawy. Nie chciałabyś się przyłączyć? To będzie nowe doświadczenie na twojej liście różnic.

– Nie mam pieniędzy, nie stać mnie.

– Ja mam trochę pieniędzy. Zapraszam. Odpłacisz się, dotrzymując staremu człowiekowi towarzystwa.

Daniel pochyla się nad wiadrem i szoruje ręce szczoteczką do paznokci. Wylewa wodę na trawnik, po czym ociera dłonie o spodnie. Zamyka samochód, wkłada czapkę i wyruszają.

Dalila idzie w takim tempie, aby Daniel mógł nadążyć. Zaczyna wiać lekki wiatr. Dziewczyna trzyma ręce w kieszeniach kurtki.

– Więc jesteś już po swojej rozmowie? – pyta Daniel.

– Tak.

– I teraz tylko czekasz.

– Tak, teraz czekam.

– I jak się z tym czujesz?

Chciałaby mu odpowiedzieć, że czuje się świetnie i że wszystko będzie dobrze. Ale po prostu pozwala, by to pytanie rozbrzmiało w niej.

– Czuję się... Sama nie wiem – mówi. – Widzę siebie pośrodku wielkiej

puszczy, która ciągnie się na wiele kilometrów we wszystkie strony i jest zupełnie płaska. Nie mam pojęcia, dokąd powinnam pójść. Wszystko jest takie same, wszystkie drogi prowadzą donikąd. Czasem myślę sobie: Po co to ciągnąć? Może lepiej po prostu tak tkwić?

– Hm. Tak, rozumiem – odpowiada Daniel. – Sądzę, że prawidłowo postrzegasz świat. Nieważne, jaką ścieżkę wybieramy. Ostatecznie wszyscy i tak zmierzamy w to samo miejsce. Pustka, którą czujesz, zawsze tam będzie. Ja też ją odczuwam. Każdy ją w sobie nosi. Możesz udawać, że jej nie ma, ale to nieprawda. Lepiej się z nią zaprzyjaźnić, pozostać w niej. To po prostu uczucie, tak jak radość, gniew czy nuda. Jeśli je lepiej poznasz, zaczniesz dostrzegać, kiedy się zbliża, i przestaniesz się bać, zaakceptujesz jej objęcia.

Dalila spogląda na starego człowieka, zaskoczona.

– Ale wiem, że mąci ci się w głowie od pytań – mówi Daniel, bardziej chyba do siebie niż do Dalili. Na pytanie „Po co to ciągnąć?” nie można udzielić odpowiedzi. Nie ma żadnych jasnych wskazówek. Sami musimy sobie z tym radzić. Z tym, jak to dalej ciągnąć. – Stuka środkowym palcem we wnętrze swojej dłoni. – Ale to jest... to ciekawe pytanie. Może gdybyśmy wiedzieli, jak to wszystko ciągnąć, zrozumielibyśmy też po co.

Dziewczyna pamięta, że jej ojciec zawsze miał plan. Pomagał jej i bratu wybierać w życiu ścieżki i trzymać się ich. Lecz Daniel? Ten stary człowiek jest inny i mniej przypomina ojca, niż początkowo sądziła.

– Wstąpimy tam – mówi Daniel, chwytając Dalilę za łokieć i prowadząc na drugą stronę ulicy, w kierunku jakiegoś vana.

Jeden bok samochodu jest uniesiony i otwarty, a kłapa wsparta na palikach, co tworzy coś w rodzaju baldachimu. Dalila zauważa, że wnętrze pojazdu przekształcono w niewielką kuchnię z palnikami gazowymi, lodówkami i urządzeniami do smażenia w głębokim tłuszczu. Za małym szklanym kontuarem tkwią batoniki czekoladowe, napoje gazowane oraz pączki z różową

glazurą. Obok, na karoserii, widać skromne drukowane menu.

„Więc to musi być ich wersja jedzenia serwowanego na ulicy” – myśli. Nic dziwnego, że dostrzega to dopiero teraz. Wcześniej rozglądała się za ogniskami opalanymi węglem drzewnym, za przekupniami oferującymi pieczone kolby kukurydzy i kiełbaski z koziego mięsa albo trzcinę cukrową do skubania.

Uliczne jedzenie – inne.

Wchodzą z Danielem pod baldachim, ponieważ zaczyna padać deszcz. Z wnętrza pojazdu emanuje słaba woń gorącego oleju do pieczenia i palonego cukru.

Wielki, łysy mężczyzna odwraca się i patrzy na nich.

– Dzień dobry, Danielu – wita się, wycierając ręce w fartuch.

– Duży Chrisie, mój przyjacielu – odpowiada Daniel, potrząsając dłonią łysiego. – Jak tam toyotka? Sprawuje się?

– No, dobrze – stwierdza Duży Chris. – Codziennie kursuję nią do Paisly i z powrotem. Nigdy nie miałem problemów.

– Mówiłem ci. To są najsolidniejsze auta. – Daniel chichocze. – Kiedyś twój syn będzie nim jeździł.

– No, może. Poczekamy, zobaczymy.

– W zeszłym roku sprzedałem temu panu samochód – wyjaśnia Daniel Dalili. Odwraca się do mężczyzny w vanie i mówi: – A to moja dobra znajoma, Dalila. Niedawno się tu wprowadziła, do tej dzielnicy.

Duży Chris wyciąga rękę i ściska dłoń dziewczyny.

– Fajno cię poznać. – Kładzie łokieć na kontuarze i opiera się na nim mocno, aby nieco odciążyć swoje nogi. – Cholerna pogoda, co nie?

– Tak – odpowiada Daniel. – Ale jeśli o mnie chodzi, to lubię taki deszcz.

– W takim razie czeka cię wiele atrakcji. Prognozy mówią, że będzie lało do końca tygodnia.

– Deszcz jest dobry – kwituje Daniel. – Szkocja ma dużo szczęścia.

– Szczęścia? – Duży Chris uśmiecha się ironicznie. – Różne rzeczy nam przypisują, ale chyba nie szczęście. – Kładzie obie dłonie na kontuarze i podnosi się do pozycji stojącej. – Co wam podać?

Daniel zwraca się do dziewczyny, pytając w suahili:

– Jadłaś kiedyś bułkę z bekonem?

– A co to jest? – pyta Dalila.

– To szkocki przysmak, a w tym oto lokalu podaje się najlepsze bułki z bekonem w całym kraju. Musisz koniecznie spróbować. Ja stawiam. Odradzałbym jednak herbatę. Smakuje jak ścieki z Kibery.

– Okej. – Dalila stara się stłumić uśmiech. – Herbata nie.

Daniel zamawia dwie bułki z bekonem.

– Proszę bardzo – mówi Duży Chris. – Bułki chcecie na miękko czy chrupiące?

– Na miękko – decyduje Daniel.

Czekają, obserwując wodę z rynien, która spływa krawędzią ulicy. Z kuchni za ich plecami dociera zapach smażonego boczku. Jest intensywny i wspaniały. Dalila przełyka ślinę zebraną pod językiem.

Daniel czyści szklanki papierową serwetką i znów spogląda na deszcz.

– No więc... – Dziewczyna stara się przemówić takim samym tonem, w jakim prowadzona była wcześniejsza rozmowa. – Skąd wiesz... jak...

Daniel kiwa głową, jakby się domyślał, o co zamierza go spytać.

– To bardzo proste, choć łatwo o tym zapomnieć. *Ubuntu* przypomina nam, jak żyć. Słyszałaś o *ubuntu*?

Dalila pamięta, że w dzieciństwie zetknęła się z tym słowem. Często je powtarzano, rzadko jednak wyjaśniano.

– Tak, znam ten wyraz – mówi. – To znaczy umiejętność dzielenia się albo

dobroć.

– To duch wspólnotowości, oczywiście – zgadza się Daniel. – Ale jego znaczenie jest głębsze. Według *ubuntu* mogę być dobry tylko wtedy, gdy ty jesteś dobra. Jestem tym, kim my wszyscy jesteśmy. Rozumiesz?

Dalila kiwa niepewnie głową.

– Moja siostrze, jeśli swoją energię przeznaczysz na czynienie dobra innym, jeśli dasz im godność, to właśnie tak należy robić. Wtedy sama sobie podarujesz godność i cel. W ten sposób staniesz się właścicielką swojego życia.

– Chcesz sosu, Danielu? – pyta Duży Chris.

– Tak, poproszę.

– Czerwony czy brązowy?

– Brązowy dla nas obojga.

Mężczyzna wyciska brązowy sos do bułek, zawija je w papier i podaje klientom. Znowu opiera się łokciem o kontuar. Daniel kładzie odpowiednią liczbę monet na ladzie.

– Gra. Na zdrowie – mówi Duży Chris.

Deszcz pada ulewniej, Daniel i Dalila zostają więc pod baldachimem i jedzą. Przeżuwając pokarm, dziewczyna przygląda się bekonowi z niedowierzaniem.

– Mówiłem ci, że to jest dobre. – Daniel się uśmiecha.

– Naprawdę dobre – potwierdza Dalila, biorąc kolejny kęs. – To zupełnie inny bekon niż w Kenii. – Ściera sos z kącika ust i ssie swój kciuk. – Smakuje mi. Co to za sos?

Daniel wzrusza ramionami.

– Brązowy.

– Ale z czego się go robi?

Na twarzy mężczyzny miga szelmstwo.

– Robi się go z brązowych rzeczy.

Dalila znów gryzie bułkę i wpatruje się w deszcz. Obok przejeżdża wolno samochód i się zatrzymuje. Włącza światła cofania, po czym wraca i staje po drugiej stronie ulicy. Z bułką przy ustach dziewczyna przygląda się, jak deszczowa woda skapuje z samochodu, jak wycieraczki na szybie przesuwają się tam i z powrotem.

Otwierają się drzwiczki wozu i wychodzi z niego Markus. Wbija wzrok w Dalilę, lecz nie podchodzi bliżej. Po prostu stoi na ulicy, z rękoma zwisającymi swobodnie wzdłuż boków i w moknącym T-shircie, i gapi się na nią.

Ona jest gotowa do ucieczki, pewna, że jeśli natychmiast rzuci się do biegu, pozostawi go w tyle. Ogarniają ją mdłości. Niezdolna przełykać, wypłuwa do ręki na wpół przeżuty kęs.

– Co się dzieje? – pyta Daniel.

– Tamten facet – odpowiada Dalila w suahili. – Danielu, jesteśmy w niebezpieczeństwie, wielkim niebezpieczeństwie. Musimy iść. Od razu.

Ciągnie go za rękaw i przez moment myśli, czy go tu nie zostawić, po prostu uciec na własną rękę, kryjąc się i lawirując między budynkami mieszkalnymi i magazynami tej dzielnicy. Ale trzymając płaszcz Daniela, uświadamia sobie, że nie potrafi go opuścić.

– Kto to jest? – pyta Daniel.

– Przyjechał po mnie – szepcze Dalila. – Jest z Mungiki.

Oboje wpatrują się w Markusa, a Markus w nich. Stojący za nim samochód ma włączony silnik. Drzwi od strony kierowcy są szeroko otwarte, co sprawia, że z wnętrza dobiega błagalne pikanie, by człowiek zechciał wsiąść z powrotem.

Markus robi dwa kroki do przodu i staje pośrodku jezdni. Wyjmuje telefon i kieruje go w stronę Dalili. Dziewczyna widzi błysk flesza, gdy tamten ją fotografuje, a potem jeszcze jeden.

– Panie Duży Chrisie – mówi Daniel. – Proszę wezwać policję. Natychmiast.

Pozostawiwszy swój parasol, starszy mężczyzna kuśtyka prosto na ulicę

i zatrzymuje się metr przed Markusem. Wyjmuje telefon i robi mu zdjęcie.

Jedyną reakcją Markusa jest odchylenie głowy w bok i ponowne wbicie wzroku w Dalilę.

Dziewczyna wychodzi na deszcz i rusza w kierunku Daniela, zdumiona sama sobą, świadoma, że musi wyglądać na osobę, która się nie boi. Lecz ta pozorna odwaga wywołana jest lękiem, obawą. Nie może postąpić inaczej, musi chronić Daniela. Wsuwa ręce do kieszeni, aby ukryć ich drżenie. Gdy staje za starym człowiekiem, słyszy, jak ten zwraca się do Markusa:

– Tutaj nie masz żadnej mocy, młody człowieku. Powinieneś wracać do domu.

– Ej, ty – krzyczy Duży Chris, maszerując w stronę Markusa. – To twój samochód, tak? Zaparkowałeś w strefie załadunku, koleś. Musiałem wezwać policję. Lepiej się stąd zbieraj, zanim gliny się pojawią.

Markus zerka przez ramię na swój wóz, a potem rozgląda się po pustej ulicy. Przenosi wzrok na Dużego Chrisa, taksuje jego posturę. Duży Chris nie przestaje napierać na Markusa, zmuszając go do cofnięcia się najpierw o jeden, a potem o dwa kroki.

– No tak, i widzę, że zaparkowałeś przed hydrantem. Niedobrze. Co się, kurwa, stanie, jak wybuchnie pożar? To, że zaparkowałeś tutaj ten samochód, naraża nas wszystkich na niebezpieczeństwo, koleś. A ja, kurwa, nie cierpię, jak się mnie naraża. Kumasz, o co mi biega? Więc lepiej zabieraj dupę w troki i spierdalaj.

Tak się właśnie dzieje. Dalila patrzy, jak Markus wsiada do auta i szybko odjeżdża.

– Nic wam nie jest? – pyta Duży Chris.

Dalila i Daniel spoglądają po sobie. Dziewczyna jest wstrząśnięta, ale ponieważ Daniel sprawia wrażenie dość spokojnego, sama stara się zachowywać podobnie.

– No to chodźta – mówi Duży Chris. – Zawiozę was do domu.

Kiedy nazajutrz rano Dalila wstaje z łóżka, Ma'azy nie ma już w mieszkaniu. Siada na sofie w pokoju koleżanki, mając przed sobą szary, niemy ekran telewizora. Jedyнным dźwiękiem docierającym z zewnątrz jest wycie wiatru. Przez chwilę jej zmysły się wyostają, widzi i słyszy wszystkie szczegóły hiperrealnie. Bruzdę, którą zdenerwowana wyryła pośrodku paznokcia na kciuku, świeże okruchy we włóknach dywanu, kurz między przyciskami pilota do telewizora, syntetyczny cytrynowy zapach jej własnej ręki – pozostałość płynu do zmywania naczyń. Nawet czas tego poranka ma szorstką, zwirową fakturę. Dalila czuje każdą sekundę, każdą przepływającą obok niej minutę. Gdy w wykładzinie rozpuszcza się cała mijająca właśnie godzina, w dziewczynie lęgnie się coś złowieszczonego. Myśli o swoim życiu. Jakie okazało się nieprzewidywalne, jakie nieoczekiwane. Nie żyje tak, jak powinna. Jej dni miały przecież wyglądać zupełnie inaczej.

Może Ma'aza ma rację. Musi stąd wyjść. Ruch to życie.

Postanawia pojechać autobusem do miasta.

Deszcz pluska o daszek przystanku autobusowego. Dalila stoi w rogu, pod plakatem przedstawiającym białą rodzinę na słonecznej plaży. Niebieskim markerem ktoś dorysował ojcu wąsy, zaś matce – w żółtej bikini – parę oklapniętych piersi. Z drobnych ust dziecka zwisa joint, jak w kreskówce. Choćby wciskała się w ten narożnik jak najgłębiej, deszcz i tak znajduje drogę do jej ramion i miota w nie kropelki wody.

Razem z Dalilą czeka czworo innych ludzi. Azjatka, staruszka z kulą inwalidzką oraz dwóch nastoletnich chłopaków, w kapturach na głowach.

Cała czwórka wpatruje się w grań wzgórza.

Azjatka i nastoletni chłopcy stali już tutaj, kiedy Dalila przyszła, natomiast starsza pani pojawiła się chwilę później. A to znaczy, że zgodnie z brytyjską

etykietą Dalila jest czwarta w kolejce. Mimo iż pani jest starsza od niej o co najmniej czterdzieści lat, dziewczyna przypomina sobie w duchu, że w tym kraju zasady kolejkowe są ważniejsze od szacunku dla wieku.

Nadjeżdża autobus. Jego boki są pokryte mokrym, szarobrazowym osadem, który zawdzięcza ruchowi kołowemu w tym mieście.

Dalila zadaje kłam własnemu wychowaniu i staje przed starą kobietą. Kierowca jest cierpliwy, pozwala jej odliczyć dokładną kwotę za bilet z drobnych, które dziewczyna ma w dłoni. Dalila przechodzi zawilgoconą alejką między siedzeniami, lustrując wnętrze autobusu w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca. Większość osób zajmuje w pojedynkę podwójne siedzenia, gapiąc się w swoje telefony albo przez okna. Nikt jej nie pozdrawia, kiedy tak idzie. Nikt nie zaprasza, aby usiadła. Zajmuje jedyne wolne miejsce naprzeciwko dwóch nastolatków, rękawem ściera z szyby skroploną parę.

Silnik zwiększa obroty, autobus rusza. Na zewnątrz próbuje go dogonić jakaś kobieta, przytrzymując kapelusz; torebka huśta się jej w zgięciu ręki. Macha tą drugą, wolną. Ma wysoko zarysowane łuki brwiowe, a przesadnie czerwone usta układają się w idealny okrąg, kiedy krzyczy: „Stój”. Dalila nie wie, czy kierowca widzi tę kobietę, czy nie, lecz autobus nie zwalnia. Cienkie brwi lecą w dół, czerwone usta tworzą równą kreskę.

Na przodzie pojazdu siedzi młoda kobieta z dzieckiem. Jakiś mężczyzna unosi gazetę, otwiera na przedostatniej stronie, po czym kładzie dziennik niżej i czyta.

Dobrze jest wyjść z domu, dokądś jechać. Dalila zastanawia się, czy Muthoni też jedzie teraz jakimś autobusem. Wyobraża ją sobie w *matatu*, w korku w Nairobi, a potem myśli o Markusie. Czy on także jest w autobusie i właśnie się zbliża? A może już się poddał i wraca do Londynu?

Nastoletni chłopcy na siedzeniach obok podśmiewają się z czegoś w telefonie. Ten znajdujący się bliżej nie ma warg. Jego usta są cienkie jak

plasterek arbuza. Tylko nos jest szeroki jak palec, wygląda niczym ściana wzniesiona pośrodku twarzy, złączona z czołem. Oczy tkwią głęboko w czaszce, pod markizą brwi. „Pewnie czasami zdolny jest zobaczyć mostek swojego nosa” – myśli Dalila. Jakie to uczucie, żyć z twarzą taką jak ta? Obraca się do okna i zezuje, próbując ujrzeć własny nos, ale przestrzeń pośrodku jej oblicza jest niemal płaska. Gapi się w dół, na rozmyty obraz swoich nozdrzy.

Chłopcy parszczą śmiechem i stukają w ekranik, aby załadować kolejny filmik. Ten bliżej okna jest chudszy. Jego nos zakrzywia się w dół i kończy ostro dwoma skierowanymi ku górze otworami nozdrzy. To elegancka, delikatna cecha charakterystyczna, ale Dalila martwi się o jego sposób oddychania. Pewnie musi mocno wciągać powietrze, jakby stale był przeziębiony? Prawdopodobnie dlatego jest taki chudy. Fakt, że oddycha z trudem, sprawiał zapewne, że bieganie i zabawa z innymi dziećmi nie przychodziły mu łatwo, uniemożliwił pełny rozwój.

Chłopak trąca kolegę i coś do niego szepcze. Dalila uświadamia sobie, że gapi się na nich, więc odwraca głowę do okna.

– Ej, ty – odzywa się większy chłopak. – Na co się tak ślepisz?

Kątem oka dziewczyna zauważa ruch. Instynktownie spogląda w tamtą stronę. Chłopak kładzie pięść na siedzeniu obok niej i wyprostowuje środkowy palec.

Dalila się odwraca, serce wali jej w piersiach. Wcisną guzik dzwonek i przepycha się wąskim przejściem między fotelami.

– Pakistańska dziwka – mówi chłopak. Obaj parszczą śmiechem, ona tymczasem dociera na przód autobusu.

Autobus się zatrzymuje. Dalila wysiada, modląc się, aby chłopcy nie poszli za nią.

Nie idą.

Pojazd odjeżdża. Przez upaprane okna Dalila widzi chłopców pochłoniętych

telefonem, jak gdyby nigdy nie było jej w tym autobusie. Serce bije jej szybko, patrzy na drogę, którą tu przyjechała. Mżawka wprawdzie ustała, lecz chmury na niebie są grube od wzbierającego deszczu. To znak ostrzegawczy, aby poszukała sobie schronienia. Jednak otaczający ją ludzie zachowują się jak zwykle, cieszą się codziennością w tych gęstniejących, złowrogich ciemnościach. Chce być taka, jak oni. Żyć normalnie.

Odwraca twarz do wiatru, w stronę miasta. Powietrze jest rześkie i czyste, czuje je na swojej skórze. Zdecydowała się wyjść z domu, posmakować życia i rytmu miasta, stać się jego częścią. Lecz aby tu pozostać, czuje, że musi podejmować tę decyzję wciąż na nowo, w każdej kolejnej chwili. Bierze głęboki oddech i wypuszczając powietrze, stabilizuje lęk.

„To tylko chłopcy – szepcze do siebie. – Tylko chłopcy”.

Kładąc jedną stopę przed drugą, pochyla głowę i kroczy pod wiatr.

Idzie, poruszając nogami w takt serca. Postępuje do przodu zgodnie z jego rytmem, cieszy się nieskomplikowanym mechanizmem, który pozwala wysuwać jedną nogę przed drugą, stawiać złoty but na ziemi i znów go odrywać. Pod nią rozwija się chodnik, obok niej suną witryny sklepów i ogrodzenia z graffiti. Jedna chwila przemienia się w następną.

Dalila przekracza rzekę. Sprawdza na swojej mapce i wie, że jest to ta sama rzeka, która płynie koło budynku BBC. Wkrótce dociera do serca miasta, dzielnicy handlowej z imponującymi starymi budowlami tudzież bardzo nowoczesnymi sklepami, w których jest pełno artykułów znanych jej marek. Są tu galerie handlowe i lokale typu fast food, autobusy, samochody oraz tysiące ludzi przemierzających się ulicami. Postanawia, że zbada je później. Na razie wystarczy jej świadomość, że tu przyszła. Rusza więc wzdłuż szerokiej brązowej rzeki o nazwie Clyde.

Idzie i idzie. Po dłuższej chwili osad jej smutków osiada na dnie duszy. Zamglony dotąd umysł staje się jaśniejszy. Ogarnia ją spokój. Dalila myśli

o bracie. Nawiedzają ją twarze ojca i matki. Czuje je blisko siebie, lecz one ulatują, zmierzają dokądś własną drogą. Potem widzi swojego wuja, jak stoi w pomieszczeniu, w którym musiała mieszkać. Pamięta jego rękę na karku, która przyciska jej twarz do stołu. Lekko przyspiesza kroku, idzie teraz zamasyście, zdjęta obawą, że jeśli nadejdzie całkowity zmrok, wszyscy oni się zjawią i ją pochłoną. Jednak szybszy marsz sprawia, że dziewczyna może się bardziej skupić na własnej osobie. Wspomnienia są wprawdzie równie przemożne jak wcześniej, lecz tak długo, jak idzie, zdają się mniej spójne, zsuwają się z niej, niezdolne znaleźć dotychczasowe punkty podparcia.

 Nieustannie kładzie jedną stopę przed drugą, drugą przed pierwszą.

 Zanim dotrze do domu, uświadamia sobie, że właśnie coś odkryła. Coś, czego może się trzymać. Tym czymś jest ona sama.

Przychodzi esemes od Ma'azy.

Dali. Masz pieniądze? Kup mleko jajka cebulę dymkę. Dziś wieczorem zrobimy omlet.

Dalila wkłada spodnie, swoje złote buty, czarną puchową kurtkę, czarną wełnianą czapkę i rękawiczki. Łapie torebkę i klucze, zamyka za sobą drzwi wejściowe do mieszkania. Po zakupach pójdzie na spacer nad rzekę. To będzie jej dzień – zakupy i spacer.

Na półpiętrze pachnie środkiem dezynfekcyjnym. Na metalowych drzwiach windy Dalila dostrzega nowe brutalne bazgroły graffiti. Wcisną guzik „w dół” i czeka. Winda nadjeżdża z brzękiem. Dziewczyna wchodzi do środka i naciska P.

Gdy podwójne drzwi zaczynają się zamykać, między nimi pojawia się jakaś ręka i je rozsuwa. Do windy wkraczają kobieta i mężczyzna. Jej sąsiedzi. Widywała ich, jak wchodzi do mieszkania tuż obok pani Gilroy, nigdy jednak z nimi nie rozmawiała. Oboje są ubrani w białe dresy. Wzdłuż rękawów mężczyzny ciągną się niebieskie paski Kappa, natomiast kobieta ma na piersiach żółty znak, podobny do litery V. Śmierdzą alkoholem, mówią do siebie głośno i powoli, jakby byli głusi.

Dalila przesuwa się na tył windy, unikając kontaktu wzrokowego. Drzwi się zamykają. Mężczyzna rusza, aby wcisnąć guzik P, lecz ten już się świeci na zielono. Chwieje się lekko i gapi na Dalilę, przechyliwszy na bok głowę. Kobieta oblizuje skrawek papieru i koniuszkami palców zaczyna skręcać jointa. Mężczyzna mruczy coś do swojej partnerki. Dalila wpatruje się w podłogę.

– Ty z Afryki? – pyta mężczyzna.

Kobieta klepie go wierzchem dłoni w klatkę piersiową.

– Daj jej spokój, Mick – mówi.

– W porządziu. Tylko se gadam. Nic nie robie, nie? – Zwraca się do Dalili. – Skąd jesteś? Z Afryki? Z Nigerii?

Dalila gapi się na swoje złote buty, oddech wzbiera jej w piersiach, mięśnie nóg się napinają.

– Właściwie nieważne – rzuca Mick. – Znaczy, zupełnie mnie to nie... Mam gdzieś, skąd jesteś. Tak se nawijam.

– Daj jej spokój, Mick, no weź – mówi jego dziewczyna.

– Ja tylko z nią gadam.

Dalila czuje, że jej ręce zaczynają się trząść.

Mężczyzna nachyla się trochę bliżej. Jego twarz jest czerwona od alkoholu, wydaje się starszy, niż wskazywałoby jego ubranie. Koło trzydziestki piątki.

– Jestem Mick, a to Alison. Jak ci na imię? No dalej, powiedz.

– Irene.

– Irene? – powtarza, zerkając na swoją dziewczynę, aby zobaczyć, czy usłyszała to samo.

– Tak – potwierdza Dalila.

– Niemożliwe, człowieciu. To moja mama tak ma na imię. – Mężczyzna się śmieje. – Ally, słyszałaś to? Ona się nazywa tak jak mamusia.

– No, słyszałam, Mick.

– Daj łapkę, słodziutka. – Mick wyciąga rękę.

Dalila wzdryga się i sztywnieje pod ścianą. Są dopiero na dziesiątym piętrze. Twarz tego człowieka sprawia pozorne wrażenie życzliwej, ale ona próbuje odczytać to, co kryje się w głębi. Spogląda na kobietę, która jest pochłonięta konstruowaniem skręta. Podaje rękę mężczyźnie. Jest lepka i zimna. On obejmuje jej dłoń dwiema swoimi i potrząsa w górę i w dół.

– No właśnie, Irene. Nawiasem mówiąc, miło cię poznać. Nie jesteś przypadkiem fanką Rangersów? – Szczerzy ku niej zęby.

– Ja... Ja nie lubię piłki nożnej.

– No tak, ale gdybyś lubiła, na pewno byś kibicowała Rangersom. Błękitne koszulki. Najlepsza drużyna na świecie. Zdecydowanie. Oglądacie Rangersów w telewizorach w Afryce?

– Nie wiem.

– Skąd jesteś, powtórz?

– Z Kenii.

– Kenia. Kenia. No tak. Ten Obama, on też jest z Kenii, co nie?

– Jest pół-Kenijczykiem – uściśla Dalila.

Mick nie puszcza jej ręki.

– Słuchaj no, Irene. Wiesz ty co? Ja też jestem z Afryki.

– Co ty wygadujesz? – wtrąca się Alison. – Jaka cholerna Afryka? O co ci chodzi? – Pochyla się i szepcze do Dalili: – Nie słuchaj go, panienko, on jest trochę nawalony.

– Nie, posłuchaj – mówi Mick. – Wiem to i owo. Popatrz no se na jaskiniowców, a nawet jeszcze wcześniej, u zarania dziejów, na pierwszych ludzi. Ci pierwsi ludzie byli z Afryki. Naprawdę. Widziałem w telewizorni. Wszyscy pochodzimy z Afryki. Ty. Ja. Każdy. Oprócz Alison, bo ona jest z East Kilbride. – Śmieje się, owiewając twarz Dalili i Alison słodkawym piwnym oddechem, w oczekiwaniu, że się do niego przyłączy.

Alison przewraca oczami i mówi:

– Mick, ale z ciebie ciul. – Liże końcówkę jointa i wtyka go sobie za ucho.

Winda zatrzymuje się na trzecim piętrze. Drzwi się rozsuwają; Alison próbuje wyjść, ale Mick przytrzymuje ją ramieniem.

– To nie nasze – mówi.

Wciągając Alison z powrotem do windy, instynktownie zwalnia uścisk, lecz po chwili chwytą Dalilę za przegub.

– Zjeżdżamy na sam dół – przypomina. – Na parter.

Drzwi się zamykają. Dalila myśli o ucieczce, o tym, żeby wskoczyć między skrzydła drzwi i pobiec jedenaście piętér w górę, do swojego mieszkania. Mężczyzna ma jednak silny chwyt, jego nastoje są bardzo zmienne.

– Na sam parterek – mruży Mick pod nosem. – Hej, Irene, masz pracę? – pyta.

– Nie.

– No, ja też nie. Rozumiesz mnie? My oba z Afryki, oba bezrobotne. Jesteśmy tacy sami, ty i ja. Masz telewizor, Irene?

– Tak.

– No, ja też. Duży telewizor. A toster?

– Tak.

– Serio? Nowy?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? – Mick rozmyśla przez chwilę nad jej odpowiedzią, a potem zadaje kolejne pytanie: – No dobra, powiedz mi coś takiego. A pralkę masz?

– Tak.

– Założę się, że nową. Mam rację?

– Może jest nowa. Nie wiem – odpowiada Dalila.

– Ale mikrofalę masz na pewno, co?

Dziewczyna spuszcza głowę. Patrzy na swoją rękę, którą on wziął w posiadanie.

– No tak, przecież wy macie te wszystkie rzeczy – mówi mężczyzna. – Jasne, że kurwa macie.

Winda się zatrzymuje, drzwi się otwierają. Dalila chce wyjść pierwsza, wyszarpuje rękę, ale on nie puszcza. Chwyt się zaciska, sprawia jej ból.

– No weźże, Mick, daj jej spokój. – Alison ciągnie mężczyznę za dres. –

Chodźmy już stąd. Idziemy.

– Odczep się! – Mick odpycha ją, nie zwalniając z uścisku ręki Dalili.

– Co się pchasz, kurwa, ty kutasie jebany – wrzeszczy Alison i zataczając się jak pijana, uderza o ścianę. Łapie równowagę i znów szarpie Micka.

– Spadaj, Alison, albo cię zaraz, kurwa, załatwię. Serio mówię.

– Zostaw ją w spokoju i chodźmy. – Kobieta nie ustępuje.

– Ja se z nią tylko gadam – ryczy mężczyzna.

– Proszę – odzywa się Dalila drżącym głosem.

– O co prosisz?

– Proszę. – Łzy uwalniają się i spływają jej po policzkach. – Nie chcę żadnych awantur.

– Dawaj, Mick, idziemy – krzyczy Alison.

– Zamknij, kurwa, mordę, Ally. – Mick przeciąga wierzchem nadgarstka po ustach i przez zasłonę alkoholu skupia się na Dalili. Puszcza jej rękę, po czym szeroko rozkłada ramiona, tak aby nie mogła wyjść. – Tylko sobie porozmawiamy, co nie? Bardzo elegancka rozmowa, okej? A potem cię wypuszczę.

Dalila kiwa głową i ociera policzki.

– No dobra – zaczyna Mick. – Powiedz mi coś takiego. – Podchodzi bliżej Dalili, nie dotyka jej jednak. – Ta twoja nowiućka pralka i malutki toster. Kto ci je dał?

– Nikt – szepcze Dalila.

– Kurwa, tylko nie kłam, Irene. Nie masz roboty, więc se ich nie kupiłaś, co nie?

– Nie.

– No właśnie, nie kupiłaś. – Zbliża twarz bezpośrednio do jej ucha. – Więc

kto kupił?

Dalila z trudem przełyka ślinę i zmusza się do odpowiedzi.

– Kiedy przydzielili mnie do tego mieszkania, wszystko już w nim było.

– No tak, zgadza się – mówi Mick z szerokim uśmiechem. – Oni. Oni ci to dali. I łóżko ci dali, i nowe dywany, i toster, i kurwa, firaneczki w kwiateczki. To tyż oni ci dali. Mam rację?

Dalila kiwa głową, łzy znów spływają swobodnie.

– Więc przyjeżdżacie tutaj z niczym, a dostajecie sofę i ładniutkie łóżeczka. A ja? Mieszkamy tu z Ally, kurna, całe życie i nie dostajemy nic. Pierdolić to. Więc pytam cię, Irene. Czy to fair?

– Nie wiem, nie znam się na tych sprawach – odpowiada łagodnym tonem.

– No tak, nie wiesz. To przecież łatwe pytanie. Czy. To. Fair?

– Nie.

– Nie – powtarza mężczyzna, odsuwając się. – Pewnie, że kurwa nie. A tak przy okazji, sama się nad tym zastanów.

Alison chwyta go za rękaw i ciągnie w stronę głównego wyjścia.

– Na razie, Irene – woła Mick, po czym oboje wytaczają się na wiatr.

Dalila zakrywa usta obiema rękami. Stara się nie wydawać żadnych dźwięków, zatrzymać je w sobie. Naciska guzik „w górę” i czeka na przyjazd windy. Kiedy drzwi się otwierają, ze środka wylewa się w jej stronę cała rodzina. Dziewczyna się odwraca, przepycha przez drzwiczki pożarowe i zaczyna wbiegać po schodach, aż na siedemnaste piętro, na sam szczyt.

Pod drzwiami do mieszkania walczy z kluczami, ciężko dysząc, ledwo zdolna ustać na nogach. Co chwila spogląda przez ramię, wydaje jej się, że tamci są tuż za nią. Że w każdej chwili mogą się pojawić za jej plecami. Klucz pasuje, drzwi się otwierają, Dalila zatrząskuje je za sobą, zamyka, przesuwa blokadę w zamku Yale, zakłada łańcuch i wygląda przez judasza. Półpiętro jest puste. Nogi jej drżą

od adrenaliny. Nie mogą utrzymać dziewczyny, która opada na podłogę.

Pukanie do drzwi zaskakuje ją. Dalila wstrzymuje oddech, pewna, że to ten pijany mężczyzna, Mick. Odkąd go widziała, minęły dwa dni, ale przecież facet mieszka po drugiej stronie półpiętra. Znow się upił i próbuje do niej wejść? Kolejne pukanie. Łagodniejsze, nieomal z wahaniem. Może to pani Gilroy. Albo Paul ze spółdzielni mieszkaniowej, tylko że on nigdy nie puka.

Dalila zbliża się, ostrożnie kładzie jedną bosą stopę przed drugą. Słucha. Ktoś tam jest. Słyszy jakiś ruch. Szepty.

Znow pukanie, tym razem bardziej zdecydowane. Dziewczyna zamiera w przedpokoju. Wie, że powinna po prostu wrócić do swojej sypialni i zignorować tego, kto stoi za drzwiami. A jeśli ten ktoś nie przestanie pukać, poszuka numeru telefonu policji.

– Dalila – krzyczy Ma’aza z łazienki. – Ktoś się dobija? Jeśli to Paul, powiedz mu, żeby sobie poszedł. Niech naprawi nasz grzejnik albo da nam święty spokój.

Dalila podchodzi bliżej i zagląda przez judasza. Za szkłem widać zdeformowaną twarz Olcay.

– Tak? – woła Dalila.

– Dzień dobry – dobiega jej głos Olcay. – Dzień dobry... jest... Olcay.

Dalila otwiera drzwi na szerokość kilku cali.

– Hejka – mówi Parla, starsza córeczka. – Moja mama chce zapytać, czy możemy u ciebie chwilę posiedzieć, bo ona musi pójść się zameldować, a tata nie wrócił jeszcze od lekarza.

Dalila patrzy na obie dziewczynki, a potem na ich matkę.

– Mama uważa, że bezpieczniej będzie nas tu zostawić, jak ona pójdzie się meldować. Mamy do odrobienia lekcje i inne rzeczy. Nie będziemy ci

przeszkadzać.

Mała Rosa uśmiecha się szeroko do Dalili i oznajmia:

– Mam kolorowanke. Całe dwie kartki.

Dalila odpina łańcuch i otwiera drzwi.

– Wejdźcie, proszę – mówi.

Olca odzywa się do Parly, wyjaśnia jej coś po turecku. Następnie Parla tłumaczy to Dalili:

– Mama mówi, że nie będzie jej tylko godzinę. Napisze do taty esemesa i powie mu, gdzie jesteśmy. Być może on wróci jeszcze szybciej. Mama dziękuje ci za to, że się nami zajmiesz.

– Dziękuję. Dziękuję – mówi Olca, biorąc Dalilę za rękę.

– W porządku. Nie ma problemu – odpowiada dziewczyna, czując pewien entuzjazm wobec perspektywy pobytu w jej domu dwóch dziewczynek. – Naprawdę nie ma za co.

Siostry wbiegają do mieszkania. Olca wciska guzik windy. Dalila omiata wzrokiem półpiętro, po czym zamyka drzwi na klucz.

Kiedy wchodzi do kuchni, stwierdza, że obie małe stoją tuż obok siebie i gapią się na coś w pomieszczeniu.

– Kto to jest? – pyta Rosa, wskazując fotografie, które Ma'aza przykleiła taśmą do ściany nad swoim łóżkiem.

– To nie moje zdjęcia – odpowiada Dalila. – Mieszka tu ze mną jeszcze jedna pani. To zdjęcia jej rodziny, chyba.

– Gdzie jest ta pani?

– W łazience.

– Och.

Dalila rozgląda się po kuchni, próbując pomyśleć. Co zrobiłaby teraz jej mama?

- Kto chciałby coś przekąsić podczas odrabiania lekcji? – pyta.
- Ja – krzyczy ta mniejsza i skacze na jednej nodze. – Ja, ja, ja.
- Okej, jak zaczniesz odrabiać lekcje, przygotuję nam coś do zjedzenia.

Rosa pada na podłogę, otwiera tornister i rozrzuca ołówki i kredki po zielonym dywanie. Chwilę później, klęcząc, zaczyna kolorować kartkę z pełnym skupieniem wysiłkiem, podczas gdy jej siostra siada przy stole w kuchni i otwiera książki. Kiedy dziewczynki pracują, Dalila przegląda szafki. Znajduje parę jabłek oraz jeden batonik Mars. Kroi je na kawałki i układa na zmianę wokół obwodu talerza: plasterki jabłka, kawałki czekolady.

Wchodzi Ma'aza z ręcznikiem owiniętym wokół tułowia oraz drugim na głowie. Dalila i obie dziewczynki siedzą na wykładzinie pośrodku jej pokoju. Dalila czyta na głos jakąś bajkę, dzieci zginiatają w palcach kawałki batonika.

Ręce Ma'azy wędrują na biodra.

- To dzieci sąsiadów – mówi Dalila.
- Wiem, kim są.
- Czy pani to ta pani, która mieszka z Irene? – pyta Rosa.
- Tak, to ja. Jestem Ma'aza.
- Irene czyta nam bajkę.
- Widzę – odpowiada Ma'aza, rzucając Dalili przeciągłe, lodowate spojrzenie.
- Myślę, że pani Ma'aza jest troszkę zmęczona – zwraca się Dalila do dziewczynek. – Kto chciałby dokończyć słuchanie bajki w moim pokoju?
- Ja, ja – woła Rosa.

Dalila wstaje i oznajmia:

- Ale wcześniej musimy posprzątać te wszystkie ołówki i włożyć je do torby. Okej?

Kiedy dziewczynki pakują swoje szkolne tornistry, Dalila wyciąga Ma'azę do

przedpokoju.

– Przepraszam – szepcze – ale ich matka przyprowadziła je przed chwilą. Mówiła, że zmieniono jej termin zameldowania. Co miałam robić?

Ma'aza wciąga powietrze przez nos.

– Jak długo zostaną?

Dalila zerka za siebie, na kuchnię.

– Chyba z godzinę, tak sędzę. Ojciec powinien po nie przyjść. Przepraszam, Ma'azo, nie chciałam...

– W porządku. – Ma'aza machnięciem ręki zbywa przeprosiny. – One cię lubią. To widać. Lepiej, żeby tu zostały niż siedziały same w mieszkaniu.

Dalila kiwa głową.

– Tak, ale będę je trzymać z dala od twojego pokoju.

– W porządku, naprawdę jest w porządku – zapewnia Ma'aza. – Nie jestem zła, tylko zmęczona. A obecność dzieci dobrze ci robi. Wszystko gra.

W swojej sypialni Dalila siada na łóżku, opierając się plecami o ścianę. Dziewczynki zajmują miejsca po jej obu stronach. Gdy Dalila ma już wrócić do czytania bajki, Rosa pyta:

– Dlaczego nie masz włosów?

– Mam włosy. Tylko bardzo krótkie.

– Ścinasz je sobie wszystkie?

– Tak.

– Mogę dotknąć?

– Możesz.

Dziewczynka gramoli się na kolana Dalili, jej paluszki badają skórę na czaszce młodej kobiety.

– Ale fajne – mówi Rosa. – Też chcę takie mieć.

Dalila śmieje się i mówi:

– A ja chciałabym mieć takie włosy, jak twoje.

– To może się zamienimy? – proponuje Rosa, łapiąc garść swoich loków i przesuwając je ku twarzy Dalili.

– Już wiem – woła Parla. – Ty stań za nią i przyłóż jej włosy do głowy.

Na te słowa całą trójkę ogarnia ekscytacja. Rosa podskakuje i staje na łóżku za Dalilą, a potem umieszcza policzek na szczycie jej głowy. Gęste, niesforne loki spływają po twarzy Dalili.

Parla wybuchła śmiechem i sięga po telefon.

– Zrób zdjęcie. Zrób zdjęcie – piszczy Rosa.

Dalila pokłada się ze śmiechu, układając falę włosów po jednej stronie swojej buzi, i czuje przez chwilę, że ów śmiech grozi wylewem łez. Lecz tak się nie staje. Telefon Parli wydaje dźwięk trzaskającej migawki, kiedy dziewczynka robi jedno zdjęcie za drugim. Emocje w Dalili opadają.

– Pokaż. Chcę zobaczyć. Pokaż mi – woła Rosa, zeskakując z łóżka i chwytając telefon. Pohukuje i pada na podłogę, przewraca się na plecy w ataku śmiechu. – Daj Irene, niech zobaczy – nalega. – Pokaż jej.

Dalila bierze komórkę i spogląda na ekran. Patrzy na nią lekko uśmiechnięta kobieta z czarnymi włosami opadającymi na twarz. Chuda, niepewna siebie kobieta, którą rozpoznaje z trudem.

Kiedy Olcay wraca, ma zaczerwienione oblicze. Zacierza z zimna ręce, a jej oczy lustrują mieszkanie Dalili w poszukiwaniu córeczek.
– Zrobię herbaty – proponuje Dalila.

Na widok matki Rosa natychmiast wstaje z łóżka i biegnie ją uściskać. Parla także schodzi i czeka w korytarzu, przyglądając się mamie uważnie.

Dalila ponownie proponuje herbatę, patrząc na Parłę, aby przetłumaczyła.

Dziewczynka odzywa się do matki po turecku, a potem zwraca do Dalili:

– Musimy iść. Ale mama mówi, że zawsze jesteś u nas mile widziana i mogłabyś nas teraz odwiedzić.

Cała czwórka przesuwa się w stronę sąsiedniego mieszkania; matka i córki dyskutują o czymś po turecku. Dalila odnosi wrażenie, że omawiają plan na ten wieczór i każda zna już swoje zadania.

Dalila siada przy kuchennym stole, Olcay wstawia czajnik na herbatę. Dziewczyna patrzy, jak kobieta porusza się po kuchni, wkłada udka kurczęcia do piekarnika, kroci warzywa i myje naczynia. Pracuje z zapalem, jakby chciała odpędzić jakieś myśli albo może zaznaczyć w tej kuchni swoją pozycję tak stanowczo, by wszystko, co jest na zewnątrz, stało się całkiem odległe.

Z łazienki dobiega dźwięk wody lejącej się do wanny oraz głosy dziewczynek, rozprawiających z ożywieniem. Po chwili do kuchni wchodzi Parla z naręczem brudnych rzeczy do prania. Mówi po angielsku:

– Rosa się kąpie. Jest jeszcze trochę soku?

Wrzuca odzież do pralki. Potem otwiera lodówkę, czujnie lustruje półki i zamyka drzwi.

Po raz pierwszy tego wieczoru Olcay zwalnia. Wyciera dłonie o ścierkę i opiera się biodrem o kontuar. Matka i córka rozmawiają po turecku, przyciszonym głosem, tak aby mała w wannie ich nie słyszała. Dalila obserwuje

je, zastanawiając się, czy w ogóle powinna tu jeszcze być, lecz uczucie przynależności do kobiecego kręgu, w którym omawia się coś ważnego, jest czymś, czego nie chce stracić.

– Wszystko w porządku? – pyta Parłę, zaskakując tym samą siebie.

Dziewczynka wykrzywia usta w sposób, który wskazuje, że sprawa jest trudna, że są pewne problemy, na które nie ma łatwych odpowiedzi.

– Dostaliśmy odmowę – odpowiada.

Dalila przesuwa wzrok z córki na matkę, nie bardzo wiedząc, co to miało znaczyć.

– W zeszłym tygodniu odrzucili nasz wniosek o azyl – wyjaśnia Parla. – Powiedzieli, że musimy wracać do Turcji. Wczoraj zmienili moim rodzicom terminy meldowania się i przestali dawać nam pieniądze. Wszyscy są zdenerwowani, bo my nie możemy wrócić. Przecież moja siostra urodziła się tutaj.

Olcay siada przy stole. Jest jasne, że rozumie po angielsku więcej, niż potrafi powiedzieć. Mówi coś po turecku do córki. Parla spogląda na Dalilę i tłumaczy:

– Mama chce ci podziękować, że dziś się nami opiekowałaś.

– Nie ma problemu – mówi Dalila. – Ma pani urocze dzieci.

Olcay kiwa głową z podziękowaniem. Mówi coś jeszcze do córki, a Parla znów tłumaczy:

– Mama myśli, że kiedy zmieniają terminy meldowania się, to jest znak, że chcą nas wyrzucić z tego kraju. – Słucha swojej mamy, po czym dodaje: – Oni tak postępują. To jest pułapka. Zmieniają terminy meldowania się na popołudnie, po szkole, żeby wszystkie mamy musiały przychodzić z dziećmi. Wtedy mają wszystkich. Wsadzają nas do dużych samochodów i wywożą do ośrodka internowania. A potem samolotem do Turcji. To już się przydarzyło wcześniej innym rodzinom. Tak zrobili rodzinie mojej koleżanki ze szkoły, Dżamili. Są już z powrotem w Somalii.

Matka mówi, a córka słucha i przekazuje jej słowa Dalili:

– Mama chce, żebyśmy przychodziły do ciebie, kiedy ona musi się meldować, jeśli ci to nie przeszkadza. Tak jest bezpieczniej. Nie deportują samych rodziców, bez dzieci.

Dalila kiwa głową.

– Oczywiście, zawsze się nimi zajmę. Kiedy będzie trzeba.

Przez chwilę wszystkie trzy siedzą i patrzą na siebie. Uśmiechają się, słuchając, jak mała Rosa rozmawia ze sobą w wannie. Dalila jest zaskoczona, że tak szybko okazano jej zaufanie.

– Co można zrobić? – pyta.

Olcay rozumie to pytanie bez konieczności tłumaczenia. Za pośrednictwem córki wyjaśnia, że chyba nic. Ich prawnik złożył odwołanie, jednak nadzieja na pozytywny wynik jest niewielka. Odmawiają prawie wszystkim, ostatnio pojawiły się też pogłoski, że przychodzą o świcie.

– Co to znaczy? – pyta Dalila.

Parla odpowiada jej bezpośrednio, nie czekając na matkę.

– To znaczy, że ludzie z imigracyjnego przychodzą do ciebie do domu. Przychodzą wcześniej rano, wyłamują drzwi i wszystkich zabierają. Zabrali na przykład jeszcze jedną moją koleżankę. Dzwoniłam do niej do ośrodka internowania, opowiedziała mi o tym. Mówiła, że przyszli bardzo wcześnie. Było ich bardzo wielu, wyglądali jak policja albo wojsko. Wszystkich obudzili, kazali się ubierać, a potem wsadzili ich do vana. Jechali gdzieś bardzo daleko, chyba do Anglii. Tam umieścili całą rodzinę w ośrodku. Koleżanka opowiadała, że ojcu założyli kajdanki i że po wielu godzinach spuchły mu ręce, nie mógł ruszać palcami.

Olcay zwraca się do Parli i każe córce przetłumaczyć.

– Mama mówi, że ludzie z imigracyjnego zawsze przychodzą w zimie. Wcześniej rano, bo wiedzą, że wtedy cała rodzina jest w domu. Dlatego niektórzy

śpią teraz na schodach. Znasz te schody koło windy?

– Droga ewakuacyjna na wypadek pożaru? – upewnia się Dalila.

– Tak. Spędzają tam całą noc, nasłuchują kroków. Tam jest bardzo zimno, czasem zanosimy im herbatę.

– Co będzie, jak was odeślą? – pyta Dalila.

Parla wzrusza ramionami i mówi:

– My nie możemy wrócić. Poza tym niedługo mam egzaminy, więc muszę zostać.

Olca patrzy prosto na Dalilę i zaczyna opowiadać swoją historię. Parla tłumaczy każde słowo.

– Mój tata jest dobrym człowiekiem. Przez całe życie wstaje bardzo wcześnie, myje się, goli, a potem ubiera do pracy. Nawet w tym kraju wstaje rano, wkłada garnitur i wychodzi. Mama mówi, że jest pełen godności. Zapewnił swojej żonie dom, a córkom kształcenie. Pracował na lotnisku w Turcji, sprawdzał dostawy z różnych samolotów. Był celnikiem. Pewnego dnia współpracownicy kazali mu podpisać odbiór skrzyń, których nie było na liście. Poprosili go o to, ponieważ nasza rodzina jest chrześcijańska. Ci ludzie powiedzieli, że znają jego adres i wiedzą, że ma dwie córki, więc lepiej, żeby podpisał. – Parla opowiada tę historię ze zdystansowaną nonszalancją, która wskazuje, że robiła to już wiele razy. – Mój tata odmówił – ciągnie – ze względu na swój honor. Poszedł do kierownika i złożył skargę, poinformował ochronę lotniska o tych złych ludziach. Następnego ranka – tłumaczy Parla bez oglądania się na matkę – kiedy się obudziliśmy, taty samochód cały się palił. Tata zadzwonił na policję, ale oni nie mogli nic zrobić. Kiedy poszedł do pracy, zaczęli mu grozić. Jego szef powiedział, że powinien podpisać te papiery i o nic się nie martwić. Ale tata nie chciał tego zrobić.

Kiedy Olca mówi, drżą jej ręce. Dalila czuje, jak historia tej kobiety wdziera się siłą do jej serca.

– Dwa dni później znaleźliśmy przed naszym domem trzy kotki z rozciętymi brzuchami.

Dalila zerka na Parłę, która tłumaczy również takie szczegóły. Dziewczynka nie okazuje żadnych emocji, koncentruje się po prostu na przepływających przez nią zdaniach.

– Tata wyjął pieniądze z banku, kupił nowy samochód, a mama spakowała nasze ubrania i zdjęcia do walizek. Wyjechaliśmy w nocy. Przebyliśmy całą Europę, bo wylot samolotem z Turcji nie był bezpieczny. Mój wujek mieszka tutaj, w Glasgow, dlatego chcieliśmy się u niego zatrzymać. Kiedy przyjechaliśmy, okazało się, że w jego mieszkaniu jest za mało miejsca. Wujek powiedział, że musimy wystąpić z wnioskiem o azyl, wtedy nam pomogą. Więc teraz jesteśmy tutaj.

Dalila kiwa głową, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Gdzie jest teraz twój tata? – pyta.

– Chyba na zajęciach z obsługi komputera – odpowiada Parla. – Zawsze gdzieś wychodzi, na lekcje angielskiego, do biblioteki, do Internetu albo posiedzieć z innymi panami w kawiarni.

Olcaj coś mówi, lecz jakby do siebie. Parla i tak tłumaczy:

– Tata jest smutny. Mówi, że to jego wina, że tu jesteśmy, że przez niego tak cierpimy. Chce, żeby wszystko było dobrze. Ale nic nie może zrobić, ponieważ wracać jest niebezpiecznie, a jemu nie wolno tutaj pracować. To dla niego bardzo zły czas.

Rosa woła z łazienki, matka jej odpowiada. Chichocząc, dziewczynka wbiega do kuchni z ręcznikiem narzuconym na ramiona i mokrymi, wyprostowanymi włosami, które zwisają jej przy twarzy. Olcaj wstaje i zaczyna strofować ją po turecku; Rosa jęczy i ucieka z kuchni, pozostawiając mokre ślady stóp na linoleum. Gdy matka idzie za nią, Parla zwraca się szeptem do Dalili:

– Obawiamy się o tatę. To dobry człowiek... tylko za bardzo smutny. Mama

sądzi, że on może spróbować wrócić do Turcji sam, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo tutaj. Ale jeśli pojedzie...

Parła zerka w kierunku łazienki, z której dobiegają odgłosy, po czym wraca wzrokiem do Dalili.

– Boję się bardzo o tatę.

Dalila naliczyła trzynaście deszczowych dni. Trzynaście dni bez słońca. Niekiedy w powietrzu unoszą się nieruchomo tylko pasma wilgoci. A czasem deszcz moczy miasto do suchej nitki.

Spaceruje codziennie.

Bywa, że zabiera ze sobą parasolkę Ma'azy, chowa się pod jej żółtą czaszą. Są też dni, kiedy – wierząc, że blade niebo nie wyda z siebie deszczu – wędruje pod wiatr, ubrana w swą puchową kurtkę i wełnianą czapkę, lecz i tak wraca mokra.

Nic się nie zmienia. Wszystko jest takie samo. Jeden dzień przypomina kolejny zionący pustką.

Dwa razy w tygodniu chadza do Festival Court i godzinami siedzi w poczekalni z innymi ludźmi, takimi jak ona, zanim wreszcie namagnesują jej ARC. Potem idzie na pocztę w prawie opustoszałej galerii handlowej i odbiera pieniądze.

W bibliotece przesuwają niekończące się nowe wpisy na Facebooku. Muthoni jest jej oparciem. Przy każdej wizycie czeka na Dalilę nowa wiadomość. Piszą ze sobą jak szalone, mówiąc sobie wszystko, co jest do powiedzenia, aż kończy jej się czas i musi wyjść z biblioteki. Po wielu takich popołudniach Dalila stwierdza, że zostało powiedziane już wszystko i wieści od Muthoni są coraz krótsze. W niektóre dni siedzi samotnie przed komputerem i klika zdjęcia na Facebooku. Każde z nich to witryna życia, które kochała i które chce odzyskać, lecz także przypomnienie, że została z niego usunięta.

W parku depte rdzawe jesienne liście, porzucane po asfaltowych alejkach, chodzi po zielonej trawie między starymi drzewami, przesuwając palcami w rękawiczkach po ich korze. W dobre dni czuje, jak obmywa ją ich pradawny spokój.

W trakcie spacerów lubi się zatrzymywać na estakadzie zawieszanej nad

autostradą i podziwiać trzy strugi białych świateł zmierzających ku niej, podczas gdy po drugiej stronie pasma zieleni, oddzielającego jezdnie, czerwone światła stopu szybują w przeciwnym kierunku. Wszystko to w idealnych rzędach. Schludnych i karnych, tak odmiennych od chaosu w ruchu ulicznym Nairobi.

W supermarkecie dotyka niezwykle małych owoców i warzyw, próbując się zorientować, czy są już dojrzałe. Kupuje mleko, herbatę, chleb, chrupki i jabłka. W jej kraju jabłka stanowiły rzadki przysmak, lecz tutaj są ich całe skrzynki, różne gatunki, w dodatku zawsze dobre. W drodze do domu mija zrujnowany wieżowiec mieszkalny, którego ściany pokryte tapetą narażone są na działanie żywiołów. Niestrudzony dźwig zdziera i skubie beton, Dalila codziennie widzi postęp w jego pracach burzących.

Chodzi do centrum miasta, gdzie ludzie są dla siebie w sposób wyraźny życzliwi. Palą papierosy i rozmawiają przed pubami. Wołają do siebie z drugiej strony ulicy. Przyjaciele siedzą ramię w ramię w oknach kawiarni i pokazują coś sobie na telefonach.

Na placu Dalila przysiada na ławce, jak jakaś turystka bądź starsza osoba, i obserwuje ludzi, którzy spieszą z jednego miejsca w drugie, wiedzeni koniecznością, ciągle coś załatwiają. Plac jest pokryty czerwonym asfaltem. Jego milczącą dekoracją są posągi i ozdobne budynki. Nie widać ani jednego drzewa, krzewu czy klombu. Tylko gołębie, dziobiące beton, przypominają o istnieniu świata przyrody.

W tym ogólnym hałasie ona zachowuje milczenie.

Ludzie są dla niej obcy, ich historie i zmagania pozostają przed nią ukryte. To, co o nich wie, może się różnić od tego, co naprawdę w nich tkwi. Siedząc na tym placu, czuje, że jej dom jest daleko stąd, wydaje się nierealny. Próbuje – pośród tych wszystkich bladoliczych osób – przypomnieć sobie twarze matki i ojca.

Nie siedzi tam zbyt długo, zawsze odczuwa potrzebę kontynuowania marszu.

Kiedy wraca z centrum miasta, wybiera ścieżkę prowadzącą wzdłuż rzeki Clyde. Nie widać, by woda płynęła jakoś zdecydowanie w określonym kierunku, łódzie i stateczki rzadko przecinają jej smaganą wiatrem powierzchnię, ale rzeka zaznacza swoją obecność, niesie brązowoszary spokój, zbudowany na prądach i wirach ogromnej mocy. Bliskość wody odmienia ludzi. Rowerzyści, pedałuący pod wiatr, szybko kiwają Dalili głowę, a niektórzy piesi, ci starsi, mówią jej nawet „dzień dobry”. Powietrze niesie gnilną woń wodorostów, oleju silnikowego oraz deszczówki, utrzymującej się w równych rowkach pomiędzy płytami chodnika.

Dziewczyna idzie dalej, aż zatracą samą siebie albo czuje, że musi na nowo się poznać. Podczas dłuższych spacerów zastanawia się, czy zgubić i znaleźć nie znaczy przypadkiem to samo.

Daniela nie widziała już prawie tydzień. Pisze do niego esemesa, proponując, żeby się wybrali na krótki spacer. Po godzinie Daniel wciąż nie odpowiada. Dalila wysyła mu kolejnego esemesa z pytaniem, czy wszystko okej. Tym razem odpowiedź przychodzi.

Po prostu jestem zmęczony.

Mimo wszystko postanawia pójść na spacer. Może przez park, zobaczyć, jak liście zmieniają kolory. Zatrzymuje się, aby zawiązać sznurówki, wyjmuje telefon i ponownie czyta odpowiedź Daniela.

Dzwoni do niego. Nie odbiera.

Pięć minut później puka do drzwi starego mężczyzny. Czeka, znowu puka. Czyżby spał? Może nie czuje się dobrze, więc najlepiej chyba zostawić go w spokoju, niech odpoczywa. Jednak Dalila podchodzi bliżej drzwi i nasłuchuje. W jej żołądku wzbiera dziwny niepokój. Znowu dzwoni do Daniela, lecz tym razem słyszy jego telefon we wnętrzu mieszkania. Puka do drzwi i woła:

– Danielu? To ja, *baba* Dan. Proszę, podejdź.

Podnosi klapkę skrzynki na listy i zagląda do ciemnego mieszkania. Coś się w nim porusza.

– Wiem, że tam jesteś, Danielu. Proszę, chodź do mnie.

Raz jeszcze dzwoni do niego. Melodyjka telefonu w mieszkaniu jest teraz głośniejsza. Dziewczyna pochyla się, zagląda przez skrzynkę na listy i widzi zbliżającego się Daniela.

Mężczyzna otwiera drzwi i robi krok do tyłu. Jest nieogolony, nie nosi okularów. Komórka w jego ręku ciągle dzwoni.

– Jesteś chory, Danielu? Martwiłam się.

On patrzy gdzieś obok dziewczyny, a potem zerka w głąb mieszkania.

Dalila podnosi swój telefon i gasi połączenie wychodzące. W nagłej ciszy Daniel wzdycha:

– Jestem po prostu bardzo zmęczony.

Jego oczy nadal nie chcą się spotkać z jej wzrokiem.

– Mogę wejść?

Daniel cofa się od drzwi.

Dalila wchodzi do środka i rozwiązuje sznurówki butów. Mężczyzna znika w korytarzu. Mieszkanie jest ciemne, trąci stęchlizną oraz tym szczególnym zapachem starych ludzi. Jest mniejsze niż to, które dziewczyna dzieli z Ma'azą. Przedpokój, łazienka, pokój w kształcie litery L i aneks kuchenny. To wszystko. Podłogę zaśmiecają stare opakowania po rybie z frytkami. W rogu leżą rzucone skarpetki i części bielizny, spodnie zwisają z poręczy kanapy. Zlew jest pełen brudnych naczyń. Drzwi lodówki są lekko otwarte, na brudne linoleum kapie woda.

Daniel siedzi na łóżku. Przez ciemne zasłony przepycha się słabe światło popołudnia.

– Jesteś chory, Danielu? Nie wyglądasz dobrze.

– Nic mi nie jest. – Unosi głowę, lecz jego oczy nie mogą spocząć na żadnym przedmiocie. – Po prostu jestem... zmęczony. Przykro mi, że widzisz mnie w tym stanie.

Dalila kuca przed nim.

– Ja też czasem jestem zmęczona – mówi. – Może powinieneś jeszcze trochę odpocząć? Kiedy będziesz gotowy, przygotuję herbatę.

Pomaga Danielowi położyć się na łóżku.

Zdejmuje kurtkę i wiesz ją na haczyku na drzwiach wejściowych. Łazienka jest brudna. Zaschły mocz na sedesie i na podłodze. Włosy zebrane w kącikach za drzwiami. Obwódka brązowego osadu na wannie. Pleśń między kafelkami. Pusta tubka pasty do zębów na umywalce, obok cieniutkiego kawałka mydła. Za

sedesem tkwią środki czyszczące; Dalila wyciąga je i zaczyna szorować. Najpierw wannę i kafelki wokół niej, potem przechodzi do umywalki, a następnie do toalety. Klęka i małą ryżową szczotką czyści podłogę.

Kiedy wszystko jest wysprzątane, Dalila przygotowuje kąpiel i idzie sprawdzić, co z Danielem. Znajduje go siedzącego na łóżku. Na jej widok mężczyzna sięga po okulary.

– Jeszcze tu jesteś? – pyta.

– Tak. Nie masz nic przeciwko temu?

Daniel zakłada okulary i kładzie ręce na kolanach.

– Nie mam nic przeciwko – odpowiada.

– Przygotowuję ci kąpiel. Mnie pomaga, kiedy czuję się... zmęczona. Może chciałbyś spróbować?

– Sam nie wiem.

– Spróbuj.

– Okej.

– Później, jak już się wykąpiesz, może napijemy się razem herbaty. Zrobię ją po kenijsku – proponuje Dalila z uśmiechem.

– Tak. – Daniel delikatnie pociera swoje kolana. – Taka herbata jest najlepsza.

– Chodź. Kąpiel prawie gotowa. Masz czysty ręcznik?

Nie podnosząc wzroku, Daniel na coś wskazuje.

– W szafce – mówi.

Dalila bierze ręcznik i zanosi go do łazienki. Zakręca kran, wieszka ręcznik i włącza wentylator. Kiedy Daniel wchodzi, ona znika, zamykając za sobą drzwi.

Rozsuwa zasłony i otwiera okno w pokoju. W nowym świetle widzi taką samą zieloną wykładzinę, jak w jej mieszkaniu, taką samą, jak w mieszkaniu Erdemów. Lecz u Daniela zalegają śmieci, okruchy i szare kłaczki. Między nimi

powstała wąska ścieżka, którą mężczyzna wędrował od łóżka do aneksu kuchennego i z powrotem.

Zdejmuje z łóżka pościel, zbiera brudne ubrania z podłogi i całe to naręczę wciska do pralki. W szafce pod zlewem znajduje detergent.

Otwiera okno w kuchni i pozwala rześkiemu powietrzu wpłynąć do mieszkania. Zwija opakowania po rybie z frytkami w ciasne pliki, po czym wrzuca je do kosza. Dwa pudełka po pizzy składa na pół i także wsuwa do pojemnika na śmieci. Pudełka po nachosach i herbatnikach, trzy puszki po piwie oraz stos starych gazet – wszystko trafia do kosza. W lodówce znajduje zepsute mleko oraz dwa spleśniałe pomidory i pół opakowania poszarzałej szynki w plasterkach. Usuwa zastałą pomarańczową wodę na dnie lodówki, czyści półki, a następnie zbiera wszystkie kubki, talerze i sztućce, porozrzucane po pomieszczeniu. Zmywa naczynia i zostawia je na plastikowej suszarce.

Jedynę pożywnie w kuchennych szafkach to cztery puszki zupy ogonowej oraz połowa krojonego białego chleba pokrytego pleśnią.

Dalila wyrzuca chleb i rozgląda się, co jeszcze mogłaby zrobić. Słyszy, że mężczyzna przewraca się w wannie. Na lodówce leżą klucze Daniela. Łapie je i wychodzi.

Po powrocie do swojego mieszkania wsadza do lewej kieszeni kurtki herbatę, a do prawej ćwiertć torebki cukru i kawałek imbiru. Z szafy wyciąga odkurzacz i z wysiłkiem zanosz go do windy.

Odkurzacz grzechocze po chodniku, kiedy Dalila ciągnie go w stronę sklepu na rogu. W portfelu ma dość pieniędzy, żeby kupić litr mleka oraz bochenek krojonego chleba, ale na herbatniki już jej nie wystarcza. Kiedy płaci, Polka za ladą ani razu nie rzuca okiem na odkurzacz.

Gdy dziewczyna wraca do mieszkania Daniela, zastaje go gładko ogolonego, w koszuli w biało-niebieską kratkę, wetkniętej w zielone sztruksowe spodnie. Jest bosy, bezmyślnie bawi się czajnikiem.

– Wyglądasz lepiej – mówi Dalila.

Na jej widok mężczyzna siada na stołku i oznajmia:

– Czuję się też trochę lepiej.

– Kupiłam mleko i chleb.

– To dobrze. Tak. – Daniel wstaje i drapie się w głowę. – Chyba mam... – Podchodzi do szafki i otwiera ją, lecz ta okazuje się pusta. Zagląda do następnej.

– Wiesz co, byłem pewny, że mam trochę... Tak, są tu, parę zup ogonowych. Odkryłem, że to najlepszy sposób, żeby odzyskać siły, kiedy człowiek jest zmęczony. Chciałabyś zostać na kolacji, Dali?

– Byłabym zaszczycona – odpowiada dziewczyna. – Może podgrzejemy zupę w garnku, a ja tymczasem szybko odkurzę podłogę.

– Nie, nie. Już się napracowałam. Poza tym, obecny tu starzec zna się na maszynach lepiej niż na kuchni. – Daniel bierze odkurzacz, podłącza go do prądu i zaczyna przesuwac szczotką po wykładzinie. Czyści poręcz kanapy, odkurza również przedpokój, podczas gdy Dalila miesza zupę na gazie. Ustawia na stole dwie miski, a na talerzu kładzie pokrojony chleb.

Jedzą razem w milczeniu. Dalila przygląda się rękom Daniela w poszukiwaniu oznak choroby, zastanawiając się, przez co ten człowiek przechodzi.

Daniel skupia się na jedzeniu.

Dziewczyna zbiera puste naczynia i wstawia je do zlewu. Podgrzewa mleko z imbirem do herbaty, a kiedy jest gotowe, zanosz Danielowi kubek.

– Dziękuję – mówi mężczyzna.

– Proszę bardzo, *baba*.

Po raz pierwszy tego dnia Daniel patrzy prosto na nią.

– Dziękuję ci, sestro – powtarza i nagle jego oczy wypełniają się łzami.

– Nie ma za co.

– Stary głupiec ze mnie. Nic mi nie jest... a potem czasem nie mogę...

– Rozumiem.

– ...czasem nie mogę przejść przez drzwi wejściowe.

Dalila odkłada swój kubek.

– Jeśli to się znowu stanie, kiedy będziesz czuć, że... że nie możesz przejść przez te drzwi, po prostu do mnie zadzwoń.

– Nie wiem, jak to się dzieje. – Daniel przygląda się zawartości swojego kubka. – Ja tylko...

Dalila bierze go za rękę.

– Pamiętasz, jak postawiłeś mi tę bułkę z bekonem i mówiłeś o *ubuntu*? Powiedziałeś, że mogę czuć się dobrze tylko wtedy, gdy ktoś inny ma się dobrze.

Podnosi na nią wzrok i kiwa głową.

– Więc następnym razem, kiedy poczujesz się w ten sposób, zadzwonisz do mnie, okej?

– Okej.

Dalila otwiera oczy, w pełni przytomna, z napiętymi zmysłami. Między zasłony wdziera się granatowy przedświt. Pozostają w niej jeszcze pasemka snu, czekając tuż za drzwiami jej myśli. Dotyka językiem warg i przewraca się na bok, ciasniej otula ramiona kocem, poprawia poduszkę pod krzywizną szyi.

Na zewnątrz, w holu, z brzękiem otwierają się drzwi windy. Skrzypią również te prowadzące na schody przeciwpożarowe. Na stopniach słycać kroki, bardzo ostrożne, stawiane z rozmysłem.

Dalila unosi głowę.

Zza drzwi wejściowych dochodzi szuranie, chyba też szepty.

Wstrzymuje oddech, aby lepiej słyszeć.

Trzy uderzenia w drzwi otwartą dłonią.

– Urząd Imigracyjny! – krzyczy męski głos. – Otwierać. Otwierać. Otwierać!

Dalila wytacza się z łóżka, strącając szklankę z wodą na podłogę, po czym wpełza pod nie tyłem, aż dotyka plecami ściany. Przyciąga kolana do piersi, mięśnie karku napinają się sztywno. Sprężyny łóżka wiszą tuż nad jej twarzą.

– Urząd Imigracyjny! Wiemy, że tam jesteście, więc otwierać natychmiast. Otworzyć drzwi!

Zza ściany dochodzi krzyk; nagłe hałasy przestraszyły małą Rosę. Funkcjonariusze również go słyszą, walenie w drzwi się wzmacnia, jest dłuższe.

– Musicie otworzyć te drzwi. Jesteśmy z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Jej Królewskiej Mości. Chcemy porozmawiać. Otwierajcie.

Serce Dalili łomocze w klatce piersiowej, krew tętni w szyi, w uszach, zagłuszając walenie. Dziewczyna owija pięści kocem, zaciska zęby.

– Nic wam nie zrobimy. Ale jeśli nie otworzycie drzwi, będziemy zmuszeni je wyważyć. Otwierać. Ale już!

Nie reaguje, nie może. Z boku leży rozbita szklanka po wodzie, wykładzina wokół niej jest ciemna i mokra. Może, jak będzie siedzieć cicho, zrezygnują i sobie pójdą? Może uznają, że nikogo nie ma w domu? Jeśli zachowa milczenie, może zajmą się kolejną sprawą do załatwienia, a z czasem w ogóle o niej zapomną?

Kręci głową, zła na siebie za te mrzonki. „Oni nadchodzą, Dalilo” – mówi sobie w duchu.

Ogarnia ją chęć ucieczki, pragnienie, aby biec jak najszybciej, jak najdalej, w pełni kontrolując własne ciało i kierunek, w którym zmierza. Ale drzwi wejściowe są zablokowane, a te drugie prowadzą na mały balkon, siedemnaście kondygnacji nad ziemią. Może udałoby jej się wspiąć albo przeskoczyć na balkon sąsiadów? Wyobraża sobie, jak mroźne powietrze poranka przenika jej nocną koszulę, a bose stopy balansują na balustradzie. Gdyby udało jej się zejść, a potem wydostać na zewnątrz, nogi poniosłyby ją przez wczesnoporanne ulice, przez boiska piłkarskie, przez peryferia, po prostu by biegła, długimi krokami. Wiele mil.

Walenie pięścią w drzwi. Potem głos:

– Otwierać!

Ma zamiar spróbować drogi przez balkon. Łapie powietrze krótkimi haustami, ramiona nie przestają drżeć.

Otwierają się drzwi jej sypialni. Dalila piszczy, kopie, wciska się głębiej w róg pokoju pod łóżkiem.

– Dalilo, siostró, nie bój się. To ja, Ma’aza – rozlega się kobiecy szept.

Bose stopy podchodzą do łóżka.

– Dalila? Gdzie jesteś?

Ma’aza dotyka materaca. Klęka i zagląda pod łóżko.

– Już dobrze. Nie bój się.

Dalila wydycha powietrze, krótko i ostro.

– Co się dzieje? – pyta. – Zabiorą nas? – Gdy mówi, łyży stają jej w gardle. Ma'aza przykłada palec do ust.

– Ciiii. Biorą tylko jedną rodzinę naraz. Dzisiaj jesteśmy bezpieczne. Jesteśmy bezpieczne.

Dalila spogląda na nią, ale się nie porusza.

Ma'aza pokazuje na swoje ucho, a potem na ścianę. Nasłuchują razem. Dobiega je płacz, zawodzenie dzieci, słowa wypowiedane po turecku.

– Przyszli zabrać rodzinę Erdemów – mówi Ma'aza.

Funkcjonariusze walą w drzwi jeszcze trzy razy i przestają. Tym razem Dalili łatwiej jest odróżnić poszczególne dźwięki, bo przecież nie dobijają się do jej mieszkania, tylko sąsiadów. Do drzwi Erdemów. Zza ściany rozlega się pełen strachu krzyk. Krzyk dziecka. Dalila sądzi, że to mała Rosa. Kolejne walenie do drzwi. A potem głos z wnętrza mieszkania sąsiadów.

– Okej. Ja... otwieram... drzwi. Poczekajcie.

To głos Olcay. Licząc, że będzie słyszeć wyraźniej, Dalila przewraca się na plecy i gapi prosto, poprzez ciemność, w ledwie widoczną siateczkę sprężyn.

– My... się... ubieramy – dochodzi do niej głos Olcay.

– Nie. Natychmiast otwierać drzwi! Nic nie zrobimy ani pani, ani rodzinie, ale proszę koniecznie otworzyć, w tej chwili.

We wnętrzu tamtego mieszkania słychać szuranie i ruch. Przez ściany sączy się gorączkowa energia pospiesznych czynności; Dalila z całych sił próbuje nadać tym dźwiękom jakiś sens. Czy to bosa stópki w przedpokoju? Trzaskanie drzwiczek od kredensu w kuchni? Szepty? Przesuwanie czegoś ciężkiego? Łkanie? Wydaje jej się, że słyszy płacz Rosy.

– Ostatnie ostrzeżenie. Jeśli natychmiast nie otworzycie tych drzwi, to...

– Okej. Okej – mówi Olcay. – My... nie... robić kłopoty.

Na sekundę zapada cisza, nikt nie oddycha, wszyscy nasłuchują. Dźwięk

otwieranego zamka marki Yale, a potem łańcucha zdejmowanego z zatrzasku jest głośniejszy niż wszystkie inne odgłosy.

Tętent wielu butów wpadających do małego mieszkania, torujących sobie drogę przez korytarz od strony drzwi wejściowych. Liczne głosy mówiące jednocześnie. Wrzaski. Polecenia wykrzykiwane w stronę członków rodziny. Głosy funkcjonariuszy i funkcjonariuszek ponad łkaniem i płaczem Rosy i jej matki. Dla Dalili jest ważne ustalenie, ile osób porusza się teraz po tej ciasnej przestrzeni mieszkalnej. Wyobraża sobie, jak tamci następują na zabawki, otwierają szafki, przeszukują łazienkę, sprawdzają zawartość lodówki, rozsuwają zasłony.

Ma'aza dotyka jej ramienia.

– Już w porządku – szepcze. – Jest bezpiecznie. Wychodź. – Gestem każe Dalili wyczołgać się spod łóżka. – No chodź – mówi.

Powoli Dalila uwalnia się z płataniny pościeli i wypelza spod łóżka. Gdy tylko się pokazuje, Ma'aza ją przytula. Potem po prostu stoją w ciemnościach. Dalila czuje pod stopami cienką, szorstką wykładzinę. Pozwala swoim ramionom się wyprostować. Rozsuwa palce rąk, wyczuwa pokój, maca drogę przed kolejnym swoim ruchem.

– Dzisiaj jesteśmy bezpiecznie – mówi Ma'aza. – Rozumiesz? Biorą tylko jedną rodzinę naraz. Jesteśmy bezpieczne. Bądź silna, moja siostrze.

Dalila próbuje zapanować nad drżeniem i kiwa głową.

– Może powinniśmy wyjść?

– Nie – odpowiada Ma'aza. – Zostaniemy. Nigdzie nie będziemy wychodzić.

Z tego pokoju wszystko najlepiej słyhać.

Siadają na łóżku i przykładają głowy do ściany. W chaosie dźwięków i ruchów wyłapują niektóre zdania całkiem wyraźnie.

– Jesteśmy przedstawicielami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Jej Królewskiej Mości, mamy rozkazy natychmiastowego usunięcia...

- Ubierać się...
- ...zauważyć, że na terenie mieszkania są dzieci...
- Gdzie jest wasz ojciec?
- Mam tu nieletnich...
- Spokój!
- ...nie! Żadnych telefonów...
- Ja chcę... zadzwonić... do prawnika. – Dalila słyszy żądanie Olcay.
- Wasze telefony komórkowe zostają zajęte i złożone w depozycie, potem je wam zwrócimy. Poza tym jest niedziela. Rozumie pani, co to jest niedziela? Tak? Wasz prawnik dzisiaj nie pracuje. A teraz proszę włożyć coś na siebie.
- Gdzie jest wasz ojciec? Gdzie jest pan Erdem?
- ...nie, proszę niczego nie pakować. Nie wolno zabierać bagaży, tylko się ubrać i iść...

Kolejne walenie, szamotanina, tym razem bliżej.

Parla, starsza z córek, wrzeszczy nagle:

- Odejdź ode mnie! Nie dotykaj mnie!

Jej głos jest wyraźny, dobiega z bliska, z odległości kilku cali. Dziewczynkę oddzielają od Dalili tylko kremowa tapeta w kropki i zimny beton. W głosie Parli słychać większy gniew i śmiałość niż w tonie jej matki.

- Zostawcie mnie w spokoju! – krzyczy. – Nie zrobiliśmy nic złego. Czemu to nam robicie? My nic złego nie zrobiliśmy. Nie wolno wam tak postępować.

Odpowiada jej jakaś kobieta ze szkockim akcentem:

- Jak będziesz tak kopać, panienko, to cię zwiążemy. Przestań już płakać i spróbuj się uspokoić. Wszystko będzie dobrze. Zabieramy was do waszego prawdziwego domu.

- Ja nie mogę teraz wyjechać. Mam egzaminy w szkole i w ogóle.
- Ubieraj się i uspokój.

– Weźcie te łapy ode mnie! – krzyczy Parla. – Chcę iść do mamy.
– Nie, najpierw się ubierzesz. Na dworze jest zimno.
– Chcę do mamy. Mamo! Mamo!
– Cicho bądź! – krzyczy szkocka funkcjonariuszka. – Jak się nie uspokoisz, pierwsza wylecisz za drzwi, rozumiesz? Sama posiedzisz sobie w furgonetce i zaczekasz na resztę rodziny. Zrozumiałaś?

Milczenie.

– Pytam, czy zrozumiałaś? – W głosie kobiety słychać teraz więcej złości.
– Tak.
– To dobrze. Zdejmuj piżamę i ubierz się, jak należy.
– Okej, ale zamknijcie drzwi – mówi Parla.
– Nie. Drzwi będą otwarte. Musimy tu zostać z funkcjonariusz Mackenzie, kiedy ty się będziesz ubierać. Pospiesz no się!
– Nienawidzę was! – drze się Parla. – Jesteście jak psy. Gorszi niż psy!
– Ostrzegam po raz ostatni, mała. Przestań się tak wydzierać. Masz, wkładaj to. I lepiej włoż to też, bo na zewnątrz jest paskudnie, a czeka was długa podróż.

Z głębi mieszkania podnoszą się teraz inne głosy, z nową intensywnością.

Ma'aza chwytą Dalilę za rękę i prowadzi w kierunku drzwi wejściowych. Tu słychać wyraźniej. Opiera rozczapierzone dłonie na ścianie obok drzwi. Staje na palcach, ukazując łukowato zgięte podeszwy stóp, i przybliży oko do judasza. Żadna część jej ciała nie dotyka drzwi. Utrzymuje równowagę i patrzy.

Zza drzwi dochodzą głosy funkcjonariuszy, tupot ich butów na terakocie. Potem Dalila słyszy Olcay, gdzieś na półpiętrze. Brzęczy winda.

Ma'aza odwraca się i mówi:

– Zabierają matkę i tę małą. Popatrz.

Dalila przesuwa się w milczeniu w stronę drzwi. Kładzie rękę na ścianie i zagląda w otwór wizjera. Przez chwilę krótkoogniskowy obiektyw zniekształca

widok na półpiętro oraz ludzi stojących tuż pod drzwiami, lecz wzrok szybko się przystosowuje. Olcay i Rosy tam nie ma, pewnie zjechały windą. Pięciu mężczyzn i dwie kobiety z Urzędu Imigracyjnego nad czymś debatuje. Wyglądają jak policjanci, w czarnych mundurach, kamizelkach kuloodpornych i z kajdankami przy paskach. Jedna z kobiet trzyma podkładkę do pisania z klipsem. Ich język ciała wskazuje na zdenerwowanie. Gruby funkcjonariusz wskazuje na podkładkę i mówi innym, co mają robić.

Po drugiej stronie półpiętra otwierają się drzwi, z których wystawia głowę pani Gilroy. Ma na sobie bladoniebieski szlafrok i kapcie, jej białe włosy są rozczochrane, sterczą we wszystkie strony. Na ręku trzyma Toby'ego, który ustawicznie szczeka.

– Powinniście się wstydzić! – mówi pani Gilroy, wskazując palcem grupkę funkcjonariuszy. – Wy wszyscy! To haniebne, co robicie tej rodzinie. Absolutna cholerna hańba! To są porządni ludzie, a wy ich zaczepiacie. Nie macie prawa tego robić.

Jedna z funkcjonariuszek odwraca się i mówi:

– Proszę pani, rozumiemy, że może być pani zdenerwowana, ale ta sprawa pani nie dotyczy. Proszę wrócić do swojego mieszkania.

Toby szczeka i szczeka.

– Jak cholera mnie dotyczy! To są moi sąsiedzi. Dobrzy ludzie, a wam nie wolno wpadać do nich po nocy i robić im tego, co robicie.

– Niech się pani uspokoi. – Funkcjonariuszka unosi obie ręce, jakby chciała wepchnąć panią Gilroy z powrotem do mieszkania. – Jeśli chce pani wnieść skargę, proszę zrobić to na piśmie i wysłać ją do biura na Brand Street. Ale protestować trzeba spokojnie. Jeśli przeszkodzi nam pani w czynnościach, może pani zostać pociągnięta do odpowiedzialności. – Zbliżając się do pani Gilroy, funkcjonariuszka zmusza starą kobietę do wycofania się.

– Och, już wy usłyszycie, jak umiem protestować, i to od razu – krzyczy

staruszka, lecz chowa się we wnętrzu mieszkania. – To bezprawie, co się tu wyrabia. Mamy wolny kraj!

Na półpiętrze pojawia się jeszcze więcej funkcjonariuszy. Trzymają Parłę pod rękę i wloką. Dziewczynka opiera się histerycznie, chce wrócić do domu. Woła ojca, jakby stało mu się coś strasznego, jakby zginął. Trzyma się kurczowo futryny, wrzeszcząc:

– *Baba, nie, baba! Baba, proszę!*

Funkcjonariusze odrywają jej palce od framugi, nogi dziewczynki wiotczeją. Łka i zawodzi, wołając:

– *Baba. Baba!*

– Co się dzieje? – pyta Ma’aza.

Dalila odsuwa się od judasza.

– Zabierają Parłę – mówi.

– Pokaż. – Ma’aza przysuwa twarz do wizjera, tym razem nie obawiając się dotknąć drzwi. Obserwuje przez kilka sekund.

Za drewnianego skrzydła docierają krzyki, płacz i odgłosy szamotaniny. Dalila zasłania twarz rękoma i słucha. Wychwytuje głos Parli, który zaraz ginie pośród innych, niższych.

Krzyk się wzmacnia, a potem – rzecz dziwna – następuje w nim zmiana tonu. Wyszczekiwane rozkazy przekształcają się w gorącą dyskusję. Trudno wyłowić jakieś frazy, lecz Dalila wyczuwa, że coś jest nie tak. Energia obecnych przeszła od agresji do nerwowości.

Ma’aza odwraca się szybko i rzuca:

– Chodź.

Biegną przez ciemne mieszkanie do pokoju Ma’azy. Pan Erdem krzyczy, jego głos staje się wyraźniejszy, kiedy zbliżają się do aneksu kuchennego, a potem do balkonu. Dalila słyszy w nim groźbę. Ma’aza odsuwa zasłonę na

drzwiach balkonowych i próbuje zobaczyć, co się dzieje. Słowa funkcjonariuszy słyszą teraz lepiej.

– ...pan idzie z nami...

– ...panie Erdem, nie ma powodu się tak denerwować...

– ...szybko, niech ktoś go złapie, na miłość boską...

Ma'aza otwiera drzwi, mroźne powietrze wpada do mieszkania.

– Co ty robisz? – szepcze Dalila, chwytając ją za ramię. – Nie idź tam!

Ma'aza patrzy na nią i mówi spokojnie:

– Jest w porządku. – Wychodzi na balkon, jej flanelowa piżama powiewa na wietrze.

Głosy z sąsiedniego mieszkania są teraz bardzo wyraźne.

– ...lepiej wezwijcie straż pożarną, do cholery. Karetkę też, na wszelki wypadek...

– ...odbiło mu...

– ...panie Erdem, proszę się natychmiast uspokoić. Nikt nie zamierza wyrządzić krzywdy panu i pana rodzinie...

Ma'aza opiera ręce na balustradzie i wychyla się lekko, próbując zobaczyć, co się dzieje tuż obok. Niebo trochę pojaśniało, lecz słońce jeszcze nie wschodzi. Sylwetka wieżowca po drugiej stronie ulicy wygląda groźnie. Po granatowym niebie przelatują czarne ptaki.

– ...proszę pana, proszę się odsunąć...

Pan Erdem mówi coś wściekle po turecku, od czasu do czasu przechodząc na angielski.

– Odczepcie się! Nie zrobiłem nic złego.

Ma'aza jeszcze usilniej zagląda do mieszkania sąsiadów; także Dalila robi krok na zimną, betonową posadzkę balkonu. Kładzie rękę na poręczy i widzi, jak siedemnaście pięter niżej kołysze się ziemia. Wychyla się i zerka poza blachę

oddzielając balkony. Pan Erdem siedzi okrakiem na balustradzie, jego bosa lewa stopa wspiera się mocno o balkon, prawa zwisa swobodnie. W ich wieżowcu obudziło się już wiele osób. W oknach i na balkonach, wyżej i niżej, pojawiają się głowy.

Z wnętrza sąsiedniego mieszkania słychać kolejny krzyk. Parla, łkając i płacząc, woła do ojca:

– *Baba! Baba*, proszę!

– Niech ktoś ją stąd zabierze! – wrzeszczy jakiś funkcjonariusz.

– Zostawcie moje dziecko! – woła pan Erdem. Robi ruch w kierunku córki, a wtedy ręce funkcjonariuszy wysuwają się i wciągają go do środka. Wszyscy krzyczą. Pan Erdem opiera się napastnikom i wreszcie uwalnia. Przerzuca jedną nogę przez balustradę, pozostali się cofają.

– ...o rany, spokojnie. Niech się pan uspokoi...

Na balkonie balansują tylko jego bosa stopy, palcami rąk trzyma się poręczy.

– Odejdźcie! Odejdźcie! Zostawcie moją rodzinę! – krzyczy.

– Okej, okej. Tylko niech się pan uspokoi...

W oddali wyje syrena.

– To chyba straż albo pogotowie...

– Dzięki Bogu. No dobra, wszyscy się odsunąć...

Gdzieś daleko błyskają czerwono-niebieskie światła wozu strażackiego, który pędzi ulicą. Kiedy Dalila odwraca się, żeby spojrzeć na pana Erdema, ten wykonuje ruch. Jest zwrócony twarzą na zewnątrz, z trudem utrzymuje równowagę na palcach stóp, ramiona ma szeroko rozwarte, trzyma się balustrady.

– Panie Erdem, tylko proszę zachować spokój. Za chwilę będzie po wszystkim...

– Nie wrócę do Turcji! – krzyczy mężczyzna. – Oni skrzywdzą moją rodzinę. My nie robimy nic złego.

Na dole czekają dwa białe minibusy, gotowe wywieźć stąd tę rodzinę. Funkcjonariusze na ziemi gapią się w górę. Na trawniku stoi kilku mieszkańców w szlafrokach, z uniesionymi głowami, którzy coś pokazują. Funkcjonariusze każą im się cofnąć i zaczynają zabezpieczać teren. Ciszę poranka rozrywa wycie syren wozu strażackiego. Pan Erdem spogląda na horyzont, w stronę miejsca, skąd wkrótce wyłoni się słońce.

Ma'aza odwraca się do Dalili.

– Jest źle – szepcze. – Bardzo źle.

Pod wieżowcem staje wóz strażacki, drugi nadjeżdża ulicą w towarzystwie dwóch policyjnych radiowozów.

Pan Erdem nie patrzy w dół. Puszczą prawą rękę. Dotyka ust, czoła, pozwala dłoni podryfować ku niknącym gwiazdom. Potem puszcza także lewą rękę.

Spada.

Bezgłośnie.

Wiatr furkocze w jego ubraniu.

Nikt, ani jedna osoba, nie oddycha.

Wiatr.

Mocny wiatr.

Skrzek mew.

Syreny i krzyki.

Histeryczny wrzask.

I skrzek mew na wietrze.

Każdy dźwięk słycać bardzo wyraźnie. Każdy ma swoją wagę, przybliża się. Wiatr, krzyk, syreny, skrzek zbiegają się, rosną, wzmacniają, łącząc się w przerażającą harmonię grzechotu w czaszce Dalili. Od tego krzyku, od tego straszego, histerycznego krzyku kręci się jej w głowie. Świat się rozmazuje.

– Nic ci nie jest? – pyta Ma’aza. – Hej. Siostro. W porządku?

Dalila rzuca się w stronę kuchni i wymiotuje do zlewu.

– Cholera! – Ma’aza odskakuje do tyłu, sprawdzając, czy coś nie poleciało na jej ubranie.

Dalila znowu wymiotuje, ale już tylko żółcią. Zaczyna się osuwać na podłogę. Kiedy powraca jej ostrość widzenia, stwierdza, że siedzi na krześle. Ma’aza odkręca kran, myje zlew, a potem proponuje koleżance szklankę wody.

– Pij – mówi. – Oddychaj głęboko i pij.

Wraca na balkon i wychyla się przez poręcz. Rozgląda się w lewo i w prawo, patrzy daleko, aż po widnokrąg. Okręca się, opiera plecami, spogląda w górę na ich budynek.

Dalila też musi to zobaczyć. Płucze usta, wypluwa wodę do zlewu, potem znowu płucze. Trzymając w ręku szklankę, robi krok na balkon. W ścianę budynku uderza powiew lodowatego wiatru, stopy plaskają o zimny zamrożony beton, chcą od niego uciec. Dziewczyna łapie balustradę i spogląda w dół.

Ciało leży twarzą ku ziemi na trawniku w pobliżu parkingu.

Mężczyzna wygląda, jakby spał.

Żadnej krwi.

Żadnych zdeformowanych kończyn.

Nad ciałem gromadzą się ludzie w mundurach, podchodzą małymi krokami, jakby nie chcieli mu przeszkadzać. Wreszcie jakiś człowiek klęka przy twarzy pana Erdema i przykładają dwa palce do jego szyi.

Funkcjonariusze zabezpieczają miejsce zdarzenia, zagradzając drogę mieszkańcom, którzy wyszli na dwór w szlafrokach i kapciach. Ludzie zaczynają się skupiać, tworzy się tłumek. Każdy się gapi. Zakrywają usta albo przykładają dłonie do głowy. Potem podnoszą wzrok ku górze, spoglądają z otwartą buzią tam, skąd mogło spaść ciało.

A ciało po prostu leży.

Dalila czeka, żeby drgnęło, niemal spodziewając się, że pan Erdem wstanie, otrzepie się i przeprosi policję za całe zamieszanie. Ale on tam wciąż leży, twarzą w dół.

– Jest źle – mówi Ma’aza. – Wierz mi, jest źle.

Jednak Dalila nie wierzy. Nie może uwierzyć, że jego już nie ma. Że pan Erdem leży na trawie. To jego ciało, ale nie trup. To ciągle on. Właśnie tam.

Ma’aza zasysa powietrze między zębami.

– Źle, źle, źle – powtarza. – Trzeba się zbierać. Już.

Chwyta Dalilę za ramię i wciąga z powrotem do kuchni.

– Chodź. Ubieraj się. Musimy się... Hej, Dalila. Spójrz na mnie. Musimy się przygotować.

– Na co?

– Nie wiem. Na wszystko. Może tu przyjść policja, żeby zadać parę tych ich pytań. Albo ewakuują całe piętro, że niby wszyscy musimy zniknąć. Trzeba się przygotować.

W drodze do swego łóżka Ma'aza podnosi z podłogi spodnie i wkłada je. Pochyla się i przez głowę zdziera z siebie koszulę nocną.

– Szybko – krzyczy do Dalili. – Ubieraj się, ale już.

Dalila pędzi do sypialni, wkłada najcieplejsze ubrania. Z portfela wyjmuje dwa banknoty dziesięciofuntowe, po czym jeden wsuwa za stanik, drugi do skarpetki. Drobne zostawia w portmonetce. Zdjęcia rodziny, dokumenty z MSW oraz dodatkową bieliznę wpycha do torebki. Biegnie do łazienki i łapie szczoteczkę do zębów, mydło i krem nawilżający. Ma'aza idzie korytarzem; drzwi wejściowe otwierają się i zamykają.

Dalila wychodzi do przedpokoju.

– Ma'aza? – woła.

Nic.

– Ma'aza, jesteś tu?

Podchodzi do drzwi i zerka przez wizjer. Funkcjonariusze. Policja.

Sprawdza w pokoju Ma'azy. Nic.

Wychodzi na balkon i widzi, że ktoś przykrył pana Erdema prześcieradłem. Czerwone światła wozu strażackiego padają na zszokowane twarze gapiów. Policjanci odseparowali taśmą spory teren od miejsca zdarzenia. Pojawiły się kolejne białe minibusy, a także policyjne furgony z siatkami zabezpieczającymi przednie szyby. Gdzieś z boku Dalila zauważa Ma'azę, która idzie w to miejsce długimi, zdecydowanymi krokami. Kobieta przepycha się na sam przód, do samej taśmy. Chwilę przygląda się ciału, a potem unosi głowę. Dalila czuje, że Ma'aza na nią patrzy. Wie, że właśnie ją wybrałaby spośród wszystkich mieszkańców bloku, którzy obserwują to wszystko, stłoczeni na swoich balkonach.

Czeka na machnięcie ręką, lecz Ma'aza spuszcza głowę, przepycha się z powrotem przez tłum i kroczy ku centrum miasta. Dalila pędzi do swojego pokoju, zarzuca sobie torbę na ramię, łapie klucze i znów biegnie na balkon, aby

ostatni raz zobaczyć, w którą stronę zmierza Ma'aza. Nigdzie jej jednak nie widzi. Przeczesuje wzrokiem puste ulice, lecz dziewczyna zniknęła.

„Dokąd mogła pójść? – myśli Dalila. – Do kogo?” Próbuje przypomnieć sobie wszystkich znajomych Ma'azy. Wyobrazić sobie najbardziej prawdopodobne miejsca, które mogłaby odwiedzić, lecz nic nie przychodzi jej do głowy. Mimo tej porażki, w jej umyśle pojawia się stopniowo świadomość innej, ważniejszej kwestii. Że nie wie ani dokąd poszła Ma'aza, ani kogo tu zna, ani co robi, kiedy jej nie ma. Dalila wcale jej nie zna. Zawsze tylko bazowała na poczuciu, na założeniu, że ta kobieta po prostu czymś się zajmuje i tyle.

Skądś dobiega ją stłumione dzwonienie. Rzuca okiem na swój telefon, ale to nie on. Dzwonek nie ustaje. Sprawdza łóżko Ma'azy, podnosi kołdrę, poduszkę, szuka komórki, której nie znajduje. Zagląda do płaszcza wiszącego na drzwiach wejściowych, do jego kieszeni. Wygląda na to, że dźwięk dochodzi z jej pokoju. Długi wibrujący trył, pauza, a potem znowu długi trył, domagający się reakcji. Gdzieś z okolic łóżka. Dalila gapi się na ścianę swojego pokoju. Dzwonienie dobiega właśnie stamtąd. To telefon Erdemów w sąsiednim mieszkaniu, dzwoni i dzwoni, nie chce się pogodzić z tym, że nikt nie odbiera. Funkcjonariusze rozmawiają ze sobą przyciszonym tonem, telefon wzywa.

Dalila staje w sypialni, wpatrzona w ścianę, i zastanawia się, co zrobić. Dzwonek milknie i przez chwilę jedynym dźwiękiem, który słyszy, jest pulsowanie jej własnej krwi.

Telefon znów zaczyna dzwonić, z uporem, przenikliwie.

Dalila spryskuje twarz wodą i płucze usta. Zalega w nich gorzki smak żółci. Trzęsącą się ręką myje zęby, mocno naciska włosiem szczoteczki na dziąsła, nie śmie spojrzeć na siebie w lustrze. Wypluwa, spłukuje. Przewraca jej się w żołądku, szybko więc siada na sedesie i opróżnia jelita.

Rozgląda się po pomieszczeniu, zastanawiając się nad dalszymi krokami, o ile w ogóle ma jakieś podejmować. Wyjmuje komórkę i dzwoni do Ma'azy. Nie odbiera. Dalila myśli, czy nie zatelefonować do Daniela. Może już wstał? A może nawet słyszał, co się wydarzyło?

Ktoś stuka w skrzynkę na listy na drzwiach wejściowych jej mieszkania, dziewczyna wstaje z sedesu. Pukanie. Dalila podchodzi, zakrywając usta dłonią. Przez wizjer rozpoznaje twarz pani Gilroy. Ponowne pukanie. Otwiera.

– Och, jak ty wyglądasz – mówi staruszka. – Biedactwo. Masz na buzi bojaźń Bożą. No weź, wpuść mnie.

Dalila zerka na policjantów tłoczących się na półpiętrze. Odpina łańcuch i szerzej otwiera drzwi. Pani Gilroy, nadal w kapciach i z pieskiem na rękę, wchodzi do środka, Dalila zamyka drzwi na klucz. Stoją twarzą w twarz, czekając, aż ta druga odezwie się pierwsza. Dziewczyna otwiera usta, gardło przygotowuje się do wysiłku, po policzkach spływają jej łzy.

– Och, kochanie, strasznie się przeraziłaś, prawda? – Pani Gilroy bierze Dalilę za rękę i lekko ściska. – Już dobrze. W porządku. Nic ci nie będzie, kochanie. A może byś zrobiła herbaty, co? Masz herbatę?

Dalila kiwa głową. Pociąga nosem.

– To świetnie. Taka staruszka jak ja potrzebuje trochę herbaty z samego rana.

Przechodzą do aneksu kuchennego, gdzie Dalila stawia na płycie rondel z mlekiem i podgrzewa je.

Pani Gilroy odkłada Toby'ego, który zaczyna badać podłogę, z nosem w dół, machając ogonem. Dziewczyna odsuwa się od psa, natomiast starsza pani otwiera drzwi i wychodzi na balkon. Kładzie ręce na poręczy i patrzy na ziemię.

– Jezus, Boże wszechmogący. To on, prawda? – Kręci głową i owija się szczelniej szlafrokiem. – Nie mogę uwierzyć. To grzech, co się tutaj stało.

Jakiś hałas przerywa jej wypowiedź, pani Gilroy spogląda na sąsiedni balkon, na którym stoją funkcjonariusze z urzędu imigracyjnego i policjanci.

– To grzech, coście tu zrobili – syczy w ich kierunku. – Grzech, słyszycie mnie? Powinniście się wstydzić. Zastanówcie się, co zrobiliście tej rodzinie, tym dzieciom! Wstyd!

– Niech pani wejdzie do środka – odpowiada jej policjant – i pozwoli nam prowadzić śledztwo.

– Nie wejdę. Jaka hańba! Na was wszystkich.

Toby zaczyna szczekać.

Dalila wychodzi na balkon, kiedy funkcjonariusz mówi:

– Proszę pani, jeśli nie wróci pani do środka...

– Nie macie żadnego prawa tu przychodzić i mówić mi, co jest co – krzyczy pani Gilroy.

Dalila kładzie dłoń na jej ramieniu.

– Strasznie mnie wkurzacie. Zachowujecie się jak jakieś cholerne gestapo. Napiszę pismo do waszego nadinspektora, do rady miasta, do premiera, wszędzie. Wtedy zobaczycie. Tak po prostu nie wolno ludziom robić.

– Proszę pani, może pani pisać dowolne skargi, ale teraz proszę wrócić do mieszkania.

– Herbata gotowa – szepcze Dalila do pani Gilroy. – Chodźmy. Wejźmy do środka.

– Chodź tu, Toby. – Starsza pani podnosi swojego pieska. – Trzeba się

odsunąć jak najdalej od tych... tych łajdaków.

Ponownie wchodzi do aneksu kuchennego, Dalila zatrzaskuje drzwi przed napierającym wiatrem.

– Och, jak się zdenerwowałam. Te wszystkie cholerne rzezimieszki złażą się tutaj i straszą ludzi. – Pani Gilroy przerywa, jej wargi zaciskają się w twardą linię.

– Tylko pomyśl o tych biednych dziewczynkach – mówi. – O, Boże. – Przykłada rękę do twarzy. – Mam nadzieję, że nie widziały, jak spadał. Były w mieszkaniu, kiedy on... no wiesz?

– Chyba nie.

– Och, nie da się znieść samej myśli.

Dalila wyjmuje z rondla saszetki herbaty i napełnia dwa kubki. Kładzie je na stole. Pani Gilroy odstawia Toby'ego. Obejmuje kubek dłońmi i pije.

– Dobrze – ocenia i bierze kolejny łyk. – Co w tym jest? Imbir?

– Tak, dodałam trochę imbiru, na przeziębienie, i cynamonu – odpowiada Dalila.

– Naprawdę świetne.

Obie sączą herbatę. Pani Gilroy zagląda do kubka.

– Kiedyś lubiałam tu mieszkać – mówi. – Kiedy wprowadzaliśmy się z Samem, to był bardzo elegancki blok. Nawet ekskluzywny. Czysty i nowy. Człowiek czuł się bezpiecznie, mieszkając tak wysoko. Mój Sam zwykł mawiać, że jest teraz nowoczesny, należy do nowoczesnego świata. Wszyscy się znali, latem siadaliśmy razem na trawie, całymi rodzinami. Ale teraz już nie, teraz już nie.

Pani Gilroy gapi się gdzieś w głąb swojej herbaty i kontunuuje:

– Pojawiły się narkotyki. Rodziny z dziećmi zaczęły się wyprowadzać, w bloku zamieszkało mnóstwo ćpunów. Któregoś dnia zabrali na dach jakiegoś chłopaczka. Wtedy dach był otwarty, każdy mógł wejść i sobie popatrzeć. Ja nawet suszyłam tam pranie, jeśli wiatr był w porządku. No cóż, jakiś chłopaczek,

biedaczyna, był im winien pieniądze, więc go zabrali na górę, dźgnęli nożem i zrzucili. Nigdy nie zapomnę jego krzyku. Przejął mnie do szpiku kości, ot co. Jeszcze wiele dni później słyszałam ten krzyk. Potem rada miasta zaczęła eksmitować ćpunów i rozrabiaczy, puste mieszkania przeznaczono dla azylantów. Pierwszy wyskoczył po zaledwie czternastu miesiącach. To był smutny chłopak. Mówili, że miał coś nie tak z głową. Pewnej nocy po prostu skoczył. Miesiąc później inny wyleciał z mieszkania po drugiej stronie. Niektórzy powiadali, że w trakcie bójk, inni, że zrobił to z własnej woli. Trudno stwierdzić. Ciekawe, że kiedy spada któryś z tych czekających na azyl, nie krzyczy. Po prostu lecą przez powietrze bez żadnego odgłosu. To budzi jeszcze większą grozę.

Przed oczami Dalili staje obraz pana Erdema. Widzi włosy na jego rękach, widzi, jak palce się rozwierają i puszczają balustradę.

– Robili to już wcześniej? MSW? – pyta.

– Och tak, wiele razy. W całym mieście. Cardonald. Easterhouse. Sighthill. Castlemilk. Przychodzą jak jacyś cholerni gangsterzy, krzyczą i tak dalej, wszyscy ubrani na czarno. I zawsze wczesnym rankiem, zauważ, bo wiedzą, że wszyscy członkowie rodziny będą wtedy w łóżkach. Ludzie wybiegają na dwór, walą w boki tych furgonów urzędu imigracyjnego, próbują je blokować. Wywołują niezłe zamieszanie. Potem jest o tym w wiadomościach. I oczywiście te gadające głowy z pałacu w Holyrood złożyły mnóstwo obietnic bez pokrycia. Przez jakiś czas rodziny czuły się bezpieczne, ale niedługo potem naloty znów się zaczęły, po cichu, jakby ukradkiem. Wyciągali ludzi z domów i zamykali w ośrodkach internowania, gdzieś na prowincji. Albo od razu wsadzali do samolotu i odsyłali. O niektórych słuch ginął na zawsze. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało, po prostu znikali. Na miłość boską! Co się z nami dzieje? Podczas wojny mój Sam walczył z hitlerowcami. Całe życie działał w związkach zawodowych. Byłby przerażony, gdyby widział, co się wyrabia na jego własnej ulicy!

Dalila kiwa głową. Słyszy gniew w głosie starej kobiety, choć nie wszystkie słowa rozumie.

Telefon za ścianą znów zaczyna dzwonić. Dzwoni i dzwoni, w nadziei, że ktoś w końcu odbierze.

– Mogłybyśmy włączyć telewizor, kochanie? – pyta pani Gilroy. – Pewnie powiedzą w wiadomościach o tym, co się stało.

Siadają obok siebie na sofie. Toby zajmuje miejsce na wykładzinie, unosi tylną łapę i zaczyna się lizać. Pani Gilroy skacze po porannych programach informacyjnych. Pies wskakuje jej na kolana, robi parę kółek, po czym się kładzie. Gdy staruszka głaszcze zwierzę, ono liże jej palce. Dalila opiera łokieć o poręcz i się odsuwa.

Serwis informacyjny zaczyna się od krótkich doniesień o incydencie z udziałem mężczyzny, który spadł z wielopiętrowego budynku w dzielnicy Ibrox.

Przerzucają na inny kanał, gdzie emitowany jest program chyba o gotowaniu. Gość cały obsypał się mąką, a gospodarz klepie się po udach i śmieje do kamery.

Na kolejnym kanale dziennikarz w schludnym, czarnym jak węgiel płaszczu i niebieskim szaliku oznajmia, że właśnie przybył na miejsce zdarzenia. Stoi przed kordonem policyjnym, w tle widać budynek, który Dalila rozpoznaje. Za mężczyzną znajduje się namiot, zakrywający miejsce, gdzie wylądował pan Erdem. Zespół techników sądowych w białych kombinezonach i w białych rękawiczkach wchodzi pod namiot, a reporter przekazuje swoją relację. Dalila zauważa jego swobodny, profesjonalny styl. Dziennikarz patrzy prosto do kamery, nie zwracając najmniejszej uwagi na zgromadzonych wokół niego mieszkańców. Mówi o tragicznym wydarzeniu z udziałem mężczyzny, którego nazwisko i kraj pochodzenia nie zostały jeszcze potwierdzone. Wiemy jednak, że w ostatnim czasie jego wniosek o azyl w Wielkiej Brytanii został odrzucony, a pewne szczegóły sprawy, których jest coraz więcej, mogą wskazywać, że

człowiek ten przyjmował leki psychotropowe, co nie zostało jednak w pełni potwierdzone. Potem relacja się kończy, program przenosi się do studia.

– Chryste, nie mogę już na to patrzeć – mówi pani Gilroy. – Zresztą, czas zabrać Toby’ego na spacer.

Dalila odprowadza ją do drzwi.

– Dziękuję za wspaniałą herbatę, Irene. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, wpadaj śmiało. To tylko po drugiej stronie korytarza.

– Dziękuję, że pani przyszła – mówi Dalila.

Otwiera drzwi; półpiętro jest pełne policjantów, pracowników biura koronera oraz agentów brytyjskiej straży granicznej. Toby zaczyna szczekać. Jakiś policjant odwraca się ku pani Gilroy i wydaje polecenie:

– Proszę chwilowo zostać w swoim mieszkaniu.

– Och, cicho mi tu! Moje mieszkanie jest tam – warczy staruszka, wskazując na drugą stronę półpiętra. Przepycha się przez tłumek, Toby cały czas ujada.

Dalila zamyka drzwi na zamek. Zbiera kubki i zmywa naczynia, wyciera je i odkłada do szafki. Czyści kontuar, blat stołu, górę lodówki. Kuca i zamiata linoleum na podłodze szczotką, pomagając sobie szufelką.

Kiedy kuchnia jest już cała wysprzątana, dziewczyna stoi i przygląda się jej. Odtwarza w myślach chwilę, w której pan Erdem puścił poręcz. Włosy na jego rękach. Palce zwalniające chwyt. Słyszy płacz dziewczynek. Szlochanie małej Rosy. Buty. Krzyki. Ma’aza ciągnie ją za ramię, a pan Erdem rozluźnia palce, puszcza się, puszcza.

Dalila bierze głęboki oddech i stwierdza, że stoi w kuchni. Drżą jej kolana.

Znowu dzwoni do Ma’azy. Ta nie odbiera. Dalila pisze esemesa:

Gdzie jesteś? Pogniewałaś się na mnie? Przepraszam.

Przesuwa odkurzaczem po zielonej wykładzinie, potem zbiera wszystkie

ubrania ze swojego pokoju oraz z pokoju Ma'azy i wkłada je do pralki. Szoruje sedes, umywalkę i luźne kafelki wokół wanny. Ścieli łóżko, sprząta sypialnię, a po chwili znów stoi w kuchni, wyobrażając sobie rękę pana Erdema, która puszcza poręcz, puszcza poręcz...

Po południu wiatr słabnie, narożniki budynku smagają już tylko przez zabłąkane lodowate podmuchy.

Wieczorem zostają jedynie policyjna furgonetka i wóz transmisyjny telewizji. Namiot nad ciałem usunięto, zdjęto również taśmy zabezpieczające.

Mieszkańcy wieżowców przy Iona Court utrzymują nerwowy dystans do miejsca, w którym jeszcze kilka godzin temu leżały zwłoki. Opatuleni w płaszcze i czapki, z kapturami na głowach, przytupują w miejscu, by się ogrzać. Technicy sądowi usunęli wierzchnią warstwę gleby jako materiał dowodowy tam, gdzie spoczywały głowa i ręce. Na trawniku zostało bezkształtne wgniecenie, które skłania umysł Dalili do wyobrażania sobie potwornych deformacji ciała.

Ludzie wtykają świece do słoików po dżemie, potem kładą je nieforemnym półkolem wokół miejsca ostatniego spoczynku pana Erdema. Niektórzy mieszkańcy bloku przynieśli kwiaty, które leżą między zniczami. Znajdują się tam również trzy koszulki piłkarskie. Dzieci, trzymając mamy za ręce, kładą na ziemi swoje pluszowe misie. Niektórzy mają termosy, wylewają ich gorącą, parującą zawartość do kubków, inni piją prosto z butelek i przekazują je sąsiadowi. Większość stoi w milczeniu, wpatrzona w migające płomyki świec.

Ściemnia się, pomarańczowa poświata ulicznych latarni spływa na zgromadzenie. Dalila stoi wśród tłumu, dostrzega twarze z Afryki, z Bliskiego Wschodu, niektóre też z Dalekiego Wschodu, lecz w tym sztucznym blasku każda z nich wydaje się tak samo pozbawiona koloru. Jest tylko cień i kontrast. Ci, którzy są w tej dzielnicy nowi, wyróżniają się zdeorientowaną miną. Osoby, które spędziły życie na ucieczce przed śmiercią, które przemierzyły połowę planety ze strachu przed ludźmi w mundurach po to tylko, by w tym najbezpieczniejszym miejscu, jakie mogli sobie wyobrazić, znaleźć wszystko to, czego się lękali. Dalila dostrzega w ich oczach rozczarowanie, równie wyraźne i bolesne, jak to, które sama czuje w sercu.

Strach – taki sam.

Smutek – taki sam.

Śmierć – taka sama.

Pośród tych obcych twarzy są też inne, ludzi przywykłych. Starych lokatorów o wodnistych oczach, wpatrujących się intensywnie w miejsce, w którym inny człowiek poniósł śmierć. Nie kryją swego znużenia. Stoją z rękoma w kieszeniach, zgarbieni pod kolejnymi warstwami własnego zniechęcenia. Młodszy mieszkańcy sprawiają natomiast wrażenie zahartowanych przez coś trudniejszego do określenia. Gniewni, z zajadłością w oczach, gapią się na płomień świec, jakby dostrzegali w nich swoje dziedzictwo i poczuli się zdradzeni tym, co im pozostawiono w spadku.

Dalila widzi Daniela, który zjawia się obok grupy czuwających. Mężczyzna kiwa dziewczynie głową i przedziera się w jej stronę.

– *Habari*, Dali – mówi. Podają sobie dłonie w rękawiczkach.

– Danielu. – Dalila przechodzi na angielski. – To moja sąsiadka, pani Gilroy.

Daniel zdejmując rękawiczkę i potrząsa dłonią kobiety.

– Bardzo miło mi pana poznać, Danielu – mówi pani Gilroy.

– Dla mnie to również przyjemność.

Cała trójka milknie.

Daniel zdejmując czapkę i klaska za plecami, wpatrzony w świecę i podświetlone nimi twarze. Wyciąga ze słoika długą świeczkę, złożonymi dłońmi ochrania płomień, po czym zapala od niego mniejszą. Wstaje, naciąga wełnianą czapkę na same uszy.

– Erdem. Znałem tego człowieka – mówi po angielsku. – Był dobry. Troszczył się o swoją rodzinę.

– No tak, był dobrym człowiekiem – potwierdza pani Gilroy. – Zawsze dobrze się ubierał, i owszem.

– Był moim sąsiadem – dodaje Dalila.

Daniel spogląda badawczo w twarz dziewczyny.

– Opiekowałam się jego córeczkami – mówi Dalila. – Spożywałam posiłki z nim i z jego rodziną.

– Miałaś trudny dzień, siostró – zauważa Daniel. – Jadłaś coś dzisiaj?

Dziewczyna wyjmując chusteczkę i wydmuchuje nos.

– No tak, ciężki dzień – zgadza się pani Gilroy. – To, co zrobili tej rodzinie... Szkoda w ogóle gadać.

W pobliże czuwających podchodzi ekipa telewizyjna. Reporterka ma na sobie tweedowy płaszcz. Przysiada w kucki obok zniczy, podczas gdy kamerzysta pracuje nad kadrem.

– Przez cały dzień myślę o moim Samie – mówi pani Gilroy. – Nic na to nie poradzę. Ciągłe się zastanawiam, co on by o tym wszystkim powiedział.

– Należy myśleć o tych, których kochamy – odzywa się Daniel.

Dalila słucha pomruku tłumu. Wodzi oczyma od jednej twarzy do drugiej, jakby spodziewała się tu kogoś znajomego; zastanawia się, czy jej rodzice na to patrzą. Zatopiwszy wzrok w migotaniu świateł, zaczyna mieć wrażenie obecności mamy i brata, czuje, że stoją obok niej. Ojciec też jest chyba gdzieś w tłumie, pośród tych wszystkich twarzy.

Daniel chrząka.

– Kiedyś w Ugandzie wybrałem się na pogrzeb. Byłem wtedy młodym człowiekiem – zaczyna opowiadać, spoglądając na płomienie. – Zostaliśmy tam na trzy dni. W pogrzebie uczestniczył pewien starzec, uzdrowiciel. Powiadali, że dawniej był księdzem, ale teraz pełnił tylko rolę zwykłego wioskowego szamana. Ludzie wierzyli jednak w jego moc uzdrawiania. Brat zmarłego zapytał znachora, co wie o świecie po śmierci. Ale uzdrowiciel nie odpowiedział. Trzeciego dnia, kiedy wszyscy mężczyźni siedzieli razem, znachor odezwał się do nas: „Za życia każdy snuje swoją własną opowieść, która jest przeznaczona tylko dla niego. To

wielki znój. W tym znoju opowiedziane są wszystkie historie. Każdego człowieka można poznać po tym, jaka jest jego własna, i każdy przez nią zostaje zapamiętany. Gdy umieramy, pozostaje po nas tylko ta opowieść”.

– No tak, podoba mi się to – mówi pani Gilroy. – I tak można spojrzeć na te sprawy.

– Stary znachor – kontynuuje Daniel – mówił do nas dalej: „Opowieść o każdym człowieku zostaje na tym świecie, ale nie tylko – to jedyna rzecz, która przechodzi razem z nim na tamten świat. Człowiek nie ma nic, poza tą opowieścią. Także na tamtym świecie ma tylko ją. Nasi przodkowie siedzą tam przed Wielkim Ogniem i nieustannie opowiadają o swoim życiu. Kiedy jeden mówi, pozostali słuchają, zwracając baczną uwagę na to, co jest powiedziane, i jeszcze baczniejszą na to, co zostaje przemilczane. Zbierają każdy szczegół, ważą każde słowo. Smutne opowieści przeplatają się z tajemniczymi, tajemnicze z wesołymi. Historie dzieci nawiązują do różnych przypowieści, często tych tragicznych. Długie sagi rodzinne łączą się z romantycznymi gawędami, z baśniami pełnymi przechwałek, z wymienianiem powodów do zemsty, te zaś z kolei mają związek z opisami świąt, wakacji, z wyjaśnianiem różnych pojęć albo relacjami z podróży. Kiedy nasi przodkowie słuchają uważnie, zaczynają rozumieć, że każda historia łączy się z inną. Razem tworzą Wielką Opowieść”. Uzdrowiciel mówił, że aby powstała twoja historia, trzeba na to całego życia, a dany nam czas jest po to, żeby zobaczyć, jak wpasowuje się ona w Wielką Opowieść. To jedyna prawda, jaka istnieje.

– No cóż, to też mi się podoba. Moim zdaniem brzmi sensownie – mówi pani Gilroy. – Łatwiej w to uwierzyć niż w te wszystkie świętoszkowate brednie, które się słyszy z ambony. Jestem pewna, że mój Sam jest teraz gdzieś właśnie tam i sobie gawędzi.

Daniel śmieje się cicho.

– Moja córka, Dembe miała na imię, także tam jest. Cholera, ta to miała

gadane. Nigdy nie przestawała. Na pewno opowiada bardzo, bardzo długą historię.

– Nie wątpię, że da radę dojść do słowa podczas dyskusji z Samem, da radę – mówi pani Gilroy.

Dalila przygląda się, jak ta dwójka wspólnie chichocze. Nie wiedziała, że Daniel miał córkę, i nie może uwierzyć, że nigdy nie spytała go o jego rodzinę.

Zapada cisza, ich oczy wracają ku światłu świec.

– Jak myślicie, o czym jest ta Wielka Opowieść? – pyta Dalila.

Przez chwilę nikt nie odpowiada, a potem pani Gilroy mówi:

– Nie potrafię dokładnie tego nazwać, ale powiem, że przez całe swoje życie zawsze sądziłam, że coś budujemy, coś dobrego. I nie tylko dla naszych dzieci, ale również dla siebie. A teraz zastanawiam się, czy naprawdę cokolwiek zbudowaliśmy. Jeśli Wielka Wspaniała Opowieść istnieje, na pewno pokaże nam, że wszyscy w niej uczestniczymy. Czy to się nam podoba, czy nie.

– Tak – odzywa się Daniel. – Ja w to wierzę. To jest jak długa sztuka teatralna, w której wszystko, ale to wszystko jest bardzo ważne. Czasem, kiedy ogarnia mnie spokój, wydaje mi się, że czuję jej kształt. Na podstawie tego kształtu można wyczuć, dokąd zmierza.

– Jak się skończy ta historia? – pyta Dalila.

– Zdarzy się aż za wiele rzeczy. Naprawdę na końcu stanie się wszystko. Jednak wierzę, że kiedy wszystko zostanie zrobione i opowiedziane o tym, co zrobiono, każdy nasz uczynek i każde słowo pochłonie Wielki Ogień, tam przepadną. Tam, w odwiecznych głębinach, będzie już tylko ciche piękno. Wierzę, że ostatecznie piękno zwycięży.

Gdy czuwający ludzie zaczynają się rozchodzić, Dalila mówi Danielowi i pani Gilroy dobranoc, po czym wraca do swojego mieszkania. Jadąc windą na górę, sprawdza esemesy w telefonie.

Nic.

Ma'aza na pewno wróci na noc. Przecież nie wzięła nawet torebki. Dalila zaczeka na nią, obejrzy wiadomości; to lepsze, niż próbować zasnąć samej w tym mieszkaniu. Gorąca kąpiel też jej dobrze zrobi. Wymoczy się porządnie, aż zrobi się senna, a w kościach znowu poczuje ciepło. Potem poczeka na sofie, może obejrzy jakiś film, dopóki Ma'aza nie wróci.

Drzwi windy się otwierają i przed Dalilą staje Mick, wgapiony w swój telefon. Nie podnosi wzroku. Dziewczyna cofa się i wciska guzik zamykania drzwi, lecz mężczyzna wyciąga rękę i je zatrzymuje.

– Spokojnie – mamrocze.

Dalila wyobraża sobie, jak przebiega szybko koło niego, lecz stwierdza, że nie może się ruszyć.

– Wychodzisz, Irene?

Mick ma przekrwione oczy, jakby płakał lub pił, albo jedno i drugie. W jego ruchach jest jakieś znużenie, powolność. Cofa się, trzymając dłoń między skrzydłami drzwi, aby się nie zamknęły, i rozkłada szeroko ramiona, sygnalizując jej wolne przejście.

– No dalej. Możesz wyjść. Nie tknę cię.

Dalila rzuca spojrzenie za jego plecy, na dwóch policjantów strzegących mieszkania Erdemów. Idzie prosto do swojego lokum, nie patrząc nawet na Micka. Klucz trafia w zamek, dziewczyna otwiera drzwi i wchodzi do środka.

– Hej – woła Mick. – Widziałaś, co się stało dziś rano?

Dalila odwraca głowę w jego stronę, do połowy, i kiwa nią.

Drzwi windy zaczynają się zamykać, Mick im na to pozwala. Obrzuca wzrokiem policjantów, którzy przyglądają mu się bez żenady, po czym robi dwa ostrożne kroki w kierunku Dalili.

– Widziałaś, co się wydarzyło, tak? – szepcze.

– Tak – odpowiada miękko.

– Podobno na miejsce przyjechało ze trzydzieści glin.

Dalila kiwa głową.

Mick robi jeszcze jeden krok bliżej i kątem oka zerka na policjantów.

– Więc wpadli do środka i wyrzucili go przez balkon, tak? – pyta, jeszcze bardziej zniżając głos.

Dalila podnosi na niego oczy. Ale on nie spuszcza wzroku z funkcjonariuszy. Odwraca głowę i splota.

– Nie wyrzucili go – szepcze Dalila.

– Skoczył?

– Nie. Pan Erdem się... puścił.

– Puścił się?

– Tak.

– Ja cię pierdolę – mówi pod nosem. Pociąga nim i ociera usta ręką. – Dzieciaki były w mieszkaniu, kiedy on... Znaczy, czy widziały, jak ich tata... się puszcza?

– Wydaje mi się, że funkcjonariusze zabrali dziewczynki wcześniej – odpowiada cicho Dalila. – Ale czy widziały, nie wiem.

– Ja go widziałem – szepcze Mick. – Jak tam leżał, jakby był pijany czy coś. Nie ruszał się ani nic. Tylko se leżał.

Mężczyzna z trudem przełyka ślinę. Jego nabiegłe krwią oczy zdają się jeszcze bardziej czerwone. Dalila się zastanawia, czy Mick za chwilę krzyknie, czy się rozpłacze.

– Nie mogę się pozbyć tego obrazka z głowy. Cały dzień go widzę, jak tam leży. – Znow przęłyka ślinę. – Wiesz, o co mi chodzi?

– Wiem – potwierdza szeptem Dalila. A potem dodaje: – Z czasem będzie lepiej.

Wchodzi do środka, a kiedy drzwi się zamykają, Mick mówi nagle:

– Słuchaj, Irene.

Zostawia drzwi otwarte na cal, czeka.

– Jak się ostatnio spotkaliśmy, nie chciałem... Wiem, że byłem troszeczkę... Byłem po kielichu, przesadziłem odrobinę z tym pierdolonym tosterem i rządem, i w ogóle, ale nie chciałem nic złego. Tylko mi troszkę, tego... – Mick pokazuje palcem na swoją skroń i kręci nim kółko.

Znak, że ktoś jest wariatem – taki sam.

Dalila kiwa głową i zamyka drzwi mieszkania. Kładzie się na łóżku i słucha bicia swojego serca. Wciąga wolno powietrze do płuc i zastanawia się, gdzie jest Ma'aza. Dokąd mogła pójść? I gdzie są Parla i Rosa? Dokąd je zabrano? Czy są razem z matką? Czy wiedzą, co się stało z ich ojcem? A policja? Jak długo tu jeszcze będzie? Czy przyjdą po kolejnych ludzi?

Wstaje, idzie do łazienki i wydmuchuje nos. Myje twarz gorącą wodą, rozmasowuje sobie zatoki, a potem znow oczyszcza nos.

Przenosi kołdrę na sofę do pokoju Ma'azy, włącza telewizor i się kładzie. W wiadomościach wciąż mówią o tym, co się wydarzyło nad ranem. Migawka z widokiem na ciało, które leży na trawniku, okryte prześcieradłem. Dalila myśli o Micku, o jego nabiegłych krwią oczach.

Czuje coś drażniącego w żołądku – sama nie wie, czy to głód, czy nie, więc wstaje, idzie do kuchni i otwiera lodówkę. Nic, co się w niej znajduje, nie wygląda zbyt apetycznie. Na herbatę nie ma ochoty.

Wraca myślami do Micka, do spojrzenia, które jej posłał, kiedy zamykała drzwi. Rozumiała to spojrzenie, ale nie umiałaby go opisać.

Wyciąga z kontaktu wtyczkę od toster, wytrząsa okruchy do kosza na śmieci i owija urządzenie kablem.

Kiedy otwiera drzwi wejściowe, policjanci przed mieszkaniem Erdemów przerywają rozmowę. Przechodzi przez pólpiętro i kładzie toster pod drzwiami Micka.

Jeden z policjantów unosi brwi. Zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, Dalila rzuca:

– To dla niego.

Coś chwyta ją za stopę. Dalila się budzi, przestraszona.

– Wstawaj. – Ma’aza szarpnięciem zdejmuje kołdrę i zrzuca ją na podłogę. – To nie jest twój pokój. Nie możesz spać na sofie.

Telewizor jest nadal włączony, po ekranie skaczą reklamy z wyciszoną fonią. Za oknem jest ciemno.

Dalila wstaje szybko i idzie po bezbarwnym linoleum do kuchni. Wsadza palce pod bieżącą wodę, po czym ociera twarz mokrą ręką.

– Gdzie ty byłaś? – pyta.

– Wyszłam.

Ma’aza włącza górne światło, gasi telewizor.

– Która godzina? – zadaje kolejne pytanie Dalila.

– Już późno. Nie, właściwie wcześniej – odpowiada Ma’aza. Spod łóżka wyciąga plecaczek, rozpiną go i rzuca na materac. Z szuflady wyjmuję spodnie, ogląda je, zwija wzdłuż tułowia w ciasną rolkę, a następnie wsuwa do plecaczka. Tak samo traktuje T-shirt i pulower. Pakuje także parę butów i szalik. Klęknąwszy na łóżku, zaczyna zdejmować ze ściany fotografie swojej rodziny.

– Co robisz?

– Wyprowadzam się.

– Ale dokąd pójdziesz?

– Po prostu pójdę. Koniec.

– Ma’azo, proszę cię, przecież musisz tu zostać, w tym mieszkaniu, pod tym adresem. A co z meldowaniem się? Odrzuca twój wniosek, jeśli nie będziesz się meldować. Obie się boimy, ale musisz zostać.

– Wyjeżdżam.

– Dokąd? Dokąd możesz wyjechać? Znajdą cię wszędzie. Aresztują cię i odeślą.

Ma'aza schodzi z łóżka i kroczy prosto ku Dalili, jej głowa i biodra są prowokacyjnie odchylone.

– Widziałaś kiedyś rewolucję? – pyta, kierując palec wskazujący w stronę sufitu.

Dalila waha się i odpowiada:

– Widziałam zamieszki po wyborach.

– Widziałaś głód?

– Nie – ustępuje Dalila.

– A ja widziałam jedno i drugie. Za każdym razem ci, którzy zostają, giną. Wierz mi. Ucieczka to życie, ruch to życie, już ci to mówiłam. – Raz jeszcze dźga powietrze palcem.

– Ale wczoraj to była policja, nie rewolucja.

– Już widziałam takich ludzi jak ci – mówi Ma'aza. Wciąż ma uniesione brwi, lecz głos spokojniejszy. – Przyjdą tu znowu. Zabiorą cię i znikniesz. Zamkną cię w ośrodku internowania albo deportują do Kenii, nieważne. Przepadniesz. Widywałam już coś takiego, uwierz mi. Musisz uciekać, Dalilo.

– Ale dokąd? Nie ma dokąd jechać.

Ma'aza przysuwa się bliżej.

– Masz rację – potwierdza. – Jeśli pójdziemy przed siebie, do tyłu, w prawo albo w lewo, znajdą nas. Tylko ktoś bogaty zdoła uciec górą. Gdy masz pieniądze, w razie problemów skaczesz tam, gdzie nie będą cię szukać, albo płacisz im, żeby cię nie znaleźli. I tam się ukrywasz. Ale ani ty, ani ja forsy nie mamy, więc schodzimy pod ziemię. Żadnych papierów, żadnego telefonu, żadnego adresu. Jeśli zejdziemy pod ziemię, nie znajdą nas.

Dalila mruga oczami, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

Ma'aza bierze ją za rękę.

– Znam pewnych ludzi. Możemy pracować w ich sklepie. Możemy tam spać.

Wiosną będziemy zbierać owoce. Zarobimy trochę pieniędzy. A dzięki pieniądzom polecimy do Kanady. Kanada jest lepsza. Chodź ze mną siostró, proszę cię.

Dalila odwraca wzrok.

– Więc dokąd chciałabyś pojechać? – pyta Ma’aza.

– Chcę wrócić do domu, do Kenii. – Kiedy to mówi, ogarnia ją tęsknota za krajem. Pragnienie, żeby znów znaleźć się w znajomym świecie.

Kobieta rzuca jej beznamiętne spojrzenie.

– A twój wujek?

Dalila nie znajduje na to odpowiedzi.

– Wrócisz tam, kiedy on umrze. Może w przyszłym tygodniu, może za dwadzieścia lat. Tylko gdzie będziesz czekała na ten moment?

– Tutaj?

– Dlaczego?

W głowie ma już od dawna przygotowaną odpowiedź. Pewnie, że zaczeka tutaj. Czy jest jakieś lepsze miejsce niż Wielka Brytania? To przecież Czoło Świata. Ale Dalila powstrzymuje te słowa, zanim wyjdą z jej ust, ich moc przekonywania jakby trochę zbladła. Patrzy tylko na Ma’azę i mówi:

– Bezpieczniej jest zostać tutaj.

Ma’aza kręci głową.

– A dla nich było bezpiecznie? – pyta, wskazując na ścianę.

Gdy zaczyna świtać, Ma’aza jest spakowana i gotowa do wyjścia. Dalila przygląda się, jak kobieta zapina płaszcz i zawiązuje buty.

– Nie powiesz mi, dokąd się wybierasz? – pyta.

Ma’aza potrząsa głową.

– Mogę do ciebie dzwonić?

– Nie zdołam odebrać, ale na esemesy odpowiem – mówi Ma’aza. Wstaje

i kładzie ręce na policzkach dziewczyny. – Nie smuć się, cukrowa siostrzyczko. Dam sobie radę. Pewnego dnia zadzwonię do ciebie, a ty zapytasz: kto to? A ja powiem: co, do cholery, nie poznajesz swojej cukrowej siostry? – Dalila nie może się nie uśmiechnąć. – I wtedy powiem: przyjedź mnie odwiedzić w moim domu w Kanadzie.

– Twoim wielkim domu – dodaje Dalila.

– Tak, w moim bardzo wielkim domu. Odwiedź mnie w moim ogromnym domu. Mam bardzo duży telewizor. Możesz zostać i codziennie oglądać filmy.

Dalila zaczyna chichotać. Ociera zbierające się łzy i mówi:

– Będziemy oglądać komedie, pić kawę i jeść popcorn.

– Tak. Oczywiście. Mnóstwo popcornu, lodów, ciasteczek i coli. A także żarcia z grilla, tylko grill przez cały czas. Co wieczór będziemy oglądać filmy i strasznie utyjemy. Bardzo, bardzo utyjemy.

Obie śmieją się cicho.

– Fajnie by było – wzdycha Dalila.

Ma'aza kiwa głową. Otwiera drzwi i sprawdza korytarz. Na półpiętrze nie ma już policjantów. Odwraca się i mówi:

– Dalilo, w razie problemów uciekniesz, okej?

Dalila patrzy na podłogę.

– Obiecuj mi to, dziewczyno. Uciekniesz i będziesz uciekać, a potem mnie odwiedzisz, okej?

– Okej.

Ma'aza zarzuca sobie torbę na ramię i znika na schodach przeciwpożarowych.

Dwie godziny później coś stuka w drzwi. Dalila zeskakuje z kanapy, myśląc, że może Ma'aza wróciła, zmieniła zdanie albo po prostu czegoś zapomniała. Otwiera drzwi. Stoi w nich Alison, dziewczyna Micka, i trzyma toster.

– To ty, co?

Dalila rozgląda się, niepewna, jak odpowiedzieć na to pytanie.

– Co to, kurwa, jest? – Alison wyciąga toster przed siebie. – Ty to zrobiłaś?

– Wczoraj, ja...

– To jest twój toster, tak?

– Tak.

– Więc co robił w moim mieszkaniu?

– Myślałam... Mick mówił...

– Co sobie myślałaś?

Dalila bierze oddech.

– To prezent dla ciebie i Micka. Jesteśmy sąsiadami. Jak ktoś czegoś nie ma, trzeba się dzielić.

– Masz, kurwa, tupet – syczy Alison. – Myślisz, że potrzebujemy twojego toster? Masz się za lepszą od nas? O to chodzi?

– Nie, wcale tak nie uważam.

– Masz. – Kobieta wpycha toster Dalili. – Zatrzymaj sobie to gówno. Nie trzeba mi twojej łaski, pierdolona bezczelna zdziro.

Alison maszeruje przez półpiętro do swojego mieszkania, ale nagle zawraca i idzie w kierunku Dalili.

– I słuchaj no, jak jeszcze zobaczę, że gadasz z moim facetem, to przysięgam na Boga, że cię zajebię.

Dalila zamyka drzwi, zakłada łańcuch, zastanawiając się, dlaczego Alison tak strasznie się zdenerwowała. Wędruje od pokoju do pokoju w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby zająć jej myśli. Naczynia pozmywane, ubrania wyprane, mieszkanie jest czyste i odkurzone. Nie ma nic do zrobienia. Spacer pewnie by pomógł, ale nie zamierza wychodzić. Po prostu jej się nie chce, nie dzisiaj. Nie po tym, co się wydarzyło. Wraca do swojej sypialni i znów ogarnia ją to napierające wrażenie nicości. Godzina za godziną pustki. Żuchwa boli od ciągłego napinania mięśni. Dziewczyna otwiera usta najszerzej, jak potrafi, i przesuwając brodą z boku na bok, tam i z powrotem.

Stara się nie myśleć o Alison, lecz wówczas jej umysł przeskakuje na obraz Ma'azy idącej korytarzem i otwierającej drzwi wejściowe. Zaczyna się zastanawiać, gdzie mogą być teraz Parla i mała Rosa. Jak muszą się czuć? Czy w ogóle wiedzą, co się stało? Ma nadzieję, że nikt nie powiedział małej Rosie o jej ojcu. Nagle odgłos, który wydawał pan Erdem, spadając tamtego ranka, dźwięczy jej w uszach. Chwila bez oddechu. Spodnie łopoczące na wietrze, kiedy leciał w dół. Dalila obejmuje się ciasno ramionami w okolicach przepony, ściska ją w żołądku. Pochyla się, oddychając z trudem, wie, że powinna coś zrobić, zanim te wszystkie uczucia przytłoczą ją całkiem.

Odkręca oba krany w łazience i obserwuje, jak woda wlewa się do wanny. Kiedy pomieszczenie zaczyna wypełniać para, ponownie sprawdza telefon. Wysłała do Ma'azy dziewięć wiadomości, na żadną nie dostała odpowiedzi. I tak pisze następną.

Myślę o tobie. Proszę, napisz. Daj znać, czy jesteś bezpieczna. D. xx

Gdy wanna jest pełna, wchodzi do niej i siada, wachlując palcami gorącą wodę. Wdycha parę i próbuje znów być sobą.

– Ma'aza wróci – mówi na głos, lecz sama w to nie wierzy. Wie, że ona

przepadła. Zeszła pod ziemię, tak jak zapowiadała. Zniknęła, nie potrzebuje już dokumentów. Erdemów też już nie ma. Nigdy już nie zobaczy dziewczynek.

Dalila łączy dłonie i nabiera nimi wody z wanny, ta jednak wycieka jej między kłykciami. Raz jeszcze próbuje, zaciska mocno palce, stara się utworzyć z rąk szczelny zbiorniczek, jednak woda ciągle odpływa.

Po kąpieli zanosi kołdrę na sofę w pokoju Ma'azy i włącza wiadomości. Kolejne spekulacje w sprawie pana Erdema. Czy przyjmował leki? Czy był w pełni świadomy swoich obowiązków, związanych z czynnościami Brytyjskiej Straży Granicznej? I czy w trakcie tej konkretnej eksmisji funkcjonariusze Brytyjskiej Straży Granicznej dochowali należytej staranności, w porównaniu z podobnymi operacjami, które w ostatnich tygodniach miały miejsce bez żadnych zakłóceń na terenie całego miasta?

Pytania te pojawiają się i znikają. Udzielane odpowiedzi są niejasne, natomiast napięcie czuć wyraźnie. Ludzie są źli. Gwizdzą i krzyczą do kamery z tła, kiedy jakiś reporter przekazuje swoją relację. Niektórzy powiewają transparentami i domagają się sprawiedliwości. Inni mówią do mikrofonów o obciążeniu podatników. Pojawia się bardzo niewiele ujęć osób ubiegających się o azyl, które kryją twarze przed obiektywami. Materiał kończy się rozmową z mężczyzną, który chowa się za kierownicą swojego samochodu. „No cóż, moim zdaniem – mówi ów człowiek z okna od strony kierowcy – nigdy by do tego nie doszło, gdyby tych ludzi nie wpuszczano do Szkocji, nieprawdaż?”.

Widać teraz dziennikarza, który oznajmia: „Rzeczniczka różnych organizacji charytatywnych w mieście, które pomagają azylantom, twierdzi, że wielu z nich boi się mówić głośno to, co myśli, oraz demonstrować, ponieważ sądzą, że mogliby w ten sposób zaszkodzić swoim wnioskom o azyl i zostać wydaleniu z kraju”.

„Właśnie dlatego protestujemy – wyjaśnia rzeczniczka, patrząc wprost na

reportera, nie do kamery. – Aby być głosem tych, którzy są pozbawieni głosu. Aby okazać naszą solidarność z tymi bezbronnymi ludźmi, którzy zbyt się boją, żeby przemawiać we własnym imieniu. Trzeba pamiętać, że ci ludzie to nie są dane statystyczne zebrane w jakichś odległych krajach. Ich dzieci bawią się razem z naszymi. To nasi sąsiedzi i przyjaciele. Chodzą do tych samych świątyń, co my. Tak samo jak pan czy ja stanowią istotny składnik tego, co sprawia, że budynek staje się domem, że ulica zmienia się w moje miejsce na ziemi. Dlatego też nie będziemy się przyglądać beczynnie nadużyciom. To atak na naszą małą ojczyznę, na naszą społeczność. Afront wobec mieszkańców Glasgow. W całym mieście zbieramy teraz podpisy, a jutro chcielibyśmy zaprosić wszystkich obywateli Glasgow do wzięcia udziału w marszu, razem z nami. Wiec zacznie się na Iona Court o dziesiątej rano, a następnie pójdziemy prosto pod ratusz, aby przekazać naszą petycję panu burmistrzowi oraz radnym miejskim”.

Nazajutrz Dalila obserwuje świat z balkonu. Niżej, we mgle, zbiera się tłum. Nad nim powiewają transparenty. Przybywa coraz więcej ludzi, policja stoi w pogotowiu, przygląda się. Dziewczyna zastanawiała się już wcześniej, czy nie wziąć udziału w proteście, ale myśl o kamerach kanałów informacyjnych wzbudziła w niej obawy, że ktoś mógłby ją zobaczyć. Gdyby twarz Dalili ukazała się na zdjęciach pokazywanych w całej Wielkiej Brytanii, wówczas Markus lub Mama Anne z pewnością by ją rozpoznali. Nie może podejmować takiego ryzyka.

Jakaś kobieta trzyma megafon i mówi coś słumionym, metalicznym głosem. Tłum klaszcze. Potem megafon przejmuje jakiś mężczyzna. Wznosi okrzyk, który zgromadzeni rytmicznie powtarzają. Kilka prób, by nadać temu impet, i po chwili tłum skanduje jak jeden mąż. Słysząc owacje i oklaski. Zespół kobiet doboszy, które wyglądają, jakby mieszkały gdzieś niedaleko stąd, zaczyna walić w bębny. Są całkiem niezłe, bębnienie przyciąga kolejnych ludzi. Dalila szacuje, że na parkingu pod nią stoi teraz od pięciuset do siedmiuset osób. Zauważa kilka

matek z dziećmi, a nawet jakiegoś człowieka na wózku inwalidzkim.

Protestujący, którzy nie tańczą – inni.

Marsz sprzeciwu, na którego czele idą dudy – inny.

Długość przemówień – inna.

Bębnienie demonstrantów – takie samo.

Demonstracja – taka sama.

Po około czterdziestu pięciu minutach kobieta z megafonem staje przed największym transparentem i prowadzi marsz ulicą. Z przodu i z tyłu tłum eskortują policjanci na motocyklach. Funkcjonariusze w żółtych kamizelkach idą obok ludzkiej masy, by utrzymać ją w ryzach. Zmierzają w stronę rzeki oraz siedziby BBC.

Dalila przygląda się marszowi. Ludzie nikną we mgle, tylko jasnożółte kamizelki policjantów trochę dłużej opierają się żywiołowi. Lecz wkrótce i one giną z pola widzenia. Słyszą tylko bębnienie i lament dudziarzy.

Przez większą część kolejnego dnia zbiera się na odwagę, żeby wyjść z domu. Wybiera schody, aby uniknąć ewentualnego spotkania w windzie z Mickiem, Alison albo z reporterami czy policjantami, którzy być może nadal kręcą się po okolicy. Schodząc po stopniach, mija dwie odrębne grupki oczekujących na azyl, które obozują na półpiętrach, w razie gdyby doszło do kolejnego nalotu o świcie. Ludzie witają się z nią, lecz Dalila kiwa im tylko głową, przechodzi ponad śpiworami i idzie dalej.

Dociera do mostu nad autostradą, opiera się o balustradę i patrzy na intensywny ruch uliczny. Nad widnokregiem narasta mrok. Jest dopiero szesnasta czterdzieści pięć, lecz dzień zdaje się dobiegać końca. Poniżej samochody pędzą z szumem, który niewiele się różni od ciszy.

Tutaj jest lepiej, spokojniej. Ładne są te światła. Jedna rzeka czerwonych świateł stopu i przeciwny do niej strumień nadjeżdżających migotliwych reflektorów. W tym ruchu zawarty jest jakiś kojący porządek. Setki samochodów, które pędzą po ośmiu idealnie równych pasach, a dalej łagodna krzywizna autostrady. Każdy wóz dokładnie wie, dokąd zmierza, świetnie się orientuje, jak powinien się zachowywać. Całość przypomina Dalili grządki kwiatowe, nad którymi kiedyś pracowała jej matka.

Minęło bardzo wiele czasu od chwili, gdy Dalila czuła się tą osobą, którą kiedyś dobrze знаła. Zmiana w niej jest faktem, ale też nieustannie się dokonuje.

Dalila – taka sama.

Dalila – inna.

I nie ma to nic wspólnego z jej wujem, a przynajmniej nie tylko z nim. W dniach, w których czuje się silniejsza, umie odpychać od siebie te wspomnienia, żeby nie trapiły jej już tak bardzo. Tu nie chodzi o niego. Coś dziwnego bierze ją siłą, wgryza się w nią, zmienia ją w osobę, która siedzi w milczeniu, tylko słucha, spędza całe dni w domu, samotnie. Zresztą, ona sama

chce spędzać czas w pojedynkę. Lecz przecież trzeba jej czegoś więcej. Musi istnieć coś więcej. Straciła wszystkich, a teraz, tak jak tę wodę przepływającą przez palce, traci także siebie.

Znów wędruje po mieście.

Pordzewiałe drzwi magazynów.

Ptaki dziobiące odpadki.

Przechodzi pod estakadą, nad metrem. Porusza się między budynkami, sklepami. Lawiruje wśród ruchu ulicznego i między pieszymi, którzy pokonują własne trasy w całym mieście.

Dziś jest jaśniejszy dzień, umiarkowana pogoda.

W kałuży pływa dziecięcy bucik.

Na przycisku sygnalizacji przed przejściem dla pieszych ktoś przykleił gumę do żucia.

Budynek, który widzi przed sobą, przypomina jej jedną z budowli w pobliżu koledżu w Nairobi. Obok jest wolna przestrzeń, ni to plac budowy, ni to parking. Nieokreślona przestrzeń, której się nie zauważa, ponieważ nie ma tu nic do zobaczenia.

Jednak Dalila ją widzi.

Przestrzeń pozbawiona celu, bez przyszłości. To miasto jest właściwie pełne takich pustych miejsc. Pod tym względem przypomina jej Nairobi. Zakurzone, próżne przestrzenie. Nieokreślone tereny, wokół których mieszkają ludzie, ale do których nie roszczą sobie pretensji.

Pamięta popołudniowe spacery po Nairobi. Wysokie wieżowce w centrum, agresywny ruch uliczny, szerokie chodniki, zakurzone okna, popękany nierówny beton. Wędrówki po jednym mieście przywodzą jej na myśl to drugie. Tak się właśnie czuła podczas pierwszych tygodni w koledżu, w metropolii, której prawie wcale nie znała. Odczuwała próżnię taką jak ta dzisiaj, jak w tamte dni w Londynie.

Czy to ona? Czy to ona przynosi ze sobą taki nastrój do każdego miasta?

A może właśnie chodzi o te metropolie? O ich beton i nieokreślone, bezużyteczne przestrzenie?

Czy każdy czuje się w ten sposób, kiedy spaceruje samotnie ulicami wielkiego miasta?

Telefon Dalili wibruje. Esemes od Daniela.

Masz się dzisiaj zameldować? Idziemy razem?

Spotkajmy się u mnie o 10.

Ranek jest siarczyście zimny, Daniel nalega, żeby wzięli jego nowy samochód. Ostrożnie próbuje uruchomić silnik, dwa, trzy razy, przekrzywiając głowę na bok, aby lepiej słyszeć jego dźwięk. Dalila zapina pas. Daniel prowadzi, jedzie o wiele wolniej, niż pozwala ograniczenie prędkości, zgarbiony nad kierownicą. Na pierwszym rondzie kręci głowę w lewo i w prawo. Mijają supermarket ASDA oraz pozerany przez suwnicę wieżowiec, który ma teraz zaledwie kilka kondygnacji. Przy sygnalizacji świetlnej Daniel odwraca się do Dalili i uśmiecha szeroko.

– Ten samochód jest całkiem dobry. Może go sobie zatrzymam, a sprzedam inny.

Starzec wydaje jej się teraz bardzo podobny do jej ojca. Dalila wciska zimne palce pod uda i cieszy się faktem, że ktoś wiezie ją przez miasto.

Parkują nieopodal Centrum Solidarności. Przed wejściem stoi ośmiu mężczyzn. Dalila rozpoznaje Abbiego, z kapturem na głowie, który pali papierosa. Gdy podchodzą bliżej, Abbi zaciąga się ostatni raz i pstryknięciem wyrzuca niedopałek.

– Co słyhać, przyjacielu – zagaja Daniel, potrząsając ręką Abbiego i kiwając głową pozostałym mężczyznom.

– Ach, wiesz, jak jest – odpowiada Abbi. – Zabierają ludzi tu i tam. Złe czasy nastąpiły.

Kilku mężczyzn kiwa głowami na znak potwierdzenia.

– Ostatnio było sześć nalotów – mówi Abbi.

– Sześć? – dziwi się Daniel.

– Uwierz mi, sześć. Tylko dziś rano dwa. Za każdym razem biorą całe rodziny.

Daniel kręci głową.

– Choroba, nie wiedziałem, że jest aż tak źle.

– Tak właśnie działają. W ten sposób. Cała uwaga jest skupiona na waszym bloku, więc jadą swoimi furgonetkami gdzie indziej, budzą rodziny i wywożą. W Dungavel brakuje już miejsc, człowieku. To nie żart.

Abbi kiwa ręką w stronę pozostałych mężczyzn. Odsuwają się trochę, pozwalając mu mówić. Dalila woli stać poza ich kręgiem i słuchać.

– Wczoraj przyjechali bardzo wcześnie i zabrali jedną rodzinę. Z Syrii. Władowali wszystkich do furgonetki, ale dziewczyna, córka, mówi nagle, że musi iść do toalety. Funkcjonariusze odmawiają. Że niby za późno, nie wolno wychodzić. Więc ona musiała, rozumiecie, wylać z siebie wodę na pace tej furgonetki. A tych funkcjonariuszy to nic nie obeszło. Po prostu jechali.

Dalila i mężczyźni czekają, żeby Abbi powiedział coś więcej, ale on już wyczerpał temat. Stoją i gapią się pod nogi. Daniel kładzie rękę na ramieniu Abbiego. Kiwa głową w kierunku Dalili i wchodzi do centrum.

W środku jest pełno kobiet. Mężczyźni wolą stać na zewnątrz, natomiast kobiety i dzieci wybrały ciepło we wnętrzu. Trzy siedzą na sofie i na jej poręczach. Inne stoją, czekają i czytają dokumenty. Jakaś duża pani w ciasnych spodniach tkwi zwrócona plecami do grzejnika elektrycznego i ogrzewa sobie ręce oraz tylną część ud.

Dalila i Daniel kiwają wszystkim głowami na powitanie, po czym drepczą w kierunku biurka po drugiej stronie pokoju, żeby wpisać się do rejestru.

– Nie – rzuca Phil do telefonu, rozwijając przewód z przedramienia i bazgrząc coś w notesie przed sobą. – Nie. Proszę posłuchać. Nie, to nie jest... Jeżeli zamierzacie postępować w ten sposób, to przykro mi, ale oni zostaną na dworze

przez całą noc.

Phil macha ku jednej z wolontariuszek i wskazuje na segregator leżący na kserokopiarce. Dziewczyna odkłada dwa kubki z herbatą, które niesie, podaje segregator Philowi, po czym wręcza jeden kubek kobiecie przy grzejniku gazowym, a drugi jakiejś dygoczącej Somalijce.

– Proszę posłuchać – mówi Phil do słuchawki. – To wcale nie tak. Nie mieliśmy tu żadnego zebrania komitetu, rozumie pan, nie składaliśmy żadnych wniosków do zarządu o udzielenie zgody na ten protest. Oni sami tam poszli, na własną rękę, serio. Sami postanowili się przykuć do tej bramy. Nie mam z tym nic wspólnego. – Przez chwilę milczy, a potem znowu się odzywa: – Pan mnie nie słucha. Ja nie mam tych kluczy. Ani zielonego pojęcia, gdzie mogą być, oni działają samodzielnie. Nie biorę w tym udziału. Nie... Nie... Hej, tylko mi tu pan nie groź... Gdybyście, proszę pana – podnosi głos – gdybyście nie wyciągali tych wszystkich rodzin z ich domów o cholernej szóstej rano, to ci demonstranci by się chyba nie przykuli do bramy waszej instytucji, prawda?

Za Philem inna wolontariuszka zmywa tablicę, jednocześnie rozmawiając przez telefon komórkowy. Boki głowy ma wygolone na łyso. Na jej karku widać wytatuowaną mandalę. Kiedy tablica jest już czysta, kobieta zaczyna wypisywać od góry imiona i nazwiska, nazwy krajów oraz wczorajszą datę. Litery są drobne i ładne. Obok jakiegoś nazwiska czerwonym markerem pisze: INTERNOWANY W: DUNGAVEL. Słucha instrukcji przez komórkę i umieszcza kolejne dane.

Phil rzuca słuchawką telefonu. Wstaje i kładzie ręce na głowie.

Ponieważ Daniel stoi akurat przed jego biurkiem, wyciąga ku niemu dłoń. Ściskają sobie ręce, po czym Daniel kiwa głową i przekazuje tamtemu wsparcie i otuchę.

– Toczysz szlachetną walkę, mój przyjacielu – stwierdza.

– Chcesz chyba powiedzieć, że ją przegrywam – replikuje Phil ze znużonym uśmiechem.

– Dzisiaj musimy się zameldować – mówi Daniel. – Jest bezpiecznie, jak sądzisz?

Phil wydyma policzki i masuje skronie.

– W tej chwili jest lekkie wariactwo, jak widzicie. Ostatnio dokonali sporo nalotów, ale wydaje mi się, że możecie się spokojnie zameldować.

Dalila rzuca okiem na tablicę. Jest w połowie pokryta starannie zapisanymi nazwiskami. Przy każdym z nich wskazano los, który spotkał ich właściciela.

INTERNOWANY/A W: YALRSWOOD

INTERNOWANY/A W: DUNGAVEL

INTERNOWANY/A W: DUNGAVEL

DEPORTOWANY/A

INTERNOWANY/A W: COLNBROOK

DEPORTOWANY/A

INTERNOWANY/A W: DUNGAVEL

Telefon znów zaczyna dzwonić, Phil odbiera. Odwraca się plecami i chwytając jakiś segregator, mówi:

– Tak, daj mi chwilę, zapiszę sobie te adresy.

Gdy siada za biurkiem, Daniel trąca Dalilę i oznajmia:

– Idę nacieszyć się świeżym powietrzem i towarzystwem palaczy. Chcesz się przyłączyć?

– Zostanę – odpowiada dziewczyna. – Tutaj jest cieplej.

– Bardzo mądrze – kwituje Daniel. Spogląda na zegarek. – Idziemy się zameldować za czterdzieści minut, okej?

– Tak, okej.

Dalila siada na skraju sofy i grzeje dłonie przed gazowym piecykiem.

Tuż obok niej jakaś Szkotka próbuje omówić coś z kobietą z Afryki. Rozmowa rwie się, zaczyna i ustaje, i tak w kółko, ponieważ Afrykanka ma

wielkie trudności z angielskim słownictwem. Dalili wydaje się, że rozpoznaje jej akcent.

Do ośrodka wchodzi kobieta wyglądająca na Pakistankę, z dzieckiem w wózek. Szybko wpisuje się do rejestru i zwraca do Szkotki:

– Muszę się zameldować. Zostawię tu dziecko, okej?

– Tak, oczywiście – odpowiada biała kobieta, która, jak Dalila podejrzewa, musi być wolontariuszką.

– Dziękuję – mówi Pakistanka. – Dziękuję. Niedługo wrócę.

– Nie ma problemu. Będę tutaj czekać. – Wstaje, wyjmując dziecko z wózka i kołysze je na swoim biodrze.

Dalila uśmiecha się do Afrykanki, która została na sofie. Korzysta z okazji i w suahili pyta ją, od jak dawna przebywa w tym kraju.

– Ach, siostrze, znasz suahili? Dzięki Bogu, dzięki Bogu. Próbowałam im podać informacje o sobie, ale oni nie rozumieją.

– Może mogłabym pomóc? – proponuje Dalila.

– Och, tak, bardzo proszę. Tutaj nikt mnie nie rozumie, a mój angielski jest okropny. Pochodzę z Tanzanii.

– Ja jestem z Kenii – mówi Dalila. – Mam na imię Irene.

– Beatrice.

Niemowlę zaczyna się krzywić i robić miny, wolontariuszka szpera pod wózek w poszukiwaniu czegoś, co odwróciłoby jego uwagę.

– Przepraszam – zwraca się do niej Dalila. – Przepraszam panią? Czy mogę pomóc znajomej wypełnić formularz?

Wolontariuszka podnosi wzrok.

– Mówicie w tym samym języku? – pyta. – Jeżeli mogłaby pani jej pomóc, to świetnie. Nie zaszłyśmy zbyt daleko. Kiedy zapisze pani jej dane, proszę jeszcze wszystko sprawdzić z Philem.

Przez pół godziny obie gawędzą jak stare znajome, podczas gdy Phil kłóci się przez telefon, a ludzie wchodzą do środka i wychodzą. Rozmawiają o Afryce i o tym, jak dziwna jest Szkocja. Mówią o jedzeniu, o swoich kłopotach i nieporozumieniach z MSW. Beatrice opowiada, że jej ojciec poważnie zachorował i stał się niezdolny do pracy, dlatego rodzina straciła dom. Pewien kierowca ciężarówki zaproponował, że się z nią ożeni. Beatrice odmówiła, lecz matka nakłaniała ją do przyjęcia oferty, dla dobra całej rodziny. Wkrótce po ślubie mąż wybudował nowy dom, do którego się przeprowadzili, zapewniał im żywność, a jej młodszemu bratu znalazł nawet pracę w myjni samochodowej. Lecz pewnego wieczoru wpadł w złość i uderzył głową Beatrice o ścianę. Uciekła do swojej rodziny. Mąż wyjechał ciężarówką na dwa tygodnie, a kiedy wrócił, matka kazała wracać także jej. I znów mąż ją bił. Trwało to wiele miesięcy. Beatrice podejrzewała, że on ją zdradza, żyła w ciągłej obawie przed AIDS. Kiedy odkryła, że jest w ciąży, zrozumiała, że musi działać. Mogła znosić bicie ze względu na swoją rodzinę, lecz nie wolno było jej narażać na to samo dziecka. Uciekła. Najpierw do Mombasy, stamtąd do Francji, a potem do Wielkiej Brytanii. Jej synek ma teraz cztery lata. Jest zdrowy, chodzi do przedszkola, ale MSW właśnie odrzuciło ich wnioski o azyl i zablokowało wypłatę środków. Beatrice zatrzymała się na sekcji czwartej formularza. Nie ma gdzie mieszkać, sypia na kanapie u znajomej.

Dalila słucha, zafascynowana faktem, że ta historia pod wieloma względami przypomina jej własną. Te same emocje, choć detale odmienne. Tłumaczy opowieść Beatrice na angielski, po czym zapisuje ją starannie na formularzu rejestracyjnym Centrum Solidarności, uważnie sprawdzając każdy szczegół.

Wraca Daniel, chwilę rozmawia z Philem, a następnie zwraca się do Dalili:

– Widzę, że znalazłaś sobie pracę?

Dziewczyna podnosi na niego oczy, niepewna, co mężczyzna ma na myśli.

– Już prawie skończyłam – odpowiada. – Jeszcze dwie minutki. – Wstaje,

wręcza formularz rejestracyjny Philowi, który czyta go szybko.

– Czy to ty, hm, wypełniłaś go w imieniu tamtej kobiety? – pyta Dalilę.

– Tak. – Dziewczyna odsuwa się nieco i dokonuje prezentacji: – Philu, to Beatrice. Jest tutaj nowa.

Podają sobie dłonie. Phil mówi:

– Bardzo miło cię poznać, Beatrice.

– Mówimy w tym samym języku – informuje go Dalila. – Tak, pomagałam jej. Razem sprawdzałyśmy wszystkie dane. Zgadza się.

– Dobra robota – ocenia Phil.

– Och, Dalila jest bardzo dobra – wtrąca się Daniel. – To dziennikarka. Mówi po angielsku znakomicie. Powinna pracować u ciebie jako wolontariuszka.

Dalila patrzy na Daniela, starając się zrozumieć jego motywy.

– No cóż, wiesz, moglibyśmy skorzystać z twojej pomocy – mówi Phil. – Trzeba by cię troszkę przeszkolić i hm... Ale, no tak, bardzo chętnie cię przyjmujemy. Możesz przyjść jutro? Pasuje ci?

Dziewczyna spuszcza głowę; wdzięczność i zawstydzenie zalewają jej serce. Szarpie zamek swojej kurtki, próbując ukryć uczucia. Podnosi wzrok na Phila i odpowiada:

– Tak, jutro pasuje. Przyjdę jutro.

Demonstranci przed Festival Court skandują jednym głosem.

„Razem! Zjednoczeni! Nie damy się pokonać!”

Długie, domowej roboty transparenty wiszą wysoko ponad głowami protestujących.

ZAPRZESTAĆ NALOTÓW O ŚWICIE.

DOŚĆ ARESZTOWAŃ DZIECI.

Z obu stron zgromadzenia drogę blokują policyjne radiowozy, ruch pojazdów kierowany jest z dala od tłumu. Ludzie stoją opatuleni w ciężkie płaszcze i szaliki. Są matki z wózkami dziecięcymi, Sikhowie, dwaj biali chłopcy z blond dreadami, kobiety w chustach na głowach, miejscowi mężczyźni o bladych, łysych czaszkach. Gdy tłum skanduje i gwizdże, unosi się nad nim wątlą para oddechów. Dalila i Daniel podchodzą bliżej; dziewczyna rozpoznaje twarze ze swojego bloku i z całej dzielnicy. Policjanci stoją osobno, z rękami zatkniętymi za kamizelki, aby było im cieplej. Jeden z nich się uśmiecha i gawędzi z dwoma ochroniarzami z MSW.

Główna brama Festival Court jest zamknięta. Jej skrzydła spinają blokady rowerowe. Trzech demonstrantów przywiązało się do bramy, w dodatku wszyscy są przykuci do siebie kajdankami. Na bramie i wzdłuż płotu widać napisy.

SOLIDARNOŚĆ!!!

WNIOSKUJĄCY O AZYL TO NIE KRYMINALIŚCI.

PRECZ Z NALOTAMI O ŚWICIE.

Daniel pokazuje na Abbiego w tłumie, który przeskakuje z nogi na nogę i wyrzuca pięść w powietrze. Na widok Daniela chłopak uśmiecha się szeroko i śpiewa: „Razem. Zjednoczeni. Nie damy się pokonać!”.

Mężczyźni podają sobie ręce.

– Bracie. – Daniel jest zmuszony podnieść głos. – Mamy się dzisiaj

zameldować. Możemy wejść do środka?

– Tak. Tak. To nie wy macie problem, tylko oni. Oni nie mogą wyjść. Bramy są zablokowane.

– Tak, widzę.

– Ale możecie przejść bokiem. – Abbi pokazuje na boczną furtkę, przy której stoi dwóch strażników.

– Dziękuję ci, przyjacielu – mówi Daniel, a Abbi powraca do skakania i wymachiwania pięścią.

We wnętrzu centrum meldunkowego panuje tłok. Środki bezpieczeństwa zaostrożono, ludzie wiercą się w kolejce, zanim zostaną poddani dokładnej, metodycznej kontroli. Dalila wkłada telefon, pasek i czapkę do torebki. Zdejmuje kurtkę i wszystko oddaje. Ściąga złote koszykarskie buty i robi z nimi to samo, ponieważ tak jest łatwiej, niż wyciągać sznurówki, żeby potem znów je nawlekać. Wraz z Danielem ustawiają się w kolejce do wykrywacza metalu. Gdy mają go już za sobą, oboje zostają jeszcze zrewidowani.

W poczekalni czuć zmieszana woń nieświeżych oddechów, potu i wilgotnej odzieży. Panuje tu atmosfera cichego napięcia. Dzieci tulą się do matek albo śpią na podłodze. Dalila przechodzi przez całą poczekalnię, w samych skarpetkach. W jej przedniej części znajdują z Danielem dwa miejsca siedzące.

Mężczyzna pochyla się do dziewczyny i mówi cicho w suahili:

– Słyszałem niedawno, że nie deportują rodziny Erdemów.

– Skąd wiesz? – pyta Dalila, odwracając się do niego w krzesło.

– Wpadłem wczoraj do centrum, Phil mi powiedział.

– Dlaczego nic mi nie mówiłeś?

– Teraz ci mówię. Pisali o tym w dzisiejszych gazetach. Phil powiedział mi, że najpierw zabrali tę rodzinę do ośrodka internowania w Colnbrook w Anglii. Mieli ich deportować. Ale organizacje charytatywne i media z całego kraju ciągle

wydzwaniały do Colnbrook i wypytywały o tę rodzinę. Presja rosła. Aktywiści zaczęli wysyłać tysiące esemesów i mejli ze skargami na to, że przetrzymuje się dzieci w takim ośrodku. Także gazety i telewizja chciały się dowiedzieć, co się stanie z Erdemami, więc wiadomości o tej rodzinie przybywało. Ludzie są oburzeni. Domagają się wyjaśnień, dlaczego MSW aresztuje małe dzieci, a potem odsyła je do kraju, którego – jak na przykład mała Rosa – nigdy nawet nie widziały. I wszystko to po tym, jak straciły ojca w wypadku spowodowanym przez samo MSW. Sprawa się bardzo skomplikowała. Odium winy spadło na ministrów w Londynie. Więc po cichu zwolnili rodzinę. MSW twierdzi, że doszło do apelacji, która została uznana ze względu na nowe dowody. Phil mówi, że oni są w tej chwili w Liverpoolu, bo MSW zdaje sobie sprawę, że sprowadzenie ich z powrotem do Glasgow byłoby katastrofą.

– To cudowna wiadomość – cieszy się Dalila i nagle unosi dłoń do ust, czując się okropnie, że to powiedziała. – To znaczy, dobrze, że zostają, ale na pewno bardzo cierpią. Przypuszczam, że jest im ciężko, niezależnie od tego, co się stanie dalej.

– Dziewczynki będą tutaj bezpieczniejsze – mówi Daniel.

Na tablicy wyświetla się z brzękiem kolejny numererek. Wszystkie głowy w poczekalni się podnoszą, żeby zobaczyć, na kogo przyszła kolej. Daniel pochyla się ku Dalili.

– Spotkałem pana Erdema tylko trzy albo cztery razy. Tutaj i przed naszym blokiem. Sprawiał na mnie wrażenie smutnego człowieka, człowieka winnego.

– Skąd wiesz, że był winny? – pyta Dalila, zszokowana opinią Daniela. – Co takiego zrobił?

– Miałem na myśli tylko to, że zdawał się nosić w sobie poczucie winy. Jakby się oskarżał o coś, czego nie mógł sobie wybaczyć.

Dalila zawija swoją kartkę z numerkiem wokół karty ARC. Rozwija ją, prostuje.

– Znałeś jego żonę, Olcay? – pyta.

– Widziałem ją, ale chyba nie rozmawialiśmy.

– Powiedziała mi, że jej mąż pracował w Turcji na lotnisku. Odmówił pomocy jakimś ludziom szmuglującym towary. Uciekli, żeby rodzina była bezpieczna. Kiedy patrzył na to maleńkie mieszkanie, które dostali, musiał się obwiniać, że zabrał córki z domu i przywiózł je w takie miejsce.

– Tak – mówi Daniel – rozumiem go. Wyobrażam sobie go tam wysoko, z funkcjonariuszami, jak krzyczą do jego pleców. Zanim jeszcze ci ludzie się wdarli do ich mieszkania, on musiał zdawać sobie sprawę, że nie ma szans, żeby uchronić rodzinę przed niebezpieczeństwem. MSW go nie słuchało. To był człowiek pełen smutku, który zrobił krok z balkonu w przepaść, lecz także człowiek dzielny. Jego czyn, może nazwijmy go gestem, miał w sobie tyle mocy, żeby przemienić tę ich cichą, nieznaną historię w coś, czego nikt nie zdoła zakwestionować. Ten skok był aktem mądrym i wolnym od egoizmu.

– Naprawdę sądzisz, że on o tym wszystkim myślał wtedy, na balkonie? – pyta Dalila.

– Sądzę, że rozważał te sprawy przez cały czas.

– Nie mogę przestać myśleć o dziewczynkach – wyznaje Dalila. – O małej Rosie. Jej ojciec zginął, dlatego chce mi się...

Daniel kiwa głową.

– Też było mi ogromnie żal tych dzieci. Mam nadzieję, że z czasem zaakceptują czyn swojego ojca i zrozumieją, ile był wart.

Mężczyzna patrzy na nią, czekając, aż się odezwie. W ciszy, która zapada między nimi, Dalila czuje, że starzec widzi tę jej część, którą wolałaby ukryć. Pociera jedną stopą w skarpetce o drugą, dla ogrzania palców, a potem odzywa się, aby przerwać milczenie.

– Kiedy tu przyjechałam, sądziłam, że straciłam wszystko. Ojca. Swoją rodzinę. Przyszłość. Ale czuję, że ciągle tracę jeszcze więcej. Wydaję się sobie...

Sama nie wiem. Jakbym stawała się bardzo mała.

– Ja też to czułem – wzdycha Daniel. – Po przyjeździe miałem wrażenie, że coś wyrzuciło mnie z mojego własnego życia. Godzinami leżałem w łóżku, nie jadłem ani nie spałem. – Spuszcza głowę i złącza dłonie. – Jak widziałaś, czasem to do mnie powraca.

Dalila dostrzega jego zażenowanie. Bierze Daniela za rękę, chcąc mu powiedzieć coś od serca, szczerze, lecz mówi tylko:

– Ma’aza powiedziała mi, że zadaniem czekających na azyl jest przetrwać. Że musimy to zrobić.

Daniel kiwa głową i ściska dłoń dziewczyny.

– Ma’aza ma rację – potwierdza. – Musimy przetrwać. Bardzo piękna idea, ale nie taka prosta. Człowiek, któremu ucięto ręce i nogi, a który wciąż oddycha, jest tym, któremu udało się przetrwać. Przetrwanie to sytuacja, gdy twoje serce wciąż pompuje krew. To jest najważniejsze, tylko się zastanawiam, czy wystarczy.

Daniel kaszle w zewnętrzną część ręki. Przesuwa się nieco na krześle, by spojrzeć Dalili w twarz.

– Wiesz, że byłem w więzieniu? – pyta.

– Nie – odpowiada dziewczyna. Nachyla się bliżej niego, patrzy mu w oczy, lecz on poprawia okulary, aby uniknąć jej wzroku.

– Spędziłem tam rok i pięć miesięcy. W Ugandzie. Siedziałem z powodu polityki. W pewnym sensie miałem szczęście, ponieważ wiedziałem, dlaczego tam jestem. Wiedziałem, czego ode mnie chcieli. Inni faceci siedzieli zamknięci w tych murach wiele lat, nie mając pojęcia, z jakiego powodu ani jak długo tam zostaną. Więzienie było przepelnione – ciągnie Daniel. – Trzymali nas pod kluczem w małych celach, czasem po dziesięciu mężczyzn w jednej. W każdej chwili strażnicy mogli wywlec któregoś z nas na zewnątrz. Zabierali cię do jakiegoś pokoju, sadzali, przywiązywali nogi do krzesła, a potem popychali je,

żebyś spadał na plecy. Leżącego bili w podeszwy stóp trzcina. Ból był potworny. Nie można było znieść tych krzyków. Moje stopy nigdy się nie wygoiły po tamtych razach. Czasem zadawali jakieś pytania, a czasem nie. Wciąż pamiętam ten pokój, w którym bili. Śmierdział moczem. Nawet dzisiaj zapach sików wywołuje we mnie panikę.

Dalila wpatruje się w jego profil.

– Tak mi przykro, Danielu – szepcze.

– W celach dochodziło do bójek – kontynuuje Daniel. – Niektórzy więźniowie byli gorsi od klawiszy. Jakby przerzucali agresję, której doznali w pokoju bicia, na innych osadzonych. W ten sposób starali się przetrwać. Wszyscy unikaliśmy tych więźniów. – Daniel bierze głęboki oddech. Odchyła się w krześle i krzyżuje nogi. – Wiele miesięcy siedziałem w jednej celi z pewnym starszkiem. Nazywał się Absolom. Kiedy po przesłuchaniu strażnicy wrzucili go z powrotem do celi, z jego stóp lała się krew, spodnie miał mokre, zresztą jak każdy z nas. Czasem bili go inni więźniowie, kradli mu jedzenie, ale najczęściej dawano mu spokój. Zacząłem go obserwować. Absolom nie uśmiechał się zbyt często, ale kiedy mówił, miał w oczach coś takiego, jakby zamierzał się uśmiechnąć. Więcej niż tylko humor. W tym człowieku było coś, co sprawiało, że wszystko na zewnątrz miało drugorzędne znaczenie. Chciałem być jak najbliżej niego. Któregoś dnia w sąsiedniej celi wywiązała się bójka. Pchnęli człowieka nożem. Tej samej nocy zmarł z odniesionych ran. Usiadłem koło Absoloma i spytałem go, co myśli o tym zajściu. Odpowiedział, że to po prostu ludzie, którzy walczą o swoje życie i w związku z tym zabili innego człowieka. Nie nauczyli się jeszcze przegrywać, tak mi powiedział.

– Przegrywać? – upewnia się Dalila, nie wiedząc, czy się nie przesłyszała.

– Tak – potwierdza Daniel. – Absolom wyjaśnił mi to w ten sposób. Stracisz wszystko. To los każdej istoty. Stopniowo wszystko zostanie ci odebrane. Możesz walczyć, możesz się rzucać. A nawet widzieć wspaniałe znaki,

dowodzące, że świat ma wobec ciebie inne plany. Możesz zapewniać samego siebie, że tylko ty stoisz przed takimi problemami i właśnie ty jako pierwszy zdołasz je pokonać. Ale potem i tak przegrasz. Zapomnisz, jaki był plan, stracisz nadzieję. Opuści cię zdrowie, członkowie twojej rodziny umrą i w końcu ciebie też nie będzie. Przegrywa każdy. To bardzo prosta prawda na temat naszego życia. Absolom mówił mi, że ktoś, kto tej prawdy nie zna, nie rozumie, że dzieli ten sam los z wszystkim wokół, z wszystkimi, którzy cierpią. Skoro nie akceptuje owej prawdy, ignorancja sprawia, że staje się agresywny. Ci wściekli ludzie, brutalni, starają się tylko przeżyć. Może nam się wydawać, że nienawidzą innych, ale tak naprawdę boją się cierpienia, które inni reprezentują. A strach ich wynaturza, zmienia w potwory.

Daniel odwraca się ku Dalili ze stoickim wyrazem twarzy.

– Codziennie myślę o Absolomie – mówi. – Jego idea miała w sobie potężną moc. Pamiętam, jak przyjechałem do Wielkiej Brytanii. Czuję obawę przed zmianami, które miały się dokonać. W jakiś dziwny sposób, nie wiadomo jak i gdzie, stałem się nową osobą. – Wskazuje ludzi w poczekalni i dodaje: – Tacy jak my, kiedy czekamy na te wszystkie papiery, przechodzimy przemianę. To, jak nas traktują, nie pozostaje bez echa. Wierz mi, widziałem to nieraz. Ta bezczynność, do której nas zmuszają, stres, jaki przeżywamy, mają na celu zredukowanie naszego życia, ukrycie nas przed światem albo usunięcie. Zmieniają nas w takich azylantów, jakich chcą mieć. Robią to, ponieważ widzą, ile straciliśmy, i nie chcą przyjąć prawdy, że mogą się stać tacy jak my. Budzimy w nich przerażenie.

Na ekranie wyświetla się kolejny numerek, następuje brzęknięcie, po czym matka z córką wstają i idą do najbliższego boksu, żeby się zameldować.

Daniel nachyla się do Dalili i mówi:

– Dlatego trzeba nauczyć się tracić.

Ona spogląda na niego z boku. Już ma spytać, czy umieranie i trwanie to jest

to samo, kiedy nagle mężczyzna wybucha śmiechem.

– Ha. Nie patrz tak na mnie. – Chichocze. – Mówię serio. Myślę, że musimy się nauczyć tracić, i to nauczyć dobrze. Zastanawiam się czasem, czy *ubuntu* nie oznacza po prostu utraty. Jeśli wszyscy zrozumiemy, że przegrywamy, wtedy będziemy mogli dzielić się naszą stratą. W tym dzieleniu się odnajdziemy jedni drugich. To największy z darów *ubuntu*. Kiedy myślę o panu Erdemie, przypomina mi się, w jaki sposób chodził. Nosił się z godnością. Był opanowany i odważny. Rodzina go straciła, ale owa strata stała się dla niej darem. Ludzie zapamiętają, jak żył i jak zginął. W każdej chwili wybieraj, jaka chcesz być, siostró. To cię ukształtuje, pozostaniesz we wspomnieniach innych. Będziesz częścią ich własnej historii, pomożesz im wybrać sposób, w jaki zmierzą się ze swoją stratą. Tak właśnie nasze pojedyncze historie tworzą Wielką Opowieść. Rozumiesz? Nie chodzi o przetrwanie. Chodzi o zwycięstwo.

Nazajutrz rano Dalila idzie na pocztę szybkim krokiem, żeby nie zmarznąć. Odebrawszy pieniądze, zatrzymuje się przy kiosku i kupuje kartę telefoniczną, aby zasilić swój kredyt. Potem zmierza prosto do Centrum Solidarności.

Jej pierwszym zadaniem w ośrodku jest przygotowywanie dla wszystkich ciepłych napojów. Chce zrobić słodką herbatę, jak należy, z gorącym mlekiem, cynamonem, może też z imbirem. Ale nie ma tu odpowiedniego rondelka do mleka. Są tylko: stary czajnik, saszetki z herbatą, kawa rozpuszczalna, cukier oraz poplamione kubki. Zabiera się do dokładnego mycia każdego kubka w małym zlewku, podczas gdy w czajniku wrze woda. Zbiera od wszystkich osób w pokoju zamówienia, a potem otwiera drzwi wejściowe i pyta gromadkę mężczyzn palących wspólnie jednego papierosa, czego chcieliby się napić.

Łyżeczką wyciska saszetkę o ściankę kubka, aby herbata była możliwie najmocniejsza, następnie wlewa letnie mleko do połowy pojemności. To najlepsza herbata, jaką może zrobić w tych warunkach. Roznosi napój, wraca do zlewu i myje sztućce, dyskretnie obserwując, jak ludzie sączą herbatę i obejmują kubki rękoma, by je ogrzać.

Potem, tego samego ranka, pomaga wolontariuszce z tatuażem w kształcie mandali, czyli Tracey, sortować nowe dary.

– Wszystko pójdzie do mieszkań przy Red Road – wyjaśnia Tracey. – Najpierw trzeba jednak to trochę ogarnąć. Przejrzyj te worki, zrób z nich trzy kupki. Odzież dla kobiet tu. Ubranka dla dzieci tu, a tam odzież męska. I sprawdzaj, czy nie ma pleśni, bo czasem ludzie przekazują nam gówno.

Kiedy ubrania są już posortowane, Dalila pomaga Tracey i Abbiemu załadować worki do furgonetki. Zanoszą tam również cztery pudła konserw, koce, zabawki i trzy worki z butami.

– Jedziemy – mówi Tracey, zamykając przesuwne drzwi vana. Z tylnej

kieszoni wyciąga kluczyki i sadowi się na fotelu kierowcy. Abbi wskakuje na miejsce dla pasażera. Dalila już ma spytać, czy może z nimi jechać, kiedy nagle z budynku wychodzi Phil i mówi:

– Dalilo. Przepraszam, ale czy jesteś teraz bardzo zajęta?

– Nie.

– Bo widzisz, chodzi o to, że mamy tu jednego pana, który przyszedł do naszego ośrodka pierwszy raz. Musi wypełnić formularz rejestracyjny, ale nie za bardzo umie pisać. Jesteśmy strasznie zabiegani, więc on czeka już godzinę. Tak się zastanawiam, czy mogłabyś, no wiesz, hm, czy zechciałabyś pomóc mu wypełnić ten formularz?

– Ach, tak, oczywiście. Pewnie, że mogę.

– Świetnie. To dla nas naprawdę wielkie wsparcie. Tylko zadaj mu te wszystkie pytania z listy, a potem zapisz jego historię. Dopilnuj, żeby znalazło się w niej wszystko.

– Okej. – Dalila bierze od Phila podkładkę do pisania z klipsem oraz formularz rejestracyjny.

Idzie za nim do środka. Phil przedstawia ją czekającemu mężczyźnie.

– To Dalila, a to jest Abit.

Podają sobie dłonie, Dalila siada na sofie obok mężczyzny, z podkładką na kolanach.

Rozpoczyna wywiad od podstawowych pytań; Abit szybko się odpręża, mówi swobodnie, opowiada swoją historię, a Dalila ją zapisuje.

Dziewięć lat temu siły rządowe zaatakowały wioskę Abita. Żołnierze wymordowali mu rodzinę, wszystko spalili. On uciekł. Miał wtedy trzynaście lat. Następnego dnia w jego wsi pojawiła się milicja, niewielkie ugrupowanie antyrządowe. Niedobitkom, którzy siedzieli wśród zgliszczy, dano wybór. Albo wstąpią do SPLA i będą walczyć ze skorumpowanymi siłami rządu sudańskiego, albo czeka ich egzekucja.

W ten sposób trafił na wojnę.

Abit nie miał żadnej broni. Po prostu chodził za członkami milicji, obozował razem z nimi, zabierał żywność z pobliskich wiosek w ramach kontrybucji wojennej. Żył w ten sposób półtora roku.

Kiedy dochodziło do wymiany ognia, kulił się i podawał amunicję temu, kto akurat miał jakąś broń. Lecz ich niewielka grupa rebeliantów została wkrótce pokonana, wszystkich ujęły wojska rządowe. Abitowi związano ręce za plecami i popędzono, razem z kilkoma innymi niedobitkami z milicji, do najbliższego miasta. Nie było tam więzienia, nie mieli gdzie trzymać jeńców. Okna domów były pozbawione nie tylko krat, lecz także szyb.

Abit przerywa swoją opowieść i uśmiecha się szeroko do Dalili.

– Ja – wali się w pierś – ja jestem dla nich o wiele za sprytny. Nie zatrzymali mnie. Uciekłem. – Chichocze i wyrzuca ramię do przodu, aby pokazać, jak daleko zdołał zbiec.

Ale o świcie żołnierze znów go złapali i tym razem nie umieścili razem z pozostałymi chłopakami, tylko zabrali do pokoju, w którym nie było niczego poza drewnianym stołem.

– Położyli mi ręce o tak – pokazuje – i wzięli pistolet do gwoździ. Wiesz, co to jest pistolet do gwoździ?

– Wiem – odpowiada Dalila, wzdrygając się, próbuje jednak zachować kamienną twarz.

– Biorą pistolet do gwoździ i przykładają go tu – ciągnie swoją opowieść Abit. Jedną ręką, imitującą broń, celuje w nadgarstek drugiej. – Strzelili dwa razy, pif-paf, przebili ten kawałek mnie. – Pochyla się do przodu, żeby pokazać Dalili blizny z obu stron przegubu, tam gdzie gwoździe spenetrowały kości i przybiły go do stołu.

Opowiada Dalili, że od razu zwymiotował. Żołnierze zostawili go tam z jedną unieruchomioną ręką. Gwoździe wbiły się w drewno i w prawą dłoń zbyt

mocno, by mógł ją wyciągnąć, a ponieważ tkwiły też w kościach, nie miał szans rozerwać mięśni i się uwolnić. Próbował usiąść, lecz krzesła nie było, a stół okazał się za wysoki, żeby się usadowić na podłodze, i za ciężki, by go wypchnąć z pomieszczenia. Gwoździe sterczały w jego nadgarstku jeden obok drugiego, nie był zdolny odwrócić się nawet ku innej stronie stołu. Stał więc pochylony nad blatem.

Tkwił tak trzy dni.

Nogi mu spuchły, a stopy bolały tak, że nie mógł się na nich wspierać. Patrzył na swoje zaschnięte wymiociny, z których wystawały punkty na wpół strawionej kukurydzy. Zdjęły go majaki. Rozmawiał ze swoją nieżyjącą matką, która krzyczała na niego i kazała mu iść, wynosić się, zajrzeć do kóz. Nie mogła zrozumieć, że nie jest w stanie tego zrobić.

Kiedy żołnierze wrócili, podnieśli mu ramię i przepiłowali gwoździe. Był za słaby, aby chodzić, palce całkowicie mu zzieleniały, wyrzucili go więc w pobliżu obozu dla uchodźców.

– Gdy poczułem się lepiej, uciekłem stamtąd. – Abit się uśmiecha. – Po wielu miesiącach dotarłem łodzią na Cypr. Potem zviałem do Włoch. Z Włoch zviałem do Wielkiej Brytanii.

MSW odrzuciło jego wnioski, twierdząc, że mężczyzna powinien wrócić na Cypr i tam ubiegać się o azyl, ponieważ to w tamtym miejscu przekroczył granicę Unii Europejskiej. Przyznano mu zasiłek w ramach sekcji numer cztery, ale wyrzucono ze schroniska. Zasiłek też przestali wypłacać, gdyż nie stawiał się w Festival Court codziennie.

– Oni chcą mnie złapać – mówi. – Wsadzić do niebieskiej furgonetki i odesłać. Ale ja jestem za sprytny. Przenoszę się to tu, to tam, śpię w parku.

Uśmiecha się do Dalili, a ona po raz pierwszy zaczyna się zastanawiać, czy chłopak z nią flirtuje. W rubryce formularza „Aktualny adres zamieszkania”

pisze: BEZ ŚRODKÓW DO ŻYCIA.

Abit mruga i mówi:

– Nie złapią mnie. Ucieknę.

Tego wieczoru Dalila wyłącza telewizor i siedzi w ciszy swojego mieszkania, odtwarzając w głowie to, co się wydarzyło w ciągu dnia. Wstawia na kuchence kilka ziemniaków w garnku, a kiedy czeka, aż się ugotują, wpatruje się w światła miasta i nieliczne gwiazdy ponad nimi. Jedno z pierwszych zadań, jakie otrzymała w trakcie studiów, polegało na przeprowadzeniu wywiadu z jakąś osobą i napisaniu z tego raportu. Wybrała ciotkę Muthoni, starszą wdowę, która sprzedawała owoce na targu, wychowała pięcioro dzieci, pochowała męża, podróżowała do Ugandy, pracowała w sierocińcu oraz wybudowała dom – oprócz tego miała się mnóstwa innych zajęć i przeżyła wiele przygód. Kiedy Dalila przywołuje wspomnienie, jak siedzi z tą starą kobietą pod drzewami, czuje powracające ciepło słońca, które padało cętkowanym blaskiem w ów jasny poranek. Pamięta, że Muthoni się niecierpliwiła, bo chciała tylko usłyszeć parę historyjek, zapisać je i zaliczyć zadanie. Lecz dla Dalili instrukcje pozostawione jej przez wykładowcę stanowiły prawdziwe wyzwanie. „Słuchać to dawać – powiedział im nauczyciel. – Poświęćcie ludziom trochę swojego czasu, niech was zaproszą do wysłuchania swoich historii”. Siedziała zatem z długopisem i papierem na kolanach, urzeczona opowieściami ciotki Muthoni. Przebywanie tam odbierała jako przywilej – przywilej obcowania z czyimiś osobistymi wspomnieniami, słuchania o cierpieniach tej kobiety, o jej tęsknotach. Było to jedno z najbardziej intymnych doświadczeń w życiu Dalili. Wiele dni po tym, jak oddała swoją pracę, nadal nosiła te opowieści w sobie, czując ze starą kobietą więź chyba silniejszą, niż miała Muthoni.

Dalila wyłącza płytę grzewczą, odlewa gorącą wodę i studzi ziemniaki w zimnej. Znosi sól i cytrynę na stół. Jej umysł odtwarza relację Abita, którą

usłyszała wcześniej. Wyobraża sobie, jak tkwi przybity do stołu, i znów widzi ten dziwny uśmiech na jego twarzy pod koniec wywiadu.

Trzymając ciepłe ziemniaki dwoma palcami, macza je w soli i soku cytrynowym. Siedzi, je, oblizuje palce w słabym świetle kuchni. Polubiła Abita. Gdy siedziała na sofie obok niego, słuchała go i zapisywała jego słowa, czuła, że ta opowieść ją przenika, a jednocześnie wiąże ją z nim, a jego z nią. Było to wrażenie idealnego dopasowania do swojego miejsca w świecie. Jakby nosiło się kogoś ze sobą, wszędzie.

Jej umysł dryfuje ku Abbiemu, a potem ku Philowi. Dziewczyna pochłania kolejne ziemniaki. Phil tak bardzo jej pomaga. Czuje się przez niego szanowana.

Jutro wróci do centrum, pozna więcej ludzi, którzy opowiedzą jej swoje tragiczne, skomplikowane historie. Szóstym zmysłem czuje, że to może być jakieś wyjście. Jeśli kiedykolwiek jeszcze ma uczestniczyć w tym świecie, to może właśnie w ten sposób.

Dalila chodzi do Centrum Solidarności przez większość dni w tygodniu. Sortuje odzież i robi herbatę. Od czasu do czasu przez godzinkę podrzuca jakieś dziecko na kolanie, kiedy jego matka idzie się zameldować. Przeprowadza wywiady z nowymi osobami, pokazuje im, jak się wpisywać i wypisywać z rejestru. Phil uczy ją wklepywania wyników wywiadów do bazy danych. Dalila słucha wielu narzekań na warunki mieszkaniowe. Rozbite szyby, pleśń pod tapetami, uszkodzone sanitariaty, śmierdzące wykładziny, nie działające kaloryfery, woda kapiąca z sufitu – codziennie nowe narzekania. Spisuje każdą skargę, notuje imiona, nazwiska i adresy, a potem wysyła mejle bezpośrednio do osób odpowiedzialnych w danej spółdzielni mieszkaniowej. Jednak narzekania nie mają końca. Pewna kobieta, Nawal, przychodzi do centrum trzy dni z rzędu, skarżąc się na ten sam problem.

– No znowu woda przecieka mi przez dach. Ogrzewanie nie działa. Nie mogę tam trzymać swoich dzieci. Musisz im jeszcze raz powiedzieć. Niech przyjdą dzisiaj. Teraz.

– Wczoraj wysłałam do nich mejla – odpowiada Dalila. – Ale dziś jeszcze im przypomnę.

– Wciąż nie naprawili tego przecieku? – wtrąca pytanie Phil.

– Nie. Ciągłe nic – mówi Nawal. – Marzniemy od trzech dni, moje dzieci zaczynają chorować.

– Na litość boską – irytuje się Phil. Dzwoni do spółdzielni mieszkaniowej i kłóci się z nimi przez dwadzieścia minut. Trzaska słuchawką telefonu i zwraca się do Nawal: – Okej, przyjdą dziś po południu. Może być pani w domu między czternastą a osiemnastą?

– Tak – odpowiada kobieta. – Już idę do domu. Dziękuję, panie Philu. Dziękuję.

Nazajutrz Nawal wraca wykończona. Jej najstarsze dziecko siada od razu na

wykładzinie, otwiera książeczkę i zaczyna ją cicho kolorować, podczas gdy niemowlę w wózku płacze i płacze.

– Nadal wszystko jest do niczego – mówi Nawal. – Nikt wczoraj nie przyszedł.

Zbliża się wieczór, Dalila wkłada swoją czarną puchową kurtkę i czapkę. Macha na pożegnanie Philowi, który gada przez telefon, klepie Abbiego po ramieniu. Daje nura pod prawie zamkniętą żaluzję, po czym wychodzi na nieruchome, zimne powietrze. Ktoś chwyta ją za łokieć i ciągnie; przez ułamek sekundy Dalila przypuszcza, że to Abbi lub któraś z wolontariuszek chce ją jeszcze zatrzymać. Czyżby o czymś zapomniała? Ale kiedy się odwraca, widzi przed sobą twarz Markusa.

– Chodź – mówi – idziemy. Wracasz do roboty.

„Co to znaczy?” – przechodzi jej przez myśl, gdy tak stoi zdumiona, mrugając, zanim ogarnia ją pełne zrozumienie i strach. Chce wyrwać ramię, ale on go nie puszcza. Dalila próbuje się szarpać, rozsuwa nogi i znów ciągnie, mocniej, a potem nagle, niemal bezwiednie, otwartą dłonią wali Markusa w usta. Uwalnia z uchwytu swoją puchową kurtkę. Lecz on jest szybki. Łapie ją za nadgarstek, przyciąga do siebie i zakłada nelsona na szyję, spychając na ścianę; Dalila musi się wspiąć na palce. Jej wolna ręka młóci nerwowo twarz napastnika, dziewczyna kopie, celuje w jego krocze, ale koszykarski but trafia tylko w jego kolano. Markus jęczy, na chwilę traci równowagę, jednak końce jego palców znów zagłębiają się w jej gardło. Dziewczyna raz jeszcze kopie i tym razem trafia go prosto w pierś. Rozdzielają się. Markus zatacza się do tyłu. Dalila chwieje się i opiera o wejściowe drzwi centrum, z trudem łapiąc powietrze. Powinna wstać. Wie, że lepiej, aby stanęła na nogach.

– Pan Kennedy chce, żebyś wróciła do pracy – mówi Markus. – Muszę cię sprowadzić.

– Mój wujek? – Dalila pluje, gramoląc się na kolana. – Ja nie pracuję dla tej świni.

– Teraz już tak. Masz długi.

Markus rzuca się na nią; Dalila krzyczy, próbując wstać i uciekać, i wpada prosto na Abbiego.

– Nic ci nie jest, siostrze? – pyta Abbi, przerzucając wzrok z Dalili na Markusa.

– Pomocy – krzyczy dziewczyna. Głos ma ochrypły i pełen desperacji. – Ten człowiek jest...

Markus ponownie rzuca się do przodu, łapie Dalilę za kurtkę, lecz Abbi wchodzi między nich.

– Hej! Hej! Nie rób tego – woła. Staje twarzą do Markusa; obaj przesuwiają się w stronę ulicy, nie spuszczając z siebie wzroku.

– Jeśli masz trochę rozumu w głowie, to lepiej zluzuj – ostrzega Markus.

– No jasne! Ha ha. – Abbi się śmieje, gładząc brodę dłonią. – Bo co mi zrobisz, grubasku? Napadniesz na mnie? Strzelisz mi w twarz? Już jest zdefasonowana! Ha! No chodź. Dawaj. – Abbi rozkłada szeroko ramiona, jakby tańczył, i wypycha Markusa na ulicę. – A może chcesz zabić moją nieżyjącą rodzinę? Za późno, grubasku. No co mi zrobisz?

Markus cofa się głębiej, wyjmuje telefon i robi Abbiemu zdjęcie. Strzela fotki centrum, Dalili oraz Philowi i dwóm pracownikom, którzy wychodzą zobaczyć, co się dzieje. Dalila instynktownie odwraca twarz od agresywnego małego oka telefonu.

– Ktoś po nią przyjdzie – oznajmia Markus, wskazując na Dalilę. – Po was zresztą też.

Słyszając to, Abbi ożywia się jeszcze bardziej, tupie i zaczyna taniec wojenny przed Markusem.

– Poznałem ogień, głód i śmierć – krzyczy. – A ty? Ty znasz tylko nuggetsy

z kurczaka, chłopaczku. No więc przyprowadź mi tu diabła! Fajnie będzie znów go zobaczyć.

– Zostaw go, Abbi – odzywa się Phil, wchodząc na ulicę. – Dzwoniłem na policję, są już parę przecznic stąd. Nie ma sensu wdawać się w awantury.

Abbi tańczy i nagle rozcapierza palce przed obliczem Markusa, przez co tamten się wzdryga. W tym momencie Abbi wyrywa mu komórkę i ciska nią o ścianę. Dalila kuli się, gdy odłamki szkła i plastiku rozpryskują się nad jej głową. Roztrzaskany telefon leży teraz na chodniku pod jej stopami.

– Abbi, wystarczy! – krzyczy Phil. – Odsuń się.

Abbi i Phil stoją na ulicy; Markus raz robi krok do przodu, raz do tyłu, każdy z mężczyzn czeka na kolejny ruch przeciwnika. Impas, śmieszna sytuacja, jednak w Dalili wciąż dominuje chęć ucieczki. Przenosi ciężar ciała i pozostaje w przysiadzie, tak, że palcami dłoni dotyka mokrego chodnika. Jest gotowa do sprintu, powstrzymuje ją tylko myśl, że bezpieczniejsza będzie z przyjaciółmi.

– Lepiej stąd idź – mówi Phil.

– Jutro wrócę. – Markus uśmiecha się szyderczo.

– Nigdy z tobą nie pójdę – wypluwa słowa Dalila, jednym skokiem stając na nogi, gotowa do walki. – Ja nic ci nie zrobiłam. Nic! Czego ty ode mnie chcesz?

– To pan Kennedy chce, żebyś wróciła – odpowiada Markus.

– Mój wujek może sobie iść do piekła! A ty – Dalila kościstym palcem wskazuje na Markusa – jak mnie jeszcze raz dotkniesz, to wydrapię ci oczy! Słyszysz?

Phil wyciąga rękę, żeby trzymać dziewczynę na dystans.

– Idź już sobie – mówi raz jeszcze do Markusa.

Z oddali dobiega pierwsze, zwielokrotnione echem wycie policyjnych syren.

Markus robi jeden krok do tyłu, potem następny. Zerka przez ramię, kierując się w stronę swojego samochodu. Po drugiej próbie uruchamia silnik i pędem

odjeżdża. Abbi skacze na ulicy, gwizdże z pogardą. Znajduje jakąś butelkę i ciska nią. O dziwo, butelka nie pęka, lecz toczy się z grzechotem i stukotem po dziurawym asfalcie.

Grupka ludzi spogląda na siebie w milczeniu. Phil, Abbi i Dalila są na ulicy, dwie zszokowane pracownice centrum – w drzwiach wejściowych.

– Ty lepiej też się zbieraj, Abbi – woła Phil.

– Czemu? Ja się nie boję policji.

– Wiem, stary, ale chyba będzie najlepiej, jeśli znikniesz. Jesteś zdenerwowany – przekonuje Phil. – Dobrze się spisałeś, nie ma jednak potrzeby, żebyś, no wiesz, angażował się jeszcze bardziej. Szczerze ci powiem, kolego, że kiedy policja przyjedzie, nie powinno cię tu być.

Ramiona Abbiego opadają. Podbiega do Dalili.

– Nic ci nie jest, siostrze? – pyta, patrząc na zadrapania na jej szyi.

– Nie... w porządku. Nic mi nie jest – odpowiada, wstrząśnięta i zła, ale już opanowana.

Zawodzenie policyjnych syren słuchać teraz wyraźniej. Abbi spogląda na Dalilę, a potem na Phila.

– Okej, to spadam – mówi. Uśmiecha się szeroko do dziewczyny, po czym biegnie w kierunku biblioteki. Dwie pracownice centrum, nie chcąc mieć do czynienia z policją, żegnają się szybko i pospiesznie odchodzą w gęstniejącą ciemność wieczoru.

Dalila pociera szyję, patrząc w dół na odłamki płyty głównej, która kiedyś znajdowała się w telefonie Markusa. Kuca, aby dokładniej obejrzeć jeden z nich; wyjmuje nienaruszoną kartę SIM i zamyka ją w pięści, jak gdyby te wszystkie zdjęcia, które jej zrobiono, oraz chwile, które jej zabrano, teraz do niej wróciły.

Kiedy zjawiają się policjanci, Dalila siedzi z Philem na sofie w ośrodku. Oboje składają zeznania. Dziewczynie trzęsą się ręce, ale udaje się jej opisać incydent jasno i ze szczegółami, opowiedzieć wszystko, co wie o Markusie.

– Weźcie także to – zwraca się do policjanta, podając mu kartę SIM Markusa.
– To jest chyba z jego telefonu, po tym, jak się... jak mu spadł. Komórka poleciała na ziemię, kiedy on się na mnie rzucił. Wydaje mi się, że są tam jakieś informacje. Powinny pomóc go znaleźć.

Policjant podnosi kartę SIM, przygląda się jej badawczo.

– Tak – mówi – zajmiemy się tym.

Godzinę później Phil odwozi Dalilę do domu swoją furgonetką, ale zamiast pójść od razu do siebie, dziewczyna staje pod mieszkaniem Daniela. Mężczyzna otwiera drzwi, trzymając w górze brudne dłonie.

– Witaj, Dali. Wejdz, proszę. Całe popołudnie zmieniałem okładziny klocek hamulcowych, musisz mi więc wybaczyć, że najpierw umyję ręce.

W mieszkaniu panuje bałagan. Dalila próbuje się oderwać od swoich myśli, zbierając kubki i naczynia, i zanosząc je do zlewu, podczas gdy Daniel szoruje się w łazience. Zanim stamtąd wyjdzie, ona przemyka po kawalerce, gromadzi wszystkie brudne ubrania i wkłada je do pralki. Nastawia ronderek z mlekiem, aby je podgrzać, po czym szybko zmiata linoleum na podłodze za pomocą szczotki i szufelki.

Gdy Daniel wychodzi z łazienki, widzi swoje rzeczy, które obracają się w bębnie pralki, oraz brudne naczynia w zlewie.

– Och, właśnie miałem się tym zająć. Nie trzeba się było trudzić.

– Mnie to nie przeszkadza – mówi Dalila.

– Potrafię o siebie zadbać, wiesz?

– Wiem – mówi dziewczyna, zgniatając opakowania po rybie z frytkami i wrzucając je do kosza na śmieci. Zbiera też porozrzucane tu i ówdzie sztucce, odkłada do zlewu, a następnie zaczyna zmywać naczynia.

– Może przyjdiesz tu i usiądziesz?

– Pozwól, że najpierw to skończę – odpowiada. – Robię herbatę. Chciałbyś

trochę?

Dalila odkłada ostatnie naczynie na suszarkę, wyciera ręce i podchodzi do rondelka z mlekiem. Dodaje do niego herbatę i cukier.

Daniel kładzie dłoń na jej ramieniu.

– Chodź, dziecko, usiądź.

Dalila nalewa herbatę do dwóch kubków i siada.

Daniel bierze małego zielonego banana z półki i zajmuje miejsce naprzeciwko niej. Popycha owoc w jej stronę.

– Nie jestem głodna.

– Jedz.

– Tak – odpowiada.

Banan obiera się z łatwością. Początkowo smakuje po prostu słodko, a potem absolutnie rewelacyjnie. Napędza dziewczynę nostalgią za domem i jednocześnie w jakiś sposób działa kojąco. Uspokaja ją.

– Smakuje?

Dalila kiwa głową, usta ma pełne.

– Kupiłem je w sklepie afrykańsko-karaibskim. Są znacznie lepsze od bananów, które sprzedają w tym kraju. Wiesz, te długie żółte. Mają taką jakąś gąbczastość, którą czuć na języku. Nie lubię ich.

Kolor bananów – inny.

Smak bananów – inny.

– Mam jeszcze jednego, jeśli chcesz – proponuje Daniel.

– Nie, ten wystarczy. – Dalila spuszcza wzrok, starając się ostudzić emocje, i mówi: – Dziękuję, *baba*.

Daniel się uśmiecha.

– Napij się herbaty, Dali, i opowiedz mi, co dzisiaj robiłaś.

Dalila sączy herbatę, czując ulgę, że jest w tym ciasnym mieszkaniu razem

z Danielem. Znów bierze łyk, ma nadzieję, że znajdzie odpowiednie słowa.

– Dzisiaj był... trudny dzień – zaczyna. – Znów zobaczyłam Markusa.

Wpiątek rano pada ulewnie. Daniel zawozi Dalilę do Centrum Solidarności. Zanim dziewczyna wysiada z samochodu, bierze głęboki oddech, by zapanować nad sobą. „Przecież chcę tam być – przypomina samej sobie. – Jestem tam potrzebna, będę tam bezpieczna”.

– Dzisiaj nic złego się nie wydarzy – uspokaja ją Daniel. – Nie musisz się obawiać.

– Wiem – odpowiada. – Dziękuję, *baba*. Spotkamy się wieczorem?

– Oczywiście, przyjadę tu po ciebie o siedemnastej.

Centrum jest pełne ludzi. Są tylko dwie wolontariuszki. Abbi pomaga Philowi wymieniać butlę z gazem w grzejniku, pozostali stoją w płaszczach i obejmują dłońmi kubki z herbatą. Tracey od razu zaprzęga Dalilę do pracy, przedstawiając ją kobiecie o imieniu Divine, z Konga.

– Divine chciałaby zapisać się do naszego centrum – wyjaśnia Tracey. – Dopilnujesz, żeby odpowiednio wypełniła formularz rejestracyjny?

– Oczywiście. – Dalila posyła Divine zachęający uśmiech.

Stoją obok siebie i patrzą na formularz.

– Mówisz może po francusku? – pyta Kongijka.

– Nie. Znam tylko angielski i suahili.

– W tych stronach nikt nie mówi po francusku – stwierdza Divine. – Francuski jest bardzo łatwy, a nikt go nie zna. Wczoraj poszłam z prawniczką do mojego szkockiego posła do parlamentu, ale nawet on nie mówi po francusku.

– Przykro mi – rzuca Dalila. Nie bardzo wiedząc, co dalej powiedzieć, pyta: – Chcesz się zapisać do naszego centrum?

– Tak, chcę. Wszędzie się zapisuję. Szkocka Rada do spraw Uchodźców, Pozytywna Akcja Budownictwa Mieszkaniowego, Sieć Azylancka Glasgow, projekt Royston Road, wszystko. Każdy musi mi pomóc, bo MSW nie chce.

Mówią, że mam zabrać swoje dzieci i wracać.

Dalila rzuca okiem w kierunku biurka, aby sprawdzić, czy Tracey jest już wolna i mogłaby porozmawiać z tą kobietą, ona jednak najwyraźniej kłóci się o coś przez telefon. Dziewczyna zerka więc w notatki i pyta:

– Czyli masz już swojego prawnika?

– Tak, tak. Moja prawniczka i ja spotkaliśmy się z posłem do szkockiego parlamentu i wyjaśniliśmy wszystko. On pokazał papiery z MSW. Ja mu mówiłam wszystko o Kongu, o więzieniu i biciu, które znosiłam, o wielu, wielu okropnych rzeczach. Ale wiesz, co mi ten poseł odpowiedział? On powiedział: „Musisz się przyzwyczaić do myśli o powrocie”. Tak mi właśnie on... – Divine kaszle kilka razy, a potem rozpina płaszcz. – ...tak mi właśnie powiedział. Patrzy tylko w te papiery i mówi: „Wojna już skończona. Musisz wracać”. – Kobieta zdejmuje płaszcz i rzuca go na stos foliowych worków w rogu pokoju. – Zapisłaś to? – pyta Dalilę.

– Tak, jest tutaj. Popatrz.

– To dobrze. Więc ja mu na to, mówię temu człowiekowi: „Nigdy tam nie wrócę. W Kongu to, co mogą zrobić mnie, moim dzieciom, jest gorsze niż śmierć. Nie, nie pojedę. Kocham swoje dzieci, wierz mi pan, za bardzo je kocham. Ale jeśli zmusicie mnie do powrotu, to wezmę nóż i poderżnę gardło każdemu dziecku, a potem wbiję go sobie w serce. Przysięgam przed Bogiem, że to zrobię”.

Dalila gapi się na Divine. Kobieta ma rozszerzone oczy, nieustannie opowiada o swojej prawnicze. Boi się, a Dalila rozpoznaje ten strach we własnym sercu. Gdyby kobieta tyle nie gadała, Dalila wie, że wyciągnęłaby ku niej ręce i ją przytuliła.

– Wyszłam stamtąd, a moja prawniczka chce mnie odwiedzić do domu – kontynuuje Divine. – Ale ten poseł, on wybiegł na dwór i podchodzi do samochodu. On mówi, że przeprasza. On mówi, że obiecuje pomóc mi i daje mi

wizytówkę. Więc teraz jestem tutaj. Walczę o swoje dzieci. Szukam pomocy wszędzie. Dlatego przyszedłam do tego miejsca.

– Okej – mówi Dalila, dotykając jej ramienia. – Spróbujemy pomóc. Będziemy walczyć o ciebie.

Po południu Dalila idzie do Festival Court, by się zameldować. Kurtkę i buty zostawia w recepcji, potem przechodzi przez kontrolę bezpieczeństwa. Kiedy wywołują jej numer, siada przed wyznaczonym boksem i wsuwa swoją kartę ARC pod szybą, ku funkcjonariuszowi po drugiej stronie. Nigdy wcześniej go nie widziała. Jest młody, pulchny, o obwisłych ramionach, jakby całe życie spędził za biurkiem. Mężczyzna stuka w klawisze i prosi, aby Dalila położyła kciuk na skanerze.

Kładzie.

Przez chwilę funkcjonariusz czyta coś na ekranie, a potem znów sprawdza ARC Dalili. Za jej plecami staje inny urzędnik.

– Irene Delilah Mathy?

Odwraca się w krześle.

– Tak?

– Proszę ze mną – mówi funkcjonariusz.

Dziewczyna gapi się na młodego urzędnika po drugiej stronie szyby, lecz on nie odrywa wzroku od ekranu. Rzuca spojrzenie za siebie, na poczekalnię, za wykrywacz metalu, w kierunku popołudniowego światła, które wpada przez oszklone frontowe drzwi. Na jej barku ląduje jakaś ręka, przesuwa się w dół ramienia i bierze ją pod łokieć, aż Dalila wstaje. Prowadzą ją do jakiegoś pomieszczenia, każą siadać.

– Jest jakiś problem? – pyta.

– Proszę tutaj zaczekać.

Mięśnie zuchwy mają ochotę wgryźć się w coś mocno. Bierze głęboki

wdech, rozdyma płuca maksymalnie, a potem – w kontrolowany sposób – wypuszcza powietrze ustami.

Myśli o ludziach, którzy przychodzą do Centrum Solidarności, w większości podenerwowanych, pełnych obaw, gdyż odmówiono im azylu, i teraz ciągle noszą jakieś pisma. Większość z nich. Ale przecież ona nie dostała żadnych listów z MSW. Może jest jakiś problem z jej ARC? Albo chodzi o Ma'azę? Może chcą ją tylko o coś spytać?

Po dwudziestu minutach pojawia się funkcjonariuszka i prosi, aby Dalila poszła za nią. Jest starsza, chuda, ma farbowane na rudo włosy, z siwymi odrostami. Wchodzą do pomieszczenia, które wygląda jak urząd pocztowy, z sięgającym do piersi kontuarem i kuloodpornymi szybami. Za szkłem siedzą jakiś funkcjonariusz oraz opiekunka wniosku Dalili, panna Colgan. Kobieta wychodzi zza szyby, niosąc dokumenty i ARC Dalili.

– Irene, moim obowiązkiem jest poinformować panią, że pani wniosek o udzielenie azylu w Wielkiej Brytanii został odrzucony – mówi panna Colgan.

– Co? – pyta Dalila. – Ale ja nie... Dlaczego? Ja nie dostałam żadnego listu.

– Właśnie wydrukowałam pismo odmowne dla pani. Zasadniczo chodzi o niską wiarygodność uzasadnienia pani wniosku. Wszystkie powody odmowy są tu wyszczególnione bardzo jasno. – Wręcza Dalili list i dodaje: – Tylko proszę zachować spokój i posłuchać uważnie tego, co mam do powiedzenia.

Dalila wpatruje się w insygnia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w nagłówku pisma. Widzi słowa, które ma przed sobą, lecz ma takie wrażenie, jakby się właśnie zbudziła i jeszcze nie bardzo wie, gdzie jest i kim są ci ludzie.

– Irene, mogłaby pani patrzeć na mnie, kiedy do pani mówię? Irene?

Dalila spogląda na tę dziwną, sztywną kobietę z absolutnie poprawnym wyrazem twarzy. Ta twarz oskarża ją o kłamstwo. „Sama się w to wpakowałaś, tylko do siebie powinnaś mieć teraz pretensje”.

Panna Colgan unosi kciuk.

– Pani wniosek został odrzucony – powtarza. – To pierwsza sprawa. Po drugie – teraz trzyma w górze kciuk i palec wskazujący – zgodnie z instrukcjami w ciągu pięciu dni mamy obowiązek umieścić panią w samolocie do Kenii, odlatującym z Heathrow. I po trzecie...

– Ja nie mogę jechać do Kenii – przerywa jej Dalila, wbijając wzrok w twarz opiekunki swojego wniosku, a potem w rudowłosą funkcjonariuszkę.

– I po trzecie – powtarza panna Colgan, trzymając w górze kciuk, palec wskazujący i palec środkowy – mamy obowiązek internować panią do momentu, gdy wsiądzie pani do samolotu.

– Ale mówiłam wam – szepcze Dalila. – Ja nie mogę tam wrócić. Proszę.

– No cóż, to już nie jest w mojej gestii. Teraz zajmie się panią obecna tu funkcjonariuszka Mitchell.

– Proszę wyjąć wszystko z kieszeni – wydaje polecenie rudowłosa kobieta.

Panna Colgan odwraca się i idzie w kierunku drzwi.

– Proszę – woła Dalila. – Jeśli wrócę, on mnie znajdzie. Błagam.

Chuda funkcjonariuszka Mitchell staje między Dalilą a panną Colgan.

– Panno Mathy, w razie odmowy współpracy będę musiała panią skrupować. Rozumie pani? – Kobieta odpina od pasa kajdanki. Jest w niej coś ostrego, czego Dalila nie chce prowokować.

Panna Colgan przesuwając swoją przepustkę przez czytnik, drzwi się otwierają, wychodzi.

– Proszę mnie nie deportować – szepcze Dalila do rudowłosej funkcjonariuszki.

– Nie dotykać mnie – warczy kobieta. – Ostrzegam ostatni raz. Rozumiesz?

– Okej. – Dalila się cofa. – Okej, ale proszę posłuchać. Nie możecie mnie odesłać.

– Nie ja o tym decyduję. A teraz niech opróżni kieszenie. Proszę. Wykładać

wszystko na kontuar.

Dalila wyciąga pieniądze, kartę biblioteczną, balsam do ust, klucz do mieszkania oraz ulubione zdjęcie swojego ojca i brata, po czym kładzie je na ladę.

Funkcjonariuszka przerzuca każdy kolejny przedmiot. Nie podnosząc wzroku, wydaje następane polecenie:

– Proszę zdjąć ubranie.

– Ubranie?

– Taka jest procedura. Musimy sprawdzić, czy nie ma artykułów stanowiących zagrożenie dla pani albo dla innych osób. Bielizny nie trzeba zdejmować.

Dalila rzuca okiem na strażnika za szybą. Mężczyzna ziewa i gapi się w telefon. Dziewczyna wyskakuje ze spodni, kładzie je na kontuarze. Ściąga koszulkę przez głowę, po czym krzyżuje drżące ramiona na piersiach. Funkcjonariuszka Mitchell wkłada rękę do wszystkich kieszeni, maca wzdłuż wszystkich szwów.

– Mogę zadzwonić? – pyta Dalila. – Proszę. Chcę kogoś powiadomić, co się ze mną dzieje.

– A ma pani telefon?

– Jest w torebce, w recepcji.

– Wyposażony w aparat fotograficzny?

– Aparat? Nie.

– W takim razie zostanie pani zwrócony po przyjeździe do ośrodka internowania. Stamtąd pani zadzwoni.

– Ale ja muszę teraz. Nie wolno mi nawet raz zadzwonić?

– Została pani zatrzymana zgodnie z przepisami ustawy imigracyjnej, panno Mathy. Nie jest pani aresztowana, nie idzie pani do więzienia, dlatego nie

przysługuje pani prawo do rozmowy telefonicznej. A teraz proszę się ubrać i iść za mną.

Dalila jest eskortowana, pod łokieć, korytarzem. Jej stopy w skarpetkach nie wydają żadnego dźwięku. Właściwie nie czuje swoich stóp. Ogarnia ją jakaś dziwna nieważkość. Mruga intensywnie, celowo spogląda w dół na swoje ramię, starając się skoncentrować umysł na ciele, być tu i teraz, w zgodzie z tym, co się dzieje.

Otwierają się drzwi prowadzące na zewnątrz. Tuż przy wjeździe parkuje tyłem niebieski minibus, rozmiarów typowego *matatu*. Na pace znajduje się klatka z sześcioma siedzeniami. Dalila zostaje umieszczona w tej klatce, słyszy polecenie, aby usiąść. Między kratami a kabiną kierowcy jest wolna przestrzeń, w której zajmuje miejsce funkcjonariusz imigracyjny, zwrócony twarzą do dziewczyny.

Do furgonetki przyprowadzają kolejną kobietę. Ręce ma skute za plecami, łąka. Funkcjonariusz, który ją eskortuje, wrzuca kobietę na siedzenie obok Dalili. Zamyka klatkę na klucz. Sam opada na fotel koło kolegi, zatrzaskuje przesuwne drzwi. Furgonetka rusza, przejeżdża przez bramę, jedzie ulicą, mija bibliotekę, a potem kieruje się ku autostradzie.

Zaczyna mżyć. Kropelki padają ukośnie na przyciemniane szyby.

– Dlaczego? – Kobieta obok Dalili łąka. – Dlaczego? – Płacze i płacze, z głową spoczywającą na siedzeniu przed nią.

Furgonetka przyspiesza, opuszczają miasto. Za oknem migają rzędy sosen i pola pełne błota. Głowy funkcjonariuszy kiwają się unisono w takt ruchu pojazdu.

Płacząca kobieta zdaje się pogrążona w półśnie. Dalila cała czas wygląda przez okno, żeby nie nawiązać kontaktu wzrokowego z funkcjonariuszami. Stara się myśleć o Philu. Gdyby zdołała do niego zadzwonić, on już by wiedział, co robić. Mógłby ją stąd wyciągnąć.

Płacząca kobieta prostuje się i jęczy:

– Dlaczego? Ja nic nie robić. Dlaczego? Jestem w ciąży. Jej zawrodozenie jest coraz głośniejsze, coraz bardziej intensywne.

– Hej, spokój tam – ucisza kobietę jeden z funkcjonariuszy.

– Zatrzymać się, proszę – mówi płacząca kobieta. – Stop. Jestem w ciąży. – Jęczy i z nową siłą wybucha płaczem. – Niedobrze mi. Stop.

Funkcjonariusze spoglądają po sobie.

– Myślisz, że naprawdę jest w ciąży? – pyta jeden.

– Bóg wie – odpowiada mu inny. – Oni mówią wszystko.

– No dobra, może lepiej zdjąć jej kajdanki, to i tak nic nie zmieni.

– Chcesz ją rozkuć? – rzuca jego kolega. – Proszę cię bardzo. Ale mówię: pół godziny temu dostała ataku hysterii. Drapała, rzucała, czym popadnie. Teraz nic jej nie jest. Pokrzyczy sobie trochę, a potem jej przejdzie. – Pochyliła się i stuka w klatkę. – Niedługo będziemy na miejscu – zwraca się do płaczącej kobiety. – Uspokój się.

Płacz nie ustaje. Nagle kobieta siada prosto i oznajmia:

– Stać. Niedobrze mi.

– Już jesteśmy prawie na miejscu – mówi funkcjonariusz. – Odpręż się, sama utrudniasz sobie życie.

Płacząca kobieta przechyliła się w bok i wymiotuje na podłogę furgonetki.

– Chryste – woła funkcjonariusz. Otwiera zasuwę i zwraca się do kierowcy: – Zatrzymaj się gdzieś. Mamy rzyganko.

– Za dziesięć minut jesteśmy na miejscu – odpowiada kierowca.

Płacząca kobieta dostaje skurczów i znów wymiotuje.

– No weź się zatrzymaj – krzyczy pierwszy funkcjonariusz. – Jedzie tu, że kurwa mać.

Dalila zasłania sobie nos skrajem koszulki, lecz niewiele to daje, krztusi się

i sama z trudem hamuje odruch wymiotny.

Zapach rzygowin – taki sam.

Płacząca kobieta osuwa się na Dalilę, jęczy i mówi coś w języku, którego dziewczyna nie rozumie. Zaskaniając usta i nos, Dalila wyciąga prawą rękę i odsuwa wilgotne włosy z twarzy kobiety. Delikatnie ociera dłonią jej czoło, próbując ją ukoić. Furgonetka zjeżdża na bok i się zatrzymuje. Pierwszy funkcjonariusz otwiera przesuwne drzwi i ucieka od smrodu.

– Na litość boską, ale cuchnie.

Kierowca również wysiada.

– Gdzie to jest?

– Na całej pieprzonej podłodze. Masz coś, żeby to wytrzeć?

– Bo ja wiem? W skrzynce na narzędzia jest chyba jakaś ścierka – odpowiada kierowca.

– No to lepiej przynieś.

Furgonetka stoi niedaleko sosnowego lasu. Panuje cisza. Z mokrego asfaltu unosi się para. Przez przyciemniane szyby Dalila widzi na niezbyt odległym horyzoncie farmę wiatrową. Białe skrzydła obracają się wolno. Wcześniej sądziła, że wszystkie wiatraki są zsynchronizowane, wciąż ma nadzieję, że zaczną się kręcić równo i w tę samą stronę, choćby przez chwilę, lecz każdy z nich obraca się w swoim indywidualnym rytmie. Jeden z funkcjonariuszy zauważa, że Dalila wygląda na zewnątrz. Dziewczyna zaskakuje samą siebie słowami:

– Myślę, że trzeba ją rozkuć. Ona nie czuje się dobrze.

Ku jej zdziwieniu, jeden ze strażników otwiera klatkę, wchodzi do środka i zdejmuje kajdanki. Kobieta się nie porusza. Po prostu leży na fotelach i jęczy.

Wraca kierowca z ręcznikiem i podaje go temu drugiemu.

– Ja? – dziwi się funkcjonariusz. – Dlaczego ja?

– To twój transport, więc jesteś za nią odpowiedzialny – oświadcza kierowca.

– Racja – dodaje drugi funkcjonariusz z szerokim uśmiechem.

Zasłaniając nos, strażnik klęka na podłodze klatki. Ciasno zwiniętym ręcznikiem spycha zawieszoną kałużę w stronę tylnych drzwi, a potem strzepuje na rozmokłe, brązowe igliwie na poboczu drogi.

– Szczerze ci powiem, stary, pierdolić tę robotę – mówi funkcjonariusz, zrzucając kolejną porcję rzygowin. – Poważnie. W tym tygodniu zaliczyłem już pięćdziesiąt godzin, a jeszcze mam dyżur w weekend. I na co mi to?

Dalila unosi stopy i kładzie je na siedzenie, gdy strażnik czyści podłogę pod nią.

– Pięćdziesiąt godzin – powtarza funkcjonariusz. – Już wolalbyśmy zainwestować w Tesco. Forsa mniej więcej ta sama, ale tam masz do czynienia z najwyżej połową tego gówna, co tutaj.

– Spryskaj to trochę, masz. – Kierowca unosi butelkę wody Evian.

Funkcjonariusz rozlewa wodę po całej podłodze, a następnie wyciera ją w kierunku wyjścia. Zatyka sobie usta i ciężko dyszy.

– Jakby troszkę ohyda, co nie? – podśmiewa się drugi funkcjonariusz. Kierowca również zaczyna chichotać.

– Odpierdolcie się. Nie widzę, żebyście cokolwiek robili.

Kierowca i drugi funkcjonariusz wybuchają śmiechem.

– Uważaj, żeby ci się nie dostało na buty – drwi kierowca.

– Szczerze wam powiem, pierdolcie się obaj. Może sami tu wejdziecie i zrobicie, co należy? – Wyskakuje z wozu i rzuca ręcznik w krzaki. Wyciera ręce o spodnie, podczas gdy pozostali dwaj śmieją się cicho.

– No dobra, jedziemy.

Po kilku milach furgonetka skręca z głównej drogi, minawszy znak z napisem:

OŚRODEK INTERNOWANIA DUNGAVEL

Budynek, do którego się zbliżają, jest jednym z najpiękniejszych, jakie Dalila kiedykolwiek widziała. Sama nie wie, czego się właściwie spodziewała, ale na pewno nie tego. To biały zamek wznoszący się na wzgórzu, jak w jakiejś dziecięcej bajce. Po prawej sterczy wieżyczka wysoka na cztery kondygnacje, przykryta dachem w kształcie stożka z ozdobnym wiatrowskazem. Na lewo widać wysoki kwadratowy stołp oraz blanki z długimi, majestatycznymi oknami. Do głównego wejścia prowadzą kamienne bliźniacze schody, zaczynające się na elegancko przystrzyżonym trawniku. Pośrodku dziedzińca stoi maszt, na którym powiewa mokra brytyjska flaga. Zamek jest otoczony wysokim na ponad trzy metry ogrodzeniem, zwieńczonym drutem kolczastym. Całość oświetlają reflektory. Kamery monitoringu lustrują otoczenie ze swych wyniosłości, cierpliwe jak marabuty.

Furgonetka mija punkt kontrolny, potem następny. Zatrzymuje się na małym podwórzu za budynkiem. Funkcjonariusze pomagają wysiąść płaczącej kobiecie, która wchodzi do środka w asyście tej dwójki. Z wnętrza wyłania się strażnik, ubrany w inny mundur niż pogranicznicy, aby eskortować wychodzącą Dalilę. Gdy dziewczyna stawia nogi na szorstkim, mokrym asfalcie, jej skarpetki momentalnie nasiąkają paskudnie zimną wodą. Idzie długim korytarzem o beżowych ścianach i niebieskiej posadzce, solidnym i czystym, nie licząc mokrych śladów jej stóp. Kiedy mija płaczącą kobietę, ta pada na podłogę i zaczyna zawodzić. Z głębi korytarza podbiegają dwaj nowi strażnicy i pomagają funkcjonariuszom.

Dalila zostaje wprowadzona do pokoju zatrzymań, jest sama.

Wchodzą dwie strażniczki.

– Witamy w Ośrodku Internowania Dungavel – mówi starsza z nich. Ma bardzo krótkie włosy, farbowane na ciemnorudawy kolor. Ta druga odznacza się łagodniejszym obliczem, w otoczeniu brązowych włosów związanych w kok z tyłu głowy. Obie ubrane są w kamizelki odporne na ciosy nożem i mają na nogach ciężkie buty. Za paskiem noszą kajdanki i pałki.

– Zostanie tu pani przez jakiś czas – informuje starsza strażniczka. – Dlatego musimy szybko załatwić wszystkie formalności, a potem zaprowadzimy panią do pokoju. Pasuje to pani?

Dalila zgina i prostuje palce nóg, trzęsie się z zimna.

– Wiem, że już trochę późno. Jadła coś pani? – pyta druga strażniczka. – Mamy kanapki. A może coli? Chce się pani pić?

Nie ma okien. Zamiast drzwi jest zamknięta na klucz metalowa bramka. Zamknęli ją tutaj z tymi strażniczkami.

– Byłoby łatwiej nam wszystkim, gdyby pani odpowiadała na pytania – zauważa rudawa.

– Nie.

– Co nie?

– Nie. Dziękuję. Nie chcę coli.

– Dobrze, w takim razie przejdźmy od razu do rzeczy. Proszę się rozebrać.

– Znowu? – Dalila lustruje twarze obu strażniczek, żeby zobaczyć, czy są w tej kwestii zgodne. Ta starsza ma kamienne oblicze, jest w nim coś odpychającego. Młodsza jest zdenerwowana, lecz stara się zachowywać, jakby była mocno zdystansowana, prawie znudzona.

– To tylko taka procedura – wyjaśnia starsza. – Mamy obowiązek przeszukać pani ubranie.

Dalila zdejmuje mokre skarpetki. Kiedy ściąga spodnie, prawie się o nie

potyka. Potem pozbywa się też góry i kładzie wszystko razem na stole. Nie jest w stanie zapanować nad dygotem ciała. Strażniczki tymczasem badają jej odzież.

Kiedy kończą, oddają Dalili ubranie, a ona wkłada je na siebie, potem zabierają ją do innego pomieszczenia. Robią zdjęcie jej twarzy, skanują odciski palców, wpisują szczegółowe dane do komputera. Otrzymuje numer DG3331. Rejestrują również numer jej lotu, czas startu i miejsce przeznaczenia. Dziewczyna dostaje formularz wniosku o zwolnienie za kaucją; młodsza strażniczka szybko wyjaśnia, jak i pod jakimi warunkami może wnioskować o wpłatę kaucji, lecz większość tych informacji przepływa obok Dalili, która nie jest w stanie niczego zapamiętać.

Po drugiej stronie bramy pojawia się strażnik.

– Kończycie już tutaj, tak? – pyta.

– Jeszcze dwie minutki.

Strażnik idzie dalej.

Dalila otrzymuje z powrotem swój telefon i torebkę.

– A macie moje buty? Moją kurtkę? – pyta.

– Nie – odpowiada starsza strażniczka. – To wszystko, co jest. Buty zostały pewnie na Brand Street. Bez obaw, zajmiemy się tym.

Wchodzi inny strażnik, niski, gruby. Zbiera dokumenty z biurka i czyta.

– Więc pani jest Irene Delilah Mwatty DG3331?

Dalila cofa się w kierunku ściany.

– Dalej, proszę za mną.

Zaciskając w ręku mokre skarpetki i obejmując torbę ramieniem, dziewczyna idzie za nim. Mężczyzna sapie przy każdym oddechu. Porusza się kaczym chwiejnym krokiem, jego buty skrzypią na gumowej posadzce. Dalila sunie obok niego w milczeniu, boso.

Strażnik prowadzi ją do skrzydła o nazwie Loudoun House. Wchodzą do

pokoju z kilkoma piętrowymi łózkami. Wszystkie rozmowy cichną, zwracają się ku nim twarze czterech kobiet.

– Bry wieczór paniom – mówi strażnik. – Macie dziś nową współlokatorkę. Liczę, że się będziecie dogadywać.

Zza jednego z łózek wyłania się mały chłopiec w szkolnym mundurku i staje u boku matki. Wpatruje się w Dalilę, mrugając. Dziewczyna wstrzymuje oddech. Nie może uwierzyć, że tutaj jest dziecko, w tym więzieniu, i dopiero po chwili uświadamia sobie, że musiała na niego spojrzeć wilkiem, skoro mały kryje się za swoją matką.

– Możesz sobie wybrać dowolną pryczę – informuje ją strażnik. – Drzwi są bez zamka, ale wyznaczono ci tę zamykaną na klucz szafkę, przechowuj tu wszystkie swoje cenne rzeczy. Podpisz, że odebrałaś kluczyk.

Strażnik podaje Dalili podkładkę do pisania, a gdy dziewczyna składa podpis, mężczyzna dodaje:

– Tam na końcu jest pralnia, gdybyś potrzebowała coś przeprać. A tam prysznic. Jutro spotkasz się z pielęgniarką, ktoś inny zapozna cię z całą procedurą i tak dalej.

Dalila oddaje mu podkładkę, a w zamian otrzymuje kluczyk do szafki.

– No dobrze – mówi strażnik. – Odpręż się i rozgość. Niedługo przyjdzie nocna zmiana i do was zajrzy.

Mężczyzna wychodzi. Wszystkie kobiety w pokoju milczą, nasłuchując jego kroków w korytarzu. Następnie powracają do swoich cichych rozmów. Żadna z nich nie stara się zapoznać z Dalilą.

Matka sadza synka na łóżku, na samym dole, zdejmuje mu buty, przygotowuje go do spania.

Dalila sprawdza swój telefon. Bateria jest naładowana w połowie, na koncie zostało niewiele środków. Już ma wybrać numer Phila, ale przypomina sobie, że o tej porze centrum jest zamknięte. Stara się zebrać myśli, skupić się. Ręce trzęsą

się jej tak bardzo, że musi podjąć aż trzy próby, że dodzwonić się do Daniela.

– Tak? – Do jej ucha dochodzi jego głęboki głos.

– *Baba*. To ja.

– Dali?

Pędzi do rogu pokoju w poszukiwaniu większej prywatności.

– Zabrali mnie – mówi w suahili. – Musisz mi pomóc. Zatrzymali mnie. Mam już załatwiony lot do Kenii, ale ja nie mogę tam wrócić. Jestem w potrzebie. Tu jest jak w więzieniu.

– Dali? Dalila. Mówisz za szybko. Nic nie rozumiem.

– Zabrali mnie.

– Gdzie jesteś?

– Poszłam się zameldować, ale wsadzili mnie do furgonetki i przywieźli tutaj. Musisz zawiadomić Phila.

– Dali, spokojnie, moja siostrze. Phil już się ze mną kontaktował. Dziś po południu nie wyrejestrowałaś się z księgi, więc on od razu zaczął cię szukać. Powiedz, gdzie jesteś

– Internowana. W ośrodku Dungavel.

– Okej, okej. Zadzwoń do Phila. On ci pomoże.

– Boję się, *baba*. Powiedzieli, że mój wniosek został odrzucony. Że czeka już na mnie samolot i za pięć dni polecę bezpośrednio do Nairobi. Bardzo się boję, *baba*. Co robić?

– Dali, posłuchaj mnie. Słyszysz?

– Tak, słyszę dobrze.

– Musisz się uspokoić. Spróbuj nad sobą zapanować. Jesteś mądrą kobietą, a spokojnie myśli się lepiej. Okej?

– Okej.

– Oddychaj powoli – uspokaja ją Daniel. – Zawsze dobrze jest oddychać

powoli.

– Okej. Okej – odpowiada Dalila. Wdycha i wydycha powietrze.

– Zaraz zadzwonię do Phila, jeszcze dziś wieczorem – obiecuje Daniel. – Może załatwi jakiegoś prawnika. Phil będzie wiedział, co robić. Może odwoła się od tej decyzji. Ale na pewno ci pomożemy, obiecuję.

– Tak, tak, o to was proszę.

– Ale teraz bądź silna, zachowaj spokój. Wiele osób najpierw zabierają, a potem zwalniają. Sama wiesz. Przecież rozmawiałaś z niektórymi z nich w Centrum Solidarności, prawda?

– Tak.

– Wiadomo też, że będą cié próbowali nastraszyć, żebyś wróciła. Niczego nie podpisuj, na nic się nie zgadzaj, dopóki nie porozmawiasz z prawnikiem, okej?

– Okej... tak.

– Wciąż jest nadzieja, Dali.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Phil znajdzie adwokata, który wniesie apelację. Wyciągną cię stamtąd. Z czasem dostaniesz pozwolenie na pobyt, a potem już będziesz bezpieczna, zamieszkaż w Wielkiej Brytanii na stałe. Wszystko się ułoży. Znajdziesz tu sobie przyjaciół, pracę, szczęście. Tak właśnie może być. Ufaj, że tak się stanie. Na tym się skup.

– Spróbuję, *baba*.

– Dobrze. Dobrze. Potrzebujesz czegoś teraz?

Dalila się zastanawia.

– Hm, sama nie wiem. Chyba doładowania do telefonu. I ładowarki. Do nokii.

– Załatwię i przywiozę.

– A także buty – dodaje dziewczyna. – Zabrali mnie bez butów.

Telefon odmawia współpracy. Brak środków na karcie. Dalila stuka w ekran, licząc, że w ten sposób dobije trochę pieniędzy na SIM. Cała się trzęsie. Ma ochotę krzyczeć, tłuc głową o ścianę, wrzeszczeć, aż ochrypnie. Wsuwa telefon do kieszeni, kładzie się na jednym z łóżek i gapi w kąt sufitu, wdychając i wydychając powietrze. Daniel przyjedzie. Oddech. Przyjedzie. On wie, jak załatwić pomoc. Dziewczyna trze oczy, przyciska mocno dłonie do skroni.

Przez sypialnię przechodzi matka chłopca, wkłada ubrania do swojej szafki i gasi światło. Kładzie się w łóżku za synkiem, obejmuje go, szepcze coś do niego, a malec zasypia. Inna kobieta zajmuje pryczę i naciąga koc na głowę. Dwie pozostałe siedzą na podłodze w świetle padającym z łazienki i cicho rozmawiają.

Dalila słucha pojękiwania wentylatora w łazience, brzęku kluczy strażników, którzy patrolują korytarz. W sypialni jest duszno, brakuje powietrza. Niebo to fioletowy kwadrat na tle ciemnego sufitu. Wolno, świadomie, robi wydech. Rozkłada palce najszerzej, jak potrafi, próbując sprawić, by się tak nie trzęsły.

Daniel przyjedzie. Przyjedzie.

Leży tak wiele godzin w ciemności, czując bicie własnego serca, tłukącego się o żebra.

Ciemność – taka sama.

Taka sama była w jej domu, na uczelni, w domu wuja. Taka sama w mieszkaniu, a teraz tu. Gęsty, przerażający mrok. Pusta, pełna niepewności ciemność. Dobrze znana, głęboka ciemność.

W ciszy wyobraża sobie matkę. Twarz nie chce przyjść od razu, ale ręce tak, z łatwością czuje zwinne, suche palce mamy. Wraca do czasów, kiedy dobrze znała te dłonie. Przypomina sobie, co się działo potem. Zamieszki. Dalila puszcza wodze fantazji i wyobraża sobie, że zamordowano nie kogo innego, lecz jej wujka. I że teraz ona mieszka sobie w Nairobi, lada chwila ukończy studia. Mama i tata odziedziczyli po wuju wielki dom, odwiedzają ją regularnie. Mama wybrała dla niej sukienkę na absolutorium, lecz sukienka jest za długa, Dalila sama musi ją sobie podszyć. Brat pragnie mieć własny samochód, jednak ojciec jest zdania, że powinien raczej skupić się na studiach. W każdą niedzielę spotykają się na solidnym obiedzie, składającym się z *ugali* i gulaszu z koziego mięsa. Dalila zawsze przyprowadza swoją przyjaciółkę Muthoni, ponieważ ta podkochuje się w jej bracie.

Kobieta na sąsiednim łóżku zaczyna mamrotać przez sen; Dalili powraca świadomość miejsca, w którym przebywa, świadomość jego mroku.

Nocne niebo stopniowo przechodzi z fioletu w granat, a potem w szarość. Dociera do niej, że wcale nie spała.

Jedna z kobiet bierze prysznic, pozostałe korzystają z łazienki i ścielą łóżka. Chłopczyk, w samych majtkach, przebiega obok pryczy Dalili i kluczykiem otwiera szafkę. Matka idzie za nim. Pomaga mu się ubrać, po czym klęka, aby zawiązać mu sznurówki. Malec ma chyba z osiem lat, nosi szkolny mundurek. Dalila się zastanawia, kto zawiezie go do szkoły? Strażnicy? Naprawdę wezmą go

aż tak daleko, do samego Glasgow?

Chłopiec czeka na matkę, która wiąże swoje długie czarne włosy w kok, potem narzuca na głowę hidżab i zapina go pod brodą. I wtedy nagle Dalila rozumie. Mały nie idzie do szkoły. Po prostu, tak samo jak ona, nie ma się w co innego ubrać. Zabrano go w szkolnym mundurku, będzie go nosił aż do chwili zwolnienia.

Gdy Dalila ścieli swoje łóżko, matka chłopca podchodzi do niej i pyta:

– Mówisz po angielsku?

Dalila się prostuje.

– Tak, mówię.

– Czas coś zjeść – stwierdza kobieta. – Chodź, pokażę ci.

Kiedy wychodzą z sali sypialnej, w korytarzu dołączają do nich inne kobiety z pokoju naprzeciwko. W stołówce słychać brzęk sztućców, stukot naczyń, harmider różnych języków, szuranie krzeseł po podłodze. Każdy dźwięk odbija się od ściany i sufitu, co sprawia, że wydaje się dobiegać zewsząd. Zapach mleka miesza się z irytującą, wilgotną wonią jajecznicy. Jeszcze wyraźniejsze są odory plastiku i kawy rozpuszczalnej. Matka i syn stają w długiej kolejce do jedzenia, Dalila zajmuje miejsce obok nich, zgodnie z porządkiem obowiązującym w tej sali. Obok automatów z pożywieniem wznosi się sterta mokrych tac. Jeden strażnik obserwuje kolejkę, drugi przygląda się internowanym, którzy nakładają dania. Strażnicy stoją też przy każdym wyjściu z pomieszczenia, patrzą.

Mężczyźni i kobiety swobodnie mieszają się ze sobą, tych pierwszych jest zresztą o wiele więcej. Są wśród nich tacy, którzy wyglądają na silnych i zwartych. Są Azjaci. Są ożywieni. Brodaci muzułmanie, mężczyźni przestraszeni i mężczyźni przechadzający się dumnym krokiem.

Dalila spogląda na korytarz, którym niedawno przyszła, i z ulgą widzi napis głoszący, że Loudoun House to skrzydło przeznaczone wyłącznie dla kobiet i dzieci. Szybko uzmysławia sobie, że kobiety i dzieci trzyma się tu osobno,

z dala od mężczyzn.

Ponieważ nie ma ochoty jeść, wymyka się z kolejki i siada przy stole, który zajmują jakieś kobiety. Dostrzega między nimi następane dziecko. Dziewczynka ma około czternastu lat, spuszczoną głowę, je jajka. Po bokach siedzą dwie duże matrony, jakby chciały ją ukryć.

Po skończonym śniadaniu ludzie wychodzą z sali. Nie bardzo wiedząc, dokąd pójść ani co robić, Dalila znajduje kobietę z synkiem i znów idzie za nią. Korytarze są pełne osób wspartych o ściany, rozmawiających, spacerujących tam i z powrotem. Słyszy wielość języków, ale najtrudniej jest ignorować ich oczy. Oczy pełne dezorientacji, błagające. Wszystkie starają się ją dosięgnąć. Gniewne, wypełnione bólem oczy.

Wchodzi do małej biblioteki. Za biurkiem siedzi strażnik, a koło niego jakaś biała kobieta, zapewne urzędniczka z brytyjskiej służby granicznej. Drugi strażnik stoi przy oknie. Do skorzystania z sześciu komputerów tworzy się kolejka, ludzie ustawiają się też w ogonku, aby porozmawiać z białą kobietą za biurkiem.

Dalila ma ochotę zadzwonić do Daniela, wyjmuje telefon i raz jeszcze sprawdza stan środków. Zero. Mogłaby skorzystać z komputera, lecz kolejka jest bardzo długa. Co więc robić przez cały dzień? I dlaczego tylu ludzi czeka na rozmowę z tą białą kobietą? Zdejmuje z półki egzemplarz „National Geographic” i siada w nadziei, że zdoła się w ten sposób zakamuflować. Przerzuca strony.

Większość osób rozmawia przyciszonym głosem. Niektórzy wzdychają przed monitorami i stukają w klawisze. Dochodzą do niej strzępy zdań po angielsku; ludzie wymieniają się kartami telefonicznymi, przyborami toaletowymi, gotówka przechodzi z rąk do rąk. Toczy się mnóstwo dyskusji na temat butów; Dalila zauważa, że wiele osób chodzi w skarpetkach i w klapkach. Dwie kobiety plotkują o trzeciej, którą niedawno zabrano do skrzydła medycznego.

Do pomieszczenia wchodzi chłopiec w szkolnym mundurku, wraz z matką.

Siadają za stołem naprzeciwko Dalili. Kobieta otwiera jakąś książkę i zachęca synka do czytania jej szeptem. Dalila nie podnosi na nich wzroku, przerzuca kartki z reklamami aparatów fotograficznych.

Około południa Dalila czuje, że ma zimne stopy. Skarpetki wciąż są trochę wilgotne. Wraca do swojej sali i kładzie się na łóżku, starając się ogrzać nogi pod kocem. Zastanawia się, co robi Daniel. Jej umysł wędruje ku Ma'azie. Co Ma'aza uczyniłaby na jej miejscu? Zawsze mawiała, że ruch to życie; Dalila wyobraża ją sobie, jak idzie tym swoim szybkim, zdecydowanym krokiem. „Powinnam była uciekać razem z Ma'azą – myśli. – Brać, co jest pod ręką, i zniknąć. Nie ustawać w ruchu. A tymczasem ja zostałam, jak mała, przerażona dziewczynka. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: jestem tchórzem, pełnym głupich małych marzeń. Nigdy nie pozwolą mi zostać w Wielkiej Brytanii. Ma'aza ostrzegła, mówiła mi o tym. Powiedziała, że po nas przyjdą i zabiorą”.

Podczas kolacji w stołówce jej nastrój jeszcze się pogarsza. Dalila siedzi, mając przed sobą miskę zupy. Nabiera ją łyżką i próbuje. Wzbierają w niej mdłości, szarpia gdzieś w gardle. Odpycha miskę. Po drugiej stronie sali chłopiec w szkolnym mundurku także nie chce jeść. Siedzi na rękach, ze spuszczoną głową. Matka przesuwając w jego stronę tacę z jedzeniem, lecz malec po prostu odwraca głowę.

Dalila bierze bułkę i zmusza się do przełknięcia kęsa.

O dziewiętnastej czeka przed salonikiem dla odwiedzających razem z grupą mężczyzn. Niektórzy wysuwają się do przodu i pytają strażnika, czy ich nazwisko jest na liście, czy mają gości, może na przykład prawnika.

Dalila stoi z tyłu, z dala od grupki, pod ścianą.

Strażnik odczytuje listę nazwisk oraz numery tych, którzy mają gości.

Wywołuje także Dalilę; serce jej wali, kiedy toruje sobie drogę przez tłumek, aby potwierdzić swoje nazwisko i numer. Strażniczka prosi ją o podniesienie rąk,

znowu ją rewiduje.

Na widok dziewczyny Daniel wstaje. Dalila zbiera całą siłę woli, żeby się nie rozpłakać i nie podbiec do niego.

Podają sobie ręce.

– Cześć, Dali – mówi Daniel. Zamyka jej dłonie w swoich.

– Dziękuję, *baba*.

– Jak się masz?

– Dziękuję. Tutaj jest źle, *baba*. Dziękuję, że przyjechałeś.

– Nie ma sprawy. Jutro też przyjadę, jeśli chcesz. Ale siadaj, proszę. Mam ci dużo do powiedzenia.

Siadają. Pomieszczenie przypomina salonik na lotnisku. Takie same ławki z niskimi stolikami do kawy. Dalila spogląda na Daniela. Ma ochotę opowiedzieć mu o tak wielu rzeczach, wszystko wyjaśnić, lecz patrząc teraz na niego, nie potrafi znaleźć słów.

Mężczyzna poprawia okulary i rozgląda się po saloniku. Szepcze w suahili:

– Wiesz co, wydaje mi się, że to jest najbrzydszy hotel, jaki w życiu widziałem.

Dalila prawie się uśmiecha. Wyciąga rękę i dotyka jego ramienia, wdzięczna, że jest prawdziwy i że jest tutaj z nią.

– Mam dobre wieści, Dali. Prawnicy z Dundee sądzą, że masz szansę. Phil rozmawiał z nimi dziś rano. Przesłał im wszystko mejlem. Zamierzają przygotować apelację, prawdopodobnie zadzwonią do ciebie jutro.

Dalili wydaje się, że rozumie, lecz jej umysł nie może się skoncentrować.

– Co? – Tylko tyle jest w stanie powiedzieć.

Daniel pochyla się do przodu.

– Prawnicy z Dundee wniosą zażalenie na decyzję urzędu imigracyjnego, która odmawia ci prawa pobytu. To znaczy rozpoczną apelację. MSW nie może

cię teraz wsadzić do samolotu, skoro ta procedura trwa. Czyli jesteś bezpieczna, na razie. Nikt cię nie wyśle do Kenii za cztery dni.

Dalila słyszy ostatnie zdanie, ale w nie nie wierzy.

– Złożyli apelację w mojej sprawie?

– Tak. Jutro do ciebie zadzwonią, żeby wszystko wyjaśnić. Podałem im twój numer.

– Więc mnie stąd wypuszczą?

– Nie wiem. Phil mówił, że prawdopodobnie niedługo będziesz miała rozprawę i dopiero wtedy zapadnie decyzja. Ale on uważa, że masz spore szanse. Jesteś kobietą. Kenia ma złą reputację, jeśli chodzi o kobiety. A twój wujek zaangażował się w politykę, ta nowa informacja tylko umacnia zasadność wniosku o azyl. Czyli dobrze dla ciebie.

Na tyłach saloniku dla odwiedzających jakaś para siedzi blisko siebie, głaszcząc się wzajemnie. On jest niewątpliwie internowany, nosi spodnie od dresu i klapki. Ona ma długi zielony szal, spod opaski błyskają czarne włosy, związane na potylicy. Kładzie nogi na jego kolanach i trąca nosem jego policzek.

– Jadłś coś dzisiaj? – pyta Daniel.

Dalila przygląda się tym dwojgu. Chłopak poprawia nogi dziewczyny na swoich kolanach, zaczyna się bawić sprzączką jej buta.

– Uważam – mówi Daniel – że w tych automatach sprzedaje się jedzenie pozbawione wszelkich wartości odżywczych. To tak, jakby człowiek w ogóle nie jadł. Wstaje, podchodzi do maszyn i przynosi dwie gorące czekolady w papierowych kubkach, paczkę Maltesers oraz dwa opakowania chrupek. Wysypuje chrupki na stolik do kawy, aż srebrzyste opakowanie staje się zupełnie płaskie.

– Piknik – oznajmia, rozkładając szeroko ramiona.

Dalila się uśmiecha i przesuwa dłońmi po udach. Podnosi na niego oczy. Szkła jego okularów są przybrudzone, od kilku dni się nie golił, lecz twarz ma

piękną. Jej widok tutaj, w takim miejscu, to prawdziwie błogosławiona ulga. Piękny, piękny Daniel, z tymi żarcikami i swobodnym sposobem bycia. Dziewczyna przygląda się, jak starzec upija łyk z papierowego kubka. Pochyla się w swoim siedzeniu i bawi plakietką identyfikacyjną gościa, którą ma zawieszoną na nadgarstku. Przepelnia ją wdzięczność. Chce podziękować Danielowi, przytulić go, ucałować jego ręce za każdy uśmiech i każde słowo wsparcia, których jej udzielił, powiedzieć mu, że teraz to on jest jej jedyną prawdziwą rodziną. Wzbierają w niej łzy, gromadzą się, grożąc wylaniem obfitym strumieniem.

– Dziękuję, *baba*. – Tylko tyle może wypowiedzieć. Bierze jednego cukierka Malteser i wrzuca go sobie do ust.

– Smakuje ci to jedzenie? – pyta Daniel.

Dalila kiwa głową, żując. Łzy spływają po jej uśmiechniętej buzi.

– Przywiozłem ci buty. – Mężczyzna patrzy na skarpetki na nogach dziewczyny. – A także doładowanie karty telefonicznej i dziesięć funtów gotówką, i sweter, gdyby było ci zimno. Coś jeszcze? Och, tak, szczoteczkę do zębów.

– Przywiozłeś mi szczoteczkę? – pyta Dalila, a słone łzy spływają jej do kącika ust.

– Tak – odpowiada Daniel. Przysuwa się bliżej i kładzie rękę na jej kolanie. Ona chwyta ją obiema dłońmi, naciska jego knykcie w geście ponownego podziękowania. Gardło ma zbyt ściśnięte, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Musiałem to wszystko zostawić, kiedy przechodziłem przez kontrolę bezpieczeństwa – wyjaśnia Daniel. – Tutaj nie wolno niczego wnosić, ale strażnicy na pewno przekażą ci paczkę.

Siedzą blisko siebie i jedzą piknikowe dania, lecz ilekroć Dalila czuje, że zaczyna się odprężać, natychmiast znów się spina wobec świadomości, że ta wizyta upływa o wiele za szybko. Po godzinie strażnik ogłasza, że odwiedzający

mają jeszcze pięć minut. Daniel pochyła się bliżej i mówi:

– Dali, niedługo znowu przyjadę. Chyba jutro. Ale teraz posłuchaj uważnie.
– Bierze ją za rękę i zagląda w oczy. – Wiem, jak to jest siedzieć w takim miejscu
– zaczyna. – Nie możesz tego zmienić, musisz jednak strzec tajemnicy swojego wnętrza. Niech to wnętrze będzie dobre i pełne piękna. Niektórzy ludzie, jak na przykład twój wujek, to hieny. Będą na ciebie polować, będą chcieć cię zabić, a nawet pożreć twoje kości. Ale ci tam – wskazuje brodą strażników – to są termity. Gryzą po kawałku, po trochę, ale też zawsze cię zjadają. Ostatecznie hieny i termity to jedno i to samo. Pochłaniają wszystko. Musisz więc chronić to, czego nie są w stanie zjeść. Niech twoje serce będzie tajemnicą. Znajdź sobie w te dni jakiś cel, jakieś zajęcie, powód większy niż miejsce internowania. To ci da napęd. Kiedy siedziałem w więzieniu, zrozumiałem, że jak człowiek znajdzie coś takiego w sobie, to choćby nie przeżył, zwycięży. A ty musisz zwyciężyć, Dali. Rozumiesz mnie?

Pprzed śniadaniem Dalila wkłada na nogi podobne do kapci buty, które przywiózł jej Daniel. Są troszkę za duże, ale za to ciepłe. Polar od Daniela jest cieńszy niż koc, jednak dziewczyna drży już mniej, kiedy idzie do stołówki. Zdecydowana, by dziś rano coś wreszcie zjeść, zalicza połówkę banana i miskę płatków śniadaniowych. Kupuje sobie gorącą czekoladę z automatu, po czym siada przy stole i obserwuje innych internowanych. W stołówce panuje nastrój spokojniejszy niż wczoraj. Ludzie rozmawiają zbici w gromadki, rzucając na strażników niespokojne spojrzenia szeroko otwartych oczu.

Matka chłopca zajmuje miejsce naprzeciwko Dalili, pomaga synowi usiąść.

– Cześć – mówi Dalila. – Jestem Irene.

– Zainab – przedstawia się kobieta, przykładając rękę do piersi. – A to mój syn, Mohammed.

Chłopiec patrzy w dół na płatki kukurydziane i odsuwa talerz.

Zainab przemawia doń cicho w jakimś języku, którego Dalila nie zna, a potem zwraca się do dziewczyny po angielsku:

– On się dzisiaj źle czuje. Chyba boli go brzuch. Codziennie powtarza, że jest mu niedobrze. Ale myślę, że dzisiaj wszyscy są chorzy.

Dalila jest zaskoczona ładnym angielskim akcentem u Zainab. Nachyla się bliżej i pyta:

– Co się dzieje? Zauważyłam, że ludzie są dziś spokojniejsi.

– Wczoraj wieczorem przywieźli dwie kobiety z Yarl's Wood – szepcze Zainab. – Wiesz, co to jest Yarl's Wood?

– To ośrodek internowania, taki jak ten – odpowiada Dalila.

– Nie taki jak ten. – Zainab kręci głową. – To miejsce jest w porządku. Tu jest spokój, nie traktują nas źle. Ale w Yarl's Wood jest inaczej. Są tam same kobiety. Módl się, żebyś nigdy tam nie trafiła. Historie stamtąd budzą grozę.

Zainab kładzie rękę na plecach syna i namawia go do jedzenia.

Znów odwraca się ku Dalili i ciągnie:

– Wczoraj wieczorem przywieźli z Yarl's Wood sześć kobiet. Cztery umieszczono w sali sypialnej naprzeciwko nas. Podobno dwie pozostałe pojechały do lazaretu. Prowadzą strajk głodowy. Jak są jakieś kłopoty, na przykład strajk głodowy, zawsze tak robią. Przenoszą protestujących i tych, co rozrabiają, do innych ośrodków internowania, żeby nie mogli połączyć sił.

– Te kobiety sprowadzą na nas problemy? – pyta Dalila.

– Nie wiem, ale ja się ich nie boję. Obawiam się furgonetek. Kiedy przyjeżdżają tu furgonetki z nowymi ludźmi, nigdy nie wyjeżdżają stąd puste. Dzisiaj albo jutro zabiorą paru z nas. Zawsze jest rotacja. Mojego syna i mnie już raz przenosili.

Telefon Dalili wibruje w jej ręku.

Prawnicy będą dzisiaj o 15.30.

Podał im twój numer. Bądź silna.

Parę chwil później dziewczyna dostaje esemesa z kancelarii prawniczej w Dundee z potwierdzeniem godziny spotkania.

O piętnastej trzydzieści Dalila przechodzi rewizję przed wejściem do saloniku dla odwiedzających. Jakiś mężczyzna w srebrzystoszarym garniturze wstaje i wyciąga ku niej rękę.

– Dzień dobry, pani to Irene, jak sądzę?

– Tak – odpowiada, potrząsając dłonią mężczyzny.

– Jestem Duncan Finley, a to moja współpracownica, Helen Foster.

Przesuwa się, aby Dalila mogła wymienić z nią uścisk ręki. Kobieta, Helen, zdaje się tylko nieznacznie starsza od Dalili. Dłoń ma wilgotną i zimną. Gruba konturówka do oczu nadaje jej nieco zdziwiony wygląd.

- Pijemy właśnie kawę. Chce pani? – pyta Duncan, wskazując na automat.
- Nie. Dziękuję.
- Na pewno?
- Może gorącą czekoladę – decyduje się Dalila.

Kiedy Duncan kupuje napój, dziewczyna siada i przygląda się, jak oczy Helen śmigają po całym pomieszczeniu.

Kobieta odchyła się na krześle i dopiero wtedy zdaje się zauważyć Dalilę. Przesuwa się lekko do przodu i mówi:

- Więc jest pani z Kenii?
- Tak.
- Tam musi być fajnie. Tyle słońca.
- Tak – potwierdza Dalila. Aby podtrzymać rozmowę, dodaje: – Słońce jest dobre.

Helen spogląda na strażników, a potem do góry, na kamery monitoringu. Wyjmuje notatki i czyta je uważnie.

Duncan wraca z napojami i mówi:

– Wygląda na to, że zdążyłyście się już trochę poznać. To świetnie. Helen to jedna ze wschodzących młodych gwiazd naszej firmy. Bardzo kompetentna. Będzie panią reprezentować w trakcie rozprawy. Ja tylko jestem uzdolnionym kierowcą taksówki, podniesionym do wyższej rangi. – Śmieje się głośno, a Helen udaje się wydobyć jedynie słaby uśmiezek.

– Jesteście prawnikami? – pyta Dalila. – Z Dundee?

– Tak jest – odpowiada Duncan. – Większość pani dokumentów przesłał nam, zobaczmy, Phil z Centrum Solidarności. Wypełniliśmy wniosek o apelację i złożyliśmy go. Ale jest parę kwestii, które musimy omówić jeszcze przed rozprawą. Może zaczniemy od tego, dlaczego wyjechała pani z Kenii?

Podczas dyskusji z adwokatami Dalila ma kłopot z ich ciężkim akcentem,

często musi prosić o powtórzenie. Mówi głównie Duncan, natomiast Helen notuje. Rzadko spogląda na Dalilę, woląc znajomy teren swojego notatnika. Jej paznokcie są idealne, łuki brwiowe wąskie i dobrze ukształtowane. Żakiet, który ma na sobie, jest nowszy i bardziej elegancki niż garnitur Duncana, który sprawia wrażenie, jakby spędził w nim kilka lat.

– No cóż, znakomita rozmowa, Irene. Sporo interesujących rzeczy wyszło na jaw. Więc zrobimy tak – mówi Duncan. – Wygląda na to, że ma pani mocne podstawy do apelacji, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że deportacja byłaby sprzeczna z Deklaracją Praw Człowieka, gdyż naraziłaby panią na bezpośrednie zagrożenie życia. Dlatego my, a właściwie Helen, zamierzamy wystąpić o uznaniową zgodę na pobyt stały, prawda, Helen?

Słyszając swoje imię, młoda prawniczka podnosi wzrok znad papierów i potwierdza:

– Tak, zgadza się.

Duncan czeka, żeby kontynuowała, lecz ona wraca do notatek. Mężczyzna uśmiecha się do Dalili i mówi:

– I druga, hm, druga ciekawa sprawa, to znaczy wymiar polityczny. Ponieważ pani wuj zaangażował się ostatnio w politykę, możemy argumentować, że po powrocie do Kenii będzie pani narażona na prześladowania.

Dalila kiwa głową.

– Jestem optymistą. To znaczy, prawda jest taka, że ponad osiemdziesiąt procent wniosków o azyl jest odrzucanych od razu, niemniej dzięki apelacji właściwy sędzia ma szansę przyjrzeć się danej sprawie. Nie sądzę, żeby pani przypadek został odpowiednio potraktowany przez opiekuna wniosku. Wygląda na to, że ma pani spore szanse.

– Pojadę z państwem do sądu? – pyta Dalila, mając nadzieję, że wyrwie się z internowania chociaż na jeden dzień.

– Nie, nie. Teraz wszystko odbywa się w drodze wideokonferencji. Będzie

pani mogła widzieć i słyszeć to, co się dzieje, ale na ekranie. Zobaczy pani Helen, która stawi się na miejscu osobiście. A jeśli sędzia zechce zadać pani pytanie, zrobi to bezpośrednio. Niemal tak, jakby tu był. Całość potrwa około czterdziestu pięciu minut.

– Czy sędzia każe mi mówić, znowu opowiedzieć moją historię?

– Nie, raczej nie będzie takiej potrzeby. Po prostu może zadać jakieś pytanie. Ale bez obaw. Helen się wszystkim zajmie. Jest bardzo kompetentna. To jedna z naszych młodych, jasno świecących gwiazd.

Wśrodku nocy budzą Dalilę płacz i ruch w sali sypialnej. Mohammed leży w łóżku, jęcząc i łkając. Gdy Zainab próbuje go ukoić, płacz staje się głośniejszy, przechodzi w zawodzenie. Żadna z kobiet w pomieszczeniu już nie śpi. Niektóre przekręcają się na drugi bok i starają się ignorować całe zamieszanie, tylko jedna syczy:

– Ciii.

Zainab wstaje i woła strażnika z nocnej zmiany. Mężczyzna wchodzi i włącza światło, co pozostałe kobiety witają z jękiem. Na widok matki ze strażnikiem płacz Mohammeda się wzmagają.

– On źle się czuje – mówi Zainab strażnikowi. – Boli go brzuch, wydaje mi się też, że ma wysoką gorączkę.

Strażnik spogląda z góry na chłopca, a potem wodzi wzrokiem po całym pokoju, po kobietach siedzących na łóżkach.

– No dobra, hm – rzuca. – Trzeba go zabrać do ambulatorium. Dasz radę go zanieść? – zwraca się z pytaniem do Zainab.

– Tak, mogę go zanieść.

Kobieta owija synka kocem i umieszcza sobie na biodrze. Strażnik wyprowadza ich z pokoju, po czym zamyka drzwi. Po chwili jedna z kobiet wydaje z siebie poirytowane westchnienie. Zeskakuje z górnej pryczy, wyłącza światło i wraca do łóżka.

Po śniadaniu Dalila rozpytuje, jak dojść do ambulatorium. Kiedy tam dociera, strażnik przy drzwiach ją zatrzymuje.

– Tutaj jest moja znajoma. Przyszła w nocy z synkiem – wyjaśnia Dalila.

– Teraz nie ma wizyt – odpowiada strażnik.

– A kiedy?

– Zależy, kto to jest.

– Moja znajoma Zainab – mówi Dalila. – Jej synek ma na imię Mohammed. Wczoraj w nocy chłopiec źle się poczuł.

– No, tak, wiem, o kim mówisz – stwierdza strażnik.

– Mogę się z nimi zobaczyć? Przyniosłam sok jabłkowy.

– Musisz przyjść jeszcze raz, później. Lekarz właśnie ma obchód.

Dalila wraca po lunchu, tym razem zostaje wpuszczona. Oddział szpitalny to jedna sala, podzielona na części parawanami. Mohammed śpi na łóżku. Wygląda blado. Zainab siedzi obok niego, trzymając go za rękę.

– Cześć – szepcze.

– Jak on się czuje? – pyta również szeptem Dalila.

– W nocy miał gorączkę, ale teraz chyba lepiej. Martwi się i powtarza, że chce iść do szkoły. Dasz wiarę? – Zainab się uśmiecha. – A nigdy nie chciał chodzić do szkoły.

– Przyniosłam coś dla niego. – Dalila kładzie kartonik z sokiem jabłkowym w pobliżu łóżka. – Kiedy czuję się źle, jabłko mi czasem pomaga.

– Jesteś bardzo miła – mówi Zainab.

Jej syn mamrocze i rzuca się przez sen. Kobieta wstaje, przykładając mu dłoń do czoła.

Dalila czeka, licząc, że Zainab zechce kontynuować rozmowę, ta jest jednak zbyt skupiona na swoim dziecku.

– Chciałam ci także podziękować – odzywa się Dalila. – Kiedy tu przyjechałam, tylko ty się do mnie odezwałaś. Dziękuję ci za to.

– Drobiazg – rzuca Zainab.

Wchodzi pielęgniarka, zaciąga za sobą zasłonę, a następnie sprawdza kartę gorączkową mężczyzny z opuchniętą twarzą i ręką w gipsie. Skończywszy z nim, przesuwa kolejną zasłonę, odsłaniając dwa łóżka, na których leżą kobiety.

Daje sygnał strażnikowi przy drzwiach.

– Te dwie tutaj prowadzą strajk głodowy – informuje. – Odmawiają przyjmowania pokarmu, dlatego polecono mi je rozdzielić. Mógłby pan sprowadzić kogoś do pomocy?

Strażnik wychodzi i wraca z trzema innymi, którzy mają wesprzeć pielęgniarkę.

Dwóch funkcjonariuszy zaczyna wytaczać pierwsze łóżko z oddziału szpitalnego. Dalila stoi jak najdalej od nich. Na drugim łóżku spoczywa chuda kobieta, której kręcone włosy zalegają niesfornie na całej poduszce. Kiedy strażnik wysuwa łóżko, Dalila ma szansę dobrze się przyjrzeć pacjentce. Moment rozpoznania sprawia, że robi krok do tyłu.

– Ma’aza? Ma’aza, to ty? Przepraszam, ja znam tę kobietę. – Dalila podchodzi do łóżka.

– Odsuń się – warczy strażnik.

– To moja przyjaciółka – tłumaczy dziewczyna. – Znam ją. Nic jej nie jest? Ma’azo, wszystko w porządku? Co się stało?

– Ej, ty – ostrzega strażnik. – Do tyłu. Ale już.

Z powodu krzyków Mohammed się budzi i zaczyna płakać.

– Dokąd ją zabieracie? – pyta Dalila. – Czy ona jest chora?

– Powiedziałem, wracaj.

– Ale ja ją znam – krzyczy Dalila. – Mieszkałyśmy razem. Chcę tylko...

Strażnik unosi rękę i odpycha Dalilę od krawędzi łóżka. Dziewczyna odtrąca ramię mężczyzny ze słowami:

– Ja chcę z nią tylko porozmawiać. Znam tę kobietę. Ma’aza? Halo? Ma’aza?

Wyciągają się ku niej kolejne ręce, okręcają ją wokół osi; Dalila traci równowagę, potyka się, chwyta się strażnika, strażnik łapie ją. Łąduje na kolanach, zostaje przyciśnięta brzuchem do podłogi.

– Nie ruszaj się – krzyczy strażnik.

– Już dobrze – mówi dziewczyna.

Wykręcają jej ręce za plecami, zakładają kajdanki. Słyszy wrzask i płacz Mohammeda, gdzieś ponad okrzykami i warknięciami strażników, którzy wydają polecenia.

Ciągną ją jak jakiś tobół, kajdanki wżerają się w przeguby. Łąduje w pustym pomieszczeniu. Strażnicy odchodzą, nie zdjęwszy żelaznych obręczy. Dalila leży tam sama, z policzkiem na podłodze; jedyne, o czym może myśleć, to Ma'aza. To pewnie ją przywieziono tu wczorajszego wieczoru. Mówili, że z Yarl's Wood. Że właśnie stamtąd została przeniesiona. Czyżby prowadziła strajk głodowy? Ale jak ją złapali i umieścili w tamtym ośrodku?

Dalila przewraca się na plecy, wygina ręce w dół i przyciągnąwszy kolana jak najwyżej, przyciska przedramiona do bioder. Uwalnia jedną nogę, potem drugą, aż wreszcie oba skute kajdankami nadgarstki ma przed sobą. Sięga do kieszeni, wyjmując telefon i dzwoni do Daniela.

– Znalazłam Ma'azę – mówi do aparatu. – Przywieźli ją tutaj. Widziałam ją w ambulatorium. Ona prowadzi teraz strajk głodowy.

– Co? – dziwi się Daniel. – Ma'aza tam jest, razem z tobą?

– Tak, widziałam ją. Ale nie pozwalają mi z nią porozmawiać. Wygląda na chorą, *baba*.

– To wojowniczką.

– Wiem, ale martwię się o nią. Będzie walczyć i walczyć, ale to niczego nie zmieni. Umrze na darmo.

– Okej, Dali, spokojnie – mówi Daniel. – Najlepiej by było, gdybyś mogła z nią porozmawiać.

– Próbowałam, ale mnie nie dopuścili. Zakuli mnie w kajdanki i zamknęli w jakimś pokoju.

– Rozumiem. No cóż, najpierw musisz się uspokoić i zacząć myśleć. Kiedy będziesz gotowa i nadarzy się okazja, spróbuj jeszcze raz spotkać się z Ma'azą.

Ona cię potrzebuje, Dali.

– Okej. Okej. Zadzwońię do Phila i powiem mu wszystko.

– Ja mu o tym opowiem, właśnie jadę do centrum. Ty lepiej zachowaj środki na karcie telefonicznej, w razie gdybyśmy musieli się ze sobą skontaktować albo gdyby wydarzyło się coś innego.

– Dziękuję, *baba*. Musimy jej pomóc.

– Co ci przywieźć dzisiaj? – pyta Daniel.

– Sama nie wiem. Może trochę pieniędzy, bo tutaj nikt nie ma gotówki – odpowiada Dalila. – I doładowania do telefonu.

– Okej. Co jeszcze?

Dalila się zastanawia, wiercąc dłońmi w kajdankach i przekładając telefon do drugiego ucha.

– Kiedy będziesz u Phila, mógłbyś zajrzeć do banku ubrań i zobaczyć, czy są jakieś ciuchy dla małych chłopców? Chodzi o ośmiolatka.

Prowadzą Dalilę do gabinetu, którego nigdy wcześniej nie widziała, tam zdejmują jej kajdanki. Stoi przed biurkiem, a za jej plecami, przy drzwiach, czeka strażnik. Za blatem siedzi kobieta ubrana w taki sam mundur jak pozostali strażnicy, która przedstawia się jednak jako kierowniczką sekcji mieszkalnej.

– Panno Mwathi, podobno zna pani angielski?

– Tak, jestem z Kenii.

– Dobrze. – Kierowniczką podnosi z biurka kartkę papieru. – Wiem również, że wypełniła pani ten formularz zażalenia odnośnie do incydentu, który miał miejsce dzisiaj w ambulatorium.

– Ja chcę tylko wiedzieć, gdzie jest moja przyjaciółka – mówi Dalila. – Wyglądała na bardzo chorą, zaniepokoiłam się. Czy ona nadal tu jest?

– Zaraz do tego przejdziemy. – Kobieta kładzie formularz na biurku i splata palce. – Ale najpierw musimy wyjaśnić sobie parę spraw. Przebywa tu pani na

koszt podatników, dlatego też powinna pani okazywać swoją wdzięczność przez odpowiednie zachowanie. Wyjaśniano już pani, że w tym ośrodku realizujemy Program Bodźców Motywacyjnych oraz Nabytych Przywilejów. W tym momencie znajduje się pani na poziomie zaawansowanym, ale jeśli uznamy, że należy zdegradować panią do poziomu podstawowego, będziemy mogli zabrać pani telefon oraz uniemożliwić korzystanie z Internetu. A jeśli jeszcze raz podniesie pani rękę na któregoś z pracowników tego zakładu, umieścimy panią w izolatce na tak długo, jak będzie to konieczne. Czy wyraziłam się jasno?

– Tak – odpowiada Dalila.

– A teraz co do pani przyjaciółki. Skąd pani zna tę kobietę?

– Po przyjeździe do Glasgow umieszczono mnie w jednym mieszkaniu razem z nią. Znam Ma’azę od kilku miesięcy. Jesteśmy przyjaciółkami.

– Glasgow, powiada pani? Jednak Ma’aza została aresztowana za podjęcie nielegalnego zatrudnienia w Luton i umieszczona w ośrodku internowania Yarl’s Wood.

– Ja nic o tym nie wiem – mówi Dalila. – O jej pracy. Ma’aza uciekła. Był nalot, nalot o świcie, na mieszkanie obok naszego. Przestraszyła się i uciekła.

– Rozumiem – kwituje kierowniczką. – W swoim zażaleniu wspomniała pani, że – cytuję – „Tylko próbowałam pomóc. Gdybym mogła zobaczyć się z Ma’azą, mogłabym jej pomóc. Ona by ze mną porozmawiała. Nie walczyłaby ze mną, może nawet by coś zjadła”. Wciąż uważa pani, że to możliwe?

– Tak. Jesteśmy przyjaciółkami, znam ją. Chcę jej pomóc.

– Okej. Dziękuję, panno Mwathi. Może pani odejść. Strażnik odprowadzi panią do pokoju.

Wieczorem pozbawiają Dalilę prawa do odwiedzin. Pisze esemesa do Daniela.

Przykro mi, *baba*, ale nie pozwalają mi się z tobą zobaczyć. Dziękuję, że przyjechałeś.

Wiem, że to długa droga. Jeśli odzyskam przywilej odwiedzin, dam ci znać esemesem.

Odpowiedź nadchodzi po kilku minutach.

Ja lubię jeździć. Zostawiłem dla ciebie paczkę. Widziałaś się z Ma'azą? Jutro napiszę mejla.

Bądź silna.

Nazajutrz wczesnym rankiem do sali sypialnej wchodzi Mohammed i jego matka Zainab. Na twarzy chłopca jest teraz więcej kolorów, aczkolwiek wygląda dość ponuro. Zainab zabiera syna pod prysznic, dokładnie myje go i suszy. Kiedy wychodzą z łazienki, Mohammed jest owinięty ręcznikiem. Dalila podchodzi i mówi:

– Cześć. Jak się czujesz, Mohammedzie?

Chłopiec nie odpowiada, robi to jego matka:

– Znacznie lepiej. Spróbujemy teraz zjeść śniadanie.

– To dobrze – stwierdza Dalila. – Śniadanie dobra rzecz. Mam coś dla ciebie, Mohammedzie. Chciałbyś zobaczyć, co to takiego?

Chłopiec spuszcza głowę.

– Mam to tutaj. – Dalila podchodzi do szafki i wyjmuje poskładane ubrania.

– To dla ciebie, Mohammedzie.

Chłopiec patrzy na opuchnięte, posiniaczone nadgarstki Dalili. Rozgląda się po sali, sprawdzając, czy coś jeszcze tego ranka jest inaczej niż zwykle.

– Proszę. – Dalila podsuwa mu ubrania. – To nic takiego, zwykły prezent. Mam przyjaciela, który mnie tu odwiedza – wyjaśnia matce chłopca. – On to przywiózł.

Z wyrazu twarzy Zainab Dalila już wie, że podarunek zostanie przyjęty.

Kobieta kuca obok synka.

– Co odpowiesz tej miłej pani?

Chłopiec patrzy na ubrania i wskazuje T-shirt.

– Czy to Żółwie Ninja? – pyta.

Dalila spogląda w dół.

– Hm, tak, chyba tak. Lubisz Wojownicze Żółwie Ninja?

– Lubię tylko Batmana – odpowiada chłopiec.

– Na pewno znasz się na tym wszystkim lepiej ode mnie, ale mnie podoba się ten kolor. Co sądzisz?

Chłopiec wzrusza ramionami.

Zainab przesuwa dłonią po potylicy synka.

– Jeśli to przymierzysz, to obiecuję, że po powrocie do domu kupię ci koszulkę z Batmanem. Zgoda?

Malec kiwa głową i przyjmuje odzież.

– Dziękuję, Irene – mówi Zainab, kiedy jej syn się ubiera. – Usiądź z nami podczas śniadania, bardzo proszę.

Dalila spędza popołudnie w bibliotece, licząc, że będzie mogła skorzystać z jednego z komputerów. Kiedy zająwszy miejsce przy stoliku, czyta gazetę sprzed dwóch dni, podchodzi do niej jakiś mężczyzna. Dziewczyna obrzuca go wzrokiem i się odsuwa.

– Nie bój się, sestro – uspokaja ją mężczyzna. – Mam na imię John. Jestem z Sudanu. Mogę cię o coś spytać?

Dalila czeka, wiedząc, że strażnicy są w pobliżu. Planuje krzyknąć, gdyby tamten czegoś spróbował.

– Wiem, że dałaś chłopcu ubranie. Jesteś bardzo dobra. Proszę, powiedz, gdzie można dostać takie ciuchy?

Dziewczyna podnosi wzrok na mężczyznę.

– Mój przyjaciel przywiózł je z Glasgow.

– Kupiłaś te rzeczy?

– Nie, to dary. Z organizacji charytatywnej, w której jest bank ubrań. Czasem

można w nim coś znaleźć.

– Rozumiem. – John rozgląda się, żeby zobaczyć, czy ktoś ich obserwuje. – Mam problem – dodaje. – Mogę ci pokazać? – Wokół talii ma zawiązaną sportową bluzę. Unosi część zasłaniającą pośladki. Widać spodnie z wielkim rozdarciem w kształcie litery L, spod którego wystaje bielizna.

Dalila przełyka ślinę.

Mężczyzna przesuwa dresową bluzę na miejsce, tak aby znów zakrywała defekt.

– Kiedy przynosili mnie z Colnbrook, to się stało – wyjaśnia. – Nie mam innych spodni, nikogo w Szkocji nie znam. Jest zimno tutaj, ale za dnia nie mogę włożyć tej bluzy, bo spodnie mam rozdzierające.

Dalila kiwa głową.

– Zapytam znajomego.

– Dziękuję – mówi John. – Mój rozmiar to trzydzieści dwa–trzydzieści cztery. Dziękuję.

W ciągu czterech kolejnych dni szerzy się pogłoska, że Dalila potrafi załatwić to i owo. Internowani proszą ją o ubrania. Największym zainteresowaniem cieszą się skarpetki, buty, chusty na głowę, swetry i bielizna. Ale ludziom potrzebne są również doładowania do telefonu, gotówka oraz kserokopie dokumentów. Dalila prowadzi szczegółową listę, zawierającą nazwisko każdej osoby, złożoną przez nią prośbę oraz informację, czy otrzymała to, o co prosiła. Wszystko przekazuje Danielowi lub Philowi przez esemesy. Daniel odwiedza ją każdego ranka, czasem przywozi ze sobą do pomocy Tracey, wolontariuszkę z centrum. Spotykają się z innymi internowanymi, udzielają im porad w ich konkretnych przypadkach, obiecują skontaktować się z prawnikami, znajomymi bądź z członkami rodzin w innych częściach Wielkiej Brytanii.

– Przepraszam, że tyle zwałam ci na głowę, Danielu – mówi Dalila pewnego wieczoru.

– Nie ma problemu, Dali – odpowiada starszy człowiek. – To wszystko *ubuntu*. Nasze cierpienie jest wspólne, podobnie jak nasz cel. Teraz po prostu wstaję i robię to, co robię. Chodzi o coś większego niż tylko moje życie. A w moim mieszkaniu panuje o wiele większy porządek, ponieważ tam prawie nie bywam.

Dalila śmieje się głośno.

– To dobrze – kwituje. – Aż trudno uwierzyć.

Kwadrans przed rozpoczęciem rozprawy apelacyjnej strażnik wprowadza Dalilę do małego pokoju obok głównej recepcji. Na stoliku stoi telewizor z płaskim ekranem. Nad nim znajduje się kamera, wycelowana w jedyne krzesło. Dziewczyna słyszy, że ma na nim usiąść.

Strażnik włącza monitor i mocuje się z kablami, które wychodzą spod biurka w kierunku terminalu komputera. Zaciąga zasłony i poprawia kamerę, tak aby patrzyła wprost na Dalilę. Na ekranie migocze obraz przedstawiający twarz jakiegoś mężczyzny.

– Dzień dobry. Słyszać mnie? – pyta. – Test. Sprawdzanie.

Dalila kiwa głową, a strażnik mówi:

– Tak, słyszymy pana. Jak tam po waszej stronie?

– Wszystko wygląda dobrze – odpowiada mężczyzna na ekranie. – Świetnie was widzę. Dźwięk też w porządku. Odsuwa się od kamery, w stronę biurka w sali sądowej, wyposażonej w proste meble z sosnowego drewna. Pulpit sędziego jest wyższy niż wielki stół pośrodku pomieszczenia. Za miejscem przewodniczącego składu znajdują się okna, sięgające od podłogi do sufitu; przez nie, w oddali, Dalila dostrzega i poznaje czarne i białe wieże kościołów w okolicy siedziby YMCA, gdzie uczestniczyła w swoich jedyńskich zajęciach z angielskiego. Mężczyzna wraca do ekranu i rzuca:

– Dzień dobry. Jestem woźnym sądowym, mówię z Trybunału ds. Wniosków Azylowych i Imigracji w Eagle Building w Glasgow. Czy pani Irene Dalila Mwathi?

– Tak – odpowiada dziewczyna do kamery.

– Dobrze, za chwilę zobaczy pani sędziego, który wejdzie do sali rozpraw. Usiądzie tam, dokładnie naprzeciwko pani. Pani reprezentant prawny zajmie miejsce tutaj, po lewej, a sprawozdawca z ramienia MSW – o tam, po pani

prawej. Gdyby nie mogła pani czegoś usłyszeć albo zobaczyć, w każdej chwili proszę dać nam znać, okej?

– Tak, okej.

– Nie trzeba mówić tak głośno – dodaje woźny. – Świetnie słyszymy.

Mężczyzna wraca do swojego biurka, a do sali sądowej wchodzi Helen Foster. Ubrana w drogi żakiet, z perfekcyjnym makijażem, wygląda jak profesjonalna prawniczka, taka z telewizji. Zbliży się do kamery i mówi:

– Dzień dobry, Irene. Jak się czujesz?

– W porządku.

– Dobrze.

– To fajnie.

Wchodzi sędzia. Woźny oraz dwie pozostałe osoby obecne na sali wstają.

Dalila również stoi, czując się niezręcznie, samotna w małym pomieszczeniu, nie bardzo wiedząc, czy ma uczestniczyć w tych formalnościach. Kiedy ludzie na ekranie zajmują swoje miejsca, ona także siada.

Sędzia zaczyna rozprawę od zadania Helen Foster kilku pytań na temat zeznań Dalili, artykułów oraz petycji, zaprezentowanych przez dziewczynę podczas rozmowy merytorycznej. Mężczyzna ma przystryżoną siwą brodę i bezpośredni sposób bycia, pytania zadaje łagodnym tonem. Dalila obserwuje swoją prawniczkę, która pochyla się do mikrofonu na biurku i odpowiada na każde pytanie, trzymając głowę nisko pochyloną nad notatkami. Potem sędzia przenosi wzrok na sprawozdawcę z ramienia MSW i pyta:

– Czy pozwany ma jakieś pytania do powoda?

– Dziękuję, wysoki sędzie. Mam tylko parę pytań do wnoszącej apelację. – Mężczyzna wstaje i patrzy w kamerę. – Panno Mwathi, mogłaby nam pani opowiedzieć, jak trafiła do Wielkiej Brytanii?

Dalila cofa się myślami w czasie i opowiada:

– Pomógł mi znajomy, nazywa się Charles Okema. Zlitował się nade mną, kiedy mieszkałam w domu wujka. Powiedział, że jeśli dostanie pieniądze, to załatwi mi papiery i pomoże się stamtąd wyrwać. Więc ukradłam wujowi gotówkę i dałam Okemie. Dwa tygodnie potem Charles zabrał mnie z domu i zawiózł na lotnisko. Tam wsiadłam do samolotu do Wielkiej Brytanii.

– A skąd ów Charles Okema wziął te wszystkie dokumenty? – pyta sprawozdawca.

– Powiedział mi, że dostał je od jakiegoś Eddiego.

– Zna pani nazwisko tego Eddiego? Adres?

– Nie. Nigdy go nie spotkałam. Nie znam go.

– Czyli Okema dał pani fałszywe dokumenty, a następnie wsadził do samolotu, zgadza się?

– Nie, papiery nie były fałszywe – prostuje Dalila. – Paszport i dowód osobisty są moje, autentyczne. Prawdziwe. Prawdziwa jest także wiza turystyczna, ale musiał ją kupić. A także zapłacić za bilet lotniczy. Na to właśnie Charlesowi potrzebne były pieniądze.

Prawnik pociera czoło i zastanawia się przez chwilę. Potem stwierdza:

– Ale poradził pani, co mówić podczas przechodzenia przez kontrolę graniczną po przylocie do Wielkiej Brytanii, nieprawdaż?

– Tak.

– Została pani poinstruowana, aby udawać turystkę, cały czas doskonale wiedząc, że ma zamiar wystąpić w tym kraju o azyl. Czy mam rację?

– Tak.

Sprawozdawca podnosi ze swojego biurka jakieś zdjęcie, zbliża się do kamery i trzyma je tak, aby Dalila mogła zobaczyć.

– Panno Mwathi, czy zna pani tę kobietę?

– Tak – odpowiada Dalila. – To jest Mama Anne.

– Poproszę o pełne nazwisko.

Dalila cofa się myślami do nazwiska zapisanego w jej instrukcjach, które widziała tuż po przylocie do Wielkiej Brytanii.

– Nazywa się Anne Nafula Abasi.

– A ten człowiek? Rozpoznaje go pani? – Prawnik podnosi inną fotografię.

– To jest Markus – mówi Dalila.

– Ale to chyba nie jego prawdziwe imię?

– Znam tylko to – odpowiada Dalila.

– Kiedy przybyła pani na Heathrow, okłamała pani strażników granicznych, mówiąc, że ci ludzie to pani ciotka i kuzyn, zgadza się?

– Tak. – Dziewczyna spuszcza głowę.

– Proszę mówić do mikrofonu – interweniuje sędzia.

– Tak, tak powiedziałam.

– Według pani zeznań bezpośrednio z lotniska udała się pani do ich mieszkania i spędziła tam noc, zgadza się?

– Tak.

– Mogłaby pani podać sądowi adres, pod którym się pani zatrzymała?

– Nie znam adresu. Szłam za nimi. Mówiłam już MSW wiele razy, że nie znam tego adresu. Było ciemno. Uciekłam stamtąd, ponieważ Markus... On mnie zaatakował i nie wiem, gdzie jest to mieszkanie.

– Rozumiem. Utrzymuje więc pani, że nie zna prawdziwych nazwisk tych osób ani nie wie, gdzie mieszkają, a jednak nie przeszkadzało to pani po przybyciu do obcego kraju szukać u nich schronienia. Jak to możliwe, panno Mwathi?

– Nie wiem – przyznaje Dalila. – Ja wtedy nikogo tu nie znałam. Chciałam tylko uciec jak najdalej od wuja. Poszłam z nimi, ponieważ tak było umówione. Obiecywali pomoc.

– No dobrze, jeszcze jedno pytanie. Twierdzi pani, że jej wuj wykorzystywał panią i więził w swoim domu, zgadza się?

– Tak.

– Czy wuj panią wiązał lub pętał?

– Nie.

– Zamykał na klucz w jakimś pomieszczeniu?

Mężczyzna na ekranie przed Dalilą jest jak postać z dziwnego filmu. Dziewczyna musi się skoncentrować, żeby udzielać mu zgodnych z prawdą odpowiedzi, a nie tylko na niego patrzeć, tak po prostu.

– Dom był zamykany na klucz. Tak samo jak bramy posesji.

– Czy wszystkie drzwi domu zamykano?

– Tylne drzwi, do kuchni, były otwarte, żebym mogła gotować i zmywać na dziedzińcu.

– Dziękuję, panno Mwathi. – Sprawozdawca siada.

– Jakies pytania końcowe od strony wnoszącej apelację? – pyta sędzia.

Helen nachyla się do mikrofonu i mówi:

– Tak, wysoki sędzie. – Sprawdza coś w notatkach, a następnie zadaje pytanie: – Panno Mwathi, człowiek, który pomógł pani uciec z posesji wuja i który dostarczył niezbędne dokumenty, ów pan Charles Okema. Czy ma pani z nim kontakt?

– Nie – odpowiada Dalila.

– Dlaczego?

– Ponieważ on nie żyje. Widziałam w Internecie, że znaleźli jego ciało. Został zamordowany.

– Dziękuję. Jeśli wysoki sąd pozwoli, chciałabym zwrócić uwagę na pozycję C3 w dostarczonym materiale dowodowym, to znaczy na informację o zamordowaniu pana Okemy. Mimo że nikogo, jak dotąd, nie skazano w tej

sprawie, wydaje się, że istnieją jednoznaczne dowody, iż mordu dokonali członkowie organizacji Mungiki, co jest zgodne z zeznaniami panny Mwathi i z jej wersją wydarzeń.

Nie wstając, Helen odwraca twarz w kierunku kamery i pyta:

– Pani wuj, Kennedy Mwathi, jest członkiem organizacji Mungiki, zgadza się?

– Tak, jest.

– Panno Mwathi, czy mogłaby pani przypomnieć sądowi, w jaki sposób pan Kennedy Mwathi panią traktował?

– Tak. – Dalila chrząka. – Trzymał mnie w swoim domu. Byłam jego więźniem. Bił mnie rękami, bił mnie paskiem, przeciął mi skórę. – Dziewczyna odsuwa kołnierzyk koszuli i pokazuje bliznę na ramieniu. A także gwałcił mnie i groził mi nożem.

– Dziękuję, panno Mwathi – mówi Helen, zaznaczając coś w notatkach. – Podczas wstępnego przesłuchania w Croydon nie wspomniała pani, że była wykorzystywana seksualnie. Dlaczego?

Dalila bierze głęboki oddech.

– Nie wiem. Bałam się. Zdenerwowałam się, bo byłam sama w pokoju z tymi dwoma mężczyznami.

– Jakimi dwoma mężczyznami?

– Urzędnikami, którzy mnie przesłuchiwali.

– Czy prosiła pani o obecność funkcjonariuszki w trakcie rozmowy?

– Tak.

– Ale przesłuchali panią tylko mężczyźni, zgadza się?

– Tak.

– Dziękuję, panno Mwathi. To wszystko, wysoki sędzie.

– Dziękuję, panno Foster – mówi sędzia. – W takim razie możemy teraz

przejsć do mów końcowych.

Sprawozdawca natychmiast wstaje. Wysuwa się zza swojego krzesła i kładzie ręce na biodrach.

– Wysoki sędzie – zaczyna. – Stanowisko MSW nie uległo zmianie od czasu, gdy po raz pierwszy odmówiono apelantce zgody na udzielenie azylu. Na dzisiejszej rozprawie przedstawiono bardzo niewiele nowych dowodów, natomiast ciągle jesteśmy konfrontowani z opowieścią, w której fakty zmieniają się nieustannie. Apelantka twierdzi, że była wykorzystywana seksualnie i więziona przez swojego wuja. Wprawdzie MSW nie akceptuje tego typu zachowań oraz współczuje ich ofiarom, jednak same gołosłowne twierdzenia to za mało, żeby miały wartość przed sądem. Należy przedstawić twarde, jednoznaczne dowody, a w tym wypadku, jeśli chodzi o ten wniosek – tak się nie stało. Panna Mwathi twierdzi bowiem, że była więziona blisko rok, a potem uciekła z tamtego domu w dogodnym momencie. Ale, jak widać, nie była specjalnie sparaliżowana strachem. Co więcej, wygląda na to, że posiadała pieniądze i kontakty umożliwiające jej bezpieczny transfer do Wielkiej Brytanii. Nie wystąpiła o azyl natychmiast po swoim przyjeździe, wolała trzymać się kłamstwa, że odwiedza rodzinę, u której chce spędzić wakacje. Później, już po złożeniu wniosku azylowego, zataiła niezwykle istotne informacje dotyczące jej sprawy, a także nazwiska i adresy przestępców, którzy jej pomagali.

Dalila przygląda się, jak prawnik na ekranie idzie do swojego biurka i podnosi fotografie Markusa oraz Mamy Anne.

– Ci ludzie, których apelantka jakoby nie zna – kontynuuje mężczyzna – to Mark Kayode i Mariam Olushola, poszukiwani przez policję w związku z handlem żywym towarem, podrabianiem dokumentów, oszustwami oraz pod zarzutem podjęcia nielegalnego zatrudnienia w Wielkiej Brytanii. Panna Mwathi, która płaciła tym osobom za ich usługi i zatrzymała się w ich lokalu, uporczywie zaprzecza, jakoby znała ich tożsamość oraz adres zamieszkania. Jest oczywiste, że

panna Mwathi ma silne powiązania z międzynarodową siatką przestępczą, a nasz rząd nie zamierza przyjmować ludzi, którzy współpracują z kryminalistami. Po swoim zwolnieniu panna Mwathi, jak sądzę, natychmiast podjęłaby próbę ukrycia się i pozostania w kraju nielegalnie.

Prawnik poprawia marynarkę i odsuwa się od kamery, w kierunku sędziego.

– Jeśli chodzi o ryzyko związane z jej deportacją do ojczyzny – ciągnie swój wywód – to apelantka argumentowała, że pan Kennedy Mwathi jest politykiem, członkiem organizacji Mungiki i bezwzględnym biznesmenem o ogromnych wpływach, który wykorzystuje i niszczy swoich przeciwników. Jednakże wystarczy dokonać szybkiej analizy danych, aby się dowiedzieć, że człowiek ten jeszcze nie jest politykiem, a jego zainteresowanie tą dziedziną to kwestia spekulacji i w najlepszym razie przejaw oportunisty. Posiada on firmę przewozową, to wszystko. Przyznanie azylu na tle politycznym oznaczałoby istotne naciągnięcie definicji tego pojęcia. Ministerstwo Spraw Zagranicznych uznaje Kenię za kraj bezpieczny i stabilny politycznie. To gospodarcza siła napędowa dla całego kontynentu afrykańskiego, popularny kierunek turystyczny, gdzie wakacje spędzają tysiące osób. Nie ma podstaw sądzić, że po powrocie panny Mwathi do kraju nie znajdzie sobie ona bezpiecznego miejsca do życia z dala od Nairobi. Proponujemy, aby w razie deportacji została umieszczona w placówce Czerwonego Krzyża, gdzie znalazłaby dla siebie opiekę i środki do życia. Wnosimy o utrzymanie w mocy pierwotnej decyzji MSW, odrzucającej zgodę na przyznanie wnioskodawczyni pozwolenia na pobyt stały.

Zapina marynarkę i siada.

Dalila wpatruje się w ekran, zdezorientowana. Nie może się pozbyć uczucia, że to wszystko dzieje się gdzieś bardzo daleko i jest nierzeczywiste, a jednak tu i teraz, w tym małym pokoju z telewizorem i kamerą, decyduje się jej życie. Decyzja zostaje podjęta, a ona nie ma żadnej mocy, by na nią wpłynąć.

Helen Foster nadal siedzi, pochyla się do mikrofonu i swoją mowę końcową

odczytuje z notatek.

– Wysoki sędzie. Chciałabym rozpocząć od kwestii podniesionej przez pana sprawozdawcę, a dotyczącej sprzeczności w zeznaniach mojej klientki. Jak usłyszeliśmy od niej przed chwilą, w trakcie swego wstępnego przesłuchania zwróciła się z prośbą o obecność funkcjonariuszki, która to prośba została odrzucona. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ma obowiązek szczególnego traktowania bezbronnych kobiet poszukujących u nas azylu, którego – w tym wypadku – nie dopełniło. Pragnę też podkreślić, że moja klientka dostarczyła później wszelkich niezbędnych informacji odnośnie do swojej sprawy, które pozostają spójne. Podczas przesłuchania wstępnego moja klientka odczuwała ogromny strach i znaczną dezorientację, nie rozumiała w pełni działania systemu azylowego w Wielkiej Brytanii. Prosiłabym, aby fakt ten wzięto pod uwagę.

Helen przesuwa kartkę papieru leżącą na samej górze i zaczyna czytać kolejną stronę.

– Wuj mojej klientki, pan Kennedy Mwathi, ubiega się o miejsce w radzie miasta Nairobi, wybory odbędą się w przyszłym miesiącu. Polityczny wymiar jego działalności jest więc oczywisty. Ów wymiar jest także czymś bardzo realnym, jeśli chodzi o sprawę mojej klientki. Nie trzeba być pochodzącym z wyboru urzędnikiem bądź oficjalem, aby prześladować ludzi ze względów politycznych. Pan Mwathi jest znanym członkiem organizacji Mungiki, bardzo aktywnej politycznie. Człowiek, który pomagał mojej klientce w ucieczce, pan Charles Okema, został zamordowany. Zwracam również uwagę wysokiego sądu na oświadczenia złożone przez kolegów mojej klientki, a także profesorów z jej uczelni, zgodnie z którymi pan Kennedy Mwathi został przesłuchany przez miejscową policję w związku z dwoma innymi zabójstwami. Ze względu na fakt, że pan Mwathi obrał sobie teraz nową ścieżkę kariery, uważam, że istnieje oczywisty związek pomiędzy kontekstem politycznym a wnioskiem mojej klientki o azyl. Zaprzeczenie temu faktowi oznaczałoby zignorowanie jej

fundamentalnego prawa, wynikającego z Konwencji w sprawie uchodźców z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku.

Dalila przygląda się, jak sędzia odchyła się w fotelu i gładzi brodę dłonią, Helen nie podnosi jednak wzroku. Naciska dalej.

– Jeśli chodzi o zarzuty, że moja klientka współpracuje z międzynarodowym gangiem przestępczym, pragnę podkreślić, iż są to całkowicie absurdalne insynuacje. Prawdą jest natomiast to, że panna Mwathi jest przez ten gang prześladowana, że została zaatakowana, że próbowano ją porwać. Gang ten ma powiązania z panem Kennedym, który – jak wiemy – należy do organizacji Mungiki. Usiłowanie porwania mojej klientki zostało szczegółowo opisane w raporcie policyjnym, którego kopią sąd dysponuje. Panna Mwathi przekazała policji kartę SIM telefonu pana Markusa. Jest zatem oczywiste, że działa ona przeciwko gangowi i stara się doprowadzić go przed oblicze sprawiedliwości. Panna Mwathi nie jest ich współpracownicą. I wreszcie chciałabym przypomnieć wysokiemu sądowi, że chociaż Kenia stanowi dla wielu osób cel wakacyjnych wyjazdów, to jednak Ministerstwo Spraw Wewnętrznych umieściło ten kraj na „czarnej liście” państw, w których łamane są prawa człowieka, a zwłaszcza prawa kobiet. W razie powrotu moja klientka stanie przed realnym i poważnym zagrożeniem swojego zdrowia, a nawet życia. Jeśli rząd Wielkiej Brytanii narazi moją klientkę na tego typu ryzyko, oznaczać to będzie złamanie Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Dlatego uważam, że wstępna decyzja odrzucająca wniosek azyłowy Irene Mwathi była błędna. Proszę o natychmiastowe zwolnienie mojej klientki z ośrodka internowania w Dungavel oraz udzielenie jej zgody na pobyt tymczasowy w Wielkiej Brytanii, dopóki w kraju jej pochodzenia sytuacja nie poprawi się na tyle, że będzie mogła tam bezpiecznie wrócić.

Prawniczka milknie i podnosi wzrok na sędziego.

– To wszystko, wysoki sędzie.

Sędzia zbiera swoje papiery i podnosi się z miejsca. Woźny woła:

– Wszyscy wstać.

Obraz z kamery niknie, Dalila zostaje sama, wgapiona w telewizor, na którym odbija się piłeczka wygaszacza ekranu.

Dalila idzie pod eskortą z salki wideo z powrotem do swojej sypialni. Kładzie się na łóżku i wpatruje w krople deszczu uderzające w świetlik dachowy i spływające po nim. Trudno jej pojąć to, co się właśnie stało. Gdyby jej prawniczka była nieco bardziej charyzmatyczna, gdyby przejawiała w swoim wystąpieniu więcej wigoru. Lecz kiedy Dalila zastanawia się nad jej argumentami, dochodzi do wniosku, że były one solidne. Wszystkie miały poparcie w dokumentach. Mimo to czuje niepokój, przed którym nie może uciec.

Brzęczy jej telefon. Esemes od Daniela z pytaniem, jak poszła rozprawa apelacyjna. Dalila odpisuje:

– Nie wiem. Chyba dobrze.

Wieczorem, gdy mija pora odwiedzin, Dalila rozprowadza ubrania i karty telefoniczne przywiezione przez Daniela, odhacza każdy przedmiot na swojej liście, a także notuje nowe prośby na kolejny dzień.

Kiedy ma się już kłaść spać, do jej pokoju wchodzi dwóch strażników, a z nimi kierowniczka sekcji mieszkalnej.

– DG3331. Irene Dalila Mwathi? – odczytuje kierowniczka z podkładki do pisania.

– Tak?

– Proszę się spakować. Przenosimy panią.

Dalila zbiera swój skromny dobytek. Wiodą ją korytarzem z dala od części zajmowanej przez internowanych. Kiedy szła tędy ostatnio, miała na rękach kajdanki. Wprowadzają ją do jakiegoś pokoju; poznaje Ma'azę, leżącą na jednym z dwóch łóżek.

– To izolatka – wyjaśnia kierowniczka. – Ma'aza zostanie tu dopóty, dopóki nie zacznie jeść. Mówiła pani, że jest w stanie namówić ją do jedzenia?

– Tak, tak mi się wydaje – odpowiada Dalila.

– Dobrze. Proszę z nią zostać. Niech zaczną jeść. Przed drzwiami stoi strażnik, gdyby pani czegoś potrzebowała.

– Dziękuję – mówi Dalila.

Drzwi się zamykają, dziewczyna klęka koło łóżka.

Ma'aza jest wychudła i półprzytomna. Jej oczy obracają się ku Dalili, wolno przełyka ślinę i szepcze:

– Wyglądasz okropnie, moja cukrowa siostrzyczko.

Dalila śmieje się, kładzie ręce na policzkach przyjaciółki i odpowiada:

– A ty jesteś cudownie piękna. – Całuje Ma'azę w czoło. – Dlaczego uciekłaś? – pyta, głaszcząc ją po włosach. Ma'aza zamyka powieki i znów je otwiera.

Dalila siada na podłodze tuż obok łóżka.

– Myślałam, że mamy wielkie plany, pamiętasz? Ty i ja miałyśmy razem kupić dom w Kanadzie i oglądać filmy na ogromnym telewizorze.

Oczy Ma'azy się zamykają, a jej usta rozciągają w błogim uśmiechu.

– Obiecywałaś, że codziennie będziemy się opychać grillem i śmieciowym żarciem, aż zrobimy się grube i wielkie, pamiętasz?

– Pamiętam – przyznaje słabo Ma'aza. – Potem dorzucą: – Przyrzekłaś tej kierownicze, że zmusisz mnie do jedzenia, tak?

– Dlaczego to sobie robisz?

– Ponieważ... Tak zdecydowałam. Oni nie będą mnie we wszystkim kontrolować. Ty też nie.

– Ale możesz umrzeć, Ma'azo.

– Kto wie, czy tak nie będzie lepiej. – Odwraca twarz. Po kilku chwilach dodaje: – Przepraszam, że cię zostawiłam.

– Skoro tak, to w ramach przeprosin wypij trochę wody. Dla mnie. Żebyśmy

były silne i mogły się stąd wydostać.

– Oni nigdy mnie nie wypuszczą – mówi Ma’aza.

– Może po jakimś czasie tak. Napij się trochę, proszę.

– Pracowałam...

– Co? – pyta Dalila. – Nie słyszę cię. – Siada na łóżku przyjaciółki i nachyla się bliżej.

– Pojechałam do Londynu – szepcze Ma’aza. – Pracowałam tam w kuchni, tak jak w fabryce. – Oblizuje usta i ciągnie: – Policja aresztowała wielu z nas. Po czterech dniach w celi zabrali mnie i paru innych do Yarl’s Wood. MSW twierdzi, że jestem kryminalistką, bo pracowałam w kuchni. Odrzucili mój wniosek i chcą mnie odesłać do Etiopii.

– Ciii – szepcze Dalila. – Weź tę wodę. Napij się.

Ma’aza odpycha butelkę.

– Spróbują mnie deportować samolotem, ale Etiopia mnie nie przyjmie – mówi. – Że niby jestem Erytrejką. Więc nie polecę.

– Ależ to dobra wiadomość – zauważa Dalila. – Możesz zostać.

Ma’aza unosi ciężkie powieki.

– Nie rozumiesz. Nigdy nie rozumiesz. MSW nie wypuszcza kryminalistów na wolność, a mój kraj nie chce mnie przyjąć. To znaczy, że jestem w potrzasku. Będą mnie trzymać w Yarl’s Wood całymi latami. Mam zostać w takim miejscu? Wolę umrzeć. – Zamyka oczy i ciągnie: – Utraciłam już wszystko, cukrowa siostró... ale oni i tak chcą mi coś odebrać.

– Okej – szepcze Dalila. – Rozumiem, naprawdę. Ale zostanę tutaj, dopóki nie wyjedziesz. Jestem twoją przyjaciółką. Przegram razem z tobą.

Kładzie się na łóżku u stóp Ma’azy, bierze ją za rękę i gasi światło.

Dalila pozostaje z Ma’azą w izolatce całymi dniami. Ma’aza nic nie je, Dalila nigdy jej o to nie prosi. Przesuwa swoje łóżko bliżej przyjaciółki, nocą słucha jej

mamrotania przez pełen majaków sen.

Dalila wciąż prowadzi swoją listę. Każdego ranka po śniadaniu spotyka się w stołówce z internowanymi i spisuje ich prośby, a potem wysyła wszystko mejlem do Phila. Dostaje kolejne ubrania dla Mohammeda, a także szalik i bluzkę dla Zainab. Prowadzi też szczegółową listę kart telefonicznych z doładowaniem i rozdaje je wedle zasady „kto pierwszy, ten lepszy”.

Wieczorami pija gorącą czekoladę z Danielem w saloniku dla odwiedzających i słucha wiadomości z kampanii o uwolnienie jej oraz Ma’azy. Daniel opowiada, że Phil opracował dwa różne plakaty, jeden o Dalili, drugi o Ma’azie, zawierające podstawowe informacje o ich przypadkach, które wzywają do natychmiastowego odstąpienia od internowania obu kobiet. Plakaty opublikował na różnych forach internetowych. Pani Gilroy też się zaangażowała. Dzwoniła do rady miasta, do różnych szkockich posłów do parlamentu, do spółdzielni mieszkaniowej, organizacji charytatywnych, grup kobiecych, a nawet do związków zawodowych, w których kiedyś pracował jej mąż, z prośbą o wszelkie wsparcie.

– Niewiarygodne – komentuje Dalila.

– Och, tak – zgadza się Daniel. – Nawet Abbi pomaga. Rozdaje ulotki w całej dzielnicy. Jest nadzieja, Dali. Ludzie się o ciebie troszczą.

W dziecięcej sekcji biblioteki Dalila znajduje dużą czerwoną książkę zatytułowaną *Tysiąc i jeden dowcipów*. Przekonuje strażnika, by pozwolił jej zabrać tę pozycję do pokoju.

– Zobacz, co znalazłam – mówi do Ma’azy, podnosząc wysoko książkę. – Wiem, że lubisz komedie, ale ponieważ nie mamy tu telewizora, to ci poczytam.

Kładzie się na swoim łóżku obok przyjaciółki i otwiera książkę na chybił trafił.

– Kiedy kotu dokuczają zęby? – czyta Dalila. – Jak go psy gryzą.

Brak reakcji ze strony Ma’azy, więc przerzuca kolejne kartki i czyta inny kawał.

– Jak się zwraca koperta do znaczka? Trzymaj się mnie, a skoczymy w parę fajnych miejsc. To chyba niezłe – ocenia Dalila. Ma’aza przekręca ku niej głowę i unosi brew.

Dalila odwraca kartkę, próbuje kolejnego żartu.

– Jak sprawić, żeby Bóg się zaśmiał? – czyta. – Opowiedzieć mu o swoich planach.

Ma’aza się uśmiecha i unosi palec.

– To jest zabawne – mówi.

Rankiem światło za oknami jest inne, bardziej rozproszone, bledsze. Kiedy Dalila wygląda przez szybę, widzi biały świat. Każdą powierzchnię pokrywa dziewiczy śnieg. Wielkie płatki opadają, wirując, i lądują w ciszy na owej bieli. Dziewczyna wkłada wszystkie swoje ubrania i wychodzi na boisko sportowe. Jest zimno, nieprzyjemnie mroźno, ale radośnie. Wszystko jest czyste i nieruchome, świat się odrodził. Śnieg, niczym kot, ma gdzieś obowiązujące przepisy, spoczywa sobie na kamerach monitoringu, przykleja się do drutu kolczastego, zdobi dachy samochodów i szczyty drzew. Dalila stoi na boisku z innymi internowanymi. Każdy z nich jest uśmiechnięty i podekscytowany, otwiera usta i unosi język do nieba, chłepcze to surowe, zimne piękno, wchłania je w siebie.

Do ośrodka internowania przychodzi list do Dalili. Nosi tytuł „Decyzja”. W miarę czytania dziewczyna zaczyna rozumieć, że jej apelacja zakończyła się porażką.

Pisze esemesa do swojej prawniczki, a ta natychmiast do niej oddzwania. Następuje długa dyskusja na temat procedury sądowej kontroli działalności organów administracji państwowej, na temat możliwości wpłacenia kaucji, a nawet złożenia bezpośredniej skargi do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, lecz Dalila poznaje po tonie głosu Helen, że sytuacja wygląda źle.

Dziewczyna wraca do swojego pokoju, nie idzie na lunch. Kładzie się do łóżka i zasłania oczy przedramieniem.

– Co się stało? – pyta Ma’aza drżącym głosem.

– Odrzucili moją apelację.

Ma’aza podnosi się z trudem do pozycji siedzącej.

– I co teraz zrobisz? – pyta. – Będą kolejne apelacje?

– Nie. To już koniec – odpowiada Dalila. – Wiele razy mi powtarzałaś, że mnie odeślą. Teraz zrozumiałam. Nie ma ucieczki.

– Nie wolno tak mówić – oburza się Ma’aza. – Wiele razy powtarzałam ci również, że aby przetrwać, trzeba być silną.

Dalila wstaje i chodzi do drzwi i z powrotem. Nie może uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Jak Ma’aza śmie tak sobie leżeć, niczym jakiś chudy, wysuszony na wiór kot, i pouczać ją o przetrwaniu? Dlaczego sama się poddała? Gdyby znała odpowiedzi na wszystkie pytania, to by nie siedziała tu w potrzasku, jak wszyscy pozostali. Jest mnóstwo rzeczy, które Dalila pragnie wykrzyczeć na głos, w jednej chwili, lecz tylko mruży oczy i rzuca przyjaciółce twarde, obce spojrzenie.

Ma’aza wzdycha długo i powoli, złapana w pułapkę własnej logiki.

– Poczuję się dobrze tylko wtedy, kiedy ty się będziesz czuć dobrze – mówi Dalila.

Ma'aza podnosi rękę w obronnym geście i przesuwa nią po oczach.

– Świetnie – rzuca. – Jak coś zjem, zaczniesz wierzyć, okej? Przetrywamy razem.

Dalila krzyżuje ramiona. Nie bardzo wie, czy naprawdę może zaufać Etiopce.

Po chwili Ma'aza się odzywa:

– Kiedy tak stoisz, wyglądasz jak moja matka. Chodź, przynieś mi trochę wody.

Dalila siada na łóżku i podaje kobiecie butelkę soku jabłkowego. Ma'aza zdejmuje nakrętkę i upija łyk.

– Więcej – mówi Dalila.

Ma'aza przewraca oczami, po czym znowu pije, tym razem dłużej.

Dalila składa w pół swoje pismo z nagłówkiem „Decyzja” i rzuca je na łóżko.

– Już mam dość tego przetrwania – oświadcza.

– A co innego możesz robić? – pyta Ma'aza.

Dalila skubie szorstkie wyrostki wokół paznokcia kciuka. Wyobraża sobie, jak siedzi w samolocie, opadając w dół, ciągle w dół ku Nairobi, szybko jednak wyrzuca ten obraz z umysłu.

– W ostatnich tygodniach w domu mojego wujka całymi godzinami leżałam na podłodze. Po prostu leżałam, starałam się przetrwać, z twarzą na kafelkach. Nie pozostało mi prawie nic. Zabrał mi wszystko. Byłam pusta, tak bardzo pusta. Nic już mnie nie obchodziło.

Ma'aza wyciąga rękę i chwyta dłoń przyjaciółki.

– Próbuję do tego wszystkiego nie wracać – ciągnie dziewczyna. – Nie mogę jeszcze raz przez to przechodzić. Muszę być kimś, coś znaczyć. Moje życie musi mieć jakiś sens. Nie mogę tylko uciekać i starać się przetrwać, przeskakując

z miejsca na miejsce. Chcę pomagać innym, wiesz? Chcę dawać, być jak...

Dalila tłumia emocje, lecz jednocześnie gubi wątek tego, co starała się powiedzieć. Patrzy na Ma'azę, klaszcze w dłonie, pozwalając sobie na chwilowy hałas.

– Każdego dnia, sostro – szepcze do Ma'azy – dokładam starań, aby zwyciężyć.

Przez cały następny tydzień Dalila walczy. Wypełnia kolejny wniosek o wpłatę kaucji, a potem – z pomocą swojej prawniczki – zwraca się o przeprowadzenie sądowej kontroli działań organu administracji państwowej w dotyczącej jej sprawie. Kiedy Phil odwiedza ośrodek internowania, Dalila opowiada mu o sytuacji Ma’azy. Piszą szkic pisma, który zamierzają umieścić w Internecie, inicjując tym samym kampanię pisania listów wzywających do natychmiastowego zwolnienia Ma’azy ze względu na stan jej zdrowia. Phil zapewnia Dalilę, że zdobędzie wiele podpisów bardzo ważnych osobistości, zanim list trafi do prasy, do MSW oraz do najważniejszych posłów szkockiego parlamentu.

Z każdym dniem Ma’aza nabiera nieco sił; najpierw pije tylko wodę lub sok, wkrótce jednak próbuje trochę jogurtu, a potem zupy, którą Dalila przynosi jej w kubku ze stołówki. Dzięki Danielowi udaje się załatwić dla Ma’azy lepsze ubrania. Po kilku próbach odbycia spaceru wokół pokoju, kobieta jest już na tyle silna, że samodzielnie bierze prysznic.

Któregoś ranka Dalila stoi w kolejce po śniadanie, sprawdzając swoją listę próśb od internowanych.

Podchodzi do niej strażnik i pyta:

– Irene Mwathi? DG3331?

– Tak? – odpowiada, podnosząc wzrok na mężczyznę.

– Proszę ze mną.

Strażnik eskortuje ją do biura, w którym czeka na nią kierowniczką części mieszkalnej. Kiedy mężczyzna wychodzi i zamyka za sobą drzwi, kobieta mówi:

– Panno Mwathi, mamy do poruszenia dwie sprawy. Po pierwsze, chciałabym pani pogratulować postępów w związku z pani przyjaciółką Ma’azą. Wygląda na to, że jada regularnie. Pielęgniarka poinformowała mnie, że stan jej

zdrowia uległ poprawie. Nie wiem, jak ją pani przekonała do rezygnacji ze strajku, ale jestem pod wrażeniem pani wysiłków. Dotrzymała pani słowa i za to dziękuję.

– Dziękuję – odpowiada Dalila. – To moja przyjaciółka. Moje serce się raduje, widząc, że znów nabiera sił.

Kierowniczka kiwa głową. Przesuwa jakiś papier po blacie biurka i ciągnie:

– A to dotyczy naszej drugiej sprawy. Rozumiem, że otrzymała pani pismo z decyzją administracyjną o odrzuceniu pani apelacji?

– Tak, ale prawniczka wystąpiła o możliwość wpłacenia kaucji. Spróbujemy również wniosku o przeprowadzenie sądowej kontroli działań organu administracji.

– Cóż, muszę panią poinformować, że z powodu odrzucenia apelacji otrzymałam rozkaz natychmiastowej deportacji pani osoby. Mamy nowe przepisy w tej kwestii. Na podstawie zapisanych tu szczegółowych instrukcji powiem, że wylatuje pani z Londynu do Nairobi za cztery dni. Dzisiaj zostanie pani przeniesiona do ośrodka internowania Yarl's Wood, gdzie pozostanie do czasu odlotu. Pani rzeczy osobiste zostały już zabezpieczone, dla pani wygody. Obecny tu funkcjonariusz Malcom będzie eskortował panią do samochodu.

Dalila **dziewięć godzin siedzi** w klatce na tyłach furgonetki. Kiedy wreszcie przejeżdżają przez punkt kontrolny ośrodka internowania Yarl's Wood, jest całkowicie wyczerpana.

Budynek wygląda jak szpital. Długie białe korytarze z twardą gumową posadzką. Każde drzwi, przez które przechodzi, muszą najpierw zostać otwarte kluczem, a potem zamknięte. Na niektórych widnieją nawet małe znaczki przypominające strażnikom: „Pamiętaj zamknąć i sprawdzić!”.

W niedużej salce recepcyjnej ponownie robią jej zdjęcie i zdejmują odciski palców. Pytają o imię, nazwisko, narodowość, datę urodzenia i wszystko to sprawdzają z danymi w aktach. Rzeczy osobiste poddawane są rewizji; Dalila słyszy polecenie, aby się rozebrać w celu kontroli odzieży.

Zdejmuje ubranie i czeka, aż strażniczka je zbada.

– Musimy sprawdzić też pani stanik – oświadcza strażniczka.

Dalila odpina biustonosz i wysuwa ramiona z luźnych pętli. Jednym ramieniem zasłania piersi, po czym rzuca stanik na stół.

Strażniczka robi krok w jej stronę i mówi:

– To także trzeba sprawdzić. Wkłada dwa palce pod elastyczną taśmę majtek Dalili i maca w poszukiwaniu ukrytych przedmiotów. Dziewczyna zwraca twarz do sufitu, ciało ma napięte i drżące. Najchętniej wzniosłaby się i poszybowała gdzieś w kąt stropu.

Stanik nie ma fiszbin, zostaje więc dziewczynie zwrócony.

– Ubierać się – nakazuje strażniczka, otwierając drzwi i stając w korytarzu.

Dalila naciąga koszulkę przez głowę, potem wsuwa ramiona w rękawy swetra, który przywiózł jej Daniel, i zapina zamek pod szyję. Stanik chowa do kieszeni, a gdy wkłada spodnie, do pokoju wchodzi strażnik – mężczyzna.

– Chodźmy – mówi.

Idzie za nim długim białym korytarzem. Gdzieś w oddali trwa kłótnia, Dalila słyszy płacz i krzyki. Trzaskają drzwi, potem kolejne.

Strażnik doprowadza ją do bramy pośrodku korytarza. Każe wejść do środka, zamyka za nimi drzwi na klucz. Dwa metry dalej jest podobna brama. Oboje są teraz niczym w klatce. Dalila przyciska plecy do ściany, kiedy strażnik ją mija. Jego klucze tkwią na końcu elastycznego przewodu, przytwierdzonego do paska. Szarpie za ów przewód, bawi się chwilę kluczami, a następnie otwiera zamek kolejnej bramy.

Podchodzą do jakichś drzwi. Strażnik otwiera je i pstryknięciem włącza światło. Oto mały pokój z dwoma pojedynczymi łóżkami, toaletą i prysznicem. Jedno z łóżek jest puste i schludnie zasłane. Na drugim leży kobieta w pozycji płodowej, z poduszką na głowie. Porusza się, rażona światłem, mruży oczy, odsuwa z twarzy długie czarne włosy.

– Irene Delilah Mwathy – mówi strażnik. – To będzie twój pokój. Teraz światła mają być zgaszone. Śniadanie o siódmej trzydzieści. Dobranoc.

Dziewczyna wkracza do pokoju, a strażnik zamyka za nią drzwi na klucz. Kobieta na drugim łóżku przewraca się na plecy i zasłania twarz poduszką.

Dalila zajmuje miejsce na swoim posłaniu. Strach przyciska ją do niego z prawie fizyczną siłą. Pod tym ciężarem ledwie może oddychać. Wysyła esemesa do Helen, swojej prawniczki, z informacją, gdzie się znajduje, oraz z prośbą o pomoc. Pisze również do Phila i do Daniela, podając im szczegóły lotu do Nairobi i miejsce swojego pobytu. Dodaje słowo „Pomocy”, a potem przykłada telefon do piersi i czeka.

Nasłuchuje odgłosów butów maszerujących korytarzem, brzęku kluczy i trzaskania bramy. Dobia ją płacz. Płacze ktoś będący niedaleko, wkrótce wręcz zawodzi. Zawodzenie zmienia się w rozpaczliwie, pełne frustracji wycie; jakaś kobieta, w innej części korytarza, zaczyna walić głową o drzwi: raz, drugi, znowu.

O siódmej trzydzieści brama na końcu korytarza otwiera się z trzaskiem. Dzwonią klucze, rozlega się tupot ciężkich butów, niedający się z niczym pomylić. Gdzieś niedaleko przez odemknięte gwałtownie drzwi ktoś warczy: „W jedynce dwie”.

Dalila siada na łóżku.

Buty się zbliżają, kolejne drzwi stają otworem. „W dwójce dwie” – woła strażnik.

Rozchylają się także drzwi pokoju Dalili. Do środka wtacza się strażnik i włącza światła. Na korytarzu stoi inny funkcjonariusz, z podkładką do pisania. „W trójce dwie” – krzyczy strażnik do kolegi za drzwiami. Wychodzi. Kroki i odliczanie trwają w dalszej części korytarza. Kobieta na drugim łóżku wstaje i zamyka drzwi. Szurając nogami, idzie do toalety. Bierze prysznic, wychodzi ubrana, z włosami owiniętymi długim ręcznikiem.

– Jestem Shada – przedstawia się. – Z Iraku.

Sprawia wrażenie osoby po czterdziestce. Ma lekko podpuchnięte oczy, wygląda na wykończoną i zamkniętą w sobie.

– Jestem Irene. Z Kenii.

– Umyj się. – Shada wskazuje na prysznic i zlew. – Potem śniadanie.

Dalila podnosi się, korzysta z toalety, a w tym czasie Shada owija chustę wokół głowy. Ponieważ Dalila nie ma własnych przyborów toaletowych, myje tylko ręce i twarz nad zlewem. Stoi gotowa w ubraniu, w którym spała. Gdy wychodzi z łazienki, Shada kładzie ręcznik na podłodze i odmawia modlitwy.

Skończywszy, mówi:

– Idziemy.

Stołówka jest podobna do tej w Dungavel, tylko że tutaj nie ma pojedynczych krzeseł, lecz drewniane boksy. Dalila kupuje gorącą czekoladę z automatu, po czym siada obok Shady. Ta kiwa głową, wyjmuje telefon i pisze esemesa. Kilka minut później dołącza do nich inna kobieta, zajmując miejsce koło Dalili.

– To moja znajoma. – Shada przedstawia przybyłą. – Ona... jej angielski jest lepszy.

– Farida – odzywa się kobieta. – Możesz nam pożyczyć pieniędzy?

Dalila siada prosto.

– Oddamy ci, jutro. Tylko cztery funty.

– Ja nie mam – odpowiada Dalila.

– Kupowałaś w automacie – zauważa Farida – więc masz.

– Po co wam pieniądze? Na co?

– Na przybory toaletowe.

– Przecież ty masz je w swoim pokoju – zwraca się Dalila do Shady. – Nawet ja widziałam.

Farida się pochyła.

– Nie dają nam wszystkiego, czego potrzebujemy. Musimy kupować sobie pastę do zębów, tampaksy, szampon. Z tym byłoby tu łatwiej, ale dostajemy tylko siedemdziesiąt pensów na dzień.

Dalila przygląda się najpierw jednej twarzy, potem drugiej. Nie ufa tym kobietom, ale nie chce też mieć w nich wrogów.

– Więc potrzebne są przybory toaletowe?

– Tak, nam wszystkim – potwierdza Farida. – Tobie też. Jak dasz nam pieniądze, pokażemy ci, gdzie je kupić. – Dziś wieczorem odwiedzi mnie kuzyn – dodaje. – Przyniesie forszę dla ciebie, ale coś trzeba kupić już teraz.

– Okej – zgadza się Dalila. Wyjmuje z kieszeni monety jednofuntowe oraz dwie pięćdziesięciopensowe i przesuwa je po stole.

– Szokran²⁰ – mówi Shada.

W trójkę wychodzą ze stołówki, idą do małego kiosku. Dalila kupuje pastę do zębów, szczoteczkę oraz mydło. Na razie to wszystko, czego potrzebuje. Ma jeszcze trochę pieniędzy upchniętych w skarpetce, ale woli zachować ostrożność

i ich nie ujawniać.

Farida i Shada kupują po buteleczce szamponu, nic więcej.

Z głośnika pada polecenie, aby wszyscy internowani przeszli do swoich pokojów w celu odliczenia apelowego. Osoby w kolejce do sklepiku spoglądają po sobie. Przenoszą wzrok na strażników, którzy natychmiast zaczynają wypędzać wszystkich z pomieszczenia. Na korytarzu słychać jęki, ludzie kręcą głowami, a Dalila odnosi wrażenie, że to, co się teraz dzieje, nie należy do zwykłej codziennej rutyny.

Tłum rozdziela ją z Shadą. Dziewczyna wchodzi do swojego pokoju i zastanawia się, co ma robić dalej. Shada wpada do celi chwilę później. Stoją ramię w ramię, słuchając odliczania, które zaczęło się na końcu korytarza. „Dwie w jedyńce”. „Dwie w dwójce”. Strażnicy zbliżają się do ich drzwi, wsadzają głowy do środka i lustrują wnętrza. „Dwie w trójce”. Klucze, buty, głosy przesuwają się dalej. „Dwie w czwórce”.

Shada zamyka drzwi i przykłada dłoń do ust.

– Stało się coś? – pyta Dalila.

– Słyszałam, że znaleźli jakąś kobietę – odpowiada Shada. – Podcięła sobie żyły.

Cały ranek muszą siedzieć w pokoju. Shada leży na łóżku z podciągniętymi kolanami, w tym czasie Dalila bierze prysznic. Ubiera się szybko, a gdy szczotkuje zęby, strażnicy znów liczą internowanych. Czesząc włosy, stara się myśleć. Do wylotu zostały już tylko trzy dni. Zdaje sobie sprawę, że musi coś zrobić.

Siada na łóżku i wpatruje się w swój telefon. Ładowarkę wzięła ze sobą, ale stan konta jest niski. Może w kiosku sprzedają karty telefoniczne? Tę resztkę pieniędzy, która jej została, mogłaby wykorzystać na zakup doładowania. Pójdzie tam natychmiast, gdy tylko pozwolą jej wyjść z pokoju. Telefon dzwoni

w jej ręce, z wrażenia prawie go wypuszcza. To Phil.

– Halo? Dalila?

– Tak, to ja.

– Cześć, tu Phil. Słuchaj, jestem...

– Phil, wsadzili mnie do Yarl's Wood – wybucha dziewczyna. – Proszę, pomóż mi, bardzo się boję. Za trzy dni chcą mnie odesłać samolotem.

– Wiem, wiem. Słuchaj, robię, co mogę. Skontaktowałem się z linią lotniczą i złożyłem skargę. Jedna z wolontariuszek będzie do nich dzwonić co dwie godziny z pretensjami. Być może to coś da, ponieważ to kapitan samolotu ma ostatnie słowo, jeśli chodzi o osoby, które wpuszcza na pokład. Jak uzna, że możesz zakłócić bezpieczeństwo, wolno mu odmówić przyjęcia cię do samolotu. Wtedy twoja deportacja zostanie odłożona.

– Dobrze. Dziękuję. Trzeba tak zrobić. Ja nie mogę tam wrócić, ale tutaj też jest bardzo źle.

– Wiem, Dalilo. Musisz być silna, okej? Nawiązałem też kontakt z paroma znajomymi w Londynie. Znają szczegóły dotyczące twojego lotu, w dniu wyjazdu udadzą się na lotnisko i spróbują rozpocząć protest przeciwko deportacji. Zobaczymy, czy któreś z tych działań przyniesie jakieś efekty, ale zwykle jest tak, że jak ludzie wszczynają raban, to MSW woli się wycofać. Lubią załatwiać swoje sprawy po cichu.

– Dziękuję, Phil.

– Jeszcze mi nie dziękuj. Muszę lecieć. Wiedz, że robimy wszystko, co w naszej mocy, okej? Bądź silna, Dalilo.

– Postaram się.

Phil się rozłącza.

Dalila mocno zaciska telefon w pięści. Plan Phila brzmi rozsądnie. Może zadziałać, ale to się okaże dopiero wtedy, gdy ona dotrze na lotnisko. Cisza po zakończonej rozmowie jest straszna, dziewczyna rozpaczliwie pragnie pogadać

z kimkolwiek. Znów esemesuje do Daniela.

Baba. Dzwonił Phil. Ma plan. Czy mógłbyś się skontaktować z moją prawniczką? Kiedy przyjedziesz dziś w odwiedziny, poproś o widzenie z Ma'azą. Jest już silniejsza, ale namów ją do jedzenia. I rozbaw, tak jak rozbawiałeś mnie. Ona cię potrzebuje.

Wczesnym popołudniem pozwalają im wreszcie wyjść z pokojów. Dalila od razu idzie do kiosku i kupuje doładowanie do telefonu. Po krótkim spacerze znajduje wspólną salę, w której wiele kobiet ogląda telewizję. Siada i zastanawia się, co teraz robić. Czuje, jak czas przepływa jej przez palce, nieuchronnie przybliżając do chwili wyjazdu. Tak bardzo chciałaby wiedzieć, jak powinna postąpić. Muszą istnieć jakieś działania, które należałoby podjąć. Może formularz do wypełnienia, jakaś rada od miejscowej organizacji charytatywnej? Ciekawe, czy mają tu podobne godziny odwiedzin jak w Dungavel, gdzie bywał Daniel. Lecz Dalila przypomina sobie nagle, że w tym ośrodku goście muszą się zwracać o udzielenie pozwolenia na wizytę u konkretnego internowanego. Pisze esemesa do Phila.

Masz może w Londynie jakichś znajomych,
którzy mogliby mnie dziś odwiedzić?

Po kilku minutach dzwoni telefon. To prawniczka, Helen, która wyjaśnia, że nie jest już w stanie reprezentować Dalili, ponieważ Yarl's Wood leży w Anglii. Szkocja i Anglia mają odrębne systemy sądownictwa, a Helen nie posiada uprawnień do działania na terenie Anglii. To znana sztuczka MSW, żeby przenosić internowanych z jednej części Wielkiej Brytanii do innej, zmuszając ich do szukania pomocy w kolejnej kancelarii adwokackiej. Jednak Helen zapewnia Dalilę, że nie musi się niczym martwić. Ona spróbuje się skontaktować z kilkoma prawnikami, których zna w Anglii. Zobaczy, czy któryś mógłby przyjechać i spotkać się z Dalilą.

Po zakończeniu tej rozmowy dziewczyna czuje się rozstrojona, spaceruje po korytarzach, próbując wziąć się w garść. Stabilizuje oddech, przypomina sobie, że przecież Phil ma plan. Ludzie próbują jej pomóc. Wszystko będzie w porządku.

Wieczorem, przed zgaszeniem światła, Dalila siedzi na łóżku i słucha, jak Shada mówi coś cicho do siebie pod prysznicem. Zgrzyta zamek w bramie, po korytarzu łomocą buty. Drzwi do ich pokoju otwierają się gwałtownie, wchodzi pięciu strażników. Jeden wkracza do łazienki; Shada krzyczy na widok mężczyzny, który się jej przygląda.

– Wynocha – wrzeszczy. – Wynocha. Świnie.

Dalila przysuwa plecy do ściany, z kołdrą naciągniętą pod samą szyję.

Strażnik w łazience odczytuje nazwisko Shady, jej numer i rozkazuje:

– Ubierać się. Brać swoje rzeczy. Masz pięć minut.

– Dokąd mnie zabieracie?

– Wyszusz się i ubieraj. Masz pięć minut. – Strażnik zamyka drzwi.

Parę chwil później Shada wychodzi z łazienki w samym ręczniku, owiniętym wokół ciała. Jej oczy przeskakują od jednego strażnika do drugiego.

– Wezmę swoje rzeczy – mówi.

– No dalej. Pospiesz się – rzuca strażnik. – Nie mamy całej nocy.

Kobieta chwyta ubrania i kosmetyczkę, po czym wraca do łazienki i trzaska drzwiami.

– Szybko – popędza ją strażnik.

Dwaj funkcjonariusze siadają na łóżku Shady. Inny zaczyna zbierać jej dobytek, wkłada poszczególne przedmioty do foliowej reklamówki na zakupy.

Jeden ze strażników patrzy na Dalilę.

– Zostań tam, gdzie jesteś, dobrze? Zaraz będzie po wszystkim – mówi.

Po kilku chwilach strażnik puka do drzwi łazienki.

– Shada? Idziemy.

– Okej, już wychodzę.

– Mijają minuty.

Mężczyźni spoglądają po sobie.

– Powinniśmy wejść do środka – decyduje jeden z nich. Popycha drzwi, ale te są zablokowane. Pozostali mu pomagają; Dalila wciska się jeszcze bardziej w kąt pokoju, starając się być niewidoczna.

– Cholera – mówi jeden ze strażników. – Lepiej wezwijcie lekarza. Dzwonście po sanitariusza.

Funkcjonariusz wybiega z pomieszczenia, pozostali wyciągają Shadę z łazienki. Jest naga, majaczy, z ust spływa jej biała piana.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – wrzeszczy strażnik. – Ma jakiś atak?

– Możliwe – potwierdza inny.

– Nie. To nie padaczka – nie zgadza się kolejny. – W jej aktach nie ma o tym słowa.

– To przez to – mówi następny strażnik, wychodząc z kabiny prysznicowej z buteleczką szamponu w ręku.

– Wypiła pieprzony szampon. Skąd, do kurwy nędzy, wzięła aż cztery butelki?

Znów słycać płacz i odgłos drzwi zamykanych na klucz. Trwa to przez całą noc. Dalila myśli o Shadzie. Wyobraża sobie jej nagie ciało, szkliste oczy i białą pianę sączącą się z ust, czuje się winna, że dała jej pieniądze. Dlaczego nie wydało jej się to podejrzanе? Przecież chyba mogła zauważyć, w jak wielkiej desperacji jest ta kobieta?

Tej nocy śmierć krąży w pobliżu. Dalila czuje jej kroki na korytarzu. Podnosi do oczu zdjęcie swojego ojca i brata, próbuje wyobrazić sobie mężczyzn, którzy przyszli wtedy do jej domu. Czy tata od razu się zorientował, że chcą go zabić? Brat pewnie krzyczał i walczył. Ale tata? I mama? Jak postanowili się zachować? W jaki sposób zdecydowali się przyjąć przegraną? Nie ma ich z Dalilą w tym pokoju, nie wyczuwa ich obecności, zastanawia się tylko, czy na nią patrzą. Może czekają, by się przekonać, czy jej historia będzie odmienna od ich własnego losu? Chcą zobaczyć, czy przyjmie wszystko z uniesioną głową? W jaki sposób ich córka napisze własną opowieść?

Mija kolejne popołudnie, a nadal nie ma żadnych wiadomości od Daniela i od Phila. Gdy dziewczyna czeka na odpowiedź, udaje jej się zalogować do Facebooka i przesłać Muthoni list.

Xoxo Noni, potrzebuję pomocy. Sprawy mają się źle. Wygląda na to, że mnie deportują. Lecę jutro rano. Będę w Nairobi o 20.10. Lot numer KA 1078. Nie wiem, co ze mną zrobią. Bardzo, bardzo się boję, że pewna osoba mnie zobaczy. Na lotnisku pracuje przecież mnóstwo kierowców *matatu*. Jeśli któryś z tych Mungiki mnie zauważy, powie wujkowi.

Noni, proszę, mogłabyś wyjść po mnie? Mogłabym się zatrzymać u ciebie? Proszę.

Czas korzystania z komputera się kończy, jednak wieczorem, po kolacji, udaje jej się uzyskać jeszcze pół godziny na sprawdzenie poczty. Jest odpowiedź

od Muthoni.

Dali, nie martw się, przyjadę. Mój kolega ma samochód, zawiezie mnie. Jego rodzina mieszka w Lamu, może zatrzymasz się u nich. Możliwe, że on podrzuci cię do Mombasy, a stamtąd dojedziesz do Lamu. To bardzo daleko od Nairobi. Tam będziesz bezpieczna.

Strasznie cię cieszę, że się jutro zobaczymy, siostró.

Dalila masuje sobie twarz w poczuciu ulgi. Czyta wiadomość trzykrotnie. Pisze krótką odpowiedź, a potem się wylogowuje. Nie może wyobrazić sobie powrotu. To niemożliwe, przecież Phil ma plan, jak nie dopuścić, by weszła do samolotu; wszystko więc będzie okej.

Ale jeśli nawet tam wróci, jeśli coś pójdzie okropnie nie tak, a na lotnisku zmuszą ją do wejścia na pokład, to przynajmniej Muthoni będzie na nią czekać, gdy Dalila już wylądzuje. Wtedy narzuci coś na głowę, dla kamuflażu, i szybko prześlizgnie się do samochodu, nie dając się rozpoznać. Na pewno się uda.

Wieczorem odzywa się telefon. To Daniel.

– Dali, gdzie byłaś? Od dwóch dni próbuję się do ciebie dodzwonić.

– Cały czas jestem tutaj – odpowiada Dalila. – Ale telefon nie dzwonił. Może słaby zasięg?

– Trudno, nieważne. U ciebie wszystko w porządku?

– Boję się, *baba*. Jutro mnie zabierają.

– Wiem. Rozmawiałem z Philem. Wierzy, że zdoła im przeszkodzić, kiedy będą chcieli umieścić cię w samolocie. W takim wypadku musiałabyś przez jakiś czas zostać w Yarl's Wood, ale przynajmniej będziesz bezpieczna.

Dalila próbuje nie myśleć o dalszym pozostawaniu tutaj jako internowana. Odpowiada szybko:

– Wysłałam mejla do mojej przyjaciółki Muthoni. Chyba wyjdzie po mnie na lotnisko. Potem pojedę do Lamu. Podobno ona ma tam przyjaciół. Lamu jest

daleko. Jest bezpieczne.

– Tak, Lamu to dobre rozwiązanie – potwierdza Daniel. – Spodoba ci się tam. Ocean jest bardzo, bardzo piękny.

– Boję się, *baba* – powtarza Dalila. – Tak bardzo się boję.

– Wiem, Dali. To nic złego się bać – odpowiada Daniel, przechodząc na suahili. – Ale posłuchaj mnie, siostrze, posłuchaj. Jesteśmy przyjaciółmi. Na zawsze. Jestem z tobą. Jestem dla ciebie. Cierpimy razem. Nasze opowieści stanowią jedność. Jest w tobie wielka, niezniszczalna godność, ale teraz musisz świadomie się na niej oprzeć. Słyszysz mnie?

– Tak, *baba*. Tak zrobię. – Bierze głęboki oddech. – Tak zrobię.

– Jest przy mnie Ma’aza.

– Naprawdę? Gdzie jesteście? W saloniku dla odwiedzających? W Dungavel?

– Tak, jesteśmy tutaj. Ona właśnie pije kawę. Chce z tobą porozmawiać.

– Cześć, cukrowa siostrze. – Dalila słyszy słaby głos przyjaciółki. – Musisz być silna, okej? Dla mnie.

– Będę, jeśli obiecasz, że zaczniesz regularnie jeść.

– Mówię poważnie. Wiem, co robiłaś dla innych ludzi, dla mnie. Ludzie nigdy mnie nie słuchają, ale ty tak. Ty słuchasz ludzi, słyszysz ich. To wielki dar, który możesz im ofiarować. A teraz posłuchaj mnie uważnie.

– Słucham – zapewnia ją Dalila.

– Kiedy dolecisz do Kenii, uciekaj, okej?

– Okej.

– Uciekaj natychmiast, moja siostrze. Po prostu zniknij. Nie staraj się być miłą dziewczynką. Nie rób tego, co ci każą. Uciekaj, bądź bezpieczna.

– Tak zrobię.

– Musisz mi obiecać.

Dalila ociera łzy i mówi:

– Obiecuję.

– A potem, cukrowa siostrzyczko, kiedy już wyjadę do Kanady, zadzwonię do ciebie. Będziesz mogła zamieszkać w moim domu, zestarzejemy się i utyjemy.

– Tak – szepcze Dalila. Zaciska dłonie na nosie i ustach, żeby Ma’aza nie usłyszała jej łkania.

– Halo? Dalila?

– Jestem – odpowiada. – Wciąż tu jestem.

Przed nadejściem świtu Dalila siedzi w ciemności. W pokoju jest jej matka. Naprzeciwko niej czeka ojciec, wyglądając przez okno na księżyc. Brat stoi w pobliżu drzwi.

Kiedy słyszy buty stukające po korytarzu, wie już, że idą po nią. Kładzie się na łóżku. Jest tak przerażona, że ma wrażenie, jakby szybowała pod sufitem, pełna lęku, z dala od samej siebie, w miejscu, w którym strażnicy nigdy jej nie zauważą.

„Okej. Okej” – szepcze do siebie.

Długo i powoli wypuszcza powietrze z płuc, wraz z każdym oddechem opada niżej, aż znów jest w pełni sobą. Wyobraża sobie Ma’azę, stojącą w tym pokoju, gotową bezczelnie sprzeciwić się strażnikom. Widzi Daniela, wspartego na zdrowej nodze, z lekkim uśmiechem na twarzy. Przed oczyma staje jej Phil, spierający się z funkcjonariuszami, stawiający im opór. Wyobraża sobie pana Erdema, Olcay i obie dziewczynki. A także panią Gilroy – gdyby ona tu była, wszyscy byłiby bezpieczni. Widzi Abbiego i Abita, oblicze każdej osoby, którą poznała w centrum, aż wreszcie cela zdaje się pełna różnych ludzi, którzy czekają – oprócz Dalili i jej rodziny – na otwarcie się drzwi.

A wówczas Dalila wstaje. Unosi głowę z gniewną godnością i patrzy w oczy każdemu z mężczyzn, zagląda w jego wnętrze, nie lękając się niczego, co zobaczy, ani tego, co pozwoli zobaczyć im.

Gdy jeden z tamtych zbliża się z kajdankami, Dalila pyta spokojnie:

– Do czego, waszym zdaniem, to ma być potrzebne?

Wychodzi z celi, idzie korytarzem ku temu wszystkiemu, co ją czeka.

Epilog

Jak to ma w zwyczaju, Daniel odwiedza bibliotekę. Zdejmuje rękawiczki, flirtuje z obsługującą, zamawia sobie godzinną sesję na komputerze. Staw skokowy zeszytniał mu z zimna, opiera się na zdrowej nodze, wspinając się po schodach na półpiętro.

Googluje „NTV Kenya”, po czym przebiega wzrokiem po nagłówkach informacji. Jego uwagę przykuwa jakaś historia, trzy pozycje w dół, klika więc załączony filmik. Widzi ludzi, mieszkańców jakiegoś miejsca, którzy gapią się i pokazują na krzaki. Głos reporterki przekazuje relację.

Mieszkańcy wsi Ruiru pozostają w szoku po odkryciu zwłok kobiety, które miało miejsce wczoraj we wczesnych godzinach rannych. Ciało znaleziono na poboczu drogi, pomiędzy miejscowością Ruiru a Uniwersytetem Rolniczo-Technologicznym imienia Jomo Kenyatty.

Kamera przeskakuje na młodego, silnego mężczyznę w zielonej koszulce.

Kiedy tamtędy przechodziłem, zaskoczył mnie widok... ciała, w dole, za tymi drzewami. A skąd wiedziałem, że to ludzkie zwłoki? Ponieważ zobaczyłem... stopę.

Materiał ukazuje teraz policyjną furgonetkę. Ludzi zgromadzonych po jej jednej stronie. Zasmuconą twarz jakiejś kobiety. Reporterka kontynuuje:

Na ciele ofiary stwierdzono cztery rany klute, zadane prawdopodobnie nożem, a także ślady wskazujące, że została zgwałcona. Na wstępnym etapie dochodzenia policja koncentrowała się na ustaleniu tożsamości ofiary, która – jak podejrzewano – była studentką Uniwersytetu imienia Jomo Kenyatty. Jednak najnowsze informacje potwierdzają, że znalezione zwłoki należą do dwudziestojednoletniej Irene Dalili Mwathi, byłej studentki Kenijskiego Instytutu Mediów i Technologii, bratanicy biznesmena oraz kandydata w wyborach z ramienia partii N.A.R.C, Kennedy’ego Mwathiego.

Na ekranie ukazuje się zdjęcie Dalili. Dziewczyna stoi w tłumie, spogląda przez ramię, prawie się uśmiecha.

Wciąż nie ustalono sprawcy zabójstwa, nieznany jest również jego motyw. Śledztwo trwa. Podobno ofiara wprowadziła się do domu swojego wuja krótko po wymordowaniu wszystkich członków jej rodziny w okresie zeszłorocznych napięć politycznych w Niavasha.

W wydanym dziś rano oświadczeniu pan Kennedy Mwathi opisał swoją bratanicę jako dobrą studentkę, która cierpiała na depresję wywołaną stratą rodziny. W ostatnim czasie wysłał ją na wakacje do Wielkiej Brytanii, starając się jej pomóc przezwyciężyć problemy emocjonalne, wyraża jednak obawę, że dziewczyna mogła być zamieszana w przemyt narkotyków. Dodał również, że przestępca, który dokonał tego czynu, powinien ponieść maksymalną przewidzianą prawem karę i że zamierza wspierać śledztwo policyjne w każdy możliwy sposób, aż do ustalenia sprawcy.

Watiri Mutono, NTV, okolice miejscowości Ruiru.

Ekran czernieje. Daniel mruga, nie wiedząc właściwie, co przed chwilą zobaczył.

Ponownie ogląda relację telewizyjną, czekając na pojawienie się jej twarzy, a kiedy to się staje, zatrzymuje filmik.

To ona. Jest tam, w wiadomościach. Wyraz oczu ma niezwykły, jakby skrywała jakąś niezmiernie ważną tajemnicę. To wejrzenie czystego wdzięku.

Daniel się wylogowuje. Jego palce drżą, gdy z trudem zapina płaszcz. Utykając, schodzi po stopniach w poszukiwaniu powietrza, świeżego powietrza.

Bibliotekarka macha mu na pożegnanie:

– Na razie, Danielu. Do jutra.

Mężczyzna kiwa jej głową, ale czuje, że nie może odpowiedzieć.

Chodnik jest śliski. Brunatna breja gromadzi się u podstawy latarni, wpada do rynsztoka. Daniel stawia krótkie, odmierzone kroki, lecz zaraz staje. Nie zniesie samotności w tym mieszkaniu. Mruży oczy za okularami, zastanawiając się, dokąd mógłby pójść. Ulica jest ciemna i mokra. Czerniejące chmury oznajmniają szybki koniec dnia, miasto emituje nieustanny odgłos ruchu pojazdów, podobny do wiatru, do stłumionej modlitwy miliona dusz. Daniel stawia stopy, zagubiony, nasłuchując uspokajającej ciszy serca świata.

Tytuł oryginału:

DALILA

Przełożył: Przemysław Hejmej

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Ewa Popielarz

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © PeopleImages (iStock.com)

Skład: skladigrafika@gmail.com

Copyright © Jason Donald 2017

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE,
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Przemysław Hejmej

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2017

ISBN 978-83-65740-12-0



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



Wydawnictwo Kobięce

E-mail: redakcja@wydawnictwokobięce.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobięce.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com